

Bagley Desmond

Cytadela w Andach



Rozdział 1

Dzwonek brzęczał natarczywie.

O'Hara przez sen zmarszczył czoło i głębiej wcisnął twarz w poduszkę. Naciągnął na głowę cienkie prześcieradło, pod którym spał, obnażając jednak przy tym stopy i prowokując senny protest swej towarzyszki. Nie otwierając oczu, chwycił budzik z nocnego stolika i cisnął nim przez pokój. Potem znowu wbił się w poduszkę.

Dzwonek nie przestawał brzęczeć.

O'Hara uświadomił sobie, że to dzwoni telefon, i wreszcie otworzył oczy. Wsparty na łokciu, z wściekłością popatrzył w mrok. Odkąd zamieszkał w tym hotelu, wielokrotnie prosił Raniona o przeniesienie telefonu na nocny stolik i za każdym razem otrzymywał zapewnienie, iż sprawa zostanie załatwiona nazajutrz. I tak minął rok.

Nie zwracając sobie głowy zapalaniem światła, wstał z łóżka i poczłapał w stronę toaletki. Podniósł słuchawkę, jednocześnie uchylając zasłonę i wyglądając na zewnątrz. Było ciemno i zachodził księżyc - ocenił, że do świtu pozostały jeszcze dwie godziny.

- O'Hara - burknął do telefonu.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? - zapytał Filson. - Od kwadransa próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Spałem - odparł O'Hara. - Nocą zwykle śpiam. Sądzę, że tak robi większość ludzi, z wyjątkiem jankeskich przedsiębiorców lotniczych.

- Bardzo zabawne - powiedział Filson ze znużeniem. - No to przywlecz tu dupsko, bo na świt mamy zaplanowany lot.

- Co, u diabła? Wróciłem dopiero sześć godzin temu. Jestem zmęczony.

- A myślisz, że ja nie? - powiedział Filson. - To ważna sprawa. Boeing 727 linii Samair miał awaryjne lądowanie, a inspektor lotów go uziemił.

Pasażerowie są rozwścieczeni jak szerszenie, więc kapitan i stewardesy wyłowili najpilniejsze przypadki, które mamy dostarczyć na wybrzeże. Wiesz, co dla nas znaczy współpraca z Samair. Jeśli potraktujemy ich cacy, może zawrą z nami stały kontrakt.

- Ucho od śledzia - odparł O'Hara. - Wykorzystują cię w sytuacji awaryjnej, ale nigdy nie załapiasz się na ich rozkłady. Zarobisz najwyżej „Bóg zapłać”.

- Warto jednak spróbować - upierał się Filson.

O'Hara ważył w myślach, czy poinformować Filsona, że po dwóch dekadach ma już wylataną całą miesięczną normę, ale tylko westchnął i powiedział:

- W porządku, polecę.

Odwoływanie się do regulaminów nie ociepliloby stosunków między nim a Filsonem; zdaniem tego osobnika o kamiennym sercu regulaminy IATA wymyślono tylko po to, by móc obchodzić przepisy - albo je łamać. Gdyby stosował się do wszystkich międzynarodowych wymogów, jego marna firma byłaby nieustannie do tyłu.

Poza tym, myślał O'Hara, była to i dla niego stacja końcowa. Utraciwszy tę robotę, miałby kłopoty z przetrwaniem. W Ameryce Południowej zbyt wielu zrujnowanych pilotów uganiało się za nielicznymi posadami, a tandetny interes Filsona lokował się w okolicach najniższego szczebla drabiny. Cholera, pomyślał z niesmakiem, trafiłem na kurewskie ruchome schody sunące w niewłaściwym kierunku... trzeba zasuwać co sił w nogach, żeby przynajmniej zostać na tej samej wysokości.

Gwałtownie odłożył słuchawkę i znów patrzył w noc, badając niebo. Tu wydawało się w porządku, ale jak jest w górach? O górach rozmyślał zawsze, tych okrutnych górach z postrzępionymi, białymi turniami, mierzącymi w niebo, jakby miały je

przebić. Dobrze by było, gdyby Filson miał przyzwoity raport meteo. Wyszedł z pokoju i znalazł się w jak zwykle nie oświetlonym korytarzu. Był to ten typ hotelu, w którym o jedenastej wieczorem wyłączano światła we wszystkich pomieszczeniach ogólnego użytku. Po raz tysięczny pomyślał ze zdumieniem, co robi w tym zakazanym kraju, w tym sennym mieście, w tym marnym hotelu... Nie przejmując się tym, że jest nagi, powędrował do łazienki. Wedle jego filozofii, jeśli kobieta widziała już kiedyś nagiego mężczyznę, rzecz nie ma znaczenia; jeśli zaś nie widziała, to najwyższy czas, żeby zobaczyła.

Wziął szybki prysznic, zmywając z siebie pot nocy. Wrócił do pokoju i włączył lampkę przy łóżku, zastanawiając się, czy się zaświeci. Z powodu nieregularnych dostaw energii zawsze było to wątpliwe. W słabej poświacie anemicznie żarzącego się włókna włożył długie kalesony, dzinsy, grubą koszulę i skórzaną kurtkę. W gorącej tropikalnej nocy, jeszcze zanim skończył się ubierać, znów spływał potem. Podniósł z toaletki metalową flaszkę i potrzasnął nią. Zmarszczył czoło, bo była wypełniona tylko do połowy. Mógł obudzić Raniona i dotankować, jednak nie byłoby to zbyt rozsądne: po pierwsze - Ramon nie lubił, gdy budzono go w nocy, a po drugie - mógł zacząć zadawać kłopotliwe pytania dotyczące terminu zapłacenia rachunków. Może zdoła dostać coś na lotnisku.

Zamierzał już wyjść, lecz zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na wyciągniętą na łóżku kobietę. Prześcieradło zsunęło się, obnażając smagłe piersi o jeszcze ciemniejszych sutkach. Pomyślał, że przebijający z jej skóry miedziany połysk zdradza pokąź domieszki krwi indiańskiej. Ze smętnym grymasem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki chudy portfel, wyjął dwa banknoty i rzucił je na stolik przy łóżku. Po chwili wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

II

Zaparkował w zatoczce swój zdezelowany samochód. Zaintrygowany spojrzał na dziwnie jaskrawe światła lotniska. Choć podrzędne, dla Filsona pełniło rolę bazy głównej, ale poważne linie klasyfikowały je jako lądowisko awaryjne. Przed wieżą kontrolną stał wysmukły boeing 727 linii Samair. O'Hara popatrzył nań przez chwilę z zazdrością, a później przeniósł wzrok na hangar w głębi.

Dokonywano tam załadunku dakoty. Światła były na tyle jasne, że nawet z tej odległości O'Hara mógł dostrzec emblemat na ogonie - dwie splecione litery A, wystylizowane na górskie wierzchołki. Uśmiechnął się pod nosem. Nie bez powodu latał samolotem ozdobionym podwójnym A - alkoholicy świata łączcie się. Szkoda, że Filson nie chwycił dowcipu, był bowiem dumny z Andes Airlift i nigdy z nich nie żartował - facet absolutnie wyprany z poczucia humoru.

Pilot wysiadł z samochodu i powędrował do głównego budynku, by przekonać się, że jest on pełen ludzi - zmęczonych, brutalnie rozbudzonych i w samym środku nocy wysadzonych w miejscu, w którym diabeł mówi dobranoc. Przepchnął się przez tłum do biura Filsona. Amerykański głos z zachodnim akcentem narzekał donośnie i z goryczą:

- Cholera, to skandal! Po powrocie do Rio zamierzam pomówić o tym z panem Coulsonem.

Otwierając drzwi biura, O'Hara uśmiechnął się. Filson, z twarzą lśniącą od potu, w koszuli z krótkimi rękawami siedział przy biurku. Zawsze się poccił, a szczególnie w sytuacjach awaryjnych. A skoro jego życie było nieprzerwanym pasmem stresów, cud, że nie rozpuścił się całkowicie. Podniósł głowę.

- Wreszcie jesteście.

- Zawsze sprawia mi frajdę powitanie, na jakie mogę liczyć - zauważył O'Hara. Filson zignorował zaczepkę.

- W porządku. Posłuchaj, w czym rzecz - powiedział. - Zawarłem kontrakt z Samair, że zabiorę do Santillany dziesięciu pasażerów, tych, którzy mają przesiąść się na statek. Bierzesz jedynekę, właśnie ją przygotowują. Jego głos był ożywiony i rzeczowy; ze sposobu, w jaki delektował się dźwiękiem słów „zawarłem kontrakt z Samair”, O'Hara wywnioskował, że Filson widzi siebie w roli rekina przemysłu lotniczego, który robi interesy z równymi sobie, zapominając, kim jest naprawdę - starzejącym się eks-pilotem, który zarabia na niepewne życie dwoma dwudziestopięcioletnimi turkoczącymi samolotami z wojskowego demobilu.

- Kto ze mną leci? - zapytał O'Hara.

- Grivas.

- Ten zarazumiały mały skurwysyn?

- Zgłosił się na ochotnika. Zrobił więc więcej niż ty - prychnął Filson. - Czyżby?!

- Był na miejscu, kiedy wylądował 727 - powiedział Filson. Uśmiechnął się z wyższością. - To był jego pomysł, by zaproponować Samair przejęcie kilku najpilniejszych pasażerów, więc natychmiast do mnie zadzwonił. To ten rodzaj szybkiego myślenia, jakie najbardziej jest potrzebne w naszej firmie.

- Nie lubię go mieć na pokładzie.

- Przyznaję, jesteś lepszym pilotem - odparł Filson niechętnie. - Dlatego lecisz jako kapitan, a on jako drugi pilot. - Z zadumą popatrzył w sufit. - Jeśli ten układ z Samair wypali, może przeniosę Grivasa do biura. Jest za dobry na latanie.

Filson cierpiał na manię wyższości. O'Hara powiedział z premedytacją:

- Jesteś szajbnięty, jeśli sądzisz, że South American Air nawiązą z tobą stałą współpracę. Zapłacą za zabranie swoich pasażerów, podziękują i natychmiast cię wyślizgają.

Filson wymierzył w O'Harę pióro.

- Bierzesz forszę tylko za pilotowanie. Myślenie to zajęcie dla mnie. O'Hara dał za wygraną.

- Co się stało z 727?

- Coś nawaliło w systemie paliwowym. Właśnie tego szukają. - Filson podniósł plik papierów. - Mamy skrzynię z urządzeniami jadącymi na przegląd. Oto lista przewozowa.

- Chryste! - powiedział O'Hara. - Ten lot jest pozaplanowy. Czy musisz to robić?

- Pozaplanowy czy nie, lecisz z pełnym ładunkiem. Niech mnie diabli, jeśli mogą coś przewieźć, wypuszczę samolot prawie pusty.

O'Hara był zrezygnowany.

- Myślałem, że dla odmiany będę miał łatwą przejażdżkę. Zawsze dowalasz nadmierny ładunek, a przejście między szczytami to cholerny kawał roboty. Dakota kiwa się jak hipopotam.

- Ruszasz o najlepszej porze - odparł Filson. - Później, gdy wszystko rozgrzeje się od słońca, będzie gorzej. Teraz zrywaj się i przestań mi zawracać głowę.

O'Hara wyszedł z biura. Główny hali pustoszał, kiedy poirytowani pasażerowie Samair tłoczyli się, by wsiąść do starego autobusu lotniskowego. Tu i ówdzie nadal stało kilka osób - ci, którzy mieli polecieć do Santillany. O'Hara zignorował ich; pasażerowie czy fracht- było mu wszystko jedno. Przewoził ich ponad Andami, wysadzał po drugiej stronie i zawieranie z nimi znajomości nie miało sensu. Kierowca autobusu, pomyślał, nie zadaje się z pasażerami, a przecież nie jestem nikim więcej - cholernym kierowcą powietrznego autobusu. Zerknął na listę przewozową. Filson zrobił to co zawsze - były dwie skrzynie, a ich ciężar zjeżył włosy na głowie O'Hary. Któregoś dnia, pomyślał wściekle, trafi mi się tam, na górze, we właściwym momencie inspektor IATA i Filson

powędruje na gałąź. Zgniół listę w dłoni i poszedł dokonać przeglądu samolotu. Stał przy nim Grivas, wsparty wdzięcznie o podwozie. Na widok O'Hara wyprostował się, pstryknięciem posłał niedopałek na pas startowy, ale nie zrobił ani kroku.

O'Hara podszedł i zapytał:

- Ładunek na pokładzie? Grivas uśmiechnął się. -Tak.

- Sprawdziłeś? Zabezpieczony?

- Oczywiście, señor O'Hara. Sam dopilnowałem.

O'Hara coś odburknął. Nie lubił Grivasa ani jako człowieka, ani jako pilota. Nie ufał jego gładkości, śliskiej patynie niby dobrego wychowania, która niczym powłoka pokrywała go od wybrylantynowanych włosów i pod-strzyżonej szczoteczki wąsika do lśniących jak lustro butów. Grivas był mężczyzną niezbyt wysokim, szczupłym, żylastym i zawsze przystrojonym w uśmiech. Właśnie temu uśmiechowi O'Hara nie ufał najbardziej.

- Jaka pogoda? - spytał. Grivas spojrzał na niebo.

- Chyba w porządku.

O'Hara pozwolił sobie na jadowitość w głosie:

- Przydałby się raport meteo, nie sądzisz?

- Zaraz przyniosę - odparł Grivas z uśmiechem.

O'Hara popatrzył za odchodzącym, a potem podszedł do drzwi ładowni. Dakota była jednym z najbardziej udanych samolotów, jakie kiedykolwiek zaprojektowano, koniem pociągowym alianckich sił zbrojnych podczas wojny. Przeszło dziesięć tysięcy tych maszyn dobrze się zasłużyło, rozwożąc po całym świecie niezliczone miliony ton bezcennego ładunku. W swoim czasie był to samolot doskonały, jednak ten czas dawno minął.

Dwudziestopięcioletnia dakota została nadwerężona zbyt wieloma lotami, przy mniej niż skromnej dbałości o stan techniczny. O'Hara znał dokładnie stopień zużycia linek sterowniczych, wiedział, jak pielęgnować wyeksploatowane silniki, aby wykorzystać je do granic możliwości -jakkolwiek były to możliwości niewielkie; opanował też delikatną technikę lądowania, która nie narażała osłabionego podwozia na zbytne przeciążenie. Ale wiedział również, że pewnego dnia, gdzieś wysoko nad białymi iglicami Andów, ta cała żalosna kupa złomu wykręci mu śmiertelny numer.

Wszedł do samolotu i rozejrzał się po przestronnym wnętrzu. W jego przedniej części było dziesięć siedzeń; nie były to luksusowe fotele z regulowanymi oparciami, lecz niewygodne, twarde, wyściełane skórą krzeselka, które Filson - mimo wściekłości z powodu nadprogramowych wydatków -musiał wyposażyć w pasy bezpieczeństwa. Resztę wnętrza, przeznaczoną na ładownię, zajmowały w tej chwili dwie wielkie skrzynie.

O'Hara obszedł je, sprawdzając pasy mocujące. Prześladowała go koszmarna wizja, że pewnego dnia, podczas złego lądowania lub przy poważnych turbulencjach, ładunek runie do przodu. Byłby to koniec wszystkich pasażerów, którzy fatalnym zrzędzeniem losu zmuszeni byli do podróży liniami Andes Airlift. Zaklął, znalazłszy nie dociągniętą linę. Ten Grivas i jego niedbalstwo wykończą go kiedyś.

Po sprawdzeniu ładunku przeszedł do kokpitu i dokonał rutynowego przeglądu instrumentów. Przy silniku na lewym skrzydle pracował mechanik, więc O'Hara wychylił się przez okno i po hiszpańsku zapytał, czy wszystko w porządku.

Mechanik splunął, a potem przeciągnął palcem po gardle i wydał dźwięk mrozący krew w żyłach.

- De un momento a otro.

Skończył kontrolę aparatury i powędrował do hangaru w poszukiwaniu Fernandeza, głównego mechanika, który zazwyczaj, dokładnie wbrew zakazom Filsona, miał

zamelinowaną butelkę albo dwie. O'Hara lubił Fernandezza i wiedział, że również Fernandez go lubi; dobrze się rozumieli. O'Hara dbał o utrzymanie takiego stanu rzeczy - w tej robocie pójsie na udry z głównym mechanikiem oznaczało przepustkę do wieczności.

Przez chwilę pogawędził z Fernandezem, potem napełnił flaszkę, a przed oddaniem butelki pociągnął z niej pośpiesznego łyka. Kiedy wracał do dakoty, już świtało. Siedzący w kokpicie Grivas kombinował, gdzie upchnąć swój nesaser. Zabawne, pomyślał O'Hara, że nesaser stanowi nieodłączny atrybut pilota linii lotniczych, tak samo jak każdego dżentelmena z City. Jego własny spoczywał pod fotelem; zawierał jedynie paczkę kanapek, złapaną w czynnej całej dobie kafejce.

- Masz raport meteo? - zapytał.

Grivas podał mu arkusz papieru i O'Hara powiedział:

- Możesz kołować na płytę.

Studiował raport. Był niezły - był całkiem niezły. Nad górami żadnych burz, żadnych anomalii, żadnych kłopotów - po prostu dobra pogoda. Lecz O'Hara z doświadczenia wiedział, że meteorologowie mogą się mylić - i dlatego nie zelżało w nim napięcie. Właśnie to napięcie, nie opuszczające go w powietrzu ani na chwilę, utrzymywało go przy życiu, podczas gdy ginęło wielu od niego lepszych. Kiedy dakota zatrzymała się na płycie przed głównym budynkiem lotniska, dostrzegł Filsona wiozącego niewielką grupę pasażerów.

- Dopilnuj, aby wszyscy dobrze zapięli pasy - polecił Grivasowi. - Nie jestem stewardesą- odparł Grivas z rozdrażnieniem.

- Kiedy siądziesz po tej stronie kabiny, będziesz mógł wydawać rozkazy - powiedział O'Hara oschle. - Ale w tej chwili je wykonujesz i wołałbym, żebyś wobec pasażerów odwalił lepszą robotę niż z ładunkiem.

Uśmiech zniknął z twarzy Grivasa; odwrócił się bez słowa i poszedł do głównej kabiny. Niebawem ukazał się Filson i wyciągnął ku O'Harze jakiś formularz.

- Podpisz.

Był to certyfikat IATA dotyczący ładunku i paliwa. O'Hara zauważył, że Filson, zresztą jak zwykle, oszukuje na ładunku, lecz bez słowa komentarza nabazgrał swój podpis.

- Zadzwoń, jak tylko wylądujesz - powiedział Filson. - Może być ładunek powrotny.

O'Hara skinął głową i Filson wycofał się. Rozległo się podwójne trzaśnięcie drzwi.

- Podkołuj na koniec pasa - polecił O'Hara. Włączył radio, żeby się rozgrzało. Grivas był wciąż obrażony i nic nie mówił. Nie odezwał się słowem nawet wtedy, kiedy już wrzucił pełne obroty silników i dakota, pokraczna i ciężka, kolebiąc się odjechała od głównego budynku w mrok. Przy końcu pasa O'Hara zamyślił się przez chwilę. Filson nie dał mu numeru lotu. Do diabła z tym, uznał, że wieża powinna wiedzieć, co jest grane. Włączył mikrofon i powiedział:

- Lot specjalny AA, cel Santillana - AA do wieży San Croce - gotów do startu.

Zsunął do tyłu mundurową czapkę i powiedział:

- Grivas, przejmij stery. Idę porozmawiać z pasażerami.

Grivas był tak zaskoczony, że zapomniał o swym rozdrażnieniu i zrobił wielkie oczy:

- Dlaczego? Czemu ci pasażerowie są tak ważni? Czy to Samair? - roześmiał się bezdźwięcznie. - Ależ tak, oczywiście, zauważył pan dziewczynę. Chce się pan jej znowu przypatrzeć, co?

- Jaką dziewczynę?

- Po prostu dziewczynę, kobietę. Bardzo piękną. Chyba się z nią zaznajomię i umówię, kiedy dolecimy do... Santillany - powiedział Grivas z namysłem. Kątem oka spojrzął na O'Harę.

O'Hara mruknął i z kieszeni na piersi wyciągnął listę pasażerów. Jak podejrzewał, większość stanowili Amerykanie. Pośpiesznie przejrzał spis. Pan i pani Coughlin z Challis, Idaho - turyści; doktor James Armstrong z Londynu - bez podanego zawodu; Raymond Forester z Nowego Jorku - biznesmen; señor i señorita Montes, Argentyńcy - bez podanego zawodu; panna Jennifer Ponsky z South Bridge, Connecticut - turystka; doktor Willis z Kalifornii; Miguel Rohde, bez podanej narodowości, zawód - importer; Joseph Peabody z Chicago, Illinois - biznesmen.

Strzelił palcem w listę i uśmiechnął się do Grivasa.

- Jennifer to przyjemne imię, ale Ponsky? Nie mogę sobie wyobrazić, jak prowadzasz się z kimś o nazwisku Ponsky.

Grivas sprawiał wrażenie zbitego z tropu, ale potem wybuchnął kon-wulsyjnym śmiechem.

- Ach, przyjacielu, może pan sobie wziąć piękną pannę Ponsky, a ja zostanę przy swojej dziewczynie.

O'Hara ponownie popatrzył na listę.

- Zatem musi to być señorita Montes, o ile nie chodzi o panią Coughlin. Grivas parsknął, odzyskawszy dobre samopoczucie.

- Niech się pan sam przekona.

- Właśnie tak zrobię - powiedział O'Hara. - Proszę przejąć stery. Przeszedł do głównej kabiny, gdzie powitało go dziesięć podniesionych głów. Posłał jowialny uśmiech, stylizując się na pilotów Samair, dla których stosunki z klientami były równie ważne jak umiejętności fachowe. Usiłując przekrzywić ryk silników, powiedział:

- Sądzę, że powinienem poinformować państwa, że za jakąś godzinę dotrzemy do gór. Będzie zimno. Sugeruję zatem, byście założyli państwo coś ciepłego. Pan Filson zapewne powiedział wam, że nasz samolot nie jest hermetyczny. Ale na dużych wysokościach będziemy lecieć przez niecałą godzinę, toteż nic się państwu nie stanie.

Masywny mężczyzna o cerze alkoholika wtrącił:

- Nikt mi o tym nie powiedział.

O'Hara pod nosem skłął Filsona i jeszcze szerzej rozciągnął usta w uśmiechu.

- Cóż, nie ma się czym przejmować, panie...

- Peabody. Joe Peabody.

- Panie Peabody, wszystko będzie w zupełnym porządku. Obok każdego siedzenia jest ustnik tlenowy, z którego proponuję skorzystać w przypadku kłopotów z oddychaniem. Przekrzykiwanie zgiełku silników jest nieco męczące, więc porozmawiam z każdym z państwa z osobna.

Uśmiechnął się do Peabody'ego, który odpowiedział mu spojrzeniem spode łba.

Pochylił się nad pierwszą parą krzeseł z lewej strony.

- Czy mógłbym poznać nazwiska panów? Pierwszy mężczyzna odrzekł:

- Jestem Forester - a drugi rzucił: - Willis.

- Witam panów na pokładzie. Forester rzekł:

- Wie pan, iż nie za to zapłaciłem. Nie sądziłem, że takie gruchoty są jeszcze w użyciu.

O'Hara uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Cóż, to lot awaryjny i został przygotowany w cholernym pośpiechu. Jestem przekonany, że pan Filson tylko przez zwykłe przeoczenie nie powiedział wam, iż samolot nie jest hermetyczny.

Sam nie miał w tej sprawie najmniejszej pewności. Willis powiedział z uśmiechem:

- Przyjechałem tu studiować warunki wysokogórskie. Trudno zaprzeczyć, że zaczynam badania od mocnego uderzenia. Jak wysoko lecimy, kapitanie?

- Najwyżej pięć i pół tysiąca metrów - odparł O'Hara. - Przelatujemy pomiędzy

szczytami, nie zaś ponad nimi. Przekonacie się, panowie, że ustniki tlenowe są proste w użyciu. Wystarczy tylko ssać.

Uśmiechnął się i chciał się odwrócić, ale stwierdził, że jest przytrzymywany. W jego rękaw wczepił się wychylony przez oparcie krzesła Peabody.

- Hej, szefie...

- Podejdę do pana za sekundkę, panie Peabody - O'Hara wbił wzrok w oczy Amerykanina.

Peabody zamrugał gwałtownie, rozluźnił uchwyt i opadł na krzesło, O'Hara zaś zwrócił się ku prawej burcie. Mężczyzna był w starszym wieku, miał orli nos i krótką, siwą brodę. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna o uderzającej urodzie - jeśli mógł sądzić po tym, co widział z jej twarzy, a nie było tego wiele, ponieważ była wtulona w futro.

- Señor Montes? - zapytał.

Mężczyzna uniósł głowę.

- Proszę się o nas nie martwić, kapitanie, wiemy, co nas czeka. - Machnął dłonią w rękawicze. - Jak pan widzi, jesteśmy dobrze przygotowani. Znam Andy, señor, i znam samoloty tego typu. Znam Andy dobrze; pokonywałem je pieszo i na mule. W młodości zdobyłem kilka z najwyższych szczytów, nieprawdaż Benedetto?

- Si, tio - odparła bezbarwnym głosem. - Ale to było dawno. Nie wiem, czy twoje serce...

Poklepał ją po nodze.

- Jeśli się rozluźnię, będzie dobrze. Czyż nie tak, kapitanie?

- Czy orientuje się pan, jak korzystać z rury tlenowej? Montes skinął głową z przekonaniem i O'Hara oświadczył:

- Wujowi pani nic się nie stanie, señorita Montes.

Nie doczekawszy się jej odpowiedzi, podszedł do następnego rzędu krzeseł.

Nie mogli to być Coughlinowie. Byli zbyt źle dobrani, aby mogli stanowić parę amerykańskich turystów - chociaż kobieta bez wątplenia pochodziła ze Stanów.

- Panna Ponsky? - zagadnął pytająco O'Hara. Uniosła ostry nos i powiedziała:

- Oświadczam, że to wszystko jest do kitu. Musi pan natychmiast zawrócić.

Z twarzy O'Hary niemal ześlizgnął się wymuszony uśmiech.

- Latam na tej trasie regularnie, panno Ponsky. Nie ma się czego bać. Jednak na

jej twarzy malował się strach - lęk przestrzeni. Izolowana, w klimatyzowanej ciszy odrzutowego nowoczesnego liniowca, umiała stłumić lęk, ale prymitywizm dakoty wydobyl go na powierzchnię. Nie było tu przemyślanego wystroju, który mógłby zwieść ją i upewnić, iż przebywa w salonie. Wokół miała wyposażenie z nie malowanego aluminium, na dodatek powgniatanego i porysowanego, z przewodami i rurami obnażonymi bezwstydnie jak trzewia otwartego ciała.

- Czym się pani zajmuje, panno Ponsky? - zapytał spokojnie O'Hara.

- Jestem nauczycielką w South Bridge - odparła. - Uczę tam od trzydziestu lat.

Osądził, że jest z natury gadatliwa - i być może w tym tkwi sposób na pokonanie jej strachu. Popatrzył na mężczyznę, który przedstawił się:

- Miguel Rohde.

Stanowił anomalie rasową. Nosił hiszpańsko-niemieckie nazwisko i miał hiszpańsko-niemieckie rysy, włosy koloru słomy i paciorkowate czarne oczy.

Migracja niemiecka do Ameryki Południowej trwała od wielu lat - był jednym z jej rezultatów.

- Czy zna pan Andy, señor Rohde? - zapytał.

- Bardzo dobrze - odparł Rohde zgrzytliwym głosem. Skinął głową przed siebie. - Mieszkałem w nich przez wiele lat... i teraz wracam.

O'Hara ponownie zwrócił się do panny Ponsky:

- A więc uczy pani geografii, panno Ponsky? Przytaknęła.

- Tak. To jeden z powodów, dla których na wakacje przyjechałam do Ameryki

Południowej. O ileż łatwiej opowiadać o czymś, co się samemu widziało.

- Zatem ma pani świetną okazję - rzekł O'Hara z entuzjazmem - zobaczyć Andy takie, jakich nigdy nie ujrzałyby pani z okien samolotu Samair. I nie wątpię, że señor Rohde wskaże pani interesujące widoki.

Rohde skinął głową ze zrozumieniem.

- Si, bardzo interesujące. Dobrze znam ten górski region.

O'Hara uśmiechnął się krzepiąco do panny Ponsky, a ta odpowiedziała mu przelotnym, drżącym uśmiechem. Odwracając się ponownie ku lewemu rzędowni krzesel, dostrzegł błysk w czarnych oczach Rohdego.

Mężczyzna siedzący obok Peabody'ego był niewątpliwie Brytyjczykiem. O'Hara powiedział więc:

- Cieszę się, że leci pan z nami, doktorze Armstrong... i pan, panie Peabody.

Armstrong odrzekł:

- Miło słyszeć angielski akcent, kapitanie. Po tym całym hisz...

- Niech mnie cholera, jeśli rad jestem, że tu siedzę, szefie - wtrącił Peabody.

- Na rany boskie, co to, u diabła, za linia lotnicza?

- Linia jest własnością Amerykanina, panie Peabody - odparł spokojnie O'Hara. -

Cóż zatem chciał pan powiedzieć, doktorze Armstrong?

- W życiu nie spodziewałem się spotkać tu angielskiego kapitana - stwierdził Armstrong.

- Cóż, jestem Irlandczykiem, a my mamy skłonność do włóczęgi - powiedział

O'Hara. - Na pańskim miejscu włożyłbym na siebie coś ciepłego. I na pańskim także, panie Peabody.

Peabody roześmiał się i niespodziewanie zaczął śpiewać Ciepelko da mi moja miła.

Machnął wyciągniętą flaszką.

- To równie dobre jak płaszcz.

Przez krótką chwilę zaszokowany i przerażony O'Hara dostrzegł w Peabodym siebie.

- Jak pan woli - powiedział bezbarwnie i przeszedł do ostatniej pary krzesel naprzeciwko półek bagażowych.

Coughlinowie byli starszym małżeństwem - on musiał dobiegać siedemdziesiątki, ona deptała mu po piętach. Jednak w ich oczach, pogodnych i spragnionych życia, było coś młodzieńczego. O'Hara zapytał:

- Czy dobrze się pani czuje, pani Coughlin?

- Doskonale - odparła. - Czyż nie tak, Harry?

- Jasne - powiedział Coughlin i podniósł oczy na O'Harę. - Czy będziemy przelatywać przez Puerto de las Aguilas?

- Tak jest - odrzekł O'Hara. - Czy zna pan te tereny? Coughlin wybuchnął śmiechem.

- Ostatni raz byłem w tych okolicach w 1912. Wracam tu, aby pokazać żonie, gdzie roztrwonilem swoją młodość. - Zwrócił się do niej. - To Orla Przelęcz, wiesz.

Pokonanie jej w 1910 roku zajęło mi dwa tygodnie, a teraz robimy to w godzinę albo dwie. Czyż to nie cudowne?

- Jasne - odparła z przekonaniem.

Z Coughlinami nie ma żadnego problemu, uznał O'Hara, więc po wymianie jeszcze kilku słów powrócił do kokpitu. Grivas wciąż korzystał z au-topilota i patrząc przez szybę na góry, siedział zupełnie rozluźniony. O'Hara zajął swoje miejsce i w skupieniu spozjrzał na przybliżającą się ścianę gór. Sprawdził kurs i powiedział:

- Bierz namiar na Chimitaxl i daj mi znać, kiedy namiar rzeczywisty wyniesie 210 stopni. Wiesz, co robić.

Spoglądał w dół, poszukując na ziemi punktów orientacyjnych, i skinął głową z zadowoleniem, dostrzegłszy koryto Rio Sangre i przecinający je most kolejowy.

Latając tą trasą w ciągu dnia i od tak dawna, znał teren na pamięć i orientował się natychmiast, czy mieści się w czasie. Oszacował, że zapowiadany przez meteorologów wiatr północno-zachodni jest odrobinę silniejszy niż mówiła prognoza, i skorygował kurs, a potem ponownie włączył autopilota. Będzie spokojny aż do chwili, gdy Grivas poda żądany namiar na Chimitaxl. Odpoczywał i obserwował umykający pod nimi teren. Bure i oliwkowe podnóża gór, poszarpane nagie skały, a wyżej lśniące, pokryte śniegiem szczyty. Niebawem wgryzł się w wyjęte z neseseru kanapki. Pomyślał o splukaniu ich łykiem ze swojej piersiówki. Wówczas stanął mu przed oczyma Peabody, ze swoją obrzmiałą od whisky twarzą - i koniec końców stwierdził, że wcale nie potrzebuje drinka.

Grivas nagle odłożył kompas główny.

- Trzydzieści sekund - powiedział.

O'Hara spojrział na rozciągający się przed nimi dziki bezmiar wysokich szczytów, bezmiar jednak dobrze znany. Niektóre z tych gór były jego przyjaciółmi, jak Chimitaxl - wskazywały mu drogę. Inne były jego śmiertelnymi wrogami - czyhały pośród nich diabły i demony, utkane z powietrznych prądów, zamieci i mgieł. Jednak nie bał się, ponieważ wszystko to było mu znane, orientował się w niebezpieczeństwach, rozumiał je i wiedział, jak ich uniknąć.

- Teraz - powiedział Grivas.

O'Hara delikatnie odchylił drążek sterowy do położenia, jakie podpowiadało mu doświadczenie. Jego stopy odruchowo poruszały się w harmonii z dłońmi.

Zakreśliwszy obszerny, wdzięczny łuk w lewo, dakota skierowała się ku luce w wypiętrzonych przed nimi ścianie. Grivas powiedział cicho:

- Señor O'Hara.

- Nie zwracaj mi teraz głowy.

- Ale muszę - odrzekł Grivas. Rozległo się niegłośnie metaliczne szczęknięcie.

O'Hara zerknął kątem oka i zeszytniał - Grivas mierzył doń z małego automatycznego pistoletu. Szarpnął głową, a jego oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

- Zwariowałeś?

Grivas uśmiechnął się szerzej.

- Czy to ważne? - powiedział beznamiętnie. - Liczy się tylko fakt, że podczas tego lotu nie przechodzimy przez Puerto de las Aguilas, señor O'Hara. - Jego głos stał się stanowczy. - Teraz proszę wziąć kurs 1-8-4 do namiaru rzeczywistego.

O'Hara głęboko zaczerpnął powietrza i utrzymywał dotychczasowy kurs.

- Oszalałeś - rzekł. - Odłóż broń, Grivas, a może o wszystkim zapomnimy. Chyba dawałem ci w kość odrobinę za mocno, ale to jeszcze nie powód, żeby sięgać po spluwę. Odłóż ją, a kiedy dolecimy do Santillany, o wszystkim pogadamy.

Grivas błysnął zębami.

- Jesteś durniem, O'Hara. Czy sądzisz, że robię to z powodów osobistych? Skoro jednak o tym wspominałeś: nie tak dawno temu mówiłeś, że siedzenie na kapitańskim fotelu daje ci władzę. - Nieznacznie uniósł broń. - Byłeś w błędzie, to daje władzę, całą władzę, jakiej potrzeba. Teraz zmieniaj kurs - albo rozwalę ci łeb. Pamiętaj, że ja także potrafię kierować tym samolotem.

- Tamci w środku usłyszą strzał - powiedział O'Hara.

- Zaryglowałem drzwi. Co mogą zrobić? Przecież nie odbiorą sterów jedynemu pilotowi. Ale dla ciebie, O'Hara, będzie to już bez znaczenia, ponieważ będziesz trupem.

O'Hara dostrzegł, że palec Grivasa zaciska się na spuście. Zagryzł wargę, zanim przerzucił drążek sterowniczy. Dakota zawróciła na południe, by lecieć równoległe do głównego grzbietu Andów. Grivas miał rację, niech go diabli - nie ma sensu dać się zabić. Ale o co temu facetowi chodzi?

Wziął kurs podany przez Grivasa i sięgnął do wyłącznika autopilota. Grivas podrzucił broń.

- Nie, señor O'Hara, pan pilotuje. Będzie pan miał zajęcie.

O'Hara powoli cofnął dłoń i chwycił stery. Spojrzał w prawo obok Grivasa na przesuwające się wyniosłe szczyty.

- Dokąd lecimy? - zapytał ponuro.

- Nie pańska sprawa - odparł Grivas. - Niezbyt daleko. Za pięć minut siadamy na lotnisku polowym.

O'Hara zastanowił się. Nie wiedział o żadnym lądowisku na tym kursie. Na tej wysokości nie było w górach żadnych lądowisk, wyjąwszy położone od strony Pacyfiku lotniska wojskowe. Musi poczekać, aby się przekonać.

Rzucił okiem na mikrofon, zawieszony na haczyku w pobliżu jego lewej dłoni.

Spojrzał na Grivasa i stwierdził, że ten nie ma na głowie słuchawek. Gdyby mikrofon był włączony, każda głośniejsza rozmowa poszłaby w eter, przy pełnej nieświadomości Grivasa. Zdecydowanie warto było spróbować.

- Na tym kursie nie ma żadnych lądowisk - powiedział. Jego lewa dłoń zsunęła się ze steru.

- Nie wiesz wszystkiego, O'Hara.

Gdy pod pretekstem sprawdzania instrumentów pochylił się na tyle, na ile było to możliwe, aby ograniczyć pole widzenia Grivasa, jego palce dotknęły mikrofonu. Znalazły przełącznik, a kiedy go nacisnęły, O'Hara opadł na oparcie fotela i rozluźnił się.

- Grivas, nigdy się z tego nie wypłaczesz - powiedział donośnie. - Nie można tak łatwo ukraść samolotu. Jeśli dakota nie dotrze do Santillany na czas, zarządzą poszukiwania. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Grivas wybuchnął śmiechem.

- Och, jesteś sprytny, O'Hara. Ale ja byłem sprytniejszy - radio nie działa.

Odłączyłem przewody, kiedy ty rozmawiałeś z pasażerami.

O'Hara poczuł nagle w żołądku pustkę. Spojrzał na gmatwaninę szczytów i ogarnął go strach. Była to kraina, której nie znał, niosąca niebezpieczeństwa, jakich nie zdoła przewidzieć. Bał się o siebie i o swoich pasażerów.

III

W kabinie pasażerskiej panował chłód, a powietrze było rozrzedzone. Señor Montes miał sine usta i poszarzałą twarz. Ssał rurę tlenową, a bratanica, poszperawszy w torebce, wyjęła niewielką fiolkę z pastylkami. Uśmiechnął się boleśnie, włożył do ust jedną z tabletek, pozwalając jej rozpuścić się na języku. Z wolna na jego twarz powrócił słaby rumieniec, naprawdę mizerny, jednak Montes wyglądał teraz lepiej aniżeli przed zażyciem pastylki.

Na krześle za nim zęby panny Ponsky szczękały nieustannie; powodem jednak nie był chłód, lecz konwersacja. Miguel Rohde poznał już znaczny mu po przeciwnej stronie Montesowi. Zauważywszy niezdrową barwę jego twarzy, Forester zacisnął wargi i z zadumą popatrzył na apteczkę.

IV

- To tu - powiedział Grivas. - Tutaj lądujesz.

O'Hara wyprostował się i spojrzał przed siebie ponad dziobem dakoty. Na wprost przed nim, pośród zwałiska skał i śniegu, rozciągał się krótki pas, ledwie ścieżka wyrębana na górskiej grani. Nim zdołał się jej przyjrzeć, już umknęła do tyłu.

Grivas machnął pistoletem.

- Okrąż - polecił.

O'Hara zaczął okrążać lądowisko i uważnie mu się przyglądać. Były tam jakieś zabudowania - kilka rozrzuconych prymitywnych chat - i zbiegająca w dół góry kręta, wijąca się jak wąż droga. Ktoś przewidująco oczyścił pas ze śniegu, jednak nie było tam widać żadnego znaku życia.

Oceniał odległość od ziemi i spojrział na wysokościomierz.

- Grivas, jesteś szalony - powiedział. - Nie możemy lądować na tym pasie.

- Ty możesz - odparł Grivas.

- Niech mnie cholera, jeśli mam zamiar. Samolot jest przeciążony, a ten pas leży na wysokości pięciu i pół tysiąca metrów. Powinien być trzykrotnie dłuższy, aby mogła na nim wylądować ta kobyła. Powietrze jest zbyt rozrzedzone, by utrzymać nas przy małej prędkości lądowania - rąbnjemy o ziemię z cholernym impetem i nie zdołamy wyhamować. Wystrzelimy z drugiego końca pasa i zwalimy się na zbocze góry.

- Potrafisz to zrobić.

- Niech cię diabli. Grivas uniósł broń.

- W porządku, ja to zrobię - powiedział. - Ale najpierw muszę cię zabić. O'Hara wpatrywał się w czarny otwór, zwrócony nań jak złowrózbné oko.

Dostrzegł gwintowanie w lufie, która wydawała mu się tak wielka, jakby należała do haubicy. Mimo zimna pocił się, czuł chłodne strużki spływające po plecach.

Odwrócił wzrok od Grivasa i ponownie przyjrzał się lądowisku.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

- Jeśli nawet powiem, nic ci z tego nie przyjdzie - odparł Grivas. - Nie zrozumiesz, jesteś Anglikiem.

O'Hara westchnął. To będzie diablo ryzykowne: on może zdołałby posadzić dakotę w mniej więcej jednym kawałku, ale Grivas nie miał najmniejszej szansy. To pewne jak w banku, że postawi samolot na dziobie.

- Dobra, uprzedź pasażerów, każ im przejść do tyłu kabiny - powiedział.

- Odsuść sobie pasażerów - odrzekł Grivas beznamiętnie. - Chyba nie sądzisz, że wyjdę z kokpitu.

- W porządku, ty dyktujesz warunki. Lecz ostrzegam, nie tykaj sterów nawet palcem. Dupa z ciebie, nie pilot, i sam o tym wiesz. Tylko jeden człowiek może pilotować samolot.

- Zasuważ - powiedział krótko Grivas.

- Sam wybiorę moment. Przed tą cholerną robotą chcę się dobrze przyjrzeć.

Okrążył lądowisko jeszcze cztery razy, a kiedy szaleńczo wirowało pod brzuchem dakoty, obejrzał je dokładnie. Pasażerowie powinni już pojąć, że coś się stało, pomyślał. Zaden zwykły samolot rejsowy nie podrygiwał tak i nie stawał na skrzydle. Może zaniepokoją się i ktoś spróbuje zrobić coś w tej sprawie - coś, co może da mu szansę dobrania się do Grivasa. Nie miał jednak pojęcia, co by to mogło być.

Pas był zdecydowanie za krótki, a także bardzo wąski - przewidziany dla maszyn znacznie mniejszych. Będzie musiał lądować na samej krawędzi, muskając końcem skrzydła ścianę skalną. Był też problem kierunku wiatru. Popatrzył w dół na chaty, mając nadzieję dostrzec bijącą z komina smugę dymu. Jednak niczego takiego nie zobaczył.

- Zamierzam przejść nisko nad pasem - oświadczył. - Ale tym razem jeszcze nie ląduję.

Przestał krążyć i szerokim łukiem podszedł jak do lądowania. Ustawił dziób dakoty na pasie niczym muszkę w szczerbince i samolot wszedł nad lądowisko równo i szybko. Po prawej stronie zamajaczyła smuga skał i śniegu, a O'Hara wstrzymał oddech. Jeśli koniec skrzydła dotknie skały, będzie po nich. W przodzie pas skracał się, jak gdyby połykany przez dakotę. U jego kresu nie było nic - po

prostu głęboka dolina i błękitne niebo. Przyciągnął drążek i samolot wystrzelił w górę.

Teraz pasażerowie chyba już pojmą cholernie dobrze, że coś jest nie w porządku, pomyślał, a do Grivasa powiedział:

- Żadnym cudem nie posadzimy tej maszyny w jednym kawałku.

- Wystarczy, że wysadzisz bezpiecznie mnie - odparł Grivas. - Tylko ja się liczę.

O'Hara uśmiechnął się z przymusem.

- Obchodzisz mnie tyle, co nic.

- Więc myśl o swoim własnym karku. Przy okazji i mój wyjdzie z tego cało.

Ale O'Hara rozmyślał o dziesięciu osobach w kabinie pasażerskiej. Ponownie zatoczył szeroki łuk, by wykonać kolejne podejście, i debatował sam ze sobą, jak to zrobić najlepiej. Mógł podchodzić z podwoziem wystawionym lub schowanym. Przy tej szybkości lądowanie na brzuchu będzie brutalne, lecz za sprawą zwiększonego tarcia samolot szybciej wyhamuje. Ale czy zdoła utrzymać go na prostym kursie? Z drugiej strony, podchodząc z podwoziem wysuniętym, wytraci prędkość jeszcze przed zetknięciem z ziemią, co również miało swoje zalety.

Uśmiechnął się posępnie, postanawiając zrobić obie te rzeczy naraz. Po raz pierwszy błogosławił Filsona za jego tandetne samoloty. Wiedział dokładnie, jakie napięcie zdoła wytrzymać podwozie. Dotąd jego problemem było sadzanie dakoty łagodnie. Teraz podejście z wystawionym podwoziem, co pozwoli mu wytracić prędkość, lecz posadzi ją twardo - na tyle twardo, by osłabione wsporniki popękały jak zapalki. W ten sposób załatwi również lądowanie na brzuchu. Ponownie nakierował dziób dakoty na pas.

- Ano leci wielkie nic - powiedział. - Klapy w dół, podwozie w dół. Gdy samolot wytracał prędkość lotu, o'Harze wydało się, że stery pod jego palcami zamieniają się w papkę. Zaciśnął zęby i skoncentrował się jak nigdy dotąd.

V

Kiedy samolot pochylił się na skrzydło i zaczął okrążyć lądowisko, Arm-strong został gwałtownie rzucony na Peabody'ego. Ten zajęty był właśnie pochłanianiem kolejnego łyka whisky i szyjka flaszki raptownie zderzyła się z jego zębami.

Zabelkotał, wrzasnął niezrozumiale i mocno odepchnął Armstronga.

Wyrzucony z siedzenia Rohde przekonał się nagle, że wraz z Coughli-nem i Montesem siedzi w przejściu pomiędzy rzędami krzeseł. Gwałtownie potrząsając głową, z trudem wstał, a potem - wyrzucając z siebie jakieś hiszpańskie słowa - pochylił się i pomógł Montesowi. Coughlina wciągnęła z powrotem na krzesło żona. Willis robił notatki na marginesie książki; złamał ołówek, gdy przygniótł go Forester. Ten nie podejmował prób zajęcia poprzedniej pozycji, lecz ignorując anemiczne protesty Willisa, który utrzymywał, że jest zgniatany, z niedowierzaniem wyglądał przez okno. Forester był potężnym mężczyzną. Cała kabina przemieniła się w istną wieżę Babel, pełną angielskich i hiszpańskich okrzyków, wśród których dominował ostry i świrdujący głos zrzedliwej panny Ponsky.

- Wiedziałam! - wrzeszczała. - Wiedziałam, że coś jest nie tak! Zaczęła śmiać się histerycznie, więc Rohde, odwróciwszy się od Montesa, wymierzył jej policzek swój ą ciężką dłonią. Popatrzyła na niego zaskoczona i nagle wybuchnęła płaczem.

Peabody ryknął:

- Do stu diabłów, co ten dzemojad wyprawia! - Przyklepiony do okna patrzył na

lądowisko. - Ten sukinsyn zamierza lądować!

Rohde mówił coś szybko do Montesa, którego, jak się zdawało, szok pograżył w apatii. Potem Rohde zamienił po hiszpańsku kilka słów z dziewczyną i wskazał jej na drzwi, prowadzące do kokpitu. Gwałtownie skinęła głową i wstała.

Pani Coughlin pochyliła się, dodając otuchy panie Ponsky.

- Nic się nie stanie - powtarzała. - Nie stanie się nic złego.

O'Hara uczynił pierwsze podejście i wyrównał lot maszyny. Rohde przechylił się przez Armstronga i wyrzwał, odwrócił jednak głowę, gdy panna Ponsky wrzasnęła ze zgrozy na widok przemykającej obok prawoburtowego okna rozmytej smugi skał i niemal ocierającego się o nie końca skrzydła. Potem O'Hara podniósł maszynę i Rohde stracił równowagę.

Pierwszy konstruktywny ruch był dziełem Forestera. Siedząc najbliżej drzwi kokpitu, uchwycił klamkę, przekręcił ją i pchnął. Naparł na drzwi ramieniem, lecz został odrzucony podczas raptownego zwrotu maszyny. O'Hara definitywnie podchodził do lądowania.

Forester wyrwał topór z uchwytów na grodzi i uniósł go do uderzenia, lecz jego ramię zostało przytrzymane przez Rohdego.

- Tak będzie szybciej - powiedział Rohde, unosząc w drugiej dłoni ciężki pistolet. Wyminął Forestera i szybko władował w zamek drzwi trzy kule.

VI

O'Hara usłyszał je na ułamek sekundy przed zetknięciem się dakoty z ziemią. Nie tylko je usłyszał, lecz także ujrzał - kiedy kule poraziły deskę rozdzielczą, altimetr i zakrętomierz rozprysnęły się w drobny mak. Nie miał czasu przyglądać się, co się dzieje za jego plecami, ponieważ właśnie w tym momencie zbyt przeciążona dakota usiadła tępą na samym skraju pasa, wciąż zachowując znaczną prędkość. Rozległo się przeraźliwe tąpnięcie i samolot zadygotał, kiedy podwozie się złamało. Dakota, opadłszy na brzuch, jęła sunąć z przeraźliwym zgrzytem ku przeciwległemu końcowi pasa. O'Hara toczył gorączkowy bój ze sterami, kopiającymi go w nogi i ręce, usiłując utrzymać ślizgający się samolot na prostym kursie. Kątem oka spostrzegł, że Grivas z podniesionym pistoletem odwraca się do drzwi. O'Hara zaryzykował. Puścił drążek i uderzył na oślep. Miał czas na zadanie tylko jednego ciosu, który szczęśliwie dosięgnął! celu; poczuł, jak kant jego dłoni uderza w ciało. Ale potem był już zbyt zajęty, by sprawdzić, czy obezwładnił Grivasa. Dakota wciąż poruszała się zbyt szybko. Byli już w połowie pasa i O'Hara widział pustkę otwierającą się za jego krańcem. Zdesperowany gwałtownie przerzucił orczyk i samolot przekręcił się z donośnym zgrzytem. Zaparł się, przygotowując się do przyjęcia uderzenia.

Koniec prawego skrzydła uderzył w ścianą skalną i dakota gwałtownie skrzyła w prawo. O'Hara nadal odpychał orczyk w prawo, widząc jak błyskawicznie zbliża się do urwiska. Dziób samolotu rąbnął w skałę, zapadł się, a osłona i szyby pokryły się pajęczyną pęknięć. Potem coś uderzyło go w głowę. Stracił przytomność.

VII

Doszedł do siebie, bo ktoś bił go po twarzy. Jego głowa przechyliła się z boku na bok. Chciał, żeby dano mu spokój, bo we śnie było mu dobrze. Ale razy nie ustawały - otworzył więc oczy.

Tym, który go dręczył, był Forester. Uchyliwszy powieki, O'Hara zobaczył, że mężczyzna odwraca się do stojącego za nim Rohdego i mówi:

- Trzymaj go pod lufą.

Rohde uśmiechnął się. Miał w ręku pistolet, ale trzymał go jakby bezwładnie i

mierzył w podłogę. Nawet nie próbował go unieść.

- Co, u diabła, robisz najlepszego? - zapytał Forester.

O'Hara z trudem uniósł rękę do głowy. Na czaszce miał guza wielkości jajka.

- Gdzie jest Grivas? - zapytał słabym głosem.

- Kim jest ten Grivas?

- Moim drugim pilotem.

- Jest tu... w kiepskiej formie.

- Mam nadzieję, że ten skurwysyn zdechnie - powiedział O'Hara z goryczą. - Sterroryzował mnie.

- To ty siedziałeś za sterami - rzucił Forester, mierząc go twardym spojrzeniem.

- To ty posadziłeś tutaj samolot i chcemy wiedzieć dlaczego.

- To Grivas... zmusił mnie do tego.

- Señor Capitan mówi prawdę - wtrącił Rohde. - Ten Grivas zamierzał do mnie strzelić i señor Capitan go uderzył. - Skłonił się sztywno. - Muchos gracias.

Forester obrócił się na pięcie, spojrzał na Rohdego, a potem na Grivasa.

- Czy jest przytomny?

O'Hara popatrzył w tamtą stronę. Bok kadłuba był wgnieciony i tępy czubek skały uderzył Grivasa w pierś, miażdżąc mu żebra. Nie wyglądało na to, że ma wielkie szansę na przeżycie. Był jednak przytomny - miał otwarte oczy i spoglądał na nich z nienawiścią.

Z kabiny pasażerskiej do uszu O'Hary dobiegał nieprzerwany skowyt kobiecy i monotony jęk.

- Rany boskie, co się tam stało?

Nikt nie odpowiedział. Nagle Grivas zaczął mówić. Był to bełkotliwy szept, który okrywał jego usta krwawą pianą.

- Dostaną was - mówił. - Będą tu lada chwila. - Jego usta rozchyliły się w upiornym uśmiechu. - Mnie się nic nie stanie. Zabiorą mnie do szpitala. Ale wy... wy... - urwał, ogarnięty napadem kaszlu, a potem podjął: - Wykończą was wszystkich. - Uniósł ramię, zaciskając dłoń w pięść. - Vivaca...

Ramię opadło bezwładnie, a wyraz nienawiści w oczach Grivasa przemienił się w zdumienie - że umarł.

Rohde ujął go za przegub dłoni i chwilę potrzymał.

- Nie żyje - powiedział.

- Wariat - stwierdził O'Hara. - Najprawdziwszy wariat. Kobieta wciąż wrzeszczała i Forester rzekł:

- Na rany boskie, wyprowadźmy stąd wszystkich.

Właśnie wówczas dakota szarpnęła przeraźliwie i cały kokpit uniósł się w powietrze. Rozległ się odgłos rozdzierania, gdy ta sama iglica skalna, która zabiła Grivasa, poczęła rozszarpywać aluminiowe poszycie kadłuba. Nagle z przerażającą wyrazistością O'Hara uświadomił sobie, co się dzieje.

- Niech nikt się nie rusza! - krzyknął. - Pozostać na swoich miejscach! -

Odwrócił się do Forestera. - Wybij te okna!

Forester popatrzył zaskoczony na topór, który zapomniany wciąż tkwił w jego dłoni, a potem uniósł go i uderzył w nieprzezroczystą szybę. Plastik pomiędzy dwoma warstwami szkła nie wytrzymał ciosu i Forester wyrąbał dziurę na tyle dużą, by mógł przez nią przejść człowiek.

- Ja wyjdę... - powiedział O'Hara. -1 chyba wiem, co zobaczę. Niech nikt z was nie przechodzi do tyłu. Przynajmniej jeszcze nie teraz. I krzyknijcie, by wszyscy, którzy mogą się ruszać, przeszli do przodu.

Przecisnął się przez wąską szczelinę, by ze zdumieniem stwierdzić, że dakota nie ma już dzioba. Podciągnął się na grzbiet kadłuba i spojrzał do tyłu. Ogon i jedno skrzydło wisiały w pustce ponad doliną, nad którą urywał się pas. Samolot tkwił w stanie delikatnej równowagi. Na oczach O'Hary ogon odrobinę się

pochylił, a z kokpitu dobiegł odgłos rozdzieranego metalu.

Przekręcił się na brzuch i wijąc się przyjął pozycję, która po zwieszeniu głowy w dół pozwalała mu zajrzeć do kokpitu.

- Wpadliśmy w nielichy bigos - powiedział do Forestera. - Wisimy nad sześćdziesięciometrowym urwiskiem i jedyną rzeczą, która nie pozwala tej cholernej maszynie zwalić się na dół, jest ten kawałek skały. - Pokazał na występ skalny wbity w ścianę kokpitu. Po chwili dodał: - Jesteśmy teraz wyważeni jak huśtawka. Jeśli ktokolwiek przejdzie do tyłu, dodatkowy ciężar pociągnie nas w przepaść. Forester odwrócił głowę i ryknął:

- Ci, którzy mogą się poruszać, do nas!

Nastąpiło poruszenie i w drzwiach ukazała się okrwawiona głowa stąpającego chwiejnie Willisa.

- Ktoś jeszcze?! - krzyknął Forester. Señorita Montes zawołała ponagląco:

- Proszę pomóc mojemu wujowi! Och, proszę! Rohde odsunął Willisa na bok i przestąpił drzwi.

- Nie idź za daleko - rzucił ostro Forester.

Rohde nawet na niego nie spojrział. Pochylił się, by dźwignąć leżącego przy drzwiach Montesa. Na poły zaniósł, na poły wciągnął go do kokpitu, a señorita Montes podążyła za nim.

Forester popatrzył na O'Hare.

- Robi się tłok. Sądzę, że powinniśmy zacząć ewakuować ludzi na zewnątrz.

- Najpierw muszą wejść na grzbiet - odrzekł O'Hara. - Im większy ciężar zgromadzimy na tym końcu, tym lepiej. Niech pierwsza wychodzi dziewczyna. Pokręciła przecząco głową. - Najpierw wuj.

- Rany boskie, jest nieprzytomny - zaproponował Forester. - Niech pani wychodzi. Ja się nim zajmę.

Z uporem kręciła głową zniecierpliwiony O'Hara wtrącił:

- W porządku. Willis, chodź tutaj. Nie traćmy czasu.

Bolała go głowa, a w rozrzedzonym powietrzu oddychał z trudem. Nie chciał tracić czasu na niemądre dziewczęta.

Pomógł Willisowi wygramolić się i usadowić na grzbiecie kadłuba. Gdy ponownie zajrzał do kokpitu, przekonał się, że dziewczyna najwyraźniej zmieniła zdanie.

Rohde mówił do niej cicho, lecz z naciskiem, ona zaś podeszła do okna i z pomocą O'Hary wydostała się na zewnątrz. Następny był Armstrong, który tymczasem przedostał się do kokpitu o własnych siłach.

- Tam z tyłu są cholerne jatki - powiedział. - Sądzę, że stary z ostatniego rzędu nie żyje, a jego żona jest ciężko ranna. Chyba nie należy jej ruszać.

- A co z Peabodym?

- Na nas obu runęły bagaże. Wciąż pod nimi tkwi. Próbowałem go wyciągnąć, ale mi się nie udało.

O'Hara przekazał to Foresterowi. Rohde klęczał obok Montesa, usiłując go ocucić.

Forester zawahał się, a potem powiedział:

Zdjął kurtkę, a potem koszulę, którą zaczął rwać na pasy.

- Wyprowadź starszego pana - rzucił do Forestera.

Forester i O'Hara pomogli Montesowi wydostać się przez okno; Forester wrócił i przyjrzał się Rohdemu, zwracając uwagę na gęsią skórę, którą zobaczył na jego plecach.

- Ubrania - powiedział do O'Hary. - Będą nam potrzebne ciepłe ubrania. Nocą będzie tu ciężko.

- Do diabła z ubraniami - odparł O'Hara. - To zwiększa niebezpieczeństwo. Nie...

- Ma rację - wtrącił Rohde, nie odwracając głowy. - Bez ubrań rano będziemy martwi.

- Dobra - wycedził O'Hara. - Czy chcesz ryzykować?

- Spróbuję - odrzekł Forester.

- Najpierw sprowadzę tych ludzi na ziemię - powiedział O'Hara. - Ale przy okazji wydostań mapy. W schowku obok mojego fotela jest trochę map tych terenów.

- Ja je wyjmę - burknął Rohde.

O'Hara sprowadził ludzi z grzbietu kadłuba na ziemię. Forester zaczął nosić walizki do kokpitu. Bezceremonialnie dźwignął Peabody'ego i wypchnął go przez okno, O'Hara zaś równie bezceremonialnie upuścił jego bezwładne ciało na ziemię. Potem Rohde podał nieprzytomną panią Coughlin. O'Hara zdumiał się, że jest tak lekka. Wydostawszy się na zewnątrz, Rohde wziął ją na ręce i zeskoczył na dół, amortyzując zeskok.

Forester zaczął podawać walizki, które O'Hara rzucał jak popadło. Niektóre pootwierały się, większość jednak nie doznała żadnego uszczerbku. Dakotą znów szarpnęło.

- Forester! - wrzasnął O'Hara. - Wyłaź!

- Zostało jeszcze trochę.

- Wyłaź, idioto! - krzyknął O'Hara. - Obsuwa się!

Chwytał Forestera za ramiona, wyciągnął go na siłę i pozwolił mu spaść na ziemię. Potem zeskoczył sam. I właśnie w tym momencie resztki nosa samolotu uniosły się w górę i ze zgrzytliwym hałasem, w chmurze pyłu maszyna zsunęła się z krawędzi urwiska. Spadła sześćdziesiąt metrów niżej; upadkowi towarzyszył przeciągły, donośny, potem słabnący łomot. Zapadła cisza.

O'Hara popatrzył na otaczającą go grupkę milczących ludzi. Następnie przeniósł wzrok na surowe, dzikie góry, które ich otaczały. Zadrżał z zimna, poczuwszy na ciele przenikliwy, omiatający pola lodowe wiatr. Porozumiał się wzrokiem z Foresterem i znowu zadrżał, lecz tym razem z zupełnie innego powodu. Obaj wiedzieli, że szansę ich przetrwania przedstawiają się marnie i że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ewakuacja z dakoty to zaledwie preludium do długiego umierania.

VIII

- Posłuchajmy teraz całej historii - powiedział Forester.

Przenieśli się do najbliższej chaty. Była zupełnie pusta, lecz szczelna, i miała palenisko, w którym Armstrong rozniecił ogień, wykorzystując drewno przyniesione przez Willisa z innej chaty. Montes, pielęgnowany przez bratanicę, leżał w rogu, Peabody zaś, męczony kacem, spoglądał spode łba na Forestera. Panna Ponsky w zdumiewający sposób otrząsnęła się z wywołanego strachem paraliżu. Gdy spuszczone ją na ziemię, upadła i, ogarnięta ekstazą ulgi, wbijała palce w zmrożony piarg. O'Hara sądził, że biedaczka już nigdy w życiu nie znajdzie w sobie dość siły, by wsiąść na pokład samolotu. Teraz jednak okazywała zadziwiające zamiłowanie pielęgniarstwa, pomagając Rohdemu opiekować się panią Coughlin. Niesamowity gość, pomyślał o nim O'Hara. Rohde był człowiekiem o niewyczerpanych możliwościach - nie będąc lekarzem, miał w tej dziedzinie niemałe umiejętności praktyczne, które teraz okazały się bezcenne. O'Hara niezwłocznie zwrócił się do Willisa z prośbą o pomoc przy pani Coughlin, lecz ten odparł:

- Przykro mi, jestem fizykiem, a nie fizjologiem.

- Doktor Armstrong? - spróbował O'Hara. Niestety, również Armstrong pokręcił głową.

- Jestem historykiem - rzekł.

Sprawą zatem zajął się Rohde - lekarz bez wykształcenia medycznego i człowiek noszący broń.

O'Hara zwrócił się do Forestera:

- Dobrze - powiedział. - Było więc tak.

Opowiedział, co się stało od chwili startu w San Croce, wygrzebując z pamięci wszystko, co powiedział Grivas.

- Myślę, że mu odbiło - podsumował. Forester zmarszczył czoło.

- Nie, to zostało zaplanowane - zaproponował. - A szaleństwo się nie planuje.

Grivas znał to lądowisko i wiedział, jaki przyjąć kurs. Powiadasz, że był na lotnisku w San Croce, kiedy uziemiono samolot Samair?

- Racja. Już wówczas uznałem to za nieco dziwne, bo nie było w stylu Grivasa przesiadywanie na lotnisku w środku nocy - nie był aż tak napalony na robotę.

- Wygląda to tak, jak gdyby wiedział, że boeing linii Samair będzie miał kłopoty z silnikiem - zauważył Willis.

Forester szybko podniósł wzrok i Willis dodał:

- To jedyna logiczna odpowiedź. Nie uprowadził po prostu samolotu, on uprowadził jego zawartość. A zawartość samolotu stanowili ludzie z boeinga. O'Hara powiada, że te wielkie skrzynie zawierały zwykłe urządzenia górnicze i wątpię, by właśnie na nich Grivasowi mogło zależeć.

- Zakłada to sabotaż w boeingu - powiedział Forester. - Jeśli zaś Grivas spodziewał się, że boeing wyląduje w San Croce, oznacza to również, że stoi za nim pokaźna organizacja.

- To już wiemy - wtrącił O'Hara. - Grivas spodziewał się tutaj komitetu powitalnego. Mówił: „Będą tu lada chwila”. Ale gdzie są ci „oni”?

-I kim są? - dodał Forester.

O'Hara pomyślał jeszcze o czymś, co powiedział Grivas: „Wykończą was wszystkich”. Przemilczał to jednak i zapytał:

- Pamiętacie jego ostatnie słowo: Vivacal Mnie ono nic nie mówi. Brzmi jak hiszpańskie, ale go nie znam.

- Dobrze mówię po hiszpańsku - powiedział Forester z namysłem. Z irytacją uderzył się w udo. - Wiele bym dał za informację, co tu się dzieje i kto za tym stoi.

Z końca pomieszczenia dobiegł słaby głos.

- Obawiam się, panowie, że chyba ja za to odpowiadam.

Z wyjątkiem pani Coughlin wszyscy odwrócili głowy i popatrzyli na Montesa.

Rozdział 2

Montes wyglądał źle, nawet gorzej niż podczas lotu; upiornie blady, gwałtownie wciągał rozrzedzone powietrze, a jego pierś unosiła się ciężko. Kiedy otworzył usta, by mówić dalej, dziewczyna rzekła:

- Psst, tio, bądź cicho. Ja im powiem - odwróciła się i popatrzyła na O'Hare i Forestera. - Nazwisko mojego wuja nie brzmi Montes - oświadczyła - lecz Aguillar. - Powiedziała to w taki sposób, jak gdyby już tą informacją wyczerpała wszelkie wyjaśnienia.

Nastąpił moment zupełnej ciszy, a potem O'Hara strzelił palcami i powiedział:

- Na Boga, stary orzeł we własnej osobie. - Wpatrywał się w chorego mężczyznę.

- Tak, señor O'Hara - wyszeptał Aguillar. - Lecz, jak się obawiam, orzeł okaleczony.

- Do diabła, gadajcie, o co tu chodzi - burknął Peabody. - Co w nim takiego szczególnego?

Willis obdarzył Peabody'ego niechętnym spojrzeniem i wstał.

- Osobiście nie ująłbym tego w taki sposób - powiedział. - Ale rad bym dowiedzieć się czegoś więcej.

O'Hara wyjaśnił:

- Aż do przewrotu wojskowego, pięć lat temu, señor Aguillar był najlepszym prezydentem, jakiego kiedykolwiek miał ten kraj. Uciekł za granicę dosłownie sprzed łuf plutonu egzekucyjnego.

- Generał Lopez zawsze był człowiekiem gwałtownym - przytaknął Aguillar ze słabym uśmiechem.

- Chce pan powiedzieć, że to rząd zaaranżował to wszystko, ten bigos, w który wpadliśmy, tylko po to, by pana złapać?

Głos Willisa był piskliwy z niedowierzania.

Aguillar pokręcił głową chciał mówić dalej, lecz dziewczyna przerwała mu.

- Nie, musisz być cicho. - Spojrzała błagalnie na O'Hare. - Proszę go teraz nie wypytywać, señor, nie widzicie, że jest chory?

- Czy może pani mówić w imieniu wuja? - zapytał łagodnie Forester. Popatrzyła na starego człowieka, ten skinął głową.

- Czego chciałby się pan dowiedzieć? - spytała.

- Co pani wuj robi znów w Kordylierze?

- Wracamy, aby przywrócić naszemu krajowi uczciwy rząd - odparła. -Zamierzamy obalić Lopeza.

O'Hara prychnął urywanym śmiechem.

- Obalić Lopeza - powiedział bezbarwnym głosem. - Ot tak, po prostu. Starzec i dziewczyna zamierzają obalić człowieka, który ma za sobą całą armię.

Z niedowierzaniem pokręcił głową. Dziewczyna wybuchnęła:

- Co pan o tym może wiedzieć?! Jest pan cudzoziemcem. Nic pan nie wie. Lopez jest skończony. W Kordylierze wiedzą o tym wszyscy, nawet sam Lopez. Był zbyt zachłanny, zbyt skorumpowany i kraj ma go serdecznie dosyć!

Forester w zadumie pocierał podbródek.

- Ona może mieć rację - powiedział. - W tej chwili do obalenia Lopeza wystarczy podmuch wiatru. Przez pięć ostatnich lat doprowadził kraj do bankructwa, wydoił do ostatniej kropli, a w bankach szwajcarskich zadołował tyle pieniędzy, że starczyłoby ich na kilka żywotów. Nie przypuszczam, by w przypadku konfrontacji postawił się okoniem, ryzykując utratę wszystkiego. Gdyby ktoś popchnął go dostatecznie mocno, zwinąłby żagle i zniknął. Myślę, że mając do wyboru bogactwo i wygodę bądź też władzę i szansę zarobienia kulki od jakiegoś nawiedzzonego, zapalczego studenta, wybrałby to pierwsze.

- Lopez doprowadził Kordylierę do ruiny - powiedziała dziewczyna. Z dumą uniosła głowę. - Kiedy mój wuj pojawi się w Santillanie, ludzie powstaną i będzie to koniec Lopeza.

- To może się udać - zgodził się Forester. - Pani wuj był człowiekiem bardzo lubianym. Sądzę, że zawczasu przygotowaliście teren.

Przytaknęła.

- Demokratyczny Komitet Działania poczynił niezbędne kroki. Pozostaje tylko jedno: wuj musi przybyć do Santillany.

- Może tam nie dotrzeć - powiedział O'Hara. - Ktoś go próbuje powstrzymać. Jeśli nie Lopez, to kto, u diabła?

- Komunias - dziewczyna wypluła te słowa niemal z obrzydzeniem. - Nie mogą pozwolić, aby wuj odzyskał władzę. Chcą Kordyliery tylko dla siebie.

- To by się zgadzało - stwierdził Forester. - Cokolwiek nastąpi, Lopez jest do odstrzału. Zatem to gra pomiędzy Aguillarem a komunistami. Stawką zaś jest cały kraj.

- Nie są jeszcze dostatecznie przygotowani - kontynuowała swoje wyjaśnienia dziewczyna. - Nie dysponują wystarczającym poparciem społecznym. Przez dwa ostatnie lata sprytnie przenikali do administracji i jeśli wykażą dostateczną konsekwencję w działaniu, pewnego dnia ludzie obudzą się, aby stwierdzić, że wprowadzie Lopez odszedł, ale jego miejsce zajął rząd komunistyczny.

- Zamiana jednej dyktatury na drugą - wtrącił Forester. - Bardzo zręczne.

- Lecz nie są jeszcze dość silni, by usunąć Lopeza - powiedziała. - Wuj pokrzykuje im szyki. Gdy obali Lopeza i rząd, przeprowadzi pierwsze od dziesięciu lat wolne wybory. Więc komuniści próbują go powstrzymać.

-1 sądzi pani, że Grivas był komunistą? - dopytywał się O'Hara. Forester strzelił palcami.

- Oczywiście. I to wyjaśnia jego ostatnie słowa. Był stuprocentowym komunistą odmiany latynoamerykańskiej - mówiąc vivaca, zamierzał powiedzieć viva Castro. A teraz w każdej chwili możemy oczekiwać jego kumpli - dorzucił gorzko.

- Musimy szybko się stąd wydostać - powiedziała dziewczyna. - Nie powinni znaleźć mojego wuja.

O'Hara obrócił się raptownie i popatrzył na Rohdego, który zachowywał podejrzane milczenie.

- Co pan importuje, señor Rohde? - zapytał.

- Wszystko w porządku, señor O'Hara - powiedział słabym głosem Agu-illar. - Miguel jest moim sekretarzem.

Forester spojrział na Rohdego.

- Chyba raczej gorylem.

Aguillar anemicznie machnął dłonią, jakby to rozróżnienie nie było istotne.

- O'Hara, jak na to wpadłeś? - spytał Forester.

- Nie przepadam za ludźmi noszącymi broń - wyjaśnił O'Hara krótko. - W szczególności za tymi, którzy mogą być komunistami. - Rozejrzał się po izbie. -

Dobra, czy w tej talii są jeszcze jakieś dzokery? A jak tam z tobą, Forester?

Wydaje się, że jak na amerykańskiego biznesmena cholernie dużo wiesz o lokalnej polityce.

- Nie bądź zakutym durniem - odparł Forester. - Korporacja wywaliłaby mnie z roboty, gdybym nie interesował się polityką. Posiadanie właściwego rządu jest dla nas sprawą istotną. I chyba jest oczywiste, że nie życzymy sobie w Kordylerze rządów komunistycznych grandziarzy.

Wyjął portfel, wydobyl wizytówkę, którą następnie wręczył O'Harze. Informowała, że Raymond Forester kieruje w Ameryce Południowej sprzedażą produktów Fairfield Machine Tool Corporation.

O'Hara zwrócił wizytówkę.

- Czy Grivas był jedynym komunistą na pokładzie? - spytał. - Właśnie do tego zmierzam. Czy w chwili podchodzenia do lądowania którykolwiek z pasażerów przedsięwziął specjalne środki ostrożności?

Forester przez chwilę zastanawiał się, potem pokręcił głową.

- Wszyscy wydawali się kompletnie zaskoczeni. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas wiedział, co się naprawdę dzieje. - Z szacunkiem popatrzył na O'Harę. W tych okolicznościach było to bardzo celne pytanie.

- Cóż, ja komunistką nie jestem - rzuciła ostro panna Ponsky. - Co za pomysł? O'Hara uśmiechnął się.

- Proszę o wybaczenie, panno Ponsky - powiedział uprzejmie. Rohde zajmował się panią Coughlin. Nagle wstał.

- Pani umiera. Straciła wiele krwi i jest w szoku. Poza tym ma soroche, chorobę wysokościową. Jeśli nie podamy jej tlenu, umrze. - Jego czarne oczy spoglądały na Aguillara, który, jak się zdawało, usnął. - Señor również musi dostać tlen, jest w niebezpieczeństwie. - Teraz spojrzął na pozostałych. - Musimy zejść niżej. Pozostawanie na tej wysokości jest bardzo ryzykowne.

O'Hara był świadom uporczywego bólu głowy i faktu, że jego serce łomotało gwałtownie. Mieszkał w tym kraju dostatecznie długo, by słyszeć o soroche i jej skutkach. Niskie ciśnienie panujące w wysokich partiach gór oznaczało mniej tlenu, a wraz z przyśpieszonym oddechem zwiększało się tempo pracy serca, gwałtowniej tłoczącego krew. Dla słabszych organizmów było to zabójcze.

- W samolocie były butle tlenowe - powiedział powoli. - Może nie uległy zniszczeniu.

- Doskonale - stwierdził Rohde. - My obydwaj pójdziemy to sprawdzić. Jeśli to możliwe, lepiej nie ruszać pani Coughlin. Ale jeśli nie znajdziemy tlenu, trzeba będzie zejść niżej.

- Musimy podtrzymywać ogień - dodał Forester. - Pozostali z nas rozejrzą się za drewnem. - Zrobił pauzę. - Przynieście z samolotu nieco paliwa, może się nam przydać.

- Zgoda - odparł O'Hara.

- Ruszmy się - powiedział Forester do Peabody'ego. Peabody nadal leżał i ciężko dyszał.

- Jestem wykończony - wykrztusił z siebie. -1 łąb mi dokucza.

- To tylko kac - odparł Forester szorstko. - Wstawaj, człowieku. Rohde położył dłoń na ramieniu Forestera.

- Soroche - rzucił ostrzegawczo. - Niewiele zdoła z siebie wykrzesać. Chodźmy, señor.

W ślad za Rohdem O'Hara wyszedł z chaty. Zadrżał w przenikliwym chłodnym powietrzu. Rozejrzał się dokoła. Pas startowy urządzono na jedynym w całej okolicy kawałku równego terenu. Wszędzie wokół piętrzyły się

- A co się stanie, jeśli przyjdą komuniści? - zapytał O'Hara. Rohde nie sprawiał wrażenia poruszonego.

- Wówczas będziemy się bronić - odpowiedział ze spokojem. - Señor O'Hara, nie wszystko naraz.

- Grivas sądził chyba, że są już na miejscu. Zastanawiam się, co ich zatrzymało?

Rohde wzruszył ramionami.

- A czy to ważne?

Bez pomocy nie byli w stanie zataścić butli do chaty, więc Rohde wrócił, biorąc ze sobą kilka ustników i butelkę benzyny upuszczonej ze zbiornika w skrzydle. O'Hara przeszukał kadłub, rozglądając się za wszystkim, co mogłoby okazać się użyteczne, a w szczególności za jedzeniem. To bowiem, pomyślał, może okazać się poważnym problemem. Znalazł jedynie pół tabliczki czekolady mlecznej

w kieszeni przy fotelu Grivasa.

Rohde powrócił z Foresterem, Willisem i Armstrongiem; zmieniali się, niosąc butlę po dwóch. Była to ciężka praca i każdorazowo udawało mi się przejść nie więcej niż dwadzieścia metrów. O'Hara szacował, że w San Cro-ce mógłby tę butlę dźwigać sam przez kilometr. Jednak tu wysokość zdawała się wysysać z ich mięśni całą siłę i mogli pracować intensywnie tylko po kilka minut, po czym padali kompletnie wyczerpani.

Gdy dotarli na miejsce, stwierdzili, że panna Ponsky dokłada do ognia drewno z drzwi, które Armstrong i Willis wyłamali z jakiejś chaty, a następnie pracowicie porozbijali kamieniami. Szczególną radość na widok topora okazał Willis.

- Teraz będzie łatwiej - powiedział.

Rohde podał tlen pani Coughlin i Aguillarowi. Jej nie przywróciło to przytomności, za to w nim dokonała się uderzająca przemiana. Gdy jego policzki odzyskały naturalną barwę, dziewczyna po raz pierwszy od chwili katastrofy uśmiechnęła się.

O'Hara usiadł przy ogniu. Czuł, jak mile wsącza się weń ciepło. Wyjął swoje mapy lotnicze. Rozłożył na podłodze mapę tego rejonu i nakreśliwszy ołówkiem krzyżyk, zaznaczył pierwsze położenie.

- Tu byliśmy w chwili zmiany kursu - oznajmił. - Lecieliśmy kursem 1-8-4 nieco ponad pięć minut. - Wykreślił na mapie linię. - Mieliśmy prędkość odrobinę przekraczającą dwieście węzłów, powiedzmy: trzysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Czyli pokonaliśmy mniej więcej trzydzieści kilometrów, co lokuje nas, plus minus, tutaj.

Postawił następny krzyżyk. Forester zerknął mu przez ramię.

- Na mapie nie ma zaznaczonego żadnego lądowiska.

- Rohde mówi, że zostało opuszczone - wyjaśnił O'Hara. Rohde podszedł, spojrział na mapę i skinął głową.

- Masz rację - powiedział. - Właśnie tu jesteśmy. Droga w dół prowadzi do rafinerii. Z niej także już się nie korzysta, ale sądzę, że wciąż mieszkają tam jacyś indios.

- Daleko stąd? - zapytał Forester.

- Mniej więcej czterdzieści kilometrów - odparł Rohde.

- To w tych warunkach cholerny szmat drogi - zdenerwował się Forester.

- Nie będzie tak źle - powiedział Rohde. Wsparł palec na mapie. - Gdy znajdziemy się w tej dolinie, którą płynie rzeka, będziemy niemal tysiąc siedemset metrów niżej, gdzie oddychanie jest znacznie łatwiejsze. Droga jest to jakieś szesnaście kilometrów.

- Ruszymy jutro z rana - zaproponował O'Hara. Rohde przytaknął.

- Gdybyśmy nie mieli tlenu, zalecałbym wyruszenie natychmiast. Jednak tej nocy lepiej skorzystać ze schronienia w chacie.

- A co z panią Coughlin? - zapytał cicho O'Hara. - Czy możemy ją transportować?

- Będziemy musieli ją zabrać - odrzekł Rohde z przekonaniem. - Nie przeżyje na tej wysokości.

- Zmajstrujemy coś w rodzaju noszy - dorzucił Forester. - Może z brezentu i drążków, a może z drzwi.

O'Hara spojrział przez izbę na troskliwie pielęgnowaną przez pannę Ponsky panią Coughlin, z której piersi wydobywał się rześący oddech.

- Jeśli miałoby to przywrócić jej nogi, wołałbym, żeby ten skurwysyn Grivas przeżył - powiedział ochryplym głosem.

II

Pani Coughlin umarła w nocy, nie odzyskawszy przytomności. Znaleźli ją rankiem

zimną i zeszywniałą. Panna Ponsky płakała jak bóbr.

- Powinnam była czuć - chlipała. - Długo nie mogłam zasnąć, ale potem mnie zmogło.

Rohde posepnie potrząsnął głową.

- Musiała umrzeć - powiedział. - Nie mogliśmy nic dla niej zrobić. Nikt z nas. Forester, O'Hara i Peabody wygrzebali płytki grób. Peabody wydawał się być w lepszej formie. O'Hara pomyślał, że miał rację Forester mówiąc, iż Peabody cierpi tylko z powodu kaca. Wszyscy mieli za sobą złą noc; nikt nie spał dobrze. Rohde utrzymywał, że to kolejny z objawów soroche i że im prędzej zejda niżej, tym lepiej. O'Hara, któremu wciąż pękała głowa, zgadzał się z tym.

Butla tlenowa była pusta.

O'Hara postukał palcem w manometr, jednak wskazówka uporczywie stała na zerze. Odkręcił kurek i pochyliwszy głowę nasłuchiwał, lecz z zaworu nie wydobywał się żaden odgłos. W nocy kilkakrotnie słyszał cichy syk tlenu i wyciągnął stąd wniosek, że Rohde podaje go pani Coughlin albo Aguillarowi. Gestem przywołał Rohdego.

- Czy w nocy zużyłeś cały tlen?

Rohde z niedowierzaniem popatrzył na manometr.

- Chciałem zachować trochę na dziś - odparł. - Señor Aguillar go potrzebuje.

O'Hara zagryzł wargę i spojrział na siedzącego w kącie Peabody'ego.

- Rano odniosłem wrażenie, że jest znacznie bardziej rześki.

Rohde warknął coś pod nosem i zrobił krok naprzód, lecz O'Hara przytrzymał go za ramię.

- Nie mam żadnych dowodów. Mogę się mylić. A poza tym w tej chwili niepotrzebne są nam kłótnie. Złazmy z tej góry. - Kopnął butlę, która odpowiedziała głuchym dźwiękiem. - Przynajmniej nie musimy tego dźwigać.

Wówczas przypomniał sobie o czekoladzie. Osiem małych cząstek należało podzielić pomiędzy dziesięć osób. Zatem on, Rohde i Forester obyli się bez posiłku, zaś Aguillar otrzymał dwie kostki. O'Hara domyślił się, że zjadł nawet trzy, ponieważ było mało prawdopodobne, by dziewczyna spożyła swoją rację.

Odnosiło się wrażenie, że Armstrong i Willis tworzą zgrany tandem. Toporem wyrabiali jakieś drągi z jednej z chat i przeciągnawszy je przez rękawy dwóch płaszczy, sporządzili prymitywne nosze. Były przeznaczone dla Aguillara, który nie mógł poruszać się o własnych siłach.

Założyli na siebie maksymalnie dużo odzieży, resztę zaś pozostawili w walizkach.

Forester obdarował O'Harę grubym paltem.

- Postaraj się nie zniszczyć go zanadto - powiedział. - To wełna z lamy.

Kosztowało masę forsy. - Uśmiechnął się. - Żona szefa prosiła, abym przywiózł to z tej podróży, zbliżają się urodziny starego.

Peabody burczał, kiedy nakazano mu pozostawienie bagażu; lecz burczał jeszcze bardziej, gdy O'Hara wyznaczył go do niesienia noszy. O'Hara opierał się pokusie przyłożenia mu. Po pierwsze nie chciał dodatkowych kłopotów, po wtóre zaś - nie wiedział, czy sam ma dość siły, aby zrobić to skutecznie. W tej chwili powłóczenie nogami to było wszystko, na co mógł się zdobyć.

Opuścili więc chatę i pozostawiwszy za plecami najwyższe szczyty, ruszyli drogą w dół. Był to zaledwie nierówny, szlak wykuty w zboczu góry. Wił się seria ostrych zakrętów i Willis pokazywał miejsca, w których dokonywano wybuchów. Szlak był szeroki tylko na tyle, by mógł nim przejechać pojedynczy pojazd.

Jednak od czasu do czasu natrafiali na obszerniejsze mijanki.

O'Hara zapytał Rohdego:

- Czy zamierzali cały urobek z kopalni wywozić ciężarówkami?

- Mieli zbudować wyciąg elektryczny - wyjaśnił Rohde. - Taką niezwykle długą linę z wiadrami. Ale wciąż testowali możliwości kopalni. Silniki benzynowe nie

sprawdzają się na tej wysokości, potrzebne są te z doładowaniem. - Zatrzymał się gwałtownie, wpatrzony w ziemię.

Na śniegu dostrzegł ślad opony.

- Ktoś tędy ostatnio przejeżdżał - zauważył O'Hara. - Wiedziałem o tym wcześniej.

- Skąd? - zapytał Rohde.

- Ładowisko zostało oczyszczone ze śniegu.

Rohde poklepał się po piersi i odszedł bez słowa. O'Hara przypomniał sobie o pistolecie. Zastanawiał się, co nastąpi, gdy natkną się na przeciwników.

Chociaż droga wiodła w dół i poruszanie się po niej nie przedstawiało większych trudności, okazało się, że z noszami mogą pokonywać jednorazowo nie więcej niż sto metrów. Forester zorganizował system zmian; gdy jedna dwójka tragarzy padała z wyczerpania, zastępowała ją inna. Aguillar był półprzytomny. Krocząca obok noszy dziewczyna obserwowała go z niepokojem. Po przejściu kilometra zatrzymali się na odpoczynek.

- Mam piersiówkę z alkoholem - powiedział O'Hara do Rohdego. - Oszczędzałem go na prawdziwie ciężką chwilę. Czy sądzisz, że mógłbym pomóc starszemu panu?

- Daj - odparł Rohde.

O'Hara wyjął flaszkę z tylnej kieszeni spodni i wręczył ją Rohdemu, który zdjął nakrętkę i powąchał zawartość.

- Aguardiente - powiedział. - Paskudztwo, ale może być. - Z zaciekawieniem popatrzył na O'Harę. - Pijasz to?

- Jestem biedakiem - odrzekł usprawiedliwiająco.

- Jako student także byłem biedny i też pijałem aguardiente, lecz nikomu tego nie polecam.

Zakręcił piersiówkę i podała ją Charze. Wkładając ją do kieszeni, O'Hara pochwycił spojrzenie Peabody'ego. Odpowiedział życzliwym uśmiechem.

Po półgodzinnym odpoczynku ponownie ruszyli w drogę. O'Hara prowadził, a kiedy odwrócił się do tyłu, pomyślał, że wyglądają jak gromadka uciekinierów wojennych. Dźwigający nosze Willis i Armstrong rozpędzeni sunęli przed siebie, a dziewczyna dotrzymywała im kroku. Panna Ponsky szła blisko Rohdego i mimo kłopotów z oddychaniem szczebiotała jak na niedzielnej przechadzce. Na końcu szedł Forester z powłóczącym nogami Peabodym u boku.

Po trzecim postoju O'Hara stwierdził wyraźną poprawę. Jakkolwiek ból głowy nie ustępował, szło mu się i oddychało łatwiej. Tragarze mogli teraz dźwigać nosze przez coraz dłuższy czas. Nagle Aguillar zaczął patrzeć przytomnie.

O'Hara wspomniawszy o tym Rohdemu, który pokazał na otaczające ich strome zbocza.

- Szybko tracimy wysokość - powiedział. - Będzie coraz lepiej.

Po czwartym postoju dźwiganie noszy przypadło O'Harze i Foresterowi. Aguillar słabym głosem przeproszał za sprawiane kłopoty. O'Hara nie odpowiadał - wszystkie siły musiał poświęcić zadaniu. Sprawy nie przedstawiały się zbyt dobrze.

Forester przystanął raptownie i O'Hara z ulgą postawił nosze. Nogi miał jak z waty, z krtani dobywał się charczący oddech. Uśmiechnął się do Forester'a, który zabijał ręce o tors.

- Nie przejmuj się - powiedział. - W dolinie będzie cieplej. Forester chuchnął na palce.

- Miejmy nadzieję. - Popatrzył O'Harze w oczy. - Jesteś niezłym pilotem.

Polatałem sobie trochę w życiu, ale nie sądzę, bym potrafił dokonać tego, co udało ci się zrobić wczoraj.

- Mając lufę przy skroni, na pewno byś to zrobił - odparł O'Hara. Wykrzywił usta z bólu. - Poza tym nie mogłem się zdać na Grivasa: wykończyłyby nas wszystkich, ode mnie zaczynając.

Spojrzał ponad ramieniem Foreстера i dostrzegł Rohdego, który z pistoletem w dłoni, potykając się, biegł pod górę.

- Coś się dzieje - powiedział.

Wyszedł na spotkanie. Pierś Rohdego falowała od ciężkiego oddechu.

- Tam są chaty - wydyszał. - Zapomniałem o nich. O'Hara popatrzył na broń.

- Czy to niezbędne?

Rohde uśmiechnął się ponuro.

- Możliwe, señor.

Obojętnie wskazał pistoletem w dół drogi.

- Myślę, że powinniśmy zachować ostrożność. Sądzę, że zanim cokolwiek zrobimy, najpierw musimy wszystko obejrzeć. Pan, ja i señor Forester.

- Też tak uważam - odparł Forester. - Grivas mówił, że jego kumple będą się tu kręcić, a to wygląda na miejsce, w którym moglibyśmy ich spotkać.

- W porządku - stwierdził O'Hara i rozejrzał się dokoła. Droga nie dawała żadnej osłony, ale niedaleko, w miejscu, które właśnie minęli, piętrzyło się zwalisko skał. - Sądzę, że wszyscy pozostali powinni się za tym schować. Jeśli coś się wydarzy, byłoby bez sensu, gdyby ktokolwiek został zaskoczony na otwartej przestrzeni.

Cofnęli się do kryjówki za skałami i O'Hara poinformował wszystkich o sytuacji.

- Jeśli dojdzie do strzelaniny - powiedział na koniec - nie róbcie, cholera, nic a nic. Zamieniacie się w słupy soli i nie wyściubiacie nosa. Wprawdzie wiem, że nie jesteśmy wojskiem, skoro jednak możemy znaleźć się pod ostrzałem, na zastępcę dowódcy wyznaczam doktora Willisa. Jeśli nam się coś przydarzy, rozkazy wydaje on. - Willis przytaknął.

Bratanica Aguillara rozmawiała z Rohdem, a gdy O'Hara ruszył, by dołączyć do Foreстера, położyła mu rękę na ramieniu.

- Senior.

- Tak, señorita - popatrzył na nią.

- Proszę, bądźcie ostrożni, pan i señor Forester. Nie chcę, by z naszego powodu przytrafiło się wam coś złego.

- Będziemy ostrożni - odparł O'Hara. - Proszę mi powiedzieć, czy nosi pani takie samo nazwisko jak wuj?

- Jestem Benedetta Aguillar. Skinął głową.

- A ja Tim O'Hara. Będę uważał.

Dołączył do dwóch pozostałych. Zeszli drogą do zakrętu.

- W tych chatach mieszkali górnicy - powiedział Rohde. - To, w przybliżeniu, największa wysokość, na jakiej ludzie mogą żyć stale, ludzie zaaklimatyzowani, tacy jak nasi górscy indios. Sądzę, że powinniśmy zejść z drogi i podejść z boku. Jeśli Grivas miał przyjaciół, tu ich znajdziemy.

Wdrapali się na zbocze i zeszli nad osadę. Na wyrwanej przez buldożery ze skalnej ściany mniej więcej równej przestrzeni stało około tuzina chat z bali, prawie identycznych jak te przy ładowisku.

- Nie jest dobrze - powiedział Forester. - Zanim się do nich dostaniemy, będziemy musieli zejść z tego niewielkiego urwiska.

- Nie widzę dymu - zauważył O'Hara.

- Może to o czymś świadczyć, ale nie musi - rzekł Forester. - Sądzę, że ja z Rohdem powinniśmy okrążyć chaty i podejść do nich od dołu. Jeśli cokolwiek się stanie, może zdołasz odwrócić ich uwagę.

-1 co miałbym robić? - zapytał O'Hara. - Rzucić kamienie? Forester zatrzęsł się od bezgłośnego śmiechu. Wskazał na zbocze za osadą.

- Wyjdziemy gdzieś tam. Ze swojego stanowiska zobaczysz nas, lecz będziemy poza polem widzenia kogokolwiek z osady. Jeśli droga będzie wolna, dasz nam znak, że możemy podchodzić.

Forester i Rohde odeszli cicho, O'Hara zaś położył się na brzuchu, przyglądając się chatom. Nie przypuszczał, by ktokolwiek w nich przebywał. Lądowisko oddalone było od tego miejsca o niespełna osiem kilometrów drogą i ktoś, kto chciałby tam dotrzeć z osady, zrobiłby to bez przeszkód. Jeśli wspólnicy Grivasa w ogóle istnieli, to najprawdopodobniej znajdowali się gdzie indziej. Niemniej należało się upewnić. Badawczo spoglądał na chaty, lecz nie tam nie dostrzegł. Niebawem dojrzał Forestera; machał doń zza skały, którą wcześniej pokazywał. Odpowiedział gestem. Rohde szedł pierwszy: podchodził szerokim łukiem, tak aby dotrzeć do osady z boku. Potem ruszył Forester, owym osobliwym, przygarbionym, zygzakowatym biegiem doświadczonego żołnierza, który spodziewa się ostrzału. O'Hara rozmyślał o Foresterze: ten facet, który wedle własnych słów potrafi pilotować samolot, teraz zachowuje się jak wyszkolony żołnierz piechoty. Dobrze orientuje się w terenie i najwyraźniej jest przyzwyczajony również do wydawania rozkazów.

Forester skrył się za jedną z chat, a potem, przy odległym końcu osady, pojawił się Rohde, stąpający ostrożnie z pistoletem w dłoni. Po chwili także on zniknął. O'Hara poczuł narastające napięcie. Po bardzo długim, jak mu się wydawało, oczekiwaniu, spoza najbliższej chaty wyłonił się kroczący najzupełniej swobodnie Forester.

- Możesz zejść! - zawołał. - Nie ma tu żywej duszy. O'Hara z ulgą wypuścił powietrze i wstał.

- Wróć i sprowadzę pozostałych! - wrzasnął, a Forester ruchem ręki wyraził zgodę.

O'Hara cofnął się do drogi, przejął grupkę i zszedł z nią do osady. Forester i Rohde czekali na głównej „ulicy”.

- Mieliśmy szczęście! - zawołał Forester. - Tu jest mnóstwo żarcia!

Nagle O'Hara uzmysłowił sobie, że nie jadł już półtora dnia. Nie odczuwał szczególnego głodu, jednak wiedział, że bez jedzenia ani on, ani ktokolwiek inny nie pociągnie długo. Znalezienie żywności zasadniczo odmieniło sytuację na kolejnym etapie wędrówki.

- Większość chat jest pusta, lecz trzy z nich są w pełni wyposażone, nie brak nawet grzejników na ropę - poinformował Forester.

O'Hara spojrział na poznaną śladami kół ziemię.

- Dzieje się tu coś dziwnego. Rohde mówił mi, że kopalnia jest opuszczona od dawna, a przecież mamy wszędzie ślady życia i ani żywej duszy dokoła. Do diabła, co jest grane?

Forester wzruszył ramionami.

- Może u komuchów nawala organizacja - powiedział. - Latynosi nigdy nie słygnęli z dobrego planowania. Może ktoś wsadził im kij w szprychy.

- Niewykluczone - zgodził się O'Hara. - Tak czy owak, możemy to wykorzystać. Jak sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić? Jak długo tu zostaniemy?

Forester popatrzył na grupkę właśnie wchodzącą do j. jednej z chat, a później podniósł wzrok na niebo.

- Jesteśmy nieźle skonani - stwierdził. - Może powinniśmy pozostać tu do jutra?

Posiłek trochę potrwa i zanim będziemy mogli wyruszyć, zrobi się późno.

Powinniśmy spędzić tu noc i dobrze się wygrzać.

Mamy sześciu sprawnych mężczyzn. Zatem jeśli wyruszymy wczesnym rankiem, zmiany będą dwugodzinne. To nieźle. Wszyscy złapią dość snu.

Kiedy skończyli posiłek, Benedetta zaniósła coś do jedzenia Rohdemu. O'Hara znalazł się w towarzystwie Armstronga.

- Mówiłeś, że jesteś historykiem - zagadnął. - Przypuszczam, że przyjechałeś tu z powodu Inków.

- Och, nie - odrzekł Armstrong. - Zupełnie nie mieszczą się w obszarze moich

zainteresowań. Zajmuję się średniowieczem.

- Ach, tak - mało błyskotliwie odparł O'Hara.

- Nie mam pojęcia o Inkach i nieszczególnie chcę je mieć - wyznał otwarcie Armstrong. Uśmiechnął się pod nosem. - Przez ostatnich dziesięć lat nie miałem prawdziwych wakacji. Jak każdy kulturalny człowiek, jeździłem do Francji lub Włoch i zanim się obejrzałem, już tkwiłem w robocie po uszy. - Wyjął fajkę i niepewnie zajrzał do kapciucha z tytoniem. - Tego roku postanowiłem pojechać na wakacje do Ameryki Południowej. Wszystko, co tu mamy, to historia przeduropejska i współczesna. Żadnego średniowiecza. Sprytny jestem, prawda? O'Hara uśmiechnął się, podejrzewając, że Armstrong troszkę go podpuszcza.

- A czym pan się zajmuje, doktorze Willis? - zapytał.

- Jestem fizykiem - usłyszał w odpowiedzi. - Interesuje mnie promieniowanie kosmiczne na dużych wysokościach, jakkolwiek nie mam w tym znaczących osiągnięć. Rzeczywiście stanowią przedziwne towarzystwo, pomyślał O'Hara, spoglądając na pannę Ponsky, która z ożywieniem przemawiała do Aguillara. Niezwykły był to widok. Stara panna, belferka z Nowej Anglii, urządzająca wykład mężowi stanu. Bez wątplenia po powrocie do swej maleńkiej szkółki będzie miała o czym opowiadać uczniom.

- A co to w ogóle za miejsce? - zapytał Willis.

- Kwatery górników z tej kopalni na górze - odparł O'Hara. - Tak powiedział Rohde.

Willis ze zrozumieniem skinął głową.

- Mieli tu również warsztaty - powiedział. - Oczywiście zabrano całą maszynię, ale to i owo zostało. - Zadrżał. - Nie mogę powiedzieć, abym miał ochotę pracować w podobnym miejscu.

O'Hara rozejrzał się po chacie.

- Ani ja. - Dostrzegł biegnącą w dół ściany rurę kablową. - Zastanawiam się, skąd brali elektryczność?

- Mieli własną elektrownię, tam są jej pozostałości. Generator zniknął, zapewne wymontowano go po zamknięciu kopalni. Jak sądzę, rozkradli prawie wszystko, zostało tyle co nic.

Armstrong pociągnął ostatni raz fajkę, czemu towarzyszyło smętne bulgotanie.

- Cóż, koniec z tytoniem. Aż do powrotu do cywilizacji. - Wystukał popiół. - Proszę powiedzieć, kapitanie, co pan porabia w tych stronach świata?

- Och, pilotuję samoloty skąd się da i dokąd się da - odpowiedział O'Ha-ra. Ale z tym już koniec, pomyślał. U Filsona był skończony; ten nigdy nie wybaczy pilotowi, który, obojętnie z jakich powodów, skasował jedną z jego maszyn. Straciłem robotę, pomyślał, parszywa to była praca, ale przecież utrzymywała mnie na powierzchni.

Wróciła dziewczyna. Podszedł do niej.

- Czy coś się dzieje na drodze? - zapytał. Pokręciła głową.

-Nic. Wszędzie jest spokój.

- To jest gość. Na pewno doskonale zna te góry... no i to i owo z medycyny.

- Urodził się w tych stronach - powiedziała Benedetta. - Studiował medycynę, zanim... - urwała.

- Zanim co? - zachęcił O'Hara.

- Zanim dokonano przewrotu. - Spojrzała na swe dłonie. - Zginęła cała jego rodzina. Oto dlaczego nienawidzi Lopeza. Oto dlaczego współpracuje z moim wujem. Wie, że wuj zniszczy Lopeza.

- Wydawało mi się, że jest po prostu bardzo wojowniczy-powiedział O'Hara.

- Szkoda tego Miguela. Miał przed sobą taką przyszłość. Bardzo interesowała go soroché, wiesz. Zamierzał zająć się jej badaniem natychmiast po ukończeniu studiów. Kiedy jednak nastąpił przewrót, musiał opuścić kraj, a nie mając

pieniędzy, nie mógł kontynuować nauki. Przez jakiś czas pracował w Argentynie, potem spotkał swojego wuja. Ocalił mu życie.

- Jak to? - O'Hara uniósł brwi.

- Początkowo Lopez wiedział, że nie jest bezpieczny, dopóki mój wuj żyje. Rozumiesz, zdawał sobie sprawę, że wujaszek zorganizuje opozycję, nielegalną, rzecz jasna. Zatem wujkowi groziło niebezpieczeństwo ze strony wrogów, gdziekolwiek był, nawet w Argentynie. Dokonano kilku prób zamachu na jego życie i podczas jednej z nich ocalił go Miguel.

- Twój wujek musiał się czuć jak drugi Trocki - wtrącił O'Hara. - Joe Stalin załatwił go w Meksyku.

- Rzeczywiście - wykrzywiła usta z niesmakiem. - Ale tamci byli komunistami. Tak czy owak, od tej chwili Miguel trzyma się nas. Oświadczył, że chce tylko stawy i miejsca do spania i że pomoże wujkowi powrócić do Kordyliery. No i tak tu się znaleźliśmy.

Fakt, pomyślał O'Hara; rozbitkowie na cholernej górze, u której podnóża czeka Bóg wie co. Niebawem Armstrong wyszedł zastąpić Rohdego. Do O'Hary podeszła panna Ponsky.

- Niech pan wybaczy mi to idiotyczne zachowanie w samolocie - powiedziała. - Nie wiem, co mnie napadło.

O'Hara pomyślał, że nigdy nie należy tłumaczyć się ze śmiertelnego strachu; sam miał cholernego pietra. Ale nie mógł się do tego przyznać. W rozmowie z nią nawet nie miał prawa użyć słowa „strach”. Byłoby to niewybaczalne: nikt nie lubi, gdy przypomina mu się chwile słabości, nawet taka leciwa dziewczyna.

Uśmiechnął się i powiedział dyplomatycznie:

- Nie każdy sprostałby podobnemu doświadczeniu równie znakomicie jak pani, panno Ponsky.

Udobruchała się. Zrozumiał, że obawiała się ofuknięcia. Należała do tego typu ludzi, którzy są gotowi drażnić bolący ząb, zamiast próbować o nim zapomnieć.

Uśmiechnęła się i zapytała:

- A zmieniając temat, kapitanie O'Hara, co sądzi pan o tej całej gadaninie o komunistach?

- Uważam, że są zdolni do wszystkiego - odparł O'Hara posępnie.

- Po powrocie zamierzam przedstawić raport w Departamencie Stanu. Żeby pan słyszał, co señor Aguillar opowiadał mi o generale Lopezie! Moim zdaniem, Departament Stanu powinien poprzeć Aguillara w jego walce przeciwko Lopezowi i komunistom.

- Skłonny jestem zgodzić się z panią - odrzekł. - Jednak wasz Departament Stanu być może nie wierzy w celowość interweniowania w wewnętrzne sprawy Kordyliery.

- Zawracanie głowy - powiedziała z przekąsem. - Przecież powinniśmy zwalczać komunistów, czyż nie tak? A poza tym señor Aguillar zapewnia mnie, że natychmiast po usunięciu Lopeza przeprowadzi wolne wybory. Jest prawdziwym demokratą, takim jak pan czyja.

O'Hara rozmyślał nad konsekwencjami opanowania przez komunistów kolejnego państwa południowoamerykańskiego. Agenci Kuby drażyli całą Amerykę Łacińską, jak korniki mebel. Próbował zastanowić się nad strategicznym znaczeniem Kordyliery - otaczała Andy, dotykała Pacyfiku i jak karabin mierzyła w serce kontynentu.

Uznał, że Amerykanie będą bardzo niezadowoleni, jeżeli kraj ten wpadnie w ręce komunistów.

Wrócił Rohde, przez kilka minut rozmawiał z Aguillarem, a potem podeszedł do O'Hary i ściszym głosem poinformował:

- Señor Aguillar chciałby z tobą pomówić.

Przywołał gestem Forestera i wszyscy trzej podeszli do siedzącego na pryczy Aguillara.

Humor mu dopisywał i, o dziwo, wyglądał nader rześko. Jego oczy patrzyły żywo, a głos pobrzmiwał mocą i władczością, czego O'Hara dotąd w nim nie słyszał. Uświadomił sobie, że jest to mocny człowiek; może niezbyt mocny ciałem, które starzało się i zaczynało zawodzić, lecz na pewno mocny duchem. O'Hara podejrzewał, że gdyby starszy pan nie miał silnej woli, jego ciało nie wytrzymałoby trudów, przez jakie musiało przejść. Aguillar powiedział:

- Najpierw, panowie, muszę podziękować wam za wszystko, co uczyniliście, i wyrazić szczerze ubolewanie z powodu przykrości, na jakie was naraziłem. - Ze smutkiem pokiwał głową. - Tym, który najczęściej doznaje uszczerbku podczas naszych latynoskich spięć politycznych, jest niewinny obserwator. Przykro mi, że musiało się stać coś takiego i że było wam dane ujrzeć moją ojczyznę w tak niekorzystnym świetle.

- Cóż innego mogliśmy zrobić? - zapytał Forester. - Wszyscy jechaliśmy na jednym wózku.

- Rad jestem, że tak to pan widzi - odrzekł Aguillar. - A to z powodu tego, co jeszcze może na nas spaść. Co się stanie, jeśli natkniemy się na komunistów, których tu nie ma, choć być powinni?

- Zanim do tego dojdziemy, chciałbym zadać jedno pytanie - wtrącił O'Hara. Aguillar uniósł brwi i gestem polecił mu kontynuować, zatem O'Hara rzekł z namysłem: - Skąd wiemy, że chodzi tu o komunistów? Señorita Aguillar mówiła mi, że Lopez już kilkakrotnie próbował pana zlikwidować. Skąd pan wie, że to nie on wyniuchał pański powrót i nie próbuje po raz kolejny?

Aguillar pokręcił głową.

- Lopez, mówiąc najprościej, jest zgraną kartą. Wiem o tym. Proszę zapominać, że jestem politykiem-praktykiem i proszę uwierzyć, że znam swój zawód. Lopez zapomniał o mnie kilka lat temu, a obecnie jest zainteresowany tylko tym, by bezpiecznie wypuścić z rąk ster władzy i przejść w stan spoczynku. Co się zaś tyczy komunistów, przez wiele lat obserwowałem ich robotę w tym kraju, byłem świadkiem, jak podminowują rząd i flirtują ze społeczeństwem. Niedaleko w tym zaszli, w przeciwnym razie bowiem pozbyliby się Lopeza wcześniej. Tylko ja stanowię dla nich zagrożenie. I mam pewność, że to im zawdzięczamy sytuację, w której się znaleźliśmy.

Forester wtrącił mimochodem:

- Umierając, Grivas usiłował zaszalutować zaciśniętą pięścią.

- No dobra - powiedział O'Hara. - Ale zacznijmy od tego, po co był ten cały urządzony przez Grivasa cyrk? Dlaczego po prostu nie umieścił w da-kocie bomby zegarowej, która z łatwością wykonałaby zadanie?

Aguillar uśmiechnął się.

- Señor O'Hara, w mojej karierze politycznej czterokrotnie rzucano na mnie bomby i wszystkie zawiodły. Nasza polityka opiera się na emocjach, a emocje sprzyjają starannemu wykonawstwu, nawet wykonawstwu bomb. Jestem przekonany, że komunizm nie jest w stanie odmienić wrodzonych cech moich rodaków. Chcieli mieć absolutną pewność, dlatego wybrali nieszczęsnego Grivasa. Czy uznałby pan Grivasa za człowieka emocjonalnego?

- Chyba tak - odparł O'Hara, przypominając sobie przedśmiertne uniesienie Grivasa. - A poza tym był bardzo niedbały.

Aguillar rozłożył ręce, pewien, że dowiódł swej tezy. Postawił jednak kropkę nad „i”:

- Grivas zapewne był szczęśliwy, że powierzono mu takie zadanie. Odwoływało się do jego skłonności teatralnych, a moi doradcy są bardzo rozmiłowani w teatralności. Co się zaś tyczy... hm... niedbalstwa. Grivas spartaczył pierwszą część operacji, dając się głupio zabić, a jego kompani spartaczyli całą resztę, nie stawiając się na spotkanie z nami.

O'Hara potarł podbródek. Nakreślony przez Aguillara obraz nabierał dlań dziwacznej spójności.

- A teraz, przyjaciele, przejdźmy do sprawy następnej - kontynuował Aguillar. - Założmy, że podczas schodzenia z góry napotkamy tych ludzi... tych komunistów. Co się wówczas stanie? - Powiódł po O'Harze i Foreste-rze spojrzeniem rozjaśnionych oczu. - To nie wasza walka. Nie jesteście obywatelami Kordyliery i ciekawi mnie, co wtedy zrobicie? Czy oddacie tego latynoskiego polityka w ręce jego nieprzyjaciół, czy też...

- Będziemy walczyć - dokończył za niego Forester.

- To także moja walka - powiedział O'Hara szorstko. - Wprawdzie nie jestem z Kordyliery, lecz to we mnie Grivas skierował broń i zmusił do roztrzaskania samolotu. To mi się nie spodobało. I nie przypadł mi do gustu widok, jaki przedstawiali sobą Coughlinowie. Tak czy owak, nie znoszę komunistów i dlatego sądzę, że w sumie to także moja walka.

- Podpisuję się pod tym - rzucił Forester. Aguillar uniósł dłoń.

- To nie takie proste. Pod uwagę należy brać także innych. Czy to fair, na przykład, w stosunku do panny... hm... Ponsky? Otóż proponuję rzecz następującą: Miguel, moja bratanica i ja oddalimy się do innej chaty, dając wam możliwość swobodnego przedyskutowania sprawy. Ja zaś zastosuję się do waszej wspólnie podjętej decyzji.

Forester popatrzył badawczo na Peabody'ego, który właśnie wychodził z chaty. Potem przeniósł wzrok na O'Harę i powiedział:

- Sądzę, że tę kwestię powinniśmy pozostawić do chwili, gdy będzie z kim walczyć. Możliwe, że po prostu bez przeszkód stąd odejdziemy.

Aguillar dostrzegł rzucone Peabody'emu spojrzenie Foreстера. Uśmiechnął się sardonicznie.

- Widzę, że i pan jest politykiem, señor Forester. - Machnął ręką z rezygnacją.

- Doskonale, chwilowo odkładamy problem. Jednak sądzę, że będziemy musieli do niego wrócić.

- Szkoda, że musimy schodzić z góry - powiedział Forester. - Niewątpliwie rozpoczną się poszukiwania z powietrza i może lepiej byłoby trzymać się dakoty.

- Nie wyżylibyśmy tam - wtrącił Rohde.

- Wiem. A jednak szkoda.

- Moim zdaniem, nie ma to większego znaczenia - stwierdził O'Hara. -Z powietrza trudno będzie dostrzec wrak spoczywający u samego podnóża urwiska. - Zawahał się. -1 przynajmniej na razie nic nie wiem o wszczęciu jakichkolwiek poszukiwań. Forester raptownie szarpnął głowę.

- Do diabła, co chcesz przez to powiedzieć?

- Andes Airlift to linia nie odznaczająca się sprawną organizacją, a Fil-son, mój szef, nie jest specem od papierkowej roboty. Ten lot nie miał nawet numeru; pamiętam, że przed startem z San Croce sam się nad tym zastanawiałem. Pewne jak w banku, że wieża San Croce nie zadała sobie trudu powiadomienia Santillany o naszym przylocie. - Widząc zaś wyraz twarzy Foreстера, dodał: - Cały ten biznes to jedno wielkie gówno.

- Jednak twój szef z pewnością zaniepokoi się, jeśli nie dasz znaku życia.

- Zapewne - zgodził się O'Hara. - Kazał mi zatelefonować do siebie z Santillany.

Ale początkowo nie będzie to wielki niepokój. Bywały sytuacje, kiedy nie dzwoniłem, mimo że o to prosił, i co najwyżej miałem trucie dupy z powodu straty ładunku powrotnego. Nie sądzę, by przynajmniej przez kilka dni martwił się zaginięciem samolotu.

Forester nadał policzki i powiedział:

- Fiu, fiu, organizacja w stylu japońskim. Teraz naprawdę czuję się zagubiony.

- Możemy liczyć tylko na siebie - dodał Rohde. - Jak widzę, tylko siebie możemy

być pewni.

- Poza tym zeszedliśmy z kursu - powiedział O'Hara. - Poszukiwania zaczną na północ od tego miejsca... Jeśli w ogóle zaczną.

Rohde popatrzył na zasypiającego Aguillara.

- W tej chwili nie możemy zrobić nic - zauważył. - Ale musimy spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

III

I tej nocy O'Hara nie spał dobrze. Jednak tym razem odpoczywał przynajmniej z pełnym brzuchem i na materacu, a nie na twardej podłodze i z kiszkami grającymi marsza. Wątku pełnił Peabody. O'Hara miał go zmienić o drugiej; był rad, kiedy nadeszła jego pora. Założył swoją skórzaną kurtkę i otrzymane od Forestera palto. Podejrzewał, że w ciągu najbliższych dwóch godzin będzie zadowolony z faktu, iż je ma. Kiedy wychodził, Forester pomachał mu, lecz nic nie powiedział. Nocne powietrze było rozrzedzone i zimne. Schodząc drogą dół, O'Hara dygotał. Tak jak powiedział Rohde, szansę przetrwania tu, chociaż większe aniżeli przy lądowisku, były jednak nader nikłe. Miał świadomość, że jego serce łomocze i że ma przyspieszony oddech. Byłoby znacznie lepiej, gdyby zeszedli do Quebrady, jak Rohde nazwał poprzeczną dolinę, ku której zamierzali się skierować. Dotarł do zakrętu, gdzie musiał zejść z drogi. Zbliżył się do nawisłego występu skalnego, który Rohde wybrał na punkt obserwacyjny. Peabody powinien sterczeć na szczycie tej skały i słyszeć, jak on nadchodzi. Jednak nie było śladu jego obecności. O'Hara zawołał półgłosem: „Peabody”. Cisza. Okrążył występ skalny, by dostrzec jego obrys na tle nieba. Na grzbiecie zauważył wybrzuszenie, które nie do końca potrafił zidentyfikować. Zaczął się wspinać, a kiedy osiągnął szczyt, usłyszał zduszone pochrapywanie. Potrząsnął Peabodym, a jego stopa potrafiła butelkę. Peabody był pijany.

- Ty cholerny głupcze - powiedział i zaczął policzkować Peabody'ego, co jednak nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Peabody mamrotał coś w pijackim oszołomieniu, ale nie odzyskiwał świadomości.

- Powiniennem pozwolić zdechnąć ci tu z zimna - wyszeptał O'Hara jadowicie. Jednak wiedział, że nie potrafiłby się na to zdobyć. Wiedział także, że sam nie zdoła zatańczyć Peabody'ego do osady. Musiał wezwać pomoc.

Powiódł spojrzeniem po zboczach, a ponieważ wszędzie panował spokój, zsunął się ze skały i ruszył drogą pod górę. Kiedy wszedł do chaty, Forester wciąż nie spał.

- O co chodzi? - zapytał ogarnięty nagłym niepokojem.

- Peabody jest nieprzytomny - odparł O'Hara. - Potrzebuję pomocy, żeby go tu przytąszczyć.

- Niech cholera weźmie te wysokości - powiedział Forester wzuwając buty.

- To nie wysokości - odrzekł O'Hara oziębło. - Sukinsyn jest w trupa pijany.

Forester zaklął pod nosem.

- Skąd wziął gorzałkę?

- Przypuszczam, że znalazł w jednej z chat. Ja ciągle mam swoją pier-siówkę. Oszczędzałem dla Aguillara.

- Dobra - powiedział Forester. - Przywleczemy tego cholernego durnia.

Zadanie nie należało do łatwych. Peabody był wielkim, rozlazłym mężczyzną, a jego ciało przewalało się opornie. Jednak wreszcie dopięli celu i bezceremonialnie zwałili go na pryczę. Forester wysapał się i powiedział:

- Jeśli nie będziemy go mieć na oku, ten idiota wykończy nas wszystkich. -

Urwał. - Zejdę z tobą. Może lepiej mieć tam teraz dwie pary oczu zamiast jednej.

wszystkie te pospolite racjonalizacje, które maskowały najzwyczajszą niewierność. Spoglądając z perspektywy czasu, O'Hara dostrzegł w całej tej sprawie drobne aspekty humorystyczne. Nie było ich wiele, ale jednak... Należał do tej niechlubnej, dziesięcioprocentowej części każdej armii, walczącej z dala od domu, której żołnierze tracą swe żony na rzecz cywilów. Ale lektura tego listu na zimnym lotnisku w Korei wcale na należała do zabawnych. Pięć minut później rozległ się sygnał i już był w powietrzu, a pół godziny po tym toczył walkę. Podjął ją zimną zaciekłością i absolutnym brakiem rozważli. W trzy minuty zestrzelił dwa migi, zaskoczywszy je po prostu swym zuchwalstwem. Potem chiński pilot z chłodniejszym umysłem zestrzelił jego i resztę wojny O'Hara spędził w bambusowej klatce. Nie lubił rozmyślać o tamtych czasach i o tym wszystkim, co go wówczas spotkało. Wyszedł z tego z honorem. Ale kiedy wrócił do Anglii, psychiatrzy mieli z nim używanie. Robili, co mogli, jednak nie potrafili skruszyć skorupy, jaką wokół siebie zbudował - a i on sam nie potrafił wówczas wydostać się z niej. I tak to szło - zdemobilizowany, z odprawą, którą bezzwłocznie roztrwonil, najpierw łapał dobre roboty, potem gorsze, aż trafił do Filsona. I zawsze pił. Coraz więcej i więcej gorzały, która okazywała się coraz mniej i mniej skuteczna przy próbach wypełnienia i unicestwienia narastającej w nim bolesnej pustki. Niespokojnie poruszył się na skale i usłyszał brzęk butelki. Wyciągnął rękę, chwycił ją i podniósł ku niebu. Jakaś jedna czwarta jeszcze pozostała. Uśmiechnął się. Nie mógł się tym upić, ale i tyle chętnie przyjął. Gdy ognisty płyn rozchodził się i rozgrzewał jego ciało, doświadczył jednak poczucia winy.

IV

Peabody okazywał pijacką wojowniczość, kiedy obudził się i stwierdził, że spogląda na niego O'Hara. Wyglądał na zastraszonego, lecz wkrótce zwyciężył jego instynkt atakowania.

- Nie chcę o niczym słyszeć - wyjąkał. - Nie od cholernego dzemojada. O'Hara patrzył na niego. Nie miał ochoty ujeżdżać Peabody'ego. Czyż nie są członkami tego samego klubu, pomyślał sardonicznie, pijacką bracią, przecież nawet pili z tej samej butelki. Czuł się okropnie. Rohde postąpił krok i Peabody wrzasnął:

- Nie chcę nic słyszeć od żadnego Mekska!

- Więc może zaakceptujesz mnie - warknął Forester.

Zrobił krok do przodu i potężnie spoliczkował Peabody'ego. Ten osunął się na prycę i z wyrazem strachu i oszołomienia na twarzy spojrzął w zimne oczy Forestera. Zamierzał coś powiedzieć, lecz Forester dźgnął go palcem.

- Zamknij się. Jeszcze jeden numer i zetrę cię na miazgę. Teraz zwlecz z wyrka swoje wielkie, tłuste dupsko i do roboty. A jeśli znowu coś wykręcisz, przysięgam na Boga, że cię zabiję.

Przebijająca z głosu Forestera wściekłość zmroziła Peabody'ego; w jednej chwili wyciekła zeń cała wojowniczość.

- Nie zamierzałem... - zaczął.

- Stul pysk - powiedział Forester, odwracając się do niego plecami. - Ruszajmy z tym cyrkiem w trasę - zwrócił się do wszystkich.

Wzięli żywność, kuchenkę i paliwo. Nieśli je w dziwnie powiązanych tobołach, jakie porobili z płaszczy. O'Hara nie sądził, by szef Forestera podziękował mu za to, co zrobił z jego wełnianym paltem, które już teraz wyglądało na solidnie znoszone.

Aguillar oświadczył, że jest w stanie iść o własnych siłach, pod warunkiem że nie będzie zmuszony do zbyt szybkiego tempa. Forester wziął zatem drążki od

noszy, związał je i uczynił z nich coś, co nazwał travois.

- Indianie z równin używali tego jako środka transportu - wyjaśnił. - Skoro oni dawali sobie radę bez kół, możemy i my. - Uśmiechnął się. - Oni używali koni, my dysponujemy tylko ludźmi, ale za to cała nasza droga wiedzie w dół.

Na travois mieściło się sporo, znacznie więcej niż mógłby unieść człowiek.

Forester i O'Hara jako pierwsi ciągnęli trójkątną konstrukcję, której dolna część łomotała i podskakiwała po kamienistym gruncie. Pozostali kroczyli za nimi gęsiego. Tak rozpoczęła się kręta wędrówka w dół.

O'Hara zerknął na zegarek - była szósta rano. Począł kalkulować. Poprzedniego dnia uszli niewiele - najwyżej siedem lub osiem kilometrów. Teraz jednak byli wypoczęci, wygrzani i najedzeni, co znacznie poprawiało sytuację. Ale i tak wątpił, by zdołali pokonać więcej niż szesnaście kilometrów dziennie, zatem wędrówka do rafinerii musi potrwać dwa dni. Dysponowali zapasami żywności na co najmniej cztery dni, więc wszystko powinno być w porządku, nawet gdyby Aguillar opóźnił pochód. Perspektywy rysowały się nieporównanie jaśniej.

Teren zaczynał się zmieniać. Pojawiały się rzadko rozrzucone kępy traw, niekiedy kwiaty, a w miarę wędrówki te oznaki życia widoczne były coraz częściej. Poza tym byli w stanie poruszać się szybciej.

- Niższe wysokości chyba nam służą - rzekł O'Hara.

- Tak. A do tego aklimatyzacja - odparł Rohde. Uśmiechnął się niewesoło. - Jeśli wysokość cię nie zabije, w końcu się przyzwyczaisz.

Właśnie dotarli do jednego z licznych zakrętów. Rohde zatrzymał się i wskazał na srebrną nico.

- To Quebrada. Płynie tam rzeka. Przeprowadzimy się i skręcimy na północ. Rafineria znajduje się mniej więcej dwadzieścia cztery kilometry od mostu.

- Ile to nad poziomem morza? - zapytał O'Hara. Zaczynał okazywać wielkie zainteresowanie wdychanym powietrzem, większe niż kiedykolwiek w życiu.

- Mniej więcej trzy tysiące metrów - odparł Rohde.

To już lepiej pomyślał O'Hara. Utrzymywali niezłe tempo. Zdecydowali, że urządzią południowy popas i zjedzą coś ciepłego po drugiej stronie mostu.

- Ponad osiem kilometrów w pół dnia - powiedział Forester, żując pasek suszonej wołowiny. - To byłby niezły rezultat. W Bogu jednak pokładam nadzieję, iż Rohde się nie myli, mówiąc, że rafineria wciąż jest zamieszкана.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł Rohde. - Szesnaście kilometrów od rafinerii jest wioska. I jeśli okaże się to niezbędne, można sprowadzić stamtąd pomoc. Kontynuowali marsz. I nagle stwierdzili, że są już w dolinie. Nie było tu śniegu, a ze skalistego gruntu wyrastało więcej kępek szorstkiej trawy. Było również znacznie cieplej. O'Hara przekonał się, że może maszerować, nie tracąc tchu. Udało się, myślał rozradowany.

Niebawem usłyszeli ryk rzeki, niosącej wody z topniejących pól śnieżnych. I nagle wszystkich opanowała wesołość. Panna Ponsky bezustannie świergotała, a raz nawet krzyknęła swym piskliwym głosem, dojrzawszy ptaka, pierwszą żywą, poruszającą się istotę, na jaką natknęli się w ciągu dwóch dni. O'Hara słyszał gardłowy śmiech Aguillara; poweselał nawet Peabody, otrząsnąwszy się po porannej chłości. O'Hara znalazł się obok Benedetty. Uśmiechnęła się do niego i zapytała:

- Kto niesie kuchenkę? Wkrótce będzie nam potrzebna. Wskazał do tyłu, gdzie Willis i Armstrong ciągnęli travois.

- Tam ją zapakowałem - odparł.

Byli już bardzo blisko rzeki i oceniał, że od mostu dzieli ich jeszcze jeden zakręt.

- Chodźmy - rzekł. - Zobaczymy, co jest za tym występem.

Poczęli go obchodzić, gdy O'Hara nagle przystanął. Na drugim brzegu wezbranej,

przepluwającej tuż pod mostem rzeki byli ludzie i samochody. Kiedy ich dostrzeżono, ponad rykiem rzeki dała się słyszeć odległa wrzawa zmieszanych głosów, a niektórzy z ludzi na drugim brzegu zerwali się do biegu. O'Hara zobaczył mężczyznę wyciągającego karabin ze skrzyni ciężarówki. Rozległy się trzaski - tamci otworzyli ogień. Gwałtownie rzucił się na Benedette, zwalając ją z nóg dokładnie w chwili, gdy padł pierwszy strzał. Dziewczyna chwiejnie, potykając się, pobiegła, by się ukryć, gubiąc na środku drogi konserwy. O'Hara dał za nią susa. Jedna z puszek, trafiona kulą, wy-prysnęła nagle w powietrze, krwawiąc swą pomidorową zawartością.

Rozdział 3

Oslonięci skupiskiem wielkich głazów w pobliżu grani wąwozu O'Ha-ra, Forester i Rohde spoglądali na most. W dole płynęła rzeka. Sunęła z głębokim pomrukiem, a zielony nurt lodowatej wody ślizgał się po drażonych przez tysiąclecia ścianach. Kanion miał około pięćdziesięciu metrów szerokości.

O'Hara wciąż drżał. Kiedy niespodziewanie znalazł się pod ostrzałem, rzucił się na pobocze drogi, zwijając się z bólu - puszką w kieszeni palta boleśnie wbiła mu się w ciało. Odzyskał oddech i otępiałym wzrokiem popatrzył na leżącą pośrodku drogi podziurawioną konserwę, która krwawiła pomidorami i mielonym mięsem. To mogłem być ja, pomyślał, albo Benedetta.

Zaczął dygotać.

Kule karabinowe krzeszały z nawierzchni traktu granitowe odłamki. Kryjąc się za kamieniami, wycofali się za róg. Z niespokojną twarzą i przygotowaną do strzału bronią czekał tu na nich Rohde. Spojrzał na Benedettę, a jego usta wykrzywił obnażający zęby grymas.

- Poczekaj - powiedział cicho Forester z za jego pleców. - Nie śpieszmy się zanadto. - Położył dłoń na ramieniu O'Hary. - Co się tam dzieje?

O'Hara wziął się w garść.

- Nie miałem czasu, aby dobrze się przyjrzeć. Chyba zawalił się most. Na drugim brzegu jest kilka samochodów i, jak się zdaje, cholernie dużo ludzi.

Forester powiódł po otoczeniu wprawnym okiem.

- Wzdłuż rzeki jest mnóstwo kryjówek. Powinniśmy znaleźć pośród tych skał dobre punkty obserwacyjne, skąd nie będziemy widziani. Chodźmy.

Tak zrobili. Obserwowali teraz mrówczą aktywność na drugim brzegu rzeki. Było tam chyba dwudziestu ludzi; niektórzy zajmowali się wyładowywaniem z ciężarówki grubych belek, inni cięli linę. Trzech mężczyzn wyznaczono najwyraźniej na wartowników; stali z karabinami w dłoniach, nie spuszczać oka z grani wąwozu. W pewnym momencie jednemu z nich musiało się wydawać, że coś dostrzegł, ponieważ podniósł broń i wystrzelił.

- Jacy nerwowi - powiedział Forester. - Wałą do cieni.

O'Hara badał wzrokiem wąwóz. Rzeka była głęboka i rwąca. Przepłynięcie jej wydawało się niemożliwością. Każdy, kto by tego spróbował, pochwycony przez rwący nurt, zamarłby na śmierć w ciągu dziesięciu minut. Poza tym pozostawał problem zejścia do wody po stromym urwisku i wspięcia się na drugi brzeg, nie wspominając już o znacznym prawdopodobieństwie zarobienia kuli.

Skreślił rzekę ze sporządzanej w myślach listy możliwości i skierował uwagę na most. Była to prymitywna konstrukcja, z dwoma linami nośnymi, przyczepionymi po obu stronach wąwozu do masywnych, kamiennych przypór. Zwieszające się z lin głównych inne liny o zróżnicowanej długości podtrzymywały wykonaną z bali jezdnię mostu. Ale w środku otwierała się luka. Brakowało tu wielu belek, a liny powiewały na wietrze.

- Oto czemu nie powitali nas na lądowisku - powiedział cicho Forester. -

Widzicie tę ciężarówkę w rzece, tam, w dole, rzuconą o ścianę wąwozu?

O'Hara obrócił głowę we wskazanym kierunku i ujrzał niemal całkowicie zatopioną ciężarówkę, przez której kabinę przewalała się spieniona fala. Znów rzucił okiem na most.

- Wydaje się, że jechała na tamten brzeg, kiedy nastąpił wypadek.

- To by się zgadzało - rzekł Forester. - Sądzę, że wysłali paru ludzi, aby poczynili niezbędne przygotowania, wiecie, zaopatrzenie obozu i tak dalej, na przyjęcie grupy głównej. Kiedy ta miała przybyć, z Bóg wie jakiego powodu zjechali tutaj i zaczęli przeprawę. Nie wyszło im. I przedziurawili most, kiedy grupa główna wciąż była po tamtej stronie.

- Reperują go teraz - powiedział O'Hara. - Popatrzcie.

Na rozkołysany most, popychając przed sobą belkę, wpełzło dwóch mężczyzn.

Wspomagani wrzaskliwą salwą porad z ładu, umocowali belkę i wycofali się. O'Hara popatrzył na zegarek - zajęło im to pół godziny.

- Ile belek jeszcze zostało? - zapytał.

- Blisko trzydzieści - mruknął Rohde.

- To daje nam jakieś piętnaście godzin, zanim przedostaną się na naszą stronę.

- Więcej - zaproponował Forester. - Jest mało prawdopodobne, aby odstawiali ten cyrkowy numer w ciemnościach.

Rohde wyjął pistolet i wsparłszy go na przedramieniu, starannie wycelował w most.

- Cholera, to bez sensu - powiedział Forester. - Z pięćdziesięciu metrów z pistoletu nie trafisz w nic.

- Mogę spróbować - odrzekł Rohde. Forester westchnął.

- Dobra. Ale tylko jeden strzał. Na próbę. Ile ci zostało nabojów?

- Mam dwa magazynki z siedmioma w każdym - odpowiedział Rohde. - Oddałem już trzy strzały.

- Puknij jeszcze raz i zostanie dziesięć. To niezbyt wiele.

Rohde uparcie zaciskał usta i wciąż mierzył z pistoletu. Forester mrugnął do O'Hary i powiedział:

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wycofam się teraz.

Powoli przeszedł do tyłu, potem odwrócił się, położył na wznak i patrząc w niebo, gestem przywołał O'Harę.

- Sytuacja dojrzała chyba do zwołania narady wojennej - powiedział. - Kapitulacja albo walka. Może jednak istnieje sposób, by się z tego wywinąć. Czy masz tę swoją mapę lotniczą?

O'Hara wyjął ją.

- Nie możemy sforsować rzeki. Przynajmniej nie w tym miejscu. Forester rozłożył mapę i zaczął ją studiować. Zatrzymał palec.

- To rzeka, a tu jesteśmy. Most nie został zaznaczony. Co znaczą te ciemne smugi obok rzeki?

- Wąwóz. Forester gwizdnął.

- Cholera. Zaczyna się bardzo wysoko w górach, więc nie możemy go obejść. A w przeciwną stronę?

O'Hara z grubszą wymierzył odległość.

- Wąwóz ciągnie się w dół przez jakieś sto trzydzieści kilometrów. Ale mamy tu zaznaczony most osiemdziesiąt kilometrów od nas.

- Cholerny kawał drogi - skomentował Forester. - Wątpię, czy starszy pan zdoła to pokonać w górskim terenie.

- Jeśli to towarzystwo na drugim brzegu ma choć odrobinę oleju w głowie, wyśle tam ciężarówkę z ludźmi na nasze powitanie. Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy chcieli spróbować - powiedział O'Hara. - Mają nad nami tę przewagę, że mogą przemieszczać się szybko po drogach na niższych terenach.

- Sukinsyny zapędziły nas do narożnika - rzekł Forester. - Pozostaje tylko poddać się lub walczyć.

- Nie poddam się żadnym komunistom - odparł O'Hara.

Rozległ się suchy trzask - Rohde strzelił. I niemal natychmiast padła odpowiedź w postaci salwy karabinowej, podwojonej echem wśród okolicznych szczytów. Odbita rykoszetem kula zaświstała koło głowy O'Hary.

Podczołgał się do nich Rohde.

- Chybiłem - powiedział.

Wprawdzie Forester powstrzymał się od komentarza w stylu: „a nie mówiłem”, lecz łatwo było go wyczytać z wyrazu jego twarzy. Rohde uśmiechnął się.

- Ale powstrzymało to robotę przy moście. Wycofali się na łeb na szyję i belka spadła do rzeki.

- To już coś - stwierdził O'Hara. - Może w ten sposób będziemy ich mogli hamować.

- Jak długo? - zapytał Forester. - Mając dziesięć naboju, nie możemy powstrzymać ich wiecznie. Lepiej zrobmy tę radę wojenną. Miguel, ty zostań, ale wybierz sobie inny punkt obserwacyjny, bo ten mogli przyużyć.

O'Hara i Forester wrócili do grupki na drodze. Gdy się do niej zbliżyli, O'Hara powiedział półgłosem:

- Lepiej zrobmy coś, żeby rozkręcić to towarzystwo. Wyglądają cholernie roztrzęsionych.

Panowała atmosfera napięcia. Peabody zduszonym głosem mamrotał coś do panny Ponsky, która ten jedyny raz zachowywała milczenie. Willis siedział na skale, nerwowo postukując nogą, a nieco oddalony od grupy Aguillar przemawiał nerwowo do Benedetty. Jedyną rozluźnioną osobą wydawał się Armstrong, który ssąc pustą fajkę, ze stoickim spokojem, kreślił patykiem na ziemi jakieś wzory.

O'Hara podszedł do Aguillara.

- Zamierzamy ustalić, co robimy dalej - powiedział. - Zgodnie z pańską sugestią. Aguillar przytaknął poważnie.

- Mówiłem, że musi do tego dojść.

- Proszę się nie martwić - odrzekł O'Hara.

Popatrzył na Benedettę - na tle bladej twarzy jej oczy rysowały się jak ciemne smugi.

- Nie wiem, jak długo to potrwa. Ale może zaczęłyby pani przygotowywać posiłek.

Wszyscy poczuwają się po nim lepiej.

- Zrób tak, dziecko - powiedział Aguillar. - Pomogę ci. Jestem dobrym kucharzem, señor O'Hara.

O'Hara uśmiechnął się do Benedetty.

- Zatem pozostawiam to w waszych rękach.

Podszedł do miejsca, w którym Forester wygłaszał wprowadzenie w sytuację bojową.

- I tak to wygląda - mówił. - Jesteśmy w ślepych zaułku, z którego na pozór nie ma żadnego wyjścia. Jednak jeśli wykorzysta się głowę i determinację, można wybrnąć z największych tarapatów. Tak czy owak, to kwestia kapitulacji albo walki. Zamierzam walczyć, zresztą podobnie jak obecny tu Tim O'Hara, nieprawda, Tim? Otóż, zabiwszy go, zostaną automatycznie zmuszeni do zabicia również nas. Nie odważą się podjąć ryzyka, że historia ta roznie się po świecie. Staną się obiektem najostrzejszej krytyki, może nawet tak dokuczliwej, że utracą to, co postanowili zdobyć. Krótko mówiąc, społeczeństwo Kordyliery tego nie znieśli. Widzicie zatem państwo, że nie walczymy tylko o życie señora Aguillara, walczymy o nasze własne życie. Znów włożył fajkę do ust i wydał kolejny nieprzystojny odgłos.

- Czy to oznacza, że opowiada się pan za walką? - zapytał Forester.

- Oczywiście - odrzekł zdumiony Armstrong. - Czyż nie słuchał pan tego, co mówiłem?

Peabody popatrzył nań ze zgrozą.

- Jezu! W co ja się wpakowałem - wydusił z siebie i zatopił głowę w dłoniach.

Forester uśmiechnął się do O'Hary i zapytał:

- A zatem, doktorze Willis?

- Walka - odparł Willis krótko.

O'Hara zachichotał. Jeden akademik przekonał drugiego.

- Gotów jesteś zmienić zdanie, Peabody? - spytał Forester. Peabody podniósł twarz.

- Naprawdę sądzicie, że zamierzają nas wszystkich skasować?

- Jeśli zabiją Aguillara, nie widzę, co innego im jeszcze pozostaje - odrzekł Armstrong. - A zabiją go, rozumie pan.

- O, do diabła - wystękał Peabody w udęcie niezdecydowania.
- No, dalej - rozkazał Forester szorstko. - Wchodzisz czy wypadasz z gry?
- No, chyba będę musiał do was dołączyć - powiedział Peabody żałośnie.
- Więc postanowione - podsumował Forester. - Jednogłośnie. Powiem Aguillarowi, a sposoby walki omówimy przy posiłku.

Panna Ponsky pobiegła pomóc Aguillarom przy gotowaniu, O'Hara zaś wrócił nad rzekę, by zobaczyć, co robi Rohde. Odwróciwszy się, dostrzegł Armstronga rozmawiającego z Willisem i znów rysującego coś patykiem na ziemi. Willis sprawiał wrażenie zainteresowanego.

Rohde wynalazł sobie lepszy punkt obserwacyjny i O'Hara nie mógł go znaleźć.

Wypatrzywszy na koniec sterczącą zza skały podeszwę buta, dołączył do Rohdego, który wyglądał na człowieka zadowolonego.

- Nie wyleźli jeszcze ze swoich dziur - powiedział. -1 to już od godziny. Jeden niecelny strzał powstrzymał ich na godzinę.

- Bomba - rzekł O'Hara sardonicznie. - Dziesięć kul to dziesięć godzin.

- Jest nawet lepiej - zaprotestował Rohde. - Mają do umocowania trzydzieści belek, co bez moich strzałów zajmie im piętnaście godzin, a ze strzelaniną dwadzieścia cztery godziny. Nie będą pracować w nocy, mamy więc pełne dwa dni. O'Hara skinął głową.

- Daje nam to czas, by zastanowić się nad tym, co robić dalej - przyznał. -

Kiedy jednak skończą się naboje, a most zostanie załatany, na nasz brzeg przeprawi się tuzin uzbrojonych i bezwzględnych mężczyzn. I będzie jatka.

- Zostanę tu - powiedział Rohde. - Podeslij mi coś do jedzenia, kiedy będzie gotowe. - Skinieniem głowy pokazał na most. - Wiedząc, że znajdzie się pod ostrzałem, człowiek, który na to wejdzie, musi być odważny. A nie posądzam tych facetów o odwagę. Może każda kula da nam więcej niż godzinę.

Dołączywszy do grupy, O'Hara wprowadził Forestera w sytuację.

- Dwa dni... być może dwa dni, żeby coś wykombinować - Forester skrzywił twarz. - Ale co?

- Sądzę, że wskazane byłoby powołanie Komitetu Sił i Środków - odparł O'Hara.

Usiedli kręgiem na skąpej trawie. Benedetta i panna Ponsky serwowały posiłek na znalezionych w osadzie aluminiowych talerzach.

- To jest narada wojenna - powiedział Forester. - Zatem proszę mówić konkretnie, bez czczej gadaniny. Nie mamy czasu do stracenia. Mile widziana każda sensowna sugestia.

Nastąpiła chwila martwej ciszy, którą przerwała panna Ponsky.

- Sądzę, że główny problem polega na tym, jak powstrzymać ich przed zreperowaniem mostu. Cóż, czy nie moglibyśmy zrobić czegoś z naszej strony - poprzecinać liny czy coś w tym rodzaju?

- Myśl w założeniu słuszna - powiedział Forester. - Sajakieś zastrzeżenia?

Zerknął na O'Hare, doskonale wiedząc, co ten powie.

O'Hara kwaśno popatrzył na Forestera; wyglądało na to, że został głównym strategiem, a rola ta wcale go nie bawiła. Odpowiedział z namysłem:

- Podejście do mostu po naszej stronie jest zupełnie otwarte. Na odcinku przynajmniej stu metrów nie ma żadnej osłony. Widzieliście, co tego ranka przydarzyło się Benedettcie i mnie. Każdy, kto spróbuje dostać się do mostu traktem, zostanie skoszony w pół drogi. To dystans, z jakiego nie można chybić.

Wcale nie muszą być strzelcami wyborowymi. - Przerwał. - Zdaję sobie sprawę, że jest to jedyny sposób dostania się na most, ale rzecz wydaje mi się niemożliwa.

- Co powiecie o ataku nocnym? - zapytał Willis.

- Brzmi nieźle - odparł Forester.

I jeszcze raz, choć nie miał na to najmniejszej ochoty, O'Hara musiał wypowiedzieć swoje zdanie.

- Nie chcę uchodzić za pesymistę, lecz nie sądzę, by faceci po tamtej stronie byli kompletnymi durniami. Dysponują dwiema ciężarówkami i przynajmniej czterema dżipami. Każdy z tych pojazdów ma co najmniej dwa reflektory. W nocy będą dobrze oświetlały cały most.

Znów zapadło milczenie. Armstrong chrząknął.

- Z Willisem odwaliliśmy trochę pracy koncepcyjnej i wpadliśmy na coś, co może okazać się pomocne. A mogę w tym uchodzić za eksperta. Wiedzą państwo, że zajmuję się historią średniowiecza. I tak się składa, że mam w tej dziedzinie specjalizację, a jest nią średniowieczna sztuka wojenna. Postrzegam nasze położenie tak, jak gdybyśmy znajdowali się w zamku otoczonym fosą, z mostem zwodzonym. Przypadkiem most jest podniesiony. Jednak nasi nieprzyjaciele usiłują zmienić ten stan rzeczy. Nasze zadanie polega na tym, by ich powstrzymać.

- W jaki sposób? - zapytał O'Hara. - Dźgać piką?

- Nie pogardzałbym zanadto średniowiecznym orężem, O'Hara - odrzekł Armstrong łagodnie. - Przyznaję, że ludzie tamtych czasów nie byli równie jak my zręczni w sztuce zadawania masowej śmierci, lecz mimo to potrafili zabijać się wzajem w zadowalającym tempie. Otóż broń Rohdego jest bardzo nieprecyzyjna na dystans, na jaki jest używana. Potrzebujemy zatem broni sprawniejszej aniżeli pistolet Rohdego.

- Więc wszyscy przemieniamy się w Robin Hoodów - powiedział Pe-abody kpiąco. - Z dobrymi, starymi łukami. Nie, na rany boskie, profesorze.

- Ach, nie - odparł Armstrong. - Łuk w dłoniach nowicjusza jest bardzo kapryśny.

Potrzeba przynajmniej pięciu lat, aby wyszkolić dobrego łuczника.

- Potrafię posługiwać się łukiem - wtrąciła panna Ponsky. Poczzerwieniła, gdy wszystkie oczy zwróciły się na nią. - Jestem prezeską damskiego Klubu Zbójnickiego w South Bridge. W ubiegłym roku odniosłam swoje małe zwycięstwo na zawodach okręgowych.

- To interesujące - powiedział Armstrong.

- Czy potrafi pani strzelać z łuku w pozycji leżącej, panno Ponsky? - zapytał O'Hara.

- Będzie to trudne - odrzekła. - Może nawet niemożliwe. Ruchem głowy O'Hara wskazał na wąwóz.

- Kiedy stanie tam pani z łukiem, podziurawią panią jak sito. Obruszyła się.

- Panie O'Hara, byłoby lepiej, gdyby zamiast krytykować, sam pan coś zaproponował.

- Muszę to zrobić - powiedział beznamiętnie. - Nie chcę, by ktokolwiek zginął niepotrzebnie.

- Rany boskie! - wykrzyknął Willis. - Kto tu mówił o łukach? Nie wcho-dzaw grę. Nie dysponujemy odpowiednim materiałem. Może będziecie państwo łaskawi wysłuchać, co ma do zaproponowania Armstrong? - nieoczekiwanie jego głos zabrzmiał stanowczo.

Powietrze popołudnia rozdarł najpierw suchy trzask pistoletu Rohdego, a potem grzechot salwy z drugiego brzegu wąwozu. Peabody odruchowo pochylił się. O'Hara spojrział na zegarek. Minęła godzina i dwadzieścia minut - pozostało im dziewięć kul.

- Jedyne pozytywne aspekty sprawy - powiedział Forester - polega na tym, że jesteśmy bezpieczni. Ich karabiny nie mogą nas tutaj osiągnąć. Niech pan przedstawi swoją propozycję, doktorze Armstrong.

- Myślałem o czymś zbliżonym do kuszy - wyjaśnił. - Każdy, kto umie strzelać z karabinu, potrafiłby posłużyć się kuszą, której efektywny zasięg przekracza sto metrów. - Uśmiechnął się do O'Hary. - Można z niej strzelać również w pozycji leżącej.

Przypadło to O'Harze do gustu. Mogliby nie tylko szachować most, ale także

skręcającą na północ drogę po przeciwnej stronie, która biegła wzdłuż grani i na której stały pojazdy nieprzyjaciela.

- Czy to ma jakąkolwiek skuteczną siłę rażenia? - zapytał.

- Uderzywszy pod kątem prostym, bełt z łatwością przebija zbroję - odparł Armstrong.

- A na przykład zbiornik paliwa?

- Ach, bez większego trudu.

- Nie tak szybko - wtrącił Forester. - Jak, do diabła, mamy zmajstrować te kusze?

- Musi pan zrozumieć, że w tych zagadnieniach jestem ledwie teoretykiem - wyjaśnił Armstrong - nie zaś mechanikiem czy inżynierem. Ale Willisowi opisałem to, o co mi chodzi, a on stwierdził, że potrafi to wykonać.

- Myszkowaliśmy z Armstrongiem w osadzie - włączył się Willis. - Jedna z chat służyła jako warsztat i poniewiera się tam mnóstwo odpadków. Rozumiecie państwo, zwykle śmieci, jakie zawalają warsztaty ślusarskie. Moim zdaniem, opuszczając to miejsce uznano, że nie warto trudzić się ich wywożeniem. Jest tam trochę sprężyn i kawałków metalowych prętów. A poza tym nieco stali zbrojeniowej, którą można pociąć na strzały.

- Bełty - sprostował pobłaźliwie Armstrong. - Myślałem zrazu o wykonaniu pewnego rodzaju kuszy, z której strzela się kulami. Jednak Willis przekonał mnie, że łatwiej nam będzie wykonać bełty.

- A jak z narzędziami? - zapytał O'Hara. - Czy macie coś do cięcia metalu?

- Jest trochę brzeszczotów - odparł Willis. - Widziałem też parę poszczerbionych pilników. No i przedpotopową ręczną szlifierkę. Dam sobie radę. Mam zręczne ręce i potrafię dostosować projekty Armstronga do dostępnego materiału.

O'Hara popatrzył na Forestera, a ten powiedział powoli:

- Zbudowana z odpadków broń, która jest celna na odległość stu metrów - to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Czy ma pan absolutną pewność, doktorze Armstrong?

- Och, tak - odrzekł Armstrong pogodnie. - W swoim czasie kusza uśmierciła tysiące ludzi i nie widzę powodów, dla których nie miałyby załatwić jeszcze kilku. A poza tym Willis jest przekonany, że potrafi ją wykonać. - Uśmiechnął się. - Tu naszkicowałem plan. - Pokazał na kilka linii narysowanych w pyłe drogi.

- Jeśli mamy to zrobić, niezwłocznie bierzmy się do roboty - powiedział O'Hara.

- Dobra - Forester spojrzął na słońce. - Macie dość czasu, by dotrzeć do osady przed zmrokiem. To pod górę, ale będziecie podróżować bez bagażu. Peabody, ty też pójdziesz. Willisowi przyda się dodatkowa para rąk.

Peabody przytaknął ochoczo. Wolał to niż pozostanie w pobliżu mostu.

- Chwileczkę- wtrącił Aguillar, zabierając głos po raz pierwszy. - Most zbudowany jest z lin i drewna, a zatem z materiałów łatwopalnych. Czy rozważaliście możliwość użycia ognia? Señor O'Hara podsunął mi ten pomysł, mówiąc o zbiornikach paliwa.

- Hm - odparł O'Hara. - Ale jak przeniesiemy ogień na most?

- To temat do zastanowienia dla wszystkich - podsumował Forester. - Teraz bierzmy się do roboty.

Armstrong, Willis i Peabody ruszyli niezwłocznie w długą wędrówkę do osady.

- Do tej pory nie wiedziałem, co myśleć o Willisie - powiedział Forester. - Nie należy do ludzi otwartych. Ale już go rozgryzłem: to facet praktyczny. Daj mu coś do wykonania, a zrobi to bez względu na przeszkody, zrobi to na pewno.

Aguillar uśmiechnął się.

- Armstrong również jest zdumiewający.

- Mój Boże - westchnął Forester. - Kusze w dzisiejszych czasach...

- Musimy pomyśleć o urządzeniu obozowiska - wtrącił O'Hara. - Tu nie ma wody, a poza tym nasze główne siły znajdują się zbyt blisko nieprzyjaciela. Mniej więcej kilometr stąd jest jeziorko. Sądzę, że to dobre miejsce.

- Benedetta, zajmij się tym - rozkazał Aguillar. - Panna Ponsky ci pomoże. - Odprowadził wzrokiem obie kobiety. - Jest jeszcze coś, co musimy przedyskutować. I to z udziałem Miguela. Przejdźmy do niego.

Rohde był rozradowany.

- Jeszcze nie umieścili na moście ani jednej belki. Rozbiegli się jak stadko królików.

Aguillar opowiedział mu o wynikach narady.

- Kusza? - zapytał niepewnie.

- Też uważam, że to szaleństwo - stwierdził Forester. - Ale Armstrong zapewnia, że to zda egzamin.

- Armstrong to wartościowy człowiek - powiedział Aguillar. - Bierze pod uwagę potrzeby chwili. Ale ja myślę o przyszłości. Założmy, że powstrzymamy tych ludzi. Założmy, że zniszczymy most. I co dalej?

- Nasza sytuacja w gruncie rzeczy nie będzie lepsza - odparł O'Hara z zadumą. - Cokolwiek by się stało, mają nas w potrzasku.

- Otóż to - przytaknął Aguillar. - Prawda, mamy mnóstwo żywności. Nic to jednak nie znaczy. Czas jest dla tych ludzi równie ważny jak dla mnie. Uniemożliwiając mi działanie, realizują swój cel.

- Tak, trzymając pana w tym miejscu, eliminują pana z gry - zgodził się Forester. - Pańskim zdaniem, ile czasu dzieli nas od zaplanowanego przez komunistów coup d'etat?

Aguillar wzruszył ramionami.

- Miesiąc, może dwa, ale z pewnością nie więcej. My sami przyśpieszyliśmy przygotowania, widząc oznaki wzmożonej aktywności komunistów. To wyścig, którego stawką jest los Kordyliery, a może nawet całej Ameryki Łacińskiej. A czas ucieka.

- Pańska mapa, señor O'Hara - powiedział niespodziewanie Rohde. O'Hara wyjął mapę i rozłożył ją na skale. Rohde prześledził palcem szlak rzeki na południu i północy, a potem pokręcił głową.

- Ta rzeka, ten wąwóz to potrzask przygważdżający nas do gór - oświadczył.

- Zgodziliśmy się, że nie ma sensu ruszać ku mostowi w dole rzeki - powiedział Forester. - Z pewnością jest strzeżony, a poza tym to szmat drogi.

- A co niby miałyby ich powstrzymać przed przeprawieniem się przez tamten most i oskrzydleniem nas?

- Dopóki sądzą, że zdołają nareperować ten most, nie zrobią tego - odparł Aguillar. - Komuniści to nie supermeni. Są równie leniwi jak wszyscy inni i wcale im nie w smak osiemdziesięciokilometrowa wędrówka po górach, która zajmie przynajmniej cztery dni. Dlatego myślę, że zadowolą się przytrzymaniem ptaszka w klatce.

Palce Rohdego przesunęły się po mapie ku zachodowi.

- Więc pozostają nam tylko góry.

Forester odwrócił głowę i powiódł spojrzeniem po stromych zboczach i lodowatych wierzchołkach.

- To sprawa prawie beznadziejna. Według mnie, señor Aguillar, nie na nasze siły.

- Wiem - zgodził się Rohde. - On tu musi pozostać. Lecz ktoś powinien przejść górami i wezwać pomoc.

- Zastanówmy się, czy to w ogóle możliwe - powiedział O'Hara. - Zamierzałem lecieć przez Puerto de las Aguillas. Oznacza to, że ktoś zmierzający w przeciwnym kierunku musiałby przejść trzydzieści kilometrów na północ, zanim przez przełęcz skieruje się na zachód. No i musiałby wędrować dosyć wysoko, aby obejść ten cholerny wąwóz. Sama

przełęcz nie jest taka straszna, to mniej niż pięć tysięcy metrów.

- W sumie mniej więcej, pięćdziesiąt kilometrów do Doliny Santos -wtrącił Forester. - I to w linii prostej. Górą będzie to prawdopodobnie osiemdziesiąt.

- Jest jeszcze inna droga - wtrącił cicho Rohde i wskazał na góry. - Ten masyw jest wysoki, lecz niezbyt szeroki. Po tamtej stronie leży Dolina Santos.

Nakreśliwszy na mapie linię od tego miejsca do Altemiros w dolinie Santos, przekonacie się, że to najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów.

O'Hara pochylił się nad mapą i zmierzył odległość.

- Słusznie. To jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Ale to same szczyty.

- Jakież trzy kilometry na północny zachód od kopalni jest przełęcz -powiedział Rohde. - Bezimienna, bo nie ma takich durniów, którzy by z niej korzystali.

Jakież pięć tysięcy osiemset metrów nad poziomem morza.

Forester szybko przeliczył na stopy.

- Uhuhu!

- Co z niedoborem tlenu? - zapytał O'Hara. - Mieliśmy z tym już dość kłopotów.

Czy człowiek zdoła przejść przez tę przełęcz bez butli tlenowej?

- Dokonałem tego - odparł Rohde. - Fakt, że w bardziej sprzyjających warunkach.

To tylko kwestia aklimatyzacji. Wiedzą o tym alpiniści. Dlatego przez wiele dni pozostają na jednej wysokości, potem przenoszą się do obozowiska położonego wyżej, gdzie również przed podjęciem dalszej wspinaczki spędzają kilka dni.

Chodzi o to, by dostroić organizm do zmieniających się warunków. - Spojrzał na góry. - Gdybym jutro udał się do osady, spędził tam dzień, dwa przy kopalni,

mógłbym, jak sądzę, sforsować przełęcz.

- Nie możesz iść sam - zaproponował Forester.

- Pójdę z tobą - powiedział O'Hara natychmiast.

- Chwileczkę - rzekł Forester. - Czy jesteś wspinaczem?

- Nie - odparł O'Hara.

-A ja jestem. To znaczy szwendałem się po Górach Skalistych. Przecież to się powinno liczyć. Czyż nie tak? - zaapelował do Rohdego.

- Miguel, nie powinieneś iść sam - stwierdził Aguillar.

- Doskonale - zgodził się Rohde. - Wezmę jedną osobę - ciebie. - Skinął w stronę Foreстера i uśmiechnął się ponuro. - Ale już teraz mogę ci obiecać, że

pożałujesz.

Forester uśmiechnął się promiennie i odrzekł:

- Cóż, Tim, zostajesz jako dowódca garnizonu. Będziesz miał pełne ręce roboty.

- Si - powiedział Rohde. - Musisz ich powstrzymać.

O'Hara pomyślał, że z łatwością można by tu złamać nogę - i gdzieś w głębi jego umysłu słabo zaświtał pewien pomysł.

Po jakimś czasie rozdzielili się. O'Hara poszedł na lewo, a dziewczyna na prawo.

Przez godzinę przedzierali się pomiędzy skałami, poszukując choćby najmniejszej kryjówki, która dałaby osłonę przed nocnymi wiatrami. O'Ha-ra nie znalazł nic, lecz usłyszawszy słaby okrzyk Benedetty, przeciął zboczem, by zobaczyć, na co natrafiła.

Nie była to pieczara, lecz zaułek powstały z przypadkowego spiętrzenia kamieni.

Wielki głaz stoczył się z góry i zaklinował pomiędzy dwoma innymi, tworząc coś w rodzaju zadaszania. Całość przypominała nieco kromlech, jaki O'Hara oglądał w Dartmoor, lecz ta formacja była znacznie większa. Oszacował ją spojrzeniem.

Przynajmniej da schronienie przed śniegiem i deszczem, a także trochę osłoni przed wiatrem. Wszedł do środka i w głębi znalazł sporą nieckę.

- Doskonale - powiedział. - Pomieści się w tym dużo wody, może ze dwadzieścia galonów.

Odwrócił się i popatrzył na Benedettę. Wysięk pokrył jej policzki lekkim rumieńcem i wyglądała teraz znacznie lepiej. Wyjął papierosa.

- Palisz?

- Nie - pokręciła głową.

- Bomba - stwierdził z zadowoleniem. - Właśnie na to liczyłem. - Zerknął do paczki: zostało mu jedenaście sztuk. - Widzisz, jestem typem samoluba. Wolalbym je zachować dla siebie.

Przysiadł na skale, zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. Benedetta usiadła obok niego.

- Cieszę się, że postanowiłeś pomóc mojemu wujowi - powiedziała. O'Hara uśmiechnął się.

- Kilku z nas wcale nie było zdecydowanych. Trzeba było mocnych argumentów, aby przywieść ich do rozsądku. Jednak w końcu osiągnęliśmy jednogłośnie.

- Czy sądzisz - zapytała ściszym głosem - że mamy jakąkolwiek szansę wyjść z tego cało?

O'Hara zagryzł wargi.

- Nie ma sensu ukrywać prawdy. Mysz w łapach kota ma więcej szans niż my. Jeśli sforsują most, a my będziemy wówczas równie bezbronni jak teraz, sprawa będzie beznadziejna. - Powiódł dłonią po okolicy. - Istnieje jedna jedyna szansa: jeśli rozdzielimy się, a każdy z nas ruszy w innym kierunku, także oni będą musieli się rozdzielić. To ciężki teren, ale może komuś z nas uda się wymknąć, aby powiadzić, co przydarzyło się pozostałym. Marna to jednak pociecha.

- Dlaczego wobec tego postanowiliście podjąć walkę? - zapytała zbita z tropu.

O'Hara prychnął.

- Armstrong przedstawił garść nader spójnych argumentów. - Zapoznał ją z nimi, a potem dodał: - Jednak ja walczylibym tak czy owak. Nie podobają mi się ci chłoptysie zza rzeki; nie podoba mi się to, co robią z ludźmi: Nie ma znaczenia, czy ich skóra jest żółta, biała czy brązowa, ulepieni są z tej samej gliny.

- Señor Forester mówił mi, że walczyliście razem w Korei.

- Możliwe... Prawdopodobnie walczyliśmy. Służył w szwadronie amerykańskim, z którym odbywaliśmy niekiedy wspólne loty, ale nigdy go osobiście nie spotkałem.

- To musiało być okropne - powiedziała. - Ta cała wojna.

- Nie za bardzo - odparł O'Hara. - Przynajmniej jej część bojowa. - Uśmiechnął się. - Przyzwyczajasz się, że do ciebie strzelają. Sądzę, że ludzie są zdolni przyzwyczać się do wszystkiego, jeśli trwa to dostatecznie długo. Prawie do wszystkiego. To jedyne, co umożliwia prowadzenie wojen: fakt, że ludzie adaptują się i największe szaleństwa zaczynają traktować jako coś normalnego. Inaczej nie przetrzymaliby tego.

- Wiem - przytaknęła. - Wystarczy popatrzeć na nas. Ci ludzie strzelają do nas, a Miguel odpowiada ogniem, bo uważa to za najnormalniejszą rzecz na świecie.

- Bo to jest najnormalniejsza rzecz na świecie - odrzekł szorstko. - Człowiek to zwierzę waleczne. Ta cecha pozwoliła mu zająć miejsce, jakie zajmuje obecnie - władcy planety. - Skrzywił wargi. - Ta cecha nie pozwala mu również dokonać rzeczy większych. - Nagle roześmiał się. - Chryste, to nie czas na filozofowanie o wojnie, pozostawmy to Armstrongowi.

- Powiedziałeś coś dziwnego - odezwała się Benedetta. - Otóż powiedziałeś, że Korea nie była aż tak okropna, przynajmniej sama walka. - Więc jeśli nie walka, cóż było w niej okropnego?

Spojrzenie O'Hary uciekło w dal.

- Czas po zakończeniu walki. Kiedy przestałem walczyć... kiedy nie mogłem już walczyć. Wtedy zaczęło się najpotworniejsze.

- Byłeś jeńcem? W rękach Chińczyków? Forester wspominał coś o tym. O'Hara odrzekł powoli:

- Zabijałem ludzi w walce... ogarnięty wojną gorączką... i prawdopodobnie będę to robić znowu, w dodatku już niedługo. Ale co te komunistyczne sukinsyny mogą

robić z wyrachowaniem, z zimną krwią, to nie mieści się... - pokręcił głową z rozdrażnieniem. - Wolałbym o tym nie mówić.

Nagle naszła go wizja pozbawionej wyrazu twarzy chińskiego porucznika Fenga. Było to coś, co od czasów Korei nawiedzało go we snach i kazało budzić się z krzykiem. To był powód, dla którego wołał przepecone, bezsenne i bezmyślne noce pijaka.

- Porozmawiajmy o tobie - zaproponował. - Dobrze mówisz po angielsku, gdzie się tego nauczyłaś?

Wyczuła, że wstąpiła na teren zakazany i bolesny.

- Przepraszam, że o to pana spytałam - powiedziała ze skruchą.

- Nic się nie stało. Skończmy jednak z tym panem O'Hara. Mam na imię Tim.

Uśmiechnęła się delikatnie.

- Kształciłam się w Stanach, Tim. Wujek wysłał mnie tam po przewrocie Lopeza. -

Wybuchnęła śmiechem. - Angielskiego uczyła mnie nauczycielka bardzo podobna do panny Ponsky.

- Ach, to dopiero twarda turkaweczka - powiedział. - Wuj cię wysłał? A co z rodzicami?

- Matka umarła, kiedy byłam dzieckiem, a ojciec... Lopez kazał go rozstrzelać. O'Hara westchnął.

- Chyba obydwójce dotykamy bolesnych ran, Benedetto. Wybacz.

- Tak już jest na tym świecie, Tim - odrzekła smutno.

- Każdy, kto na tym świecie liczy na czystą grę, jest cholernym głupcem. Właśnie dlatego wpakowaliśmy się w ten bigos. Wracajmy, ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

Przyhartował papierosa i skrzętnie wetknął niedopałek do paczki. Wstając, Benedetta zapytała:

- Czy sądzisz, że sprawdzi się ten pomysł señora Armstronga z kuszą? - Nie -

odparł bez ogródek. - Myślę, że Armstrong jest romantykiem. Jest specjalistą-teoretykiem od wojen sprzed tysiąca lat, a nie przychodzi mi do głowy nic, co dzisiaj byłoby bardziej abstrakcyjne od nich. To facet z wieży z kości słoniowej, akademik, teoretycznie krwiożerczy, ale na widok krwi żołądek podejździe mu do gardła. A poza tym uważam, że jest lekko stuknięty.

III

Z bulgoczącą fajką w zębach Armstrong obserwował Willisa, myszkującego w zaścieniałej warsztat kupie odpadków. Serce Armstronga waliło gwałtownie i brakowało mu powietrza, chociaż tym razem wysokość nie dawała mu się tak we znaki, jak podczas poprzedniego pobytu w osadzie. Przetrawiał w umyśle szczegóły swej zawodowej wiedzy - nauki o zabijaniu bez użycia prochu strzelniczego. Chłodno i precyzyjnie rozmyślał o zasięgach, trajektoriach i sile rażenia, jakie można uzyskać z kawałków zgiętej stali i skręconych jelit. Próbował zarazem zaadaptować owe pomysłowe mechanizmy, tak wyraziście wyrysowane w jego głowie, do materiałów i potrzeb chwili. Popatrzył na belki stropowe chaty i olśnił go nowy pomysł; przestał jednak o nim myśleć - najpierw należało zająć się kuszą.

Willis wyprostował się. Trzymał w dłoni płaską sprężynę.

- To z samochodu. Nada się na kuszę?

Armstrong spróbował ją zgiąć i przekonał się, że jest bardzo sztywna.

- Niezwykle mocna - powiedział. - Prawdopodobnie mocniejsza niż wszystko, czym dysponowano w średniowieczu. Będzie z tego potężna broń. Może jest nawet za sztywna - nie wiem, czy będziemy potrafili ją zgiąć.

- Przeanalizujmy problem jeszcze raz - zaproponował Willis. Armstrong zaczął rysować na odwrocie koperty.

- W lekkich, sportowych kuszach używa się strzemięcia, które jednak nie wystarczy dla broni, o jakiej myślimy. Przy cięższych kuszach bojowych stosowano dwie metody naciągania - pierwsza to dźwignia z zapadką - wyglądająca mniej więcej tak - którą zdominowano do strzału, a druga to korba poruszająca serię trybów.

Willis spojrzął na szkice i skinął głową.

- Najlepszym rozwiązaniem dla nas jest korba. Ten numer z zapadką trudno byłoby wykonać. A j jeśli rzecz okaże się niezbędna, możemy spiłować sprężynę i tym sposobem ją osłabić. - Rozejrzał się dokoła. - Gdzie jest Peabody?

- Nie wiem - odparł Armstrong. - Zabieramy się do roboty.

- Lepiej go znajdziemy - powiedział Willis. - Zapędzimy go do robienia strzał. To powinno być proste zajęcie.

- Bełtów - poprawił go Armstrong cierpliwie.

- Jak zwał, tak zwał. Bierzmy się do roboty.

Znaleźli Peabody'ego w jednej z chat, gdzie podgrzewał sobie puszkę fasoli.

Niechętnie wrócił do warsztatu i przystąpili do roboty. Armstronga zdumiewała sprawność palców Willisa. Z niewiarygodnych materiałów, posłu-gując się jeszcze gorszymi narzędziami, wyczarował nadające się do użytku części. Stwierdzili, że stara szlifierka jest ich najsprawniejszym przyrządem tnącym, jakkolwiek ma skłonność do marnowania materiału. Armstrong kręcił korbką w pocie czoła, a że sił nie starczało mu na długo, zaczęli to robić na zmianę; przy czym on i Willis wykonywali swoje zadanie w milczeniu. Peabody zaś ze stekiem przekleństw na ustach.

Zerwali z chaty przewody elektryczne i odarli je z izolacji. Pocięli stal zbrojeniową na kawałki i ponacinali ich końcówki, by można było zaopatrzyć je w lotki. Było zimno. Z ich odrętwiałych dłoni sączyła się krew.

Pracowali całą noc i świt rozjaśniał już niebo, gdy Armstrong wziął w ręce ukończoną broń, przypatrując się jej trochę bez przekonania.

- Wyszła nieco inaczej, niż sobie wyobrażałem, ale sądzę, że będzie działać. -

Ospale potarł oczy. - Teraz zniosę ją na dół, może się tam przydać.

Willis ciężko wsparł się o ścianę chaty.

- Mam pomysł lepszego rozwiązania. To bydlę ciężko będzie naciągnąć. Ale najpierw potrzebuję trochę jedzenia i snu. - Jego głos przeszedł w mamrotanie i Willis gwałtownie zamrugnął oczami.

Całą noc reflektory nieprzyjacielskich pojazdów oświetlały most. Było oczywiste, że wypad z zamiarem poprzecinania lin skazany był na niepowodzenie. Wróg, nie mając ochoty wchodzić w światło, kiedy z ciemności może paść strzał, zrezygnował z nocnej pracy przy moście.

Forester przepelniony był wzdargą.

- Cholerni głupcy - powiedział. - Jeśli nie możemy trafić ich przy świetle dziennym, to pewne, że nie trafimy ich nocą. Ale gdyby mieli choć odrobinę oleju w głowie, powinni wiedzieć, że właśnie w ciemnościach mogą najłatwiej zorientować się, skąd strzelamy. Wysłaliby na most swojego człowieka, aby ściągnął na siebie ogień, a potem podziurkowaliby naszego jak sito.

Za dnia nieprzyjaciel pracował. I znacznie mniej obawiał się strzałów.

Dotychczas nikt nie został trafiony i stało się jasne, że bez niewiarygodnego zbiegu okoliczności nic złego stać im się nie może. Rankiem w pistolecie Rohdego było tylko sześć kul, a na moście przybyło dziewięć belek.

Do dziewiątej Rohde zmarnował dwie kolejne kule i właśnie wówczas drogą nadszedł Armstrong, dźwigając swoją konstrukcję.

- Macie. To wasza kusza. - Potarł przekrwione, zmęczone oczy. - Mówiąc fachowo, nazwałbym to arbalestą.

- Dobry Boże, szybko się uwinęliście - powiedział O'Hara.

- Pracowaliśmy całą noc - odparł ze znużeniem Armstrong. - Sądziłem, że będzie wam pilnie potrzebna.

- Jak działa? - O'Hara z zaciekawieniem oglądał oręż.

- Metalowa pętla przy końcu łoża to strzemię, stawiacie je na ziemi i wkładacie w nie stopę. Potem bierzecie tę linkę, chwytacie haczykiem za cięciwę i zaczynacie kręcić tą korbką. Odciąga to cięciwę do położenia, w którym zostanie pochwycona przez zaczep spustowy. Wkładacie bełt w łożo i jesteście gotowi do strzału. Naciskacie spust i zaczep opada, zwalniając cięciwę.

Kusza ciążyła w dłoniach O'Hary. Jej łuk wykonany był z resoru samochodowego, cięciwa zaś - z elektrycznego kabla, dla większej mocy splecionego w sześciopasmową linkę. Również linka odciągająca była potrójnie skręconym kablem. Korpus i spust zrobione zostały z drewna, a łożo, w którym spoczywał bełt, z kawałka rury osłaniającej przewody elektryczne.

Był to triumf improwizacji.

- Musieliśmy osłabić resor - powiedział Armstrong - lecz wciąż ma niezłą krzepę. A to jest bełt, wykonaliśmy takich tuzin.

Bełt był po prostu odcinkiem potężnie pordzewiałego metalowego pręta o długości czterdziestu centymetrów i o średnicy jednego centymetra. Na jednym jego końcu tkwiły w nacięciach lotki wykonane z puszek po mleku w proszku; drugi koniec był zaostrzony. O'Hara zważył go w dłoni. Był dość ciężki.

- Jeśli ten interes nie zabije na miejscu, trafiony na pewno skona na tęzec. Czy zasięg jest taki, jaki przewidywałeś?

- Odrobinę większy - odrzekł Armstrong. - Te bełty są cięższe niż średniowieczne oryginały, ponieważ w całości wykonane zostały ze stali, dawniejsze zaś miały drzewce. Ale rekompensuje to większa siła łuku. Może byście spróbowali?

O'Hara wsunął stopę w strzemię i zakręcił korbką. Szło to ciężiej, niż się spodziewał, ponieważ łuk był bardzo sztywny. Umieszczając bełt w łożu, zapytał:

- Do czego mam strzelić? Co powiesz o tamtym nasypie?

Nasyp znajdował się w odległości jakichś sześćdziesięciu metrów. O'Hara uniósł kuszę.

- Spróbuj na leżąco - wtrącił pospiesznie Armstrong. - Tak, jak będziemy korzystać z tego w walce. Tor pocisku jest bardzo płaski, więc nie powinieneś mieć większych kłopotów z celowaniem. Uznałem, że przestrelimy broń dopiero tutaj. Wyjął parę gadżetów zrobionych z drutu. - Użyjemy prostego celownika pierścieniowego.

O'Hara położył się, niezręcznie przyciskając do ramienia toporną drewnianą kolbę. Patrząc wzdłuż linii łoża, najlepiej jak potrafił wycelował w brązową łatę ziemi. Potem nacisnął spust, a gdy cięciwa została zwolniona, poczuł mocne kopnięcie. Z samego skraju wybranego celu wzbil się obłoczek kurzawy. O'Hara wstał i rozmasował ramię.

- Dobry Boże - powiedział zdumiony - kopie jak diabli. Na twarzy Armstronga zagościł nikły uśmieszek.

- Wydostałmy bełt.

Podeszli do nasypu, lecz O'Hara nie potrafił dostrzec pocisku:

- Powinien być tu - powiedział. - Wyraźnie widziałem kurz. Armstrong uśmiechnął się.

- Mówiłem, że to potężna broń. Bełt jest tu.

O'Hara mruknął ze zdumienia, widząc, co Armstrong ma na myśli. Bełt wszedł w ziemię głębiej niż na całą swą długość i tkwił tam całkowicie schowany. Gdy Armstrong go wydobywał, O'Hara powiedział:

- Niech każdy spróbuje. Zorientujemy się, kto strzela najlepiej. - Spojrzał na Armstronga. - A ty się prześpij, chyba jesteś na ostatnich nogach.

- Zaczekam. Chcę zobaczyć kuszę w akcji. Może będą potrzebne jakieś modyfikacje.

Willis robi już następną, przyszedł mu do głowy pewne udoskonalenie. Peabody'ego zagoniliśmy do produkcji bełtów. - Wyprostował się, trzymając pocisk w dłoni. - No i muszę ustawić celownik.

Wszyscy, z wyjątkiem Aguillara i Rohdego, podjęli ćwiczenia z kuszą i - co może nie było zaskoczeniem - najlepszym strzelcem okazała się panna Ponsky, Forester był drugi, a O'Hara trzeci. Dla ramienia panny Ponsky strzelanie z kuszy było bolesnym doświadczeniem. Natychmiast zrobiła miękką podkładkę i odtąd osiem razy na dziesięć wsadzała bełt w trzydziesto centymetrowy krąg, cmokając z dezaprobatą, ilekroć chybiła.

- Nie ma dość siły, żeby naciągnąć broń - powiedział Forester - ale jest cholernie dobra w strzelaniu.

- To rozstrzyga sprawę. Ona pierwsza zabiera się za nieprzyjaciela. Oczywiście, jeśli zechce to zrobić. - Podszedł do niej i rzekł z uśmiechem: - Wygląda na to, że rusza pani do boju jako pierwsza. Spróbuje pani?

Jej twarz pobladła, a nos wydał się jeszcze ostrzejszy niż zwykle.

- O Boże! - jęknęła oszołomiona. - Czy sądzi pan, że się do tego nadaję?

- Położyli kolejne cztery belki - powiedział cicho O'Hara. - I Rohde postanowił zachować cztery ostatnie kule do momentu, gdy zyska względną pewność trafienia. To jedyna nasza szansa. A pani jest naszym najlepszym strzelcem.

Wzięła się w garść. Z determinacją uniosła broń.

- W porządku - powiedziała. - Zrobię, co potrafię.

- Doskonale! Chyba powinna pani spojrzeć najpierw na most, aby ocenić dystans, a potem oddać kilka strzałów próbnych z takiej właśnie odległości.

Zaprowadził ją na stanowisko Rohdego.

- Panna Ponsky spróbuje szczęścia z kuszą - wyjaśnił. Rohde z zaciekawieniem popatrzył na broń.

- Działa?

- Ma duży zasięg i siłę rażenia - odparł O'Hara. - Powinna się sprawdzić. -

Spojrzał na most. Właśnie wycofali się dwaj mężczyźni, którzy przed chwilą ułożyli kolejną belkę. Wyrwa była już całkiem niewielka. - Kiedy wyjdą znowu, chyba powinna pani celować do bliższego. Jak ocenia pani dystans?

Panna Ponsky zamyśliła się.

- Odrobinę mniejszy od tego, na którym ćwiczyłam - odparła. - Chyba nie muszę próbować. - Jej głos lekko drżał.

O'Hara spojrzał na nią.

- Niech się pani postara, panno Ponsky. Proszę pomyśleć o tym, co zrobili z panią Coughlin i co zrobią z nami wszystkimi, jeśli zdołają sforsować most.

- W porządku - odparła przyciszonym głosem. O'Hara z satysfakcją skinął głową.

IV

Tego ranka wróg nie podjął już prób naprawienia mostu. Prowadził za to nieustanny, choć powolny ostrzał karabinowy, macając ogniem labirynt skalny w nadziei przypadkowych trafień. O'Hara kazał wycofać się wszystkim, również Rohdemu, poza zasięg strzałów. Potem, pożyczwszy od Be-nedetty małe lusterko, skonstruował prowizoryczny peryskop. Uważał, by szkło pozostawało w cieniu skały i nie odbijało promieni słonecznych. Obserwator mógł leżeć bezpiecznie na wznak, a jednocześnie nie spuszczać oka z mostu. Pierwszą wachtę pełnił Forester.

- Jeśli ponownie pojawią się na moście - powiedział O'Hara - oddaj strzał, ale tylko jeden. Wytrąciliśmy ich z równowagi i są teraz trochę podenerwowani. Nie wiedzą, czy ten facet spadł z mostu przypadkiem, został postrzelony, a oni nie usłyszeli huku, czy też stało się coś innego... My wiemy, że było to coś innego i wie o tym również ten drugi, który był na moście, ale sądzę, że mu nie wierzą.

Kiedy ostatnio ich obserwowałem, toczył się na ten temat spór jak cholera. W każdym razie myślę, że nie pali im się do ponownego wyłażenia. Jeden strzał ich spłoszy.

Forester sprawdził pistolet i ponuro spojrzął na ostatnie cztery kule.

- Czuję się jak cholernie bojowy żołnierz, który za jednym zamachem ma wypukać dwadzieścia pięć procent całego zapasu amunicji.

- Ale to najlepszy sposób - powiedział O'Hara. - Nie znają naszych zapasów amunicji. Kusza jest naszą tajną bronią i, na Boga, musimy wykorzystać ją maksymalnie. Mam pewne pomysły, ale chcę poczekać na drugą kuszę. - Przerwał. - Czy macie jakieś wyobrażenie, ilu tych sukinsynów jest po drugiej stronie?

- Próbowałem ich z grubsza policzyć - odparł Forester. - Wyszło mi dwudziestu trzech. Ich dowódcą jest chyba wielki gość z brodą a la Castro. Ma na sobie coś w rodzaju munduru. Nosi zgnilozielone portki i kurtkę safari. - Potarł podbródek i po namyśle dodał: - Przypuszczam, że to kubański doradca.

- Spróbuję go przyważyć - rzekł O'Hara. - Jeśli go przyszpilimy, może reszta zwinie żagle.

- Być może - powiedział Forester bez przekonania.

O'Hara powędrował do obozowiska, które zostało już przeniesione do skalnej kryjówki na zboczu góry. Było to lepsze stanowisko obronne, bowiem napastnicy musieliby atakować na nierównym terenie. O'Hara nie pokładał w nim jednak większych nadziei. Po sforsowaniu mostu nieprzyjaciel mógł szybko podjechać w górę drogi i bez trudu oskrzydlić ich skalną kryjówkę. Wyteżał umysł, szukając sposobu zablokowania drogi, lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Ale i tak dysponowali teraz miejscem zdecydowanie lepszym aniżeli obozowisko przy jezioru i drodze. Zwłaszcza że uporali się z podstawowym problemem - pracowicie i przy sporych stratach przetransportowali puszkę po puszcze dwadzieścia pięć galonów wody i włąli ją do niecki w głębi kryjówki. A poza tym było to również dobre miejsce do spania. Wprawdzie panna Ponsky otrząsnęła się z hysterii, lecz trwała w otępieniu. Była milcząca, zamknięta w sobie, nie odzywała się do nikogo. Pomagała nosić wodę i żywność, ale robiła to mechanicznie, jak gdyby nic ją nie obchodziło. Aguillar sępnął.

- To źle, że się tak stało - powiedział. - Źle, że dama, taka jak panna Ponsky, musi robić takie rzeczy.

O'Hara był rozdrażniony.

- Cholera, nie my rozpoczęliśmy tę walkę - rzekł. - Coughlinowie nie żyją, a Benedetta o mały włos nie zginęła, że nie wspomnę już o sobie. Spróbuję nie dopuścić, aby się to powtórzyło. Ale panna Ponsky jest naszym strzelcem, a przecież walczymy o życie.

- Jest pan żołnierzem - powiedział Aguillar. - Jak się zdaje, powtarza pan za Napoleonem, że nie można usmażyć omletu nie rozbijając jajek -w jego głosie pobrzmiwała łagodna ironia.

O'Hara zbagatelizował jego słowa.

- Wszyscy musimy ćwiczyć strzelanie z kuszy. Musimy nauczyć się używać jej, póki jest na to czas.

Aguillar poklepał go po ramieniu.

- Señor O'Hara, może ci ludzie zadowolą się, jeżeli oddam się w ich ręce.

O'Hara wbił weń wzrok.

- Wie pan doskonale, że nie. Mając świadomość, że znamy całą prawdę, absolutnie nie mogą nas puścić.

Aguillar przytaknął.

- Wiem o tym. Zastanawiałem się tylko, czy i pan wie. - Na poły kpiąco wzruszył ramionami. - Chciałem, aby przekonał mnie pan, że w ten sposób nie zyskujemy nic. I uczynił pan to. Przykro mi, że ściągnąłem coś takiego na głowy tych

wszystkich niewinnych ludzi.

O'Hara mruknął coś ze zniecierpliwieniem, Aguillar zaś kontynuował:

- Nadchodzi taki moment, kiedy sprawy z rąk polityka przechodzą w ręce żołnierza. Jak się zdaje, wszystkie drogi wiodą ku przemocy. Zatem muszę przestać być politykiem i przeobrazić się w żołnierza. Nauczę się dobrze strzelać z tej kuszy, señor.

- Na pańskim miejscu nie forsowałbym się zanadto, señor Aguillar - powiedział

O'Hara. - Musi pan oszczędzać siły na wypadek, gdyby musiał pan wyruszyć nagle i szybko. Nie jest tajemnicą, że nie jest pan w nadzwyczajnej formie fizycznej.

- Señor, zrobię to, co uznam za swój obowiązek - głos Aguillara zabrzmiał ostro.

O'Hara zamilkł, przypuszczając, że uraził jego latynoską dumę. Wrócił, aby porozmawiać z panną Ponsky. Klęczała przy kuchence, z pozoru pochłonięta pilnowaniem gotującej się w puszcze wody, lecz jej oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń. Wiedział na co - na stalowy belt, który jak monstrualna roślina wyrósł w samym środku pleców człowieka.

- Zabójstwo istoty ludzkiej - powiedział - to rzecz straszna, panno Ponsky.

Wiem, robiłem to i później byłem chory przez wiele dni. Gdy po raz pierwszy zestrzeliłem w Korei nieprzyjacielski myśliwiec, towarzyszyłem mu w drodze do ziemi, rzecz strasznie niebezpieczna, lecz byłem wówczas młody i niedoświadczony. Mig spadał w płomieniach, mechanizm katapulty zaciął się, więc pilot ręcznie otworzył osłonę i skoczył wprost w strumień zaśmigłowy. Było to z jego strony desperackie, ale miał ów chiński - albo rosyjski, skąd mogę wiedzieć

- rodzaj odwagi. Bo widzi pani, nie znałem narodowości ani koloru skóry człowieka, którego zabiłem. Spadał ku ziemi jak wirujący czarny punkt. Jego spadochron nie otworzył się. Wiedziałem, że jest już trupem. - O'Hara zwilżył usta. - Po tej historii miałem niesmak, mdliło mnie. Ale wówczas pomyślałem

sobie, że przecież ten sam człowiek próbował mnie zabić. I niewiele brakowało, by mu się to udało. Zanim go dostałem, podziurawił mój samolot i musiałem przymusowo lądować. Miałem farta, że się z tego wylizałem - spędziłem w szpitalu trzy tygodnie. W końcu wytłumaczyłem to sobie tak, że była to sytuacja: on albo ja. I to ja okazałem się szczęśliwcem. Nie wiem, czy gdyby to on mnie zabił, dręczyłyby go podobne rozterki. Myślę, że chyba nie. Tych ludzi nie szkoli się po to, by mieli dla życia zbyt wiele szacunku. - Przyjrzał się jej uważnie. - Tamci zza rzeki są tacy sami jak ci, z którymi walczyłem w Korei, choć mają skórę innego koloru. Nie będziemy z nimi walczyć, jeśli pozwolą nam odejść. Ale oni tego nie robią, panno Ponsky, więc wracamy do spraw fundamentalnych - zabij lub daj się zabić, i niech czort weźmie przegranego. Postąpiła pani słusznie, panno Ponsky. To, co pani zrobiła, może ocalić nasze życie, a może życie wielu ludzi w tym kraju, kto wie.

Zamilkł, ona zaś odwróciła się ku niemu i powiedziała ochrypłym, urywanym głosem:

- Jestem niemądrą, starą kobietą, panie O'Hara. Od lat, jak wszyscy w Ameryce gardłowałam za walką z komunistami. Ale nie musiałam robić tego sama, a kiedy wreszcie muszę, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Och, my, kobiety, wiwatowałyśmy na cześć naszych amerykańskich chłopców, wyruszających do boju. Nikt nie jest bardziej krwiożerczy niż ten, kto nie musi walczyć osobiście. A jednak to przerażające, panie O'Hara, gdy już zabiło się samemu.

- Wiem - odrzekł. - Jedyne, co pozwala pogodzić się z tym faktem, to świadomość, że jeśli nie zabijesz, zostaniesz zabity, czyli sprowadzenie wszystkiego do najprostszej alternatywy.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła. - Teraz już będzie ze mną wszystko w porządku.

- Mam na imię Tim - powiedział. - Jeśli chodzi o przechodzenie na ty, Anglicy są dość sztywni. Ale nie my, Irlandczycy.
Obdarzyła go niepewnym uśmiechem.
- Jestem Jennifer.
- W porządku, Jenny. Spróbuję nie wrabiać cię więcej w takie sytuacje. Odwróciła od niego głowę i powiedziała zduszonym głosem:
- Chyba się rozplącę.
Pośpiesznie wstała i wybiegła z kryjówki. Zza pleców O'Hara usłyszał głos Benedetty.
- To była dobra robota, Tim.
Odwrócił się i popatrzył na nią z niedowierzaniem.
- Naprawdę? A ja myślę, że po prostu należało to zrobić. - Wstał i rozprostował nogi. - Chodźmy poćwiczyć z kuszą.

V

Ćwiczyli przez resztę dnia, ucząc się brać poprawkę na wiatr i uwzględniać zmiany dystansu. Panna Ponsky jeszcze mocniej wzięła się w garść i przyjęła na siebie obowiązki instruktorki. Ogólna sprawność strzelecka ogromnie się podniosła.

O'Hara zszedł nad wąwóz i posługując się triangulacją, starannie wymierzył odległość do pojazdów nieprzyjaciela, by wreszcie stwierdzić z zadowoleniem, że uczynił to z dokładnością co do centymetra. Wówczas wrócił, odmierzył na ziemi taki sam dystans i polecił wszystkim ćwiczenia strzeleckie na odległość stu osiemdziesięciu metrów.

- Mianuję cię szefem sztabu - powiedział do Benedetty. - Czyli kimś w rodzaju kanonizowanej sekretarki generała. Czy masz ołówek i papier?
Uśmiechnęła się i skinęła głową. Wymienił tuzin spraw, które należało załatwić.
- Przekażesz to właściwym ludziom - oznajmił - gdybym przypadkiem zapomniał. Mam teraz cholernie dużo na głowie i mógłbym przeoczyć coś istotnego, kiedy zaczniesz zamieszanie.

Zasadził Aguillara do obwiązywania pół tuzina bełtów skrawkami szmat, a potem polecił mu wystrzelić je do celu, by sprawdzić, czy ten dodatek ma jakikolwiek wpływ na lot pocisku. Nie było istotnej różnicy. Nasączył jedną z nich naftą i zapalił przed strzałem; jednak płomień zgasł, zanim bełt dotarł do celu. Zaklął i eksperymentował dalej, pozwalając nafcie zapłonąć pełnym ogniem jeszcze przed naciśnięciem spustu. Na koniec, kosztem osmolonej twarzy, zdołał umieścić w celu trzy wściekle buzujące bełty i z satysfakcją obserwował, jak płomień pożera szmaty do końca.

- Musimy to zrobić za dnia - powiedział. - Po zapadnięciu zmroku byłoby cholernie niebezpiecznie. Wypatrzyliby płomień, zanim zdołalibyśmy oddać strzał.

- Spojrzał na słońce. - Jutro. Musimy z tym zwlekać najdłużej, jak się da.

Dopiero późnym popołudniem nieprzyjaciel ośmielił się ponownie wkroczyć na most, ale po strzale Rohdego natychmiast się wycofał. Drugi strzał Rohde oddał tuż przed zachodem słońca. A potem już nie strzelał, zresztą zgodnie z instrukcją O'Hary, który powiedział:

- Zachowaj ostatnie dwie kule. Będą nam potrzebne. Nieprzyjaciel zatem ułożył trzy kolejne belki i tej nocy zwiększył iluminację, jakkolwiek po zmroku nie ośmielił się wejść na most.

Rozdział 4

Forester obudził się o świcie. Po całonocnym nieprzerwanym śnie czuł się odświeżony. O'Hara upierał się, by on i Rohde nie pełnili nocnych wart, lecz pospali jak najdłużej. Tego ranka mieli ruszyć do osady, a stamtąd, po jednym dniu aklimatyzacji, przenieść się do kopalni.

Spojrzał na ośnieżone szczyty. I nagle mróz przeniknął go aż do kości. Oszukał O'Harę mówiąc, że łąził po Górach Skalistych. Najwyższym punktem, na jaki się wspiął, był Empire State Building, a dokonał tego jadąc windą. W pierwszych promieniach słońca wierzchołki gór były oślepiająco jaskrawe i musiał zmrużyć oczy, by dostrzec wskazaną przez Rohdego przełęcz. Uznał, że sekretarz Aguillara miał rację, przepowiadając mu, że będzie tego żałował. Rohde był twardzielem, człowiekiem nieskorym do przesady.

Po porannej toalecie zszedł do mostu. Wartę pełnił Armstrong. Leżał na wznak i co kilka minut zerkał na lusterko. Ale tak naprawdę zajęty był szkicowaniem czegoś ogryzkiem ołówka na skrawku papieru. Na widok podpeł-zającego Forestera machnął ręką, i powiedział:

- Całkowity spokój. Przed chwilą wyłączyli światła.

Forester zerknął na kartkę. Armstrong narysował coś, co przypominało wagę laboratoryjną.

- Co to jest? - zapytał. - Szale sprawiedliwości?

Armstrong najpierw sprawiał wrażenie zbitego z tropu, a później zadowolonego.

- Cóż, odgadł pan właściwie - powiedział.

Forester nie dopytywał się o nic więcej. Sądził, że Armstrong jest stuknięty - sprytny, lecz jednak stuknięty. Jego kusza okazała się bronią skuteczną, ale tylko szajbus mógł ją wymyślić. Posłał Armstrongowi uśmiech i odczołgał się na miejsce, z którego mógł przypatrywać się mostowi. Zagryzł wargę, widząc, jak bardzo zmalala wyrwa. Może, koniec końców, nie będzie musiał wspinać się na przełęcz, może to tu stoczy walkę i umrze. Oszacował, że po południu każdy człowiek zdoła przeskoczyć wyrwę i że powinni raczej przygotować się na zaskakujący atak. Ale O'Hara nie wydawał się poruszony i wciąż rozprawiał o swym planie. Forester pokładał nadzieję w Bogu, że ich dowódca wie, co robi.

Po powrocie do skalnej kryjówki stwierdził, że z osady przybył Willis.

Przyciągnął stamtąd travois, które właśnie rozładowywano. Przywiózł żywność, trochę koców i następną kuszę. W tej chwili demonstrował ją O'Harze.

- Tu ładowanie będzie szybsze. Znalazłem trochę małych trybów, żeby ułatwić naciąganie, wbudowałem je w kołowrót. Jak się sprawdziła tamta?

- Cholernie dobrze - odparł O'Hara. - Zabiła człowieka.

Willis trochę pobladł, a jego zarost zjeżył się na tle białej skóry. Forester uśmiechnął się posepnie. Chłopcy od planowania okazywali nadmierną wrażliwość, słysząc o rezultatach swoich kombinacji.

- Kiedy tylko zaczną pracować na moście - zwrócił się O'Hara do Forestera - zafundujemy im niespodziankę. Najwyższy czas pokrzyżować im szyki. Zjemy śniadanie, a potem podejmiemy do mostu. Lepiej trzymać się blisko, aby nie przegapić zabawy. Zaraz potem będziesz mógł wyruszyć. - Odwrócił się na pięcie. - Jenny, daj sobie spokój z kucharzeniem. Jesteś gwiazdą naszego programu. Weź kuszę i poćwicz trochę, na tym samym dystansie co wczoraj. - Kiedy pobladła, uśmiechnął się i dodał łagodnie: - Podejmiemy do mostu i będziesz strzelać do nieruchomego, martwego celu.

- Gdzie jest Peabody? - zapytał Forester Willisa.

- W osadzie, produkuje strzały.

- Miałeś z nim jakieś kłopoty? Willis uśmiechnął się przelotnie.

- To leniwa świnia, ale parę kopniaków w dupę szybko go wyleczyło - powiedział z

nieoczekiwaną brutalnością. - A gdzie Armstrong?

- Pełni wartę przy moście. Willis potarł podbródek.

- Ten facet miewa pomysły. To istny Projekt Manhattan w jednej osobie. Ruszył z boczem na dół. Forester zwrócił się do Rohdego, który po hiszpańsku gwarzył z Aguillarem i Benedettą:

- Co zabierzemy ze sobą?

- Stąd nic - odparł Rohde. - Wszystko, co będzie nam potrzebne, możemy wziąć z osady. Podróżujemy bez obciążenia.

O'Hara podniósł wzrok znad puszek z gulaszem.

- Lepiej weźcie ciepłe ubrania. Mogę wam dać swoją skórzaną kurtkę - zaproponował.

- Dzięki - odparł Forester.

Po prostu tak, jak to ćwiczyliśmy wczoraj. - Wstał i przeciągnął się. - Czy to dla wszystkich jasne?

- A co ja robię? - zapytał Willis.

- Wszyscy, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w akcji, nie wyściubiają nosa i trzymają się z daleka. - Zrobił pauzę. - Ale są gotowi do działania, na wypadek, gdyby w kuszach coś nawaliło.

- Mam kilka zapasowych cięciw - powiedział Willis. - Sprawdzę pierwszą kuszę?

- Dobra - odparł O'Hara. - Jakies pytania?

Pytań nie było. Panna Ponsky wysunęła podbródek jak człowiek pełen posępnej determinacji. Benedetta bezzwłocznie pobiegła po bełty zapalające, którymi miała się zajmować.

- Jeśli o mnie chodzi, wszystko gra - powiedział krótko Forester. Jednak kiedy schodził w dół, zwrócił się do O'Hary: - To dobry plan, ale twoja rola jest cholernie ryzykowna. Zobaczą pocisk zapalający, zanim zdołasz wystrzelić. Masz sporą szansę, że cię zdmuchną.

- Trudno toczyć wojnę, nie podejmując ryzyka - odparł O'Hara. - A kapujesz, właśnie toczy wojnę, taką samą jak każda inna.

- Taak - powiedział Forester w zadumie. Z ukosa zerknął na O'Harę. - A gdybym tak ja odwalił ten numer z pociskami zapalającymi?

O'Hara roześmiał się.

- Ty idziesz z Rohdem. Sam się zgłosiłeś. Powiedziłeś, że to ja dowodzę garnizorem, więc póki tu jesteś, wypełniasz rozkazy bez szemrania.

Forester też się roześmiał.

- Nie zaszkodziło spróbować.

W pobliżu wąwozu napotkali Armstronga.

- Co się stało? - zapytał zaciekawiony.

- Willis ci wszystko opowie - odparł O'Hara. - Gdzie jest Rohde? Armstrong wyciągnął rękę.

- Tam.

- Dopilnuj, żeby Jenny miała dobre stanowisko - powiedział O'Hara i ruszył na poszukiwanie Rohdego.

Rohde, jak zwykle, dobrze wybrał miejsce. O'Hara podpełzł do jego boku i zapytał:

- Jak długo, twoim zdaniem, będą mocować tę belkę?

- Jakies pięć minut - odrzekł Rohde. Podniósł pistolet, najwyraźniej paląc się do strzału.

- Nie teraz - rzucił O'Hara ostro. - Kiedy pojawią się z następną belką, daj im pięć minut, a później wal. Szykujemy dla nich małą niespodziankę.

Rohde uniósł brwi, ale o nic się nie dopytywał. O'Hara spojrział na masywne, kamienne przypory podtrzymujące liny mostu.

- Szkoda, że te rzeczy nie są z drewna, pięknie by się paliły. Po jaką cholere zbudowali je takie wielkie?

- Inkowie zawsze budowali solidnie - odparł Rohde.

- Chcesz powiedzieć, że to jest robota Inków? - zapytał zdumiony O'Hara. Rohde przytaknął.

- Most był tu jeszcze przed przybyciem Hiszpanów. Wymaga nieustannych remontów, ale przypory będą trwały wiecznie.

- Niech mnie cholera - powiedział O'Hara. - Zastanawiam się, po co tutaj, na tym pustkowiu, potrzebny był Inkom most?

- Inkowie robili wiele dziwnych rzeczy. Przypominam sobie, że główne złożę tej kopalni odnaleziono, podążając w ślad za odkrywczymi robotami Inków. Jeśli wydobywali tu metale, potrzebny był im most.

O'Hara obserwował mężczyznę po drugiej stronie wąwozu. Wypatrzył wielkiego, brodatego faceta w mundurowym stroju i z pistoletem u pasa, którego Forester wytypował na przywódcę. Łaził to tu, to tam, rykiem wydając rozkazy, a kiedy krzyczał, ludzie rzeczywiście słuchali go bez szemrania. O'Hara uśmiechnął się pośpiesznie, widząc, że nawet nie myślą o szukaniu osłony. Jeszcze nie strzelano do nikogo po tamtej stronie, lecz tylko do ludzi znajdujących się na moście. Teraz taktyka ta miała procentować.

- Wiesz, co robić - powiedział do Rohdego. - Wracam dopilnować reszty. Odczołgał się ostrożnie, aż mógł bezpiecznie stanąć, a potem, unikając odkrytych fragmentów przestrzeni na podejściu do mostu, podbiegł do miejsca, gdzie czekali pozostali.

- Moje stanowisko będzie tutaj - oznajmił Benedette. - Lepiej przygotuj swój towar. Masz zapalki?

- Mam zapalniczkę señora Foreстера.

- Dobra. Trzymaj ją zapaloną od samego początku akcji. Jeszcze skoczę sprawdzić, co u Jenny, a potem wracam.

Panna Ponsky czekała z Foresterem nieco dalej. Miała błyszczące oczy i była trochę podniecona. O'Hara wiedział, że jeśli nie będzie musiała nikogo zabić, na pewno nie zawiedzie. I to mu odpowiadało. Ona przygotowuje teren, a zabijaniem zajmie się on.

- Przyjrzałaś się? - zapytał. Przytaknęła pośpiesznie.

- Zbiornik paliwa to ten duży pojemnik pod samochodem.

- Słusznie, to duży cel. Ale próbuj trafić dokładnie. Jeśli nie strzelisz w sam środek, belt może się ześlizgnąć.

- Trafię - powiedziała z przekonaniem.

- Właśnie skończyli mocowanie belki. Kiedy zaczną przywiązywać następną, Rohde da im pięć minut, a potem puknie. Będzie to sygnał dla ciebie.

Obdarzyła go uśmiechem.

- Nie martw się, Tim. Zrobię to.

- Będę czuwał - wtrącił Forester. - Kiedy pojawią się z belką, dopuszczę Jenny do głosu.

- Dobra - powiedział O'Hara i wrócił na swoje stanowisko. Armstrong naciągnął kuszę, a Benedetta wbiła w ziemię półkregiem pociski zapalające. Podniosła puszkę.

- To resztką naszej nafty. Będzie nam potrzebna do gotowania.

Ta gospodarska zapobiegliwość nie na czasie wywołała uśmiech na twarzy O'Hary.

- W osadzie jest tego mnóstwo - powiedział Willis. - Znaleźliśmy dwie czterdziestogalonowe beczki.

- O rany, znaleźliście? - zapytał O'Hara z niedowierzaniem. - To otwiera masę możliwości.

Wdrapał się na zawczasu wybrane miejsce między skałami i próbował wykombinować,

co można zdziałać z dwiema beczkami nafty. I oto na moście pojawiło się dwóch ludzi z belką O'Hara zastygł w bezruchu. Tim, mój chłopcze, nie wszystko naraz - pomyślał.

Odwrócił głowę i powiedział do stojącej poniżej jego stanowiska Benedetty:
- Pięć minut.

Usłyszał trzask zapalniczki. Skoncentrował uwagę na drugiej stronie wąwozu. Upływały minuty, a jego dłonie zaczynały potnieć. Wytarł je o koszulę i nagle zaklął. Do ciężarówki podszedł mężczyzna i zatrzymał się dokładnie przed zbiornikiem z paliwem.

- Rany boskie, rusz się - wymamrotał O'Hara. Wiedział, że panna Pon-sky ma mężczyznę na celowniku. Czy jednak starczy jej odwagi, by nacisnąć spust? Wątpił w to.

Do wszystkich diabłów, powinienem był powiedzieć Rohdemu, o co chodzi, pomyślał. Rohde nie ma pojęcia o kuszy i wystrzeli o umówionym czasie, nie zwracając uwagi na zasłaniającego zbiornik człowieka. O'Hara zazgrzytał zębami, gdy mężczyzna, niski, krępy facet w typie indiańskim, wyciągnął papierosa i beztrudnie zapalił zapalniczkę.

Rohde oddał swój strzał i na moście rozległ się skowyt. Mężczyzna przy ciężarówce przez dłuższą chwilę stał jak wryty, a potem zerwał się do biegu. Od tej chwili przestał dla O'Hary istnieć - zniknął i tylko to się liczyło. Całą swoją uwagę skupił na zbiorniku paliwa. Nawet z tej odległości usłyszał głucho „pang”, ujrzał mroczny cień wykwitający nagle na ścianie zbiornika, który zdrzął gwałtownie.

Panna Ponsky trafiła! O'Hara otarł pot z oczu. Żałował, że nie ma lornetki. Czy na drogę wycieka ropa? Czy rosnąca pod ciężarówką ciemna plama to wypływające paliwo, czy też twór jego wyobraźni? Skorzy do strzelaniny bandyci oddali ze wszystkiego, co mieli, swą-jak zwykle niecelną-salwę. Zignorował jednak strzelaninę i wytężył zmęczone oczy.

Wrócił Indianin i z wyrazem niepewności popatrzył na ciężarówkę. Podejrzliwie pociągnął nosem, a potem pochylił się, by zajrzeć pod pojazd. Wówczas wrzasnął i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami.

Na Boga, pomyślał O'Hara triumfująco, to jest ropa!

Odwrócił się, strzelił palcami na Benedettę, która bezzwłocznie zapaliła pocisk umieszczony w łożu kuszy. Kiedy czekała, aż zapłonie pełnym ogniem, O'Hara niecierpliwie uderzył pięścią w skałę. Jednak wiedział, że tak musi być - jeśli szmaty nie rozpalą się dobrze, płomień zostanie zduszony w locie.

Niespodziewanie wcisnęła mu kuszę w dłonie, a gdy odwracał się, płomień osmałił mu twarz. Tymczasem nadbiegł drugi mężczyzna i z niedowierzaniem zaglądał pod ciężarówkę. O'Hara patrzył przez prymitywny, druciany celownik na ogień płonącego pocisku, z trudem opanowując pośpiech. Łagodnie nacisnął spust.

Kolba uderzyła go w ramię. O'Hara szybko odwrócił się i przekazał kuszę Benedetty. Miał jednak dość czasu, by dostrzec, że ognisty bełt przelatuje wysokim łukiem ponad ciężarówką i pogrąża się w ziemi po drugiej stronie drogi. Ta nowa kusza przenosiła.

Uchwycił drugą kuszę i ponowił próbę. Poparzył sobie palce, gdy nieostrożnie przybliżył dłoń do płomienia. Celował i czuł jak żar zwęgla jego brwi, a kolba kopie go w ramię. Pocisk poszybował zbyt daleko w prawo i śląc fontannę iskieł, odbił się od nawierzchni drogi.

Już przy pierwszym strzale dwaj mężczyźni przy ciężarówce z niepokojem podnieśli głowy. Na widok drugiego bełta krzyknęli, wyciągniętymi rękami wskazując na drugi brzeg wąwozu.

Oby ten był celny, modlił się O'Hara, przejmując kuszę z rąk Benedetty. To ta, która przenosi, myślał, świadomie celując w grań wąwozu. Kiedy naciskał spust,

nieprzyjacielska kula odłupała kawałek skały nad jego głową i granitowy odprysk napiętnował czoło O'Hary krwawą kreską. Bełt, niczym ognista linia, która połączywszy oba brzegi wąwozu, urwała się pod ciężarówką, znalazł drogę do celu. Z lekkim pyknięciem wypływająca ropa zajęła się ogniem. I nagle płomienie spowiły ciężarówkę. Indianin, wyglądający teraz jak pochodnia, chwiejnie wybiegł z ognistego piekła i wbijając dłonie w oczy, z wrzaskiem pognął drogą. O'Hara nie dostrzegł drugiego mężczyzny. Odwrócił się, by chwycić drugą kuszę. Jednak nie zdołał już oddać kolejnego strzału. Ledwie naprowadził celownik na jeden z dżipów, kusza rąbnęła go, zanim nacisnął spust. Gwałtownie odrzucony do tyłu jeszcze dostrzegł płonący pocisk, który wystrzelony bez jego udziału stromym łukiem piął się ku niebu. Potem głowa O'Hary zderzyła się ze skałą i stracił przytomność.

II

Kiedy doszedł do siebie, stwierdził, że zatroskana Benedetta obmywa mu głowę. Dalej stał Forester, przemawiający z ożywieniem do Willisa, a jeszcze dalej było niebo, skażone spiralą czarnego dymu. Przyłożył dłonie do głowy i skrzywił się.

- Do diabła, co mnie rąbnęło?

- Psst, nie ruszaj się - powiedziała Benedetta.

Ze słabym uśmiechem podniósł się na łokciu. Forester spostrzegł jego poruszenie.

- Dobrze się czujesz, Tim?

- Nie wiem. Chyba nie. - Głowa dokuczała mu przeraźliwie. - Co się stało?

Willis uniósł kuszę.

- Trafiła w to kula z karabinu. Zmiażdżyła strzemię. - Miałeś szczęście, że nie ciebie. Rąbnęłaś głowę o skałę i straciłaś przytomność.

O'Hara uśmiechnął się z wysiłkiem do Benedetty.

- Czuję się już dobrze - powiedział i usiadł. - Zrobiliśmy swoje? Forester roześmiał się z satysfakcją.

- Czy zrobiliśmy swoje? Och, chłopie - ukląkł obok O'Hary. - Po pierwsze, Rohde rzeczywiście trafił w człowieka na moście; zrobił mu schludną dziurkę w ramieniu. Spowodowało to takie zamieszanie, jakiego potrzebowaliśmy. Jenny Ponsky miała paskudny kłopot z facetem zasłaniającym zbiornik paliwa, ale na koniec zrobiła to, co do niej należało. Kiedy oddawała mi kuszę, trzęsła się jak osika.

- A co z ciężarówką? - zapytał O'Hara. - Widziałem, jak zajmuje się ogniem. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczyłem.

- Ciężarówka z głowy - powiedział Forester. - Ciągle jeszcze się pali. Gdy eksplodował drugi bak, w płomieniach stanął również dżip znajdujący się obok niej. - Ściszył głos. - Obaj faceci stojący przy ciężarówce zginęli. Indianin, sądzę, że oślepiiony, zwałił się na łeb na szyję z grani wąwozu, a drugi spiekł się na skwarkę. Jenny tego nie widziała, a ja jej tego nie mówiłem.

O'Hara przytaknął. Parszywie by jej się żyło z takim wspomnieniem.

-1 to by było tyle - rzekł Forester. - Spłonęły ich zapasy drewna. Stracili ciężarówkę i dżipa. Porzucili też dżipa stojącego przy moście, bo nie mogli wycofać go obok płonącej ciężarówki. Wszystkie inne pojazdy przemieścili cholerny kawał drogi stąd, do miejsca, gdzie droga odbija od wąwozu.

Powiedziałbym, że solidny kilometr. Sądząc po reakcji, skakali jak wściekli, urządzili najbardziej kurewski ostrzał karabinowy - muszą mieć tony amunicji.

- Czy ktoś z naszych został ranny? - zapytał O'Hara.

- Jesteś najpoważniejszą ofiarą. Nikt poza tobą nie został nawet draśnięty.

- Muszę zabandażować ci głowę, Tim - wtrąciła się Benedetta.

- Pójdziemy nad jeziorko - rzekł O'Hara. Podnosił się na nogi, gdy podszedł

Aguillar.

- Dobra robota, señor O'Hara - powiedział. O'Hara zachwiał się i wsparł na Foresterze.

- Ano niezła. Ale na ten numer powtórnie nie dadzą się już nabrać. Kupiliśmy sobie tylko nieco czasu. - Jego głos brzmiał przytomnie.

- Czas to coś, czego potrzebujemy - wtrącił Forester. - Parę godzin temu nie dałbym centa za nasz plan przeprawienia się przez góry, ale teraz ja i Rohde możemy odejść z czystym sumieniem. - Spojrzał na zegarek. - Chyba powinniśmy już ruszać.

Nadeszła panna Ponsky.

- Czy czuje się pan dobrze, panie O'Hara... Tim?

- Świetnie - odparł. - Znakomicie się spisałaś, Jenny. Zarumieniła się.

- Cóż... dziękuję. Ale przeżyłam okropną chwilę. Naprawdę sądziłam, że będę musiała zastrzelić tego mężczyznę przy ciężarówce.

O'Hara uśmiechnął się lekko do Forestera, ten zaś zdławił makabryczny chichot.

- Po prostu zrobiłaś to, co miałaś zrobić - powiedział O'Hara. - Wykonałaś to bardzo dobrze. - Rozejrzał się. - Willis, ty tu zostań. Weź broń od Rohdego i jeśli zacznie się coś dziać, wystrzel ostatni nabój. Ale nie sądzę, by coś nastąpiło, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Pozostali odbędą przy jezioru naradę wojenną. Chciałbym to zrobić przed odejściem Raya.

- Okay - powiedział Forester.

Powędrowali nad jezioro. O'Hara podszedł do samego brzegu. Zanim zaczerpnął w garście wody, dostrzegł swe odbicie i skrzywił się z niesmakiem. Był nieogolony, bardzo brudny, osmalony i zakrwawiony, a jego obwiedzione czerwonymi obwódkami oczy były podrażnione zarem pocisków zapalających. Mój Boże, pomyślał, wyglądam jak włóczęga. Spryskał twarz zimną wodą i gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Potem odwrócił się. Stała za nim Benedetta, trzymając w dłoniach pasek materiału.

- Twoja głowa - powiedziała. - Skóra jest przecięta. Przyłożył dłoń do potylicy i poczuł lepkość krzepnącej krwi.

- Cholera, musiałem się solidnie walnąć.

- Miałeś szczęście, że nie zginąłeś. Pozwól, że się tym zajmę.

Gdy obmywała jego ranę i bandażowała głowę, czuł na skroniach chłodny dotyk jej palców. Powiódł dłonią po policzku. Armstrong zawsze jest starannie ogolony, pomyślał, muszę się dowiedzieć, jak to robi.

Benedetta zawiązała opatrunek i powiedziała:

- Musisz się dziś oszczędzać, Tim. Sądzę, że doznałeś lekkiego wstrząsu mózgu.

Przytaknął, a potem wykrzywił usta, czując w głowie ostre dźgnięcie bólu.

- Chyba masz rację. Ale co do oszczędzania się, nie zależy to ode mnie, lecz od chłoptysiów z tamtego brzegu. Wracajmy do pozostałych.

Na ich widok Forester podniósł się.

- Miguel sądzi, że powinniśmy ruszać - powiedział.

- Za chwilę - rzekł O'Hara. - Chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy. - Zwrócił się do Rohdego. - Spędzicie dzień w osadzie i dzień przy kopalni. To dwa zmarnowane dni. Czy niezbędna jest aż taka strata czasu?

- Niezbędna i ledwie wystarczająca. To powinno potrwać dłużej.

- Ty jesteś ekspertem od gór - stwierdził O'Hara. - Przyjmuję twoją opinię. Jak długo potrwa przeprawa?

- Dwa dni - odrzekł Rohde zdecydowanie. - Jeśli miałyby potrwać dłużej, jesteśmy bez szans.

- W sumie cztery dni - powiedział O'Hara. - Dodajmy jeden dzień na przekonanie kogoś, że jesteśmy w tarapatach, i jeszcze jeden, aby ów ktoś mógł w tej sprawie podjąć działanie. Zatem musimy utrzymać się przez sześć dni... może nawet

dłużej.

- Zdołasz tego dokonać?

- Musimy tego dokonać - powiedział O'Hara. - Jak sądzę, zarobiliśmy dzień. Będą musieli zdobyć gdzieś belki, a to oznacza jazdę do miasta oddalonego stąd o dziewięćdziesiąt kilometrów. Może również będą musieli postarać się o inną ciężarówkę, a to też potrwa. Moim zdaniem, nie będziemy niepokojeni aż do jutra, może nawet pojutrze. Ale myślę o kłopotach, które was czekają. Jak zamierzacie brać się do dzieła po drugiej stronie gór?

- Ja też się nad tym zastanawiałam - wtrąciła panna Ponsky. - Przecież nie możecie udać się do administracji tego Lopeza. Nie zechce pomóc se-ńorowi Aguillarowi, prawda?

Forester uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie ruszy nawet palcem. Czy w Altemiros ma pan jakichś swoich ludzi, seńor Aguillar?

- Dam panu adres - odparł Aguillar. - A poza tym Miguel będzie wiedział. Ale może nie będziecie musieli wędrować aż do Altemiros.

Na twarzy Foreстера pojawił się wyraz zainteresowania.

- Lotnisko - rzucił Aguillar do Rohdego.

- Ach -jęknął Rohde. - Ale musimy być ostrożni.

- Co z tym lotniskiem? - zapytał Forester.

- Między nimi a Altemiros znajduje się wysokogórskie lotnisko - wyjaśnił Aguillar. - To obiekt wojskowy, z którego na zmianę korzystają szwadrony

też o mangonelu i baliście, lecz zrezygnowałem z nich, by w końcu zdecydować się na trebusz. Napędzany siłą ciężkości i bardzo efektywny.

Gdyby kusze nie sprawdziły się tak doskonale, O'Hara wykpiłby Arm-stronga, jednak teraz pohamował się, zadowolając się rzuconym Foresterowi ironicznym uśmiechem. Forester, wciąż stropiony, wzruszył ramionami.

- Jaki rodzaj pocisków miota to urządzenie? - zapytał.

- Myślałem o głazach - powiedział Armstrong. - Wyjaśniłem zasadę działania trebusza Willisowi, który to wszystko przemyślał. To po prostu wykorzystanie podstawowych zasad mechaniki i Willis ma to wszystko w małym palcu.

Prawdopodobnie wykonamy lepszy trebusz, przerastający możliwości ludzi średniowiecza. W końcu jesteśmy w stanie zastosować prawa naukowe z większym zrozumieniem. Willis sądzi, że bez żadnych kłopotów będziemy mogli miotać dziesięciokilogramowe głazy na odległość kilkuset metrów.

- Ohoho - wymamrotał O'Hara. Wyobraził sobie dziesięciokilogramowy głaz lecący wysokim łukiem; przy tej odległości spadnie z nieba niemal pionowo. - Czymś takim możemy nieco nadwerężyć most.

- Ile potrwa wykonanie? - zapytał Forester.

- Krótko - odrzekł Armstrong. - Zdaniem Willis'a, nie dłużej niż dwanaście godzin. W gruncie rzeczy to bardzo prosta machina.

O'Hara pomacał w kieszeni i wyłowił paczkę papierosów. Wyjął jednego z ostatnich i wręczył go Armstrongowi.

- Nabij tym swoją fajkę i wypal. Zasłużyłeś sobie.

Armstrong uśmiechnął się promiennie i zaczął wkruszać tytoń do fajki.

- Dzięki - powiedział. - Kiedy palę, myśli mi się znacznie lepiej.

- Oddam ci wszystkie swoje papierosy - dorzucił O'Hara -jeśli wykombinujesz średniowieczną wersję bomby atomowej.

- Był nią proch strzelniczy - odrzekł Armstrong poważnie - który, jak mniemam, w tej chwili jest poza naszym zasięgiem.

- Twój pomysł ma tylko jeden słaby punkt - zauważył O'Hara. - Nie możemy posłać do osady zbyt wielu ludzi. Ktoś musi pozostać przy moście na wypadek, gdyby

nieprzyjaciel zrobił coś nieprzewidzianego. Musimy utrzymywać tu siłę bojową.
- Ja zostanę - powiedział Armstrong pykając fajkę z zadowoleniem. - Nie jestem złotą rączką, a szczerze mówiąc, mam dwie lewe. Willis wie, co robić, nie jestem mu potrzebny.
- Więc postanowione. - O'Hara zwrócił się do Forestera. - Idziecie z Miguelem do osady, pomagacie Willisowi i Peabody'emu, a jutro przenosicie się do kopalni. Teraz zejdę zastąpić Willisa przy moście.

III

Wspinaczka do osady nie przychodziła Foresterowi łatwo. Do świszczącego w krtani oddechu wkrótce doszły lekkie bóle w piersi. Rohde znosił wędrówkę lepiej, natomiast u Willisa nie występowały żadne złe objawy.

- To aklimatyzacja - wyjaśnił Rohde podczas piętnastominutowego odpoczynku w połowie drogi. - Señor Willis spędził w osadzie sporo czasu. Zejście na dół nic dla niego nie znaczy. Dla nas wspinaczka jest czymś całkowicie nowym.

- To prawda - powiedział Willis. - Zejście do mostu odczułem jak zejście do poziomu morza, choć most musi znajdować się na wysokości jakichś czterech tysięcy metrów.

- A na jakiej wysokości leży osada? - zapytał Forester.

- Przypuszczam, że wyżej - odrzekł Willis. - A kopalnia mniej więcej osiemset metrów wyżej.

Forester spojrział na szczyty.

- A przełęcz sześć tysięcy trzysta. Jak na mój gust, zbyt blisko nieba, Miguela. Usta Rohdego wykrzywiły się.

- To nie jest niebo - to zimne piekło.

Kiedy przybyli do osady, Forester nie ukrywał, że czuje się źle.

- Jutro będzie lepiej - pocieszył go Rohde.

- Lecz jutro ruszamy wyżej - stwierdził Forester smętnie.

- Jeden dzień na każdej wysokości to za mało, by się zaaklimatyzować - przyznał Rohde. - Ale tylko na tyle możemy sobie pozwolić.

Willis rozejrzał się po osadzie.

- Do cholery, gdzie jest Peabody? Pójdę go poszukać. Gdy odszedł, Rohde powiedział:

- Sądzę, że powinniśmy starannie przeczesać wszystkie chaty. Może być w nich wiele rzeczy użytecznych dla O'Hary.

- Na pewno jest nafta - rzekł Forester. - Może urządzenie Armstronga potrafi miotać bomby zapalające? Byłby to jedyny sposób dobrania się do mostu i puszczania go z dymem.

Rozpoczęli przeszukiwanie chat. Większość z nich była pusta i od dawna nie używana, jednak trzy przystosowane do zamieszkania zawierały sporo różnego sprzętu. W jednej z chat spotkali Willisa potrząsającego nieprzytomnym, rozciągniętym na pryczy Peabodym.

- Pięć strzał - powiedział Willis z goryczą. - To wszystko, co zrobił ten skurwysyn. Pięć strzał, zanim schlał się w trupa.

- Skąd bierze gorzałkę? - zapytał Forester.

- W jednej z chat jest tego cała skrzynka.

- Schowaj to w jakimś zamkniętym miejscu, jeśli możesz - powiedział Forester - a jeśli nie, wylej. Powiniennem być cię uprzedzić, ale zapomniałem. Na niewiele się nam teraz przyda, spił się do nieprzytomności.

Rohde, który myszkował po chacie, mruknął nagle, zdejmując z półki niewielki skórzany woreczek.

- Doskonale.

Forester popatrzył z zainteresowaniem na bladozielone liście, które Rohde wytrząsnął na dłoń.

- Co to?

- Liście koki - odparł Rohde. - Pomogą nam, kiedy będziemy forsować góry.

- Koka? - powtórzył Forester bezmyślnie.

- Przekleństwo Andów - wyjaśnił Rohde. - Właśnie z tego robi się kokainę. Stała się, obok aguardiente, przyczyną degeneracji indios. Po dojściu do władzy señor Aguillar zamierza ograniczyć uprawę koki. Próba całkowitego jej wyeliminowania byłaby przesadą.

- W jaki sposób nam to pomoże? - zapytał Forester.

- Rozejrzyj się za podobnym woreczkiem zawierającym biały proszek - powiedział Rohde. Kiedy szperali na półkach, kontynuował swój wywód. - Za wielkich dni Inków koki mogli używać tylko arystokraci. Potem zezwolono używać jej gońcom królewskim, ponieważ zwiększała szybkość ich biegu i wytrzymałość. Teraz wszyscy indios żują kokę, jest tańsza niż jedzenie.

- Ale nie zastępuje jedzenia, prawda?

- Znieczula błonę śluzową żołądka - wyjaśnił Rohde. - Człowiek głodujący robi wszystko, aby odpędzić bolesny głód. Jest również narkotykiem, przynoszącym spokój i pogodę, oczywiście za pewną cenę.

- Czy tego szukałeś? - zapytał Forester. Otworzył znaleziony mały woreczek i wysypał nieco proszku. - Co to jest?

- Wapno - odparł Rohde. - Kokaina jest alkaloidem i potrzebuje bazy, aby się wytrącić. Póki czekamy na señora Willisa, który powie nam, co robić, przygotuję to dla nas.

Wysypał liście koki na talerzyk i zaczął je ucierać, wykorzystując wypukłą część łyżeczki jako tłuczek. Liście były łamliwe i suche i łatwo się kruszyły. Zmełł je na proszek, dodał wapna i ucierał dalej, aż dwie substancje zmieszały się dokładnie. Potem przesywał mieszaninę do pustej puszki, dodał wody i wyrabiał aż do uzyskania jasnozielonej pasty. Wziął drugą puszkę, w której dnie wybił dziurę i używając jej jak tłoka, przecisnął przez nią pastę.

- W każdej z okolicznych wiosek - powiedział - możecie spotkać stare kobiety, zajmujące się dokładnie tym samym. Czy mógłbyś mi przynieść kilka niezbyt dużych gładkich kamieni?

Forester wyszedł i przyniósł kamienie. Rohde użył ich do rozwałkowania i ugniecenia pasty, w sposób, w jaki czynią to ciastkarze. Na koniec Rohde pociął ją swoim scyzorykiem na prostokątne kawałki.

- Muszą wyschnąć na słońcu, a potem włożymy je z powrotem do woreczków.

Forester spoglądał niepewnie na małe zielonkawe kwadraciki.

- Czy ten towar powoduje uzależnienie?

- W rzeczy samej - odparł Rohde. - Ale nie obawiaj się. W takiej ilości nie zaszkodzi nam, a tylko podniesie wytrzymałość podczas wspinaczki.

Wrócił Willis.

- Możemy zaczynać - rzucił od progu. - Mamy materiał, aby zbudować ten... jak go tam Armstrong nazywa?

- Trebusz - wyjaśnił Forester.

- No, więc możemy go zrobić - rzekł Willis. Zatrzymał się i spojrzał na stół. - Co to za substancja?

Forester uśmiechnął się.

- Namiastka pełnokrwistego befsztyka. Miguel właśnie ją upichcił. - Pokręcił głową. - Średniowieczna artyleria i haj. Mieszanka piorunująca.

- Ta wzmianka o befsztyku przypomniała mi, że jestem głodny - powiedział Willis.

- Posilmy się przed tą robotą.

Otworzyli kilka konserw z gulaszem i przygotowali posiłek. Przy pierwszym kąsie Forester zapytał:

- Teraz wyjaśnij, czym, do cholery, jest ten trebusz? Willis z uśmiechem wyciągnął ogryzek ołówka.

- Po prostu mechanizmem wykorzystującym zasadę dźwigni - powiedział. - Wyobraź sobie urządzenie podobne do nie zrównoważonej huśtawki, coś w tym rodzaju. - Począł pośpiesznie szkicować na miękkim sosnowym blacie stołu. - Punkt oparcia mamy tutaj, a jedno ramię jest, powiedzmy, cztery razy dłuższe od drugiego. Do ramienia krótkiego przywiązujemy ciężar wagi, dajmy na to, dwustu dwudziestu pięciu kilogramów, na drugim zaś kładziemy nasz pocisk, dziesięciokilogramowy kamień. - Zaczął dokonywać obliczeń. - Ci średniowieczni faceci działali metodą prób i błędów, nie znali pojęć energii, jakimi my dysponujemy. My możemy całą sprawę wyliczyć precyzyjnie od początku. Przyjmijmy, że nasz ciężar opada z wysokości trzech metrów. Przyspieszenie grawitacyjne jest takie, że biorąc pod uwagę straty związane z tarciem w punkcie oparcia, upadek potrwa pół sekundy. To daje osiemnaście koni mechanicznych energii przyłożonych momentalnie do dziesięciokilogramowego gązdu na końcu długiego ramienia.

- To powinno wprawić go w ruch - powiedział Forester.

- Mogę wam podać szybkość - rzekł Willis. - Zakładając, że stosunek pomiędzy długościami obu ramion ma się jak cztery do jednego, prędkość... -

Urwał, przez chwilę stukał w stół, a potem rozjaśnił twarz w uśmiechu. -

Powiedzmy, prędkość wylotowa pocisku wyniesie trzydzieści metrów na sekundę.

- Czy jest jakikolwiek sposób regulowania zasięgu?

- Jasne - odparł Willis. - Ciężkie kamienie nie polecą tak daleko jak lekkie.

Chcesz skrócić zasięg, używaj cięższych. Muszę o tym powiedzieć o'Harze. Lepiej

niech się zajmą zbieraniem amunicji różnego kalibru. - Zaczął kreślić na stole

bardziej szczegółowy szkic. - Osadzimy ramiona na tylnej osi rozwalonej

ciężarówce, która stoi za chatami, a same ramiona wykonamy z belki stropowej.

Musi być także coś w rodzaju miski do osadzania pocisku, tu użyjemy dekla. Całe

urządzenie będzie potrzebować jakiejś podstawy, ale pomyślimy o tym we właściwym momencie.

Forester krytycznie popatrzył na szkic.

- To będzie cholernie wielkie i ciężkie. Jak mamy ściągnąć to na dół? Willis uśmiechnął się.

- O tym też pomyślałem. Całość będzie można zdemontować, a do transportu użyjemy osi. Stoczy się cholernie urządzenie z góry i potem znów złoży do kupy przy moście.

- Dobra robota - pochwalił Forester.

- Wymyślił to Armstrong - odrzekł Willis. - Jak na naukowca, ma cholernie mordercze skłonności. Zna jeszcze więcej sposobów uśmiercania ludzi. Słyszałeś kiedy o greckim ogniu?

- Piąte przez dziesiąte.

- Armstrong powiada, że było to równie skuteczne jak napalm i że starożytni miewali miotacze ognia przymocowane do dziobów swych okrętów wojennych.

Próbowaliśmy kombinować coś w tym kierunku, ale zabrnęli-śmy w ślepią uliczkę. -

Melancholijnie popatrzył na swój szkic. - Mówi, że ten interes to betka w porównaniu z machinami oblężniczymi, jakimi dysponowali starożytni. Na przykład, przerzucali przez mury obronne zdechłe konie, żeby wzniecić zarazę. Ile waży koń?

- Może konie w owych czasach nie były takie wielkie - powiedział Forester.

- Żaden koń, zdolny udźwignąć rycerza w pełnej zbroi, nie mógł być karłem. -

Willis wyskrobał z talerza resztkę gulaszu. - Lepiej bierzmy się do roboty. Nie

chęć znów pracować całą noc.

Rohde krótko skinął głową, a Forester spojrział na chrapiącego na pryczy Peabody'ego.

- Sądzę, że zaczniemy od wiadra najzimniejszej wody, jaką zdołamy znaleźć.

IV

O'Hara spoglądał na wąwóz. Macki dymu wciąż unosiły się ze spalonych maszyn i czuł odór palącej się gumy. Popatrzył z namysłem na nie uszkodzonego dżipa przy wylocie mostu i począł rozważać, czy się nim zająć. Jednak już po chwili odrzucił ten pomysł. Nie miało sensu niszczenie jednego pojazdu, skoro nieprzyjaciel dysponował wieloma, on zaś musiał oszczędzać swe rezerwy na cele bardziej żywotne. Nie chciał wszczynać wojny na wyniszczenie, w której przeciwnik mógł go pokonać, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Przeszedł granią wąwozu w dół rzeki, jakieś pół kilometra od mostu, aż do miejsca, gdzie droga skręcała, i wybrał stanowiska, z których kusznicy mogliby prowadzić nękający ostrzał. Ponuro pomyślał o tym, że Armstrong miał rację: nieprzyjaciel nie zechce być dłużej potulnym celem i z pewnością przedsięwzięcie kroki, które osłonią go przed następnym atakiem. Teraz w grę wchodziło już tylko całkowite zaskoczenie, coś tak nieprawdopodobnego, jak królik chwytający łasicę za gardło.

Nieprzyjaciel wciąż zachowywał czujność przy moście. Raz wychyliwszy się nieostrożnie z ukrycia, O'Hara ściągnął na siebie skoncentrowany i zaskakująco celny ogień. Przed kulą w głowę ocalił go tylko szybki refleks i fakt, że ukazał się na bardzo krótką chwilę. Nie możemy szarżować, pomyślał, nie możemy podejmować żadnego ryzyka. Teraz spoglądał na most, na ziejącą w jego środku dwunastostopową dziurę i rozmyślał, jak się do niego dobrać. Ogień wciąż zdawał się stwarzać najlepszą szansę, a Willis mówił, że w osadzie są dwie beczki nafty. Oszacował wzrokiem stumetrowe podejście do mostu. Był tu niewielki spadek i pomyślał, że silnie popchnięta beczka dotoczy się do samego mostu. Warto było spróbować.

Niebawem przybył Armstrong, by go złuzować.

- Jest już papu - powiedział.

O'Hara przypatrzył się gładkim policzkom Armstronga.

- Nie zabrałem swoich przyrządów do golenia. Za to ty najwyraźniej tak.

- Mam jeden z tych szwajcarskich aparacików do golenia na sucho - wyjaśnił Armstrong. - Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć. Jest w kieszeni mojego płaszcza.

O'Hara podziękował i pokazał mu nieprzyjacielskie punkty obserwacyjne, jakie wyśledził.

- Moim zdaniem, dzisiaj nie podejmą próby sforsowania mostu - powiedział. - Więc po południu pójdę do osady. Potrzebuję tych beczek z naftą. Jeśli jednak w czasie mojej nieobecności coś się stanie i sukinsyny przejdą na tę stronę, rozproście się. Aguillar, Benedetta i Jenny mają zebrać się w kopalni, nie w osadzie, i wędrować pod górę, trzymając się z dala od drogi. Ty zasuwasz do osady drogą, najszybciej jak możesz, bo będą deptać ci po piętach.

Armstrong przytaknął.

- Mam pomysł: zatrzymamy ich w osadzie, dając innym czas na dotarcie do kopalni.

- Słusznie - powiedział O'Hara. - Ale pod moją nieobecność ty jesteś szefem i sam podejmujesz decyzje.

Zostawił Armstronga, wrócił do kryjówki, a znalazłszy płaszcz doktora, zaczął myszkować w kieszeniach. Benedetta uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Lunch gotowy.

- Wracam za kilka minut - odrzekł. Wziął golarkę i zszedł do jeziora. Aguillar

ciaśniej owinał się płaszczem i z zaciekawieniem odprowadził wzrokiem oddalającą się sylwetkę O'Hary.

- Dziwny człowiek - powiedział. - Wojownik, ale zbyt opanowany, zbyt zimny, nie ma w nim gorącej krwi, a to źle w przypadku młodego mężczyzny.

Benedetta pochyliła głowę i zajęła się gulaszem.

- Może cierpiał - powiedziała.

Na widok odwróconej twarzy Benedetty usta Aguillara musnął lekki uśmiech.

- Mówiłaś, że był jeńcem w Korei? - zapytał. Przytaknęła.

- Więc na pewno cierpiał - zgodził się Aguillar. - Może nie ciałem, lecz duchem na pewno. Czy pytałaś go o to?

- Nie chce o tym rozmawiać. Aguillar pokiwał głową.

- To także źle. Nie jest dobrze, gdy człowiek tłumi wszelkie emocje i zamyka się w sobie. Przypomina to zakręcanie zaworu bezpieczeństwa przy kotle parowym. Należy spodziewać się eksplozji. - Skrzywił twarz. - Mam nadzieję, że nie będzie mnie w pobliżu, gdy ten młodzieniec eksploduje.

Benedetta szarpnęła głową.

- Pleciesz bzdury, wujku. Jego gniew skierowany jest przeciwko tym po drugiej stronie rzeki. Nam nie robi krzywdy.

Aguillar spojrzał na nią ze smutkiem.

- Tak myślisz, dziecko? Jego gniew skierowany jest przeciwko niemu samemu, tak jak ładunek wybuchowy bomby skierowany jest przeciwko jej powłoce. Gdy pancierz pęka, uszczerbku doznają wszyscy dokoła. O'Hara jest człowiekiem niebezpiecznym. Benedetta zacisnęła usta. Właśnie zamierzała coś odpowiedzieć, gdy z kuszą pod pachą nadeszła panna Ponsky. Sprawiała wrażenie rozcwierkanej, O'Hara jęknął, a Benedetta uśmiechnęła się. Przyjął aluminiowy talerz i powiedział:

- Kiedy dziś po południu wyprawię się do osady, może uda mi się przynieść coś innego. Nie będę miał jednak wiele miejsca, bardziej interesuje mnie nafta.

- Jak tam nad rzeką? - zapytała panna Ponsky.

- Cicho - odparł. - Na razie nie mogą działać zbyt wiele, więc zadowolaj ą się szachowaniem mostu. Myślę, że bez obaw mogę dzisiaj iść do osady.

- Pójdę z tobą - zaproponowała szybko Benedetta. Przestał jeść i zastygł z uniesionym widelcem.

- Nie wiem, czy...

- Potrzebujemy żywności - powiedziała. - A jeśli ty nie będziesz mógł jej nieść, będzie to musiał zrobić kto inny.

O'Hara zerknął na Aguillara, który z pogodną miną skinął głową.

- Nic mi się nie stanie - powiedział. O'Hara wzruszył ramionami.

- Możesz się przydać - przyznał.

Benedetta odpowiedziała mu lekkim dygnięciem, lecz w jej oczach rozbłysło coś, co ostrzegło O'Harę, że powinien stąpać ostrożnie.

- Dziękuję - powiedziała odrobinę za słodko. - Spróbuję nie przeszkadzać.

- Powiem ci, kiedy to zrobić - odparł.

V

Podobnie jak Forester, i O'Hara rychło przekonał się, że wędrówka do osady nie jest łatwa. Gdy w połowie drogi urządzili odpoczynek, łapczywie wciągał w płuca rozrzedzone, chłodne powietrze.

- Mój Boże, robi się ciężko - wysapał. Oczy Benedetty powędrowały ku szczytom.

- A co mówić o Miguelu i seńorze Foresterze. Im będzie jeszcze ciężej. O'Hara przytaknął, a potem powiedział:

- Sądzę, że twój wuj powinien przenieść się do osady już jutro. Lepiej, by

zrobił to sam, tak jak pozwolą mu siły, niż z prześladowcami deptającymi mu po piętach. No i będzie miał czas na aklimatyzację, jeśli później musielibyśmy wycofać się do kopalni.

- Sądzę, że to dobry pomysł - odparła. - Pójdę z nim, a wracając przyniosę więcej żywności.

- Może zdoła pomóc Willisowi w jego partaninkach - powiedział O'Hara. - W końcu przy moście nie ma wiele roboty, a Willisowi przyda się dodatkowa para rąk.

Benedetta ciaśniej owinęła się płaszczem.

- Czy w Korei było równie zimno?

- Czasami. - Pomyślał o kamiennej celi, w której go trzymano. Spływająca ze ścian woda w nocy zamarzała. A potem pogoda pogorszyła się i ściany były oblodzone całą dobę. To wówczas porucznik Feng zabrał mu ubranie. - Czasami - powtórzył tępo.

- Sądzę, że mieliście cieplejszą odzież niż my teraz - powiedziała. - Niepokoję się o Forestera i Miguela. Na przełęczy będzie bardzo zimno.

Nagle O'Hara zawstydzil się siebie i swojego rozczulania się nad sobą. Szybko odwrócił wzrok od Benedetty i spojrzal na śniegi w wyższych partiach gór.

- Musimy zobaczyć, czy nie da się dla nich zaimprovizować namiotu. Spędzą przynajmniej jedną noc pod gołym niebem. - Wstał. - Lepiej ruszajmy dalej. Osadę ożywiał stukot młotka. Na centralnym placu pomiędzy chatami trebusz zaczynał nabierać wyglądu. Nie zauważony O'Hara stał przez chwilę i przyglądał się machinie. Ogromnie przypominała mu coś, co widział kiedyś w awangardowym magazynie artystycznym - współczesny rzeźbiarz połączył mnóstwo złomu w obłądną całość, którą opatrzył jakimś nadętym tytułem. Trebusz sprawiał identyczne wrażenie - czegoś szalenie nieprawdopodobnego.

Forester przerwał pracę i wsparł się na kawałku stali, którego używał zamiast młota. Kiedy ocierał pot z czoła, dostrzegł nowo przybyłych i machnął im na powitanie.

- Co tu robicie, u diabła? Czy coś się stało?

- Wszystko w porządku - odparł O'Hara uspokajająco. - Przyszliśmy po jedną z beczek nafty i trochę żarcia. - Obszedł trebusz. - Czy ten interes będzie działać?

- Willis jest tego pewien. A ja mu wierzę.

- Bo ciebie tu nie będzie - powiedział O'Hara posępnie. - Ale myślę, że i ja powinienem ufać jajogłowym. Nawiasem mówiąc, tam w górze będzie cholernie zimno. Czy poczyniliście jakieś przygotowania?

- Jeszcze nie. Zajmowaliśmy się tym urządzeniem.

- To za mało - odrzekł O'Hara surowo. - Pokładamy w was nadzieje. Liczymy, że ściągniecie nam na ratunek dobrą, starą kawalerię Stanów Zjednoczonych. Musicie przedostać się przez przełęcz, bo jeśli nie, to ten kawałek durnej artylerii zda się psu na budę. Czy jest tu coś, z czego można by zaimprovizować namiot?

- Chyba dobrze gadasz - powiedział Forester. - Rozejrzę się.

- Zrób to. Gdzie jest parafina?

- Parafina? Ach, chcesz powiedzieć: nafta. W tamtej chacie. Willis ją zamknął. Schował tam też całą gorzałkę - musimy jakoś utrzymać Peabo-dy'ego w stanie używalności.

- Aha. A jak sobie daje radę?

- Marny z niego pożytek. Brak mu kondycji, a i jego postawa też nie pomaga, musimy go popędzać.

- Czy ten cholerny dureń nie zdaje sobie sprawy, że jeśli most zostanie sforsowany, skończy z poderżniętym gardłem?

Forester westchnął.

- Chyba nie ma to decydującego znaczenia. Logiczne myślenie nie jest jego

najmocniejszą stroną. Bumeluje przy każdej okazji.

O'Hara dostrzegł Benedettę wchodzącą do jednej z chat.

- Lepiej pójde po naftę. Musimy mieć ją przy moście przed zmrokiem. Wziął od Willisa klucz od chaty i otworzył drzwi. Tuż za nimi stała skrzynka do połowy załadowana butelkami. Ich widok wywołał w jego wnętrzościach łakome ssanie, ale natychmiast je opanował i zwrócił uwagę na dwie beczki z naftą. Ocenił ciężar jednej z nich i pomyślał, że zholowanie jej na dół będzie diabelną robotą.

Przewrócił beczkę na bok i wytoczył ją z chaty. Po przeciwległej stronie placu dostrzegł Forestera, pomagającego Benedettie sporządzić travois. Podeszedł do nich.

- Macie tu jakąś linę?

- Niby mamy - odparł Forester. - Ale Rohdego niepokoi ta kwestia. Powiada, że będziemy potrzebować jej w górach, chociaż jest sparciła. A i Willis potrzebuje jej do katapulty. Ale mamy za to mnóstwo kabli, które Willis wyrwał z myślą o robieniu cięciw.

- Muszę mieć liny do zholowania beczki na dół. Ale, jak widzę, będę musiał zadowolić się kablami.

Przylazł Peabody. Jego obrzmiała twarz miała niezdrowy wygląd. Emanował z niego strach.

- Co tu jest grane? - zapytał. - Willis powiada, że dajesz z Meksem drapaką przez góry.

Oczy Forestera były zimne.

- Jeśli chcesz ująć to w ten sposób, to tak.

- Ano, chcę iść z wami - powiedział Peabody. - Nie zostanę tu, żeby mnie rozwalila banda komuchów.

- Oszalałeś? - zapytał Forester.

- A co w tym takiego szalonego? Willis powiada, że do tego Altemiros jest tylko dwadzieścia pięć kilometrów.

Oniemiały Forester popatrzył na O'Harę.

- Peabody, czy sądzisz, że będzie to przypominać przechadzkę w Central Parku? - zapytał cicho O'Hara.

- Do diabła. Wolę szukać szczęścia w górach niż z komuchami. Moim zdaniem, to ty jesteś szalony, sądząc, że zdołasz ich powstrzymać. Bo co takiego masz? Starucha, durną belferkę, dwóch pieprzonych naukowców i dziewczynę. I, jak na ironię, wojujesz łukami i strzałami. - Klepnął Forestera w pierś. - Jeśli dajesz nogę, idę z tobą. Forester odepchnął jego rękę.

- Peabody, teraz wbij sobie do łba, że robisz to, co ci się, do cholery, każe.

- Do diabła, kim ty jesteś, żeby wydawać mi rozkazy? Zaczniemy od tego, że nie przyjmuję rozkazów od żadnego dzemojada i nie widzę powodu, dlaczego i ty miałbyś robić za wszechmocnego Boga. Postępuję tak, jak mi się, cholera, chce.

O'Hara pochwycił spojrzenie Forestera.

- Omówimy to z Rohdem - powiedział pośpiesznie.

Dostrzegł zaciskającą się pięść Forestera i chciał zapobiec kłopotom, ponieważ w jego umyśle krystalizował się pewien pomysł. Rohde był zdecydowanie przeciwny.

- Ten facet nie jest w stanie przejść przez góry. Będzie nas opóźniał, a wtedy nikt z nas nie przedostanie się na drugą stronę. Nie możemy spędzić pod gołym niebem więcej niż jedną noc.

- A co ty sądzisz? - zapytał Forester O'Harę.

- Nie lubię tego faceta. Jest słaby i pod naciskiem załamie się, a to może oznaczać koniec dla nas wszystkich.

- Uczciwe postawienie sprawy - zgodził się Forester. - Ten gość jest słabym ogniwem, zgoda. Zamierzam przeforsować własne zdanie, Miguel: on idzie z nami.

Nie możemy pozwolić, by pozostał z O'Hara.

Rohde otworzył usta, aby zaprotestować, lecz powstrzymał go wyraz twarzy Foreстера. Forester uśmiechał się złowieszczo, a w jego głosie zabrzmiały twarde tony.

- Jeśli będzie nas opóźniał - powiedział - wrzucimy sukinsyna do najbliższej rozpadliny. Dla Peabody'ego to wóz albo przewóz. - Przywołał Peabody'ego. - Dobra. Idziesz z nami. Ale od samego początku miejmy pełną jasność: to ty słuchasz rozkazów.

Peabody skinął głową.

- W porządku - wymamrotał. - Będę cię słuchać. Forester był bezlitosny.

- Od tej chwili słuchasz rozkazów każdego, kto będzie ci je wydawać. Miguel jest ekspertem od tych stron i kiedy wyda ci rozkaz, wykonasz go bez szemrania.

Oczy Peabody'ego zabłyśły, ale nie zaprotestował. Jeśli chciał iść z nimi, nie miał wyboru. Rzucił w kierunku Rohdego niechętnie spojrzenie i powiedział:

- Okay. Ale kiedy wrócę do domciu, Departament Stanu usłyszy ode mnie niejedno. Co to za miejsce, gdzie dobrzy Amerykanie mogą być rozstawiani po kątach przez Meksów i komuchów?

O'Hara szybko spojrzał na Rohdego. Jego twarz była tak nieporuszona, jakby nic nie słyszał. O'Hara podziwiał jego opanowanie, ale już teraz litował się nad losem Peabody'ego podczas wędrówki przez góry.

Pół godziny później on i Benedetta opuścili osadę. Dziewczyna ciągnęła travois, a on niezgrabnie popychał beczkę z naftą. Beczkę owijały dwie pętle drutu, umożliwiające choćby częściowe panowanie nad jej ruchami. Na pożegnanie z Rohdem i Foresterem stracili niewiele czasu, a jeszcze mniej - z Peabodym.

- Zapraszamy cię na jutro. Trebusz będzie wówczas gotowy - powiedział Willis.

- Będę - obiecał O'Hara. - Nie mam żadnych innych planów.

Schodzenie okazało się nad wyraz kłopotliwe. Ciągająca travois Benedetta często musiała odpoczywać, a jeszcze częściej zatrzymywać się, by pomóc O'Harze. Ważąca niemal sto kilogramów beczka zdawała się mieć autonomiczną złośliwą duszę.

Pomysł z kierowaniem nią przez pociąganie drutami sprawdzał się kiepsko. Beczka przejmowała inicjatywę i sunęła ukosem, by uwięznąć w rowie na poboczu. Potem, wyciągnięta kosztem potu i znacznego wysiłku, szarżowała w stronę rowu po przeciwnej stronie.

Zanim dotarli na dół, O'Hara czuł się tak, jakby stoczył walkę zapaśniczą z przeciwnikiem wyjątkowo podstępny i wredny. Bolały go wszystkie mięśnie. Miał wrażenie, że całe jego ciało zostało obtłuczone młotem. Co gorsza, po to, by w ogóle doholować beczkę na dół, został zmuszony do zmniejszenia jej ciężaru przez upuszczenie jednej czwartej jej zawartości. Bezradnie patrzył, jak spragniony pył pochłania dziesięć galonów bezcennej nafty.

Gdy osiągnęli dolinę, Benedetta porzuciła travois i pośpieszyła z pomocą. O'Hara zerknął na niebo i powiedział:

- Chcę mieć tę beczkę przy moście przed nocą.

Na wschodnich stokach Andów noc zapada wcześniej. Góry zasłaniają zachodzące słońce i rzucają długie cienie na gorące dzungle interioru. O piątej po południu słońce ledwie muskało najwyższe szczyty i O'Hara wiedział, że w ciągu godziny zapadnie zmrok.

Z pomocą przybył Armstrong i O'Hara zapytał niezwłocznie:

- Kto pełni wartę?

- Jenny. Jest w dobrej formie. A poza tym nic się nie dzieje.

We dwóch o wiele łatwiej mogli kontrolować swawolne ruchy beczki i po dwóch godzinach dostarczyli ją w pobliże mostu. Nadbiegła panna Ponsky.

- Właśnie włączyli reflektory i sądzę, że usłyszałam stamtąd warkot silnika. - Pokazała w dół rzeki. - Miałabym ochotę skasować światła tego dżipa. Ale nie

chcę marnować strzały... bełta, a poza tym coś stoi przed reflektorami.

- Zrobili osłonę na światła - wtrącił Armstrong. - Z grubej siatki.

- Trzeba oszczędzać bełty - powiedział O'Hara. - Peabody miał ich trochę dorobić, ale opieprzał się.

Podczołgał się ostrożnie i spojrzął na przyczółek mostu. Reflektory dzi-pa oświetlały cały most i jego podjazdy, a ponadto wiedział, że obserwuje go przynajmniej tuzin par bystrych oczu. Wejście tam byłoby samobójstwem.

Wycofał się i w słabnącym świetle popatrzył na beczkę. Była solidnie powgniatana po szalonym zjeździe w dół, lecz sądził, że potoczy się jeszcze kawałek.

- Plan jest taki - powiedział. - Spróbujemy spalić most. Wykonamy taką samą sztuczkę, jak dzisiaj rano, jednak tym razem po naszej stronie. - Wsparł stopę na beczce i lekko ją rozkołysał. - Jeśli Armstrong dobrze ją popchnie i jeśli dopisze nam szczęście, powinna potoczyć się do samego mostu. Jenny będzie stała z kuszą tutaj, a kiedy beczka znajdzie się we właściwym miejscu, przedziurawi ją. Ja również będę na stanowisku, mając przy sobie Benedettę, która poda mi drugą kuszę z pociskiem zapalającym. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zdołamy przepalić liny po naszej stronie i cały cholerny most runie do wody.

- Brzmi to nieźle - powiedział Armstrong.

- Jenny, weź kuszę - rozkazał O'Hara i odprowadził Armstronga na bok, aby pozostali nie mogli ich słyszeć. - To nieco bardziej ryzykowne. Żeby dostarczyć beczkę we właściwe miejsce, będziesz musiał wyjść na otwartą przestrzeń. - Nastawił ucha; warkot samochodu umilkł. - Więc chcę to zrobić, zanim będą mieli do dyspozycji więcej światła.

Armstrong uśmiechnął się łagodnie.

- Sądzę, że twój numerek jest niebezpieczniej szy od mojego. Strzelając tymi pociskami zapalającymi w ciemnościach, stanowisz doskonały cel. Teraz będzie trudniej niż dziś rano, kiedy przecież omal nie zarobiłaś kulki.

- Może - odparł O'Hara. - Ale trzeba to zrobić. Kiedy ten drugi dżip, czy cokolwiek to jest, tutaj podjedzie, może ci goście po tamtej stronie nie będą tak czujni. Przypuszczam, że manewry pojazdu zajmującego stanowisko odwrócą na chwilę ich uwagę. Moim zdaniem, to niezbyt zdyscyplinowane towarzystwo. I właśnie wtedy będzie czas na twój ruch.

- W porządku, mój chłopcze - powiedział Armstrong. - Możesz na mnie polegać.

O'Hara pomógł mu dopchnąć beczkę na najdogodniejsze stanowisko. Wówczas nadeszły z kuszami panna Ponsky i Benedetta.

- Kiedy dam Armstrongowi znak do wypchnięcia beczki - wyjaśnił Benedettcie - zapalisz pierwszy bełt. Musi to być zrobione szybko, jeśli ma być zrobione w ogóle.

- W porządku, Tim - odparła.

Panna Ponsky powędrowała na swoje stanowisko bez słowa.

Znów usłyszał, tym razem głośniejszy, warkot silnika. Nie dostrzegł nic na drodze wzdłuż dolnego biegu rzeki, przypuszczał więc, że pojazd nadjeżdża powoli i z wygaszonymi światłami. Podejrzewał, że muszą obawiać się ostrzału na tym ostatnim kilometrowym odcinku. Na Boga, pomyślał, mając tuzin ludzi z tuzinem kusz, obrzydziłbym im życie. Uśmiechnął się kwaśno. Równie dobrze mógłby marzyć o drużynie karabinów maszynowych - było to tak samo nierealne.

Nagle samochód włączył światła. Znajdował się już zupełnie blisko mostu i O'Hara gotów był dać Armstrongowi sygnał. Powstrzymał dłoń, dopóki samochód - dżip - nie zrównał się z wypaloną ciężarówką, a potem krzyknął zduszonym głosem:

- Teraz!

Usłyszał grzechot toczącej się po skałach beczki i kątem oka dostrzegł płomień zapalanego przez Benedettę pocisku. Beczka pojawiła się w polu jego widzenia po lewej stronie, łomocząc w dół po prowadzącym ku mostowi lekkim spadku. Zderzyła

się z większym kamieniem, który odchylił jej kurs. Chryste, pomyślał, schrzaniłiśmy to. Potem zobaczył Armstronga, który w pogoni za beczką wpadł na otwarty teren. Zza rzeki dobiegło kilka słabych okrzyków i rozległ się strzał.

- Ty cholerny głupcze! - wrzasnął O'Hara. - Wracaj!

Lecz Armstrong biegł dalej, aż dopadł beczki i, naprostowawszy ją, pchnięciem dodał jej impetu. Nastąpiła salwa ognia karabinowego, fontanny kurzu trysnęły wokół stóp powracającego co sił w nogach Armstronga. Potem z metalicznym odgłosem jakaś kula trafiła w beczkę, która wykonała kolejny obrót i O'Hara ujrzał bijący w powietrze srebrzysty strumień płynu. Nieprzyjaciele podzielili się - nie bardzo wiedzieli, co stwarza większe zagrożenie: człowiek czy beczka. I tylko dzięki temu Armstrong znalazł się bezpiecznie w ukryciu.

Panna Ponsky uniosła kuszę.

- Jenny, daj sobie spokój! - ryknął O'Hara. - Zrobili to za nas.

Tocząca się ku mostowi beczka raz po raz trafiana była kulami, zaś nafta, bijąca w powietrze połyskliwymi strugami, tryskała z kolejnych dziur, aż cała beczka wyglądała niczym jakieś osobliwe koło strzelające płynnymi fajerwerkami.

Powtarzający się impet celnych kul spowolnił jej bieg, a poza tym tuż przed samym mostem musiało znajdować się jakieś nieznaczące i niedostrzegalne wzniesienie terenu, beczka bowiem zatrzymała się w niewielkiej odległości od przypór.

O'Hara zaklął. Obrócił się, aby przejąć od Benedetty kuszę. Strzelanie w mroku pociskami zapalającymi było trudne. Płomienie zasnuwały mu cel. Mimo to mierzył bez pośpiechu. Z nieprzyjacielskiego brzegu znów dobiegła go wrzawa. Odbity od pobliskiej skały rykoszet ze świstem przeleciał nad głową O'Hary.

Rozdział 5

Forester z apetytem zaatakował swoją prażoną fasolę. Pierwsze blaski dnia osłabiały jaskrawą poświatę lampy Colemana i wygładzały ostre cienie na jego twarzy.

- Jeden dzień w kopalni - powiedział - dwa dni na sforsowanie przełęczy i jeszcze dwa dni na sprowadzenie pomocy. Powinniśmy to jakoś skrócić. Po przejściu na drugą stronę będziemy musieli działać szybko.

Peabody tępo gapił się w stół, nie zwracając uwagi na Forestera. Zastanawiał się, czy podjął właściwą decyzję. Uczynił to, co powinien zrobić Joe Peabody. Ze sposobu, w jaki ci faceci rozmawiali, wynikało, że przejście nie będzie rzeczą łatwą. Och, do cholery, pomyślał, potrafię wykonać to, co każdy inny gość, w szczególności Meks.

- Zdawało mi się, że wczoraj, o zachodzie słońca, słyszałem ogień karabinowy. - Na twarzy Rohdego malowało się poczucie bezradności.

- Nic złego nie powinno się im przydarzyć. Nie wiem, w jaki sposób komuchy mogłyby nareperować most i sforsować go tak szybko - zauważył Forester rozsądnie. - Ten O'Hara to szczywany lis, na pewno coś wykombinował z tą beczką nafty, którą wczoraj zholował na dół. Prawdopodobnie spalił most.

Twarz Rohdego skrzywiła się w słabym uśmiechu.

- Mam nadzieję.

Forester skończył jeść swoją fasolę.

- Okay. Ruszajmy z tym cyrkiem w trasę. - Obrócił się na krześle i rzucił okiem na stos koców na jednej z prycz.

- Co z Willisem?

- Niech śpi - odparł Rohde. - Pracował ciężiej i dłużej niż którykolwiek z nas.

Forester wstał i badawczo popatrzył na tobołki, które przygotowali poprzedniej nocy. Jak na czekające ich zadanie, sprzęt był żałośnie nieodpowiedni.

Przypomniał sobie książki o ekspedycjach wysokogórskich: specjalne racje żywnościowe, lekkie, nylonowe liny i namioty, wiatroszczelna odzież i dodatkowe wyposażenie alpinistyczne - buty wysokogórskie, czekany, raki. Uśmiechnął się ponuro. Tak, i tragarze dźwigający cały ten towar.

Nie dysponowali niczym w tym rodzaju. Ich plecaki były prymitywnymi zawiniątkami z koców; ich czekan, wykonany przez Willisa, z grubsza obrobionym żełazcem obsadzonym na kawałku starego trzonka od miotły; ich liny, wygrzebane ze stosu odpadków, były zbyt pozawężlane, porozdwa-jane i sparciałe, aby mogły gwarantować bezpieczeństwo, a na dodatek było ich za mało; ich buty górskie były po prostu niezgrabnymi butami górników, ciężkimi i nieforemnymi wyrobami ze sztywnej skóry - to Willis je odkrył, czym wywołał entuzjazm Rohdego.

Ważąc w rękę toból, Forester zapragnął, aby był cięższy - ciężarem niezbędnego im ekwipunku. Improvizowali długo w noc, przy czym największą inwencję wykazali Willis i Rohde. Pierwszy rwał koce na pasy, które miały służyć jako owijacze, a drugi, bez niczyjej pomocy, rozebrał jedną z chat, aby pozyskać nadające się na haki najdłuższe gwoździe. Na ich widok Rohde pokręcił głową.

- Metal jest zbyt miękki, ale muszą wystarczyć.

Forester zarzucił pakunek na plecy i zapiął prymitywne pasy z kabli. Może to i dobrze, że spędzimy dzień przy kopalni, pomyślał. Może zdołamy wykombinować coś lepszego. Są tam bagaże z przyzwoitymi zapięciami, jest też samolot, z pewnością znajdziemy w nim trochę użytecznych drobiazgów. Zaciągnął suwak skórzaney kurtki, wdzięczny O'Harze za jej pożyczenie - podejrzewał, że w wyższych partiach będzie wiało. Wychodząc z chaty, usłyszał Peabody'ego klnącego z powodu wagi swego bagażu. Nie zareagował na to, lecz powędrował przez osadę, by minąwszy trebusz, przycupnięty jak prehistoryczne monstrum, znaleźć się na drodze wiodącej pod górę. Rohde dogonił go w dwóch krokach, a zrównawszy się z

nim, wskazał na podążającego z tyłu Peabody'ego.

- Ten nam przysporzy kłopotów - powiedział. Twarz Forestera straciła nagle wszelki wyraz.

- Miguelu, mówilem serio, jeżeli będzie kłopotliwy, pozbędziemy się go.

Przejdźcie do kopalni zajęło im sporo czasu. Powietrze stało się bardzo rzadkie. Forester poczuł, że ma przyśpieszony puls, a serce tłucze mu się w piersi jak kamienne wahadło. Oddychał coraz szybciej i Rohde przestrzegł go przed zbyt głębokim wciąganiem powietrza. Mój Boże, pomyślał, jak to będzie na przełęczy?

Dotarli do lądowiska i kopalni około południa. Forester był oszołomiony i miał lekkie mdłości. Ledwie znalazł się w najbliższej z opuszczonych chat, zwałił się na podłogę. Z Peabodym rozstali się dawno temu; zignorowali jego prośby o zrobienie postoju i Peabody odstawał coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie zniknął z pola widzenia.

- Dogoni nas - powiedział Forester. - Bardziej boi się komuchów niż mnie. - Skrzywił twarz w grymasie drapieżnej satysfakcji. - Ale to się niedługo zmieni.

Rohde, jakkolwiek bardziej przywykły do gór, był w niemal równie kiepskiej formie. Zbyt zmęczony, aby zrzucić z pleców bagaż, siedział na podłodze chaty, łapczywie chwytając powietrze. Odpoczywali przez przeszło pół godziny, zanim Rohde wykonał pierwszy konstruktywny ruch. Odrętwiałymi palcami zaczął manipulować przy paskach i powiedział:

- Musimy się ogrzać. Wydostań naftę.

Kiedy Forester rozpakowywał swój toboł, Rohde wziął zabrany jeszcze z dakoty niewielki toporek i wyszedł z chaty. Niebawem Forester usłyszał, że rąbie coś w jednej z chat i doszedł do wniosku, że organizuje opał. Wyjął butelkę z naftą i odstawił ją na bok. Godzinę później rozniecili na środku chaty małe ognisko. Rohde użył kilku kropli nafty i ustawionych w kształt piramidy drewnianych drzazg. Forester zachichotał.

- Pewnie byłeś skautem.

- Byłem - odrzekł Rohde poważnie. - To pożyteczna organizacja. Teraz powinniśmy coś zjeść.

- Nie czuję się głodny - zaproponował Forester.

- Ja też nie. Niemniej musimy się posilić. - Spojrzał przez okno w stronę przełęczy. - Musimy podładować się przed jutrzejszą przeprawą.

Podgrzali puszkę fasoli i Forester wdusił w siebie swą porcję. Nie miał najmniejszej ochoty najedzenie ani na cokolwiek innego, z wyjątkiem odpoczynku. Jego członki sprawiały wrażenie bezwładnych i ciężkich i wydawało mu się, że nie jest zdolny do najlżejszego wysiłku. Słabość nie ominęła także jego duszy - przekonał się, że ma kłopoty z jasnym myśleniem i z koncentracją uwagi. Siedział zatem w kącie chaty, apatycznie przeżuając ledwie ciepłą fasolę, a każda jej łyżka była mu wstrętą.

- Chryste, czuję się okropnie.

- To soroche - stwierdził Rohde, wzruszając ramionami. - Musimy liczyć się z tym, że właśnie tak będziemy się czuć. - Z ubolewaniem pokręcił głową. - Nie dajemy sobie dość czasu na aklimatyzację.

- Ale kiedy opuszczaliśmy samolot, nie było tak źle.

- Wówczas mieliśmy tlen - podkreślił Rohde. - I szybko zesliśmy w dół.

Rozumiesz, że jest to niebezpieczne?

- Niebezpieczne? Wiem, że czuję się straszliwie chory.

- Kilka lat temu na północ od tego miejsca wspinała się grupa amerykańska. W krótkim czasie osiągnęła wysokość pięciu tysięcy metrów - czyli mniej więcej taką, na jakiej znajdujemy się w tej chwili. Z powodu soroche jeden z Amerykanów stracił przytomność i chociaż miał opiekę lekarską, zmarł w trakcie znoszenia go na dół. Tak, to niebezpieczne, señor Forester. Forester uśmiechnął się słabo.

- W chwili niebezpieczeństwa powinniśmy mówić sobie po imieniu, Miguel. Mów mi Ray.

Po chwili usłyszeli na zewnątrz człapanie Peabody'ego. Rohde dźwignął się na nogi i ruszył ku drzwiom.

- Señor, tu jesteśmy.

Peabody wtoczył się do chaty i opadł na podłogę.

- Wy wredne sukinsyny - wysapał. - Dlaczego nie zaczekaliście? Forester obdarzył go uśmiechem.

- Od tej chwili będziemy poruszać się naprawdę szybko - powiedział. - W porównaniu z tym, co nas czeka, droga do osady była niedzielą przechadzką. Nie będziemy na ciebie czekać, Peabody.

- Ty skurwysynu, jeszcze policzę się z tobą - zagroził Peabody. Forester parsknął śmiechem.

- Wepchnę ci te słowa z powrotem do gardła. Ale nie teraz. Zdążę zrobić to później.

Rohde wystawił puszkę fasoli.

- Musisz coś zjeść, a my mamy robotę. Chodźmy, Ray.

- Nie chcę jeść - wyjęczał Peabody.

- Jak sobie chcesz - odparł Forester. - Wisi mi, czy zdechniesz z głodu, czy nie. - Wstał i w ślad za Rohdem wyszedł z chaty. - Ten brak apetytu... czy to także efekt soroche?

Rohde przytaknął.

- Od tej chwili będziemy jeść niewiele. Musimy wykorzystywać rezerwy nagromadzone w organizmie. Człowiek sprawny jest do tego zdolny, ale tamten... Nie wiem, czy wytrzyma.

Szli wolno wzdłuż pasa startowego ku rozbitej dakocie. Foresterowi wydawało się niewiarygodne, że O'Hara uznał lądowisko za zbyt krótkie; teraz miał wrażenie, że pas liczy przynajmniej kilka kilometrów. Sunął przed siebie, mechanicznie stawiając stopy, zimne powietrze świszczało mu w krtani, a wysiłek sprawiał, że jego pierś unosiła się w ciężkim oddechu.

Doszli do końca pasa i trawersem ruszyli w dół urwiska, z którego zwałił się samolot. Świeży śnieg pokrył połamane skrzydła i zaokrąglił poszarpane kontury dziur wyrwanych w kadłubie. Jeszcze przed zejściem Forester popatrzył na dół i powiedział:

- Nie sądzę, aby dało się to wypatrzeć z powietrza. Śnieg doskonale maskuje szczątki. Moim zdaniem, nie znajdą nas, jeśli będą prowadzić poszukiwania z powietrza.

Z trudem posuwali się po nierównym terenie. Dotarli do wraku i weszli przez dziurę, którą podczas wydostawania butli z tlenem wyrąbał w poszyciu O'Hara. We wnętrzu samolotu panował mrok. Forester zadrżał, nie z powodu przenikliwego zimna, lecz na myśl o tym, że oto znalazł się we wnętrzu trupa niegdyś żywej i aktywnej istoty. Otrząsnął się z tego wrażenia i powiedział:

- Na półce bagażowej są jakieś pasy z klamrami. Mogą się nam przydać. A O'Hara mówił, że w kabinie pilotów znajdziemy rękawice.

- Doskonale - zgodził się Rohde. - Rozejrzę się bliżej dzioba. Forester ruszył ku tyłowi. Z sykiem wypuścił powietrze na widok zwłok

Coughlina - rozgniecionej miazgi zamrożonego ciała i potrzaskanych kości.

Odwracając oczy, zajął się półką bagażową i zaczął odpinać pasy. Jego palce były odrętwiałe z zimna, a ruchy niezdarne. Ale na koniec zdołał odpiąć cztery szerokie pasy, doskonale nadające się do ich tobołów. Nasunęło mu to pewną myśl - zwrócił uwagę na pasy bezpieczeństwa, które jednak okazały się zamocowane bardzo mocno i próba odłączenia ich bez narzędzi skazana była na niepowodzenie. Ukazał się Rohde, niosąc zdjętą z grodzi torbę pierwszej pomocy. Położył ją na

krześle, otworzył i zaczął ostrożnie myszkować palcami w zmieszanej zawartości.

W pewnej chwili mruknął:

- Morfina.

- Cholera - powiedział Forester - mogliśmy ją podać pani Coughlin. Rohde uniósł w dłoni ampulkę ze strzaskanym końcem.

- Nie mogliśmy. Wszystkie są potłuczone. - Wsunął do kieszeni nieco bandażu i dodał: - O, to się przyda: aspiryna.

Buteleczka, choć popękana, zawierała setkę tabletek. Obaj przyjęli po dwie; resztę Rohde schował do kieszeni. W torbie sanitarnej nie było nic więcej godnego ich uwagi.

Forester przeszedł do kokpitu. Leżało tam ohydnie skrzycone ciało Gri-vasa, a jego martwe, wciąż otwarte oczy, patrzące na pogruchotaną deskę rozdzielczą, miały wyraz największego zdumienia. Przekonany, że we wraku samolotu musi być jeszcze coś, co warto odzyskać, Forester zrobił krok naprzód. I właśnie wtedy kopnął jakiś twardy przedmiot, który zsunął się po pochylej podłodze kabiny.

Opuścił wzrok i dostrzegł pistolet automatyczny.

Mój Boże, pomyślał, zapomnieliśmy o tym. Była to broń Grivasa, porzucona podczas gorączkowej ewakuacji z dakoty. Przydałaby się przy moście. Podniósł broń. Metal ziębił mu dłoń i Forester przez chwilę stał niezdecydowany, a potem wsunął broń do kieszeni - pomyślał o Peabodym i o tym, co czeka ich za przełęczą.

Oto sprzęt niezbędny dla wspinaczy -jeden pistolet automatyczny.

Nie znaleźli w dakocie niczego więcej, co byłoby dla nich użyteczne. Wrócili do chaty tą samą drogą, którą przyszli. Forester wziął pasy i pozostawioną w samolocie niewielką walizeczkę panny Ponsky. Z tych rzeczy sporządził zupełnie przyzwoity plecak, który ułożył mu się na ramionach znacznie lepiej niż dotychczas niesiony toból.

Rohde wyszedł przyjrzeć się kopalni. Peabody siedział bezsilny w rogu chaty, otępiałym wzrokiem obserwując krzątającego się Forestera. Nie zjadł swojej fasoli i nawet nie próbował podtrzymać ognia. Wróciwszy do chaty, Forester spojrzał nań ze wzgardą, ale nic nie powiedział. Ujął toporek, od-szczepił kilka wiórów z przyniesionego przez Rohdego polana i ponownie rozniecił ogień. Wszedł Rohde, otrząsając śnieg z butów.

- Wybrałem tunel dla O'Hary - powiedział. - Jeśli nieprzyjaciel sforsuje most, O'Hara musi przenieść się tutaj. Sądzę, że osada jest nie do obrony.

Forester przytaknął.

- Ja też nie mam co do tego żadnych złudzeń. - Przypomniawszy sobie, jak „zdobyli” osadę podczas schodzenia na dół.

- Większość tuneli biegnie prosto w głąb góry - poinformował Rohde. -Jest wszakże jeden z ostrym zakrętem, jakieś pięć metrów do wlotu. Da osłonę przed ogniem karabinowym.

- Rzućmy na niego okiem - zaproponował Forester.

Rohde poprowadził do pnącego się na tyłach chat urwiska i pokazał tunele. W podstawie skalnej ściany wydrążono ich sześć.

- To ten - oznajmił.

Forester zbadał go. Miał nieco ponad trzy metry wysokości i niewiele więcej szerokości i był po prostu dziurą wybitą w twardej skale zbocza góry. Wszedł do środka, a w miarę jak się posuwał, półmrok ustępował miejsca kompletnym ciemnościom. Wyciągnął przed siebie ręce i obmacał ścianę -zgodnie ze słowami Rohdego skręcała ostro w lewo. Obejrząwszy się przez ramię, nie dostrzegł obrysowanego wlotem błękitnego skrawka nieba. Nie szedł już dalej, lecz obrócił się i zaczął wycofywać, aż ujrzał w wejściu kontur sylwetki Rohdego. Zaskoczyło go uczucie ulgi, jakiego doświadczył wracając w świetle dnia.

- Niezbyt tu przytulnie - powiedział. - Przyprawia człowieka o dreszcze.

- Może dlatego, że umierali tu ludzie?

- Umierali?

- Aż nazbyt wielu ludzi - wyjaśnił Rohde. - Kopalnia została zamknięta za prezydentury señora Aguillara.

- Jestem zaskoczony, że Lopez nie próbował wycisnąć stąd trochę forsy - zauważył Forester.

Rohde wzruszył ramionami.

- Jej ponowne uruchomienie kosztowałoby mnóstwo pieniędzy. Zresztą eksploatacja była deficytowa, chodziło tylko o eksperyment w górnictwie wysokogórnym. Sądzę, że zostałaby zamknięta tak czy owak.

Forester rozejrzał się dokoła.

- O'Hara pojawi się tu w cholernym pośpiechu. Może byśmy wzniesli przy wejściu jakiś mur? Zostawimy mu w chacie kartkę z informacją, który tunel ma wybrać.

- Dobrze pomyślane - zgodził się Rohde. - Kamieni tu nie brak.

- Co trzy pary rąk, to nie dwie - powiedział Forester. - Popędzę Peabody'ego.

Wrócił do chaty, by stwierdzić, że Peabody siedzi w tym samym kącie, gapiąc się bezmyślnie w ścianę.

- Ojciec, ruszaj! - rozkazał Forester. - Żwawo i wesoło. Mamy robótkę do odwalenia.

Powieka Peabody'ego zadrżała.

- Daj mi spokój - powiedział ochrypłym głosem.

Forester pochylił się, chwycił Peabody'ego za kłapy i szarpnięciem postawił na nogi.

- A teraz posłuchaj, zgniłku. Mówiłem ci, że musisz słuchać rozkazów - i to bez najmniejszego szemrania. Mam niższą temperaturę wrzenia niż Rohde, więc lepiej uważaj.

Peabody począł bezskutecznie okładać go rękoma, a Forester rzucił nim o ścianę.

- Jestem chory - wysapał Peabody. - Duszę się.

- Możesz chodzić i możesz nosić kamienie - odparł Forester szorstko. - A czy przy tym oddychasz, czy nie, to rzecz bez znaczenia. Osobiście byłbym cholernie rad, gdybyś w ogóle przestał oddychać. A teraz, czy zamierzasz wyjść z chaty na własnych nogach, czy mam cię wykopać?

Mamrocząc przekleństwa, Peabody chwiejnie ruszył ku drzwiom. Forester, deptający mu po piętach, podążył za nim do tunelu, gdzie kazał mu zbierać kamienie. Sam też przystąpił do roboty. Była to ciężka praca fizyczna i musiał często odpoczywać, ale bezlitośnie popędzając Peabody'ego, pilnował, by ten się nie objął.

Nosili kamienie do wlotu tunelu, gdzie Rohde począł wznosić prymitywny mur.

Kiedy zapadły ciemności, budowla sięgała niewiele wyżej niż do piersi. Forester osunął się na ziemię i zmętniałym ze zmęczenia wzrokiem popatrzył na ich dzieło.

- Niewiele tego, ale musi wystarczyć. - Zabił ręce o ciało. - Boże, jak zimno.

- Wracajmy do chaty - powiedział Rohde. - Tu nie zdziałamy już wiele.

- Zjesz, nawet gdybym miał to żarcie wepchnąć ci do gardła. Peabody, wiele twoich idiotyzmów tolerowałem. Nie spiesz nam całej sprawy tylko dlatego, że zemdlejesz z głodu. Ale ostrzegam cię, jeśli padniesz, jeśli opóźnisz nas choćby o jedną minutę, zostawimy cię.

Peabody spojrzał nań jadowicie, lecz przyjął podgrzaną puszkę i zaczął z trudem jeść.

- Jak tam twoje buty? - zapytał Forester.

- Chyba w porządku - odparł Peabody opryskliwie.

- Nie chybaj - powiedział Forester ostro. - Nie będzie mnie obchodzić, jeśli poucierają ci paluchy i zetrą stopy na miazgę. Nie będzie mnie obchodzić, jeśli porobią ci bąble jak piłki do golfa. To wszystko nie będzie mnie obchodzić, ale

tylko w stosunku do ciebie. Ale nie może mi być obojętne, że wówczas będziesz nas opóźniał. Jeśli te buty nie leżą dobrze, powiedz to teraz.

- Są w porządku - odparł Peabody. - Leżą jak ulał.

- Musimy ruszać - powiedział Rohde. - Bierzcie toboły.

Forester podniósł walizkę i założył pasy na ramiona. Wyścielił dno walizki kocem ze swojego starego tobołka, więc spoczywała teraz wygodnie na jego plecach i czuł satysfakcję ze swojej pomysłowości.

Rohde ujął prymitywny czekan, a krótki toporek zatknął za pas. Opuścił pakunek na plecy, żeby dobrze się ułożył. Znacząco popatrzył na Peabo-dy'ego, który pokuśtykał do rogu, gdzie spoczywał jego bagaż. I wówczas coś ze stukiem upadło na podłogę.

Była to piersiówka O'Hary.

Forester pochylił się, podniósł flaszkę, i potem prześwidrował Peabody'ego zimnym spojrzeniem.

- Więc poza wszystkim jesteś jeszcze cholernym złodziejem.

- Nie jestem! - zawył Peabody. - O'Hara mi to pożyczył.

- O'Hara nie pożyczyłby ci nawet zdrowia - warknął Forester. Potrząsnął piersiówka i stwierdził, że jest pusta. - Ty gnojku! - ryknął i cisnął flaszką w Peabody'ego.

Peabody starał się uchylić, ale zrobił to zbyt wolno i pocisk ugodził go w czoło, nad prawym okiem.

Rohde stuknął w podłogę styliskiem czekana.

- Dość tego - powiedział rozkazująco. - Ten człowiek nie pójdzie z nami. Nie możemy mu ufać.

Peabody, macając się dłonią po czole, spojrzał nań z przerażeniem.

- Ale musicie mnie wziąć - wyszeptał. - Musicie. Nie możecie zostawić mnie tym skurwysynom z dołu.

Usta Rohdego zacisnęły się nieubłaganie i Peabody zaczął skomleć. Forester głęboko zaczerpnął powietrza i powiedział:

- Jeśli go tutaj zostawimy, wróci do O'Hary i jak nic wszystko spieprzy.

- Wcale mi się to nie podoba - rzekł Rohde. - Bardzo prawdopodobne, że wykończy nas w czasie wspinaczki.

Forester, wążąc w dłoni ukryty w kieszeni pistolet, podjął decyzję.

- Peabody, idziesz z nami - powiedział szorstko. - Ale jeszcze jeden numer, a

jesteś trupem. - Odwrócił się do Rohdego. - Nie opóźni nas nawet o minutę,

obietuję. - Spojrzał Rohdemu w oczy, a ten ze zrozumieniem skinął głową.

- Bierz toból, Peabody - rzucił. -1 już cię nie ma w chacie. Peabody oderwał się

od ściany, a kiedy podnosił swój bagaż, zdawał się

kurczyć. Przemknął przez izbę, omijając Forestera szerokim łukiem, i wypadł na zewnątrz. Forester wyłowił z kieszeni kawałek papieru i ołówek.

Zostawię Timowi kartkę z informacją o właściwym tunelu, a potem ruszamy.

III

Początkowo było względnie łatwo, a przynajmniej tak się Foresterowi później zdawało. Chociaż zeszli z drogi i zdążali na przełaj, utrzymywali dobre tempo. Prowadził Rohde, za nim Peabody, a na końcu szedł Forester, gotów biczować Peabody'ego, gdyby ten został w tyle. Ale nie było to konieczne - Peabody pędził, jak gdyby sam diabeł deptał mu po piętach.

Początkowo śnieg był płytki, suchy i sypki, lecz potem stawał się coraz głębszy i pokrywała go lodowa skorupa. Wówczas Rohde się zatrzymał.

- Musimy użyć lin.

Wyciągnęli swoje żaloszne kawałki sparciałej liny i Rohde uważnie zbadał każdy

węzeł. Potem, wciąż zachowując dotychczasowy porządek, powiązali się razem i szli dalej. Forester podniósł wzrok na strome białe zbocze, które zdawało się piąć bezkresnie ku niebu i pomyślał, że Rohde miał słuszość - to nie będzie łatwe.

Krok za krokiem sunęli przed siebie. Rohde na czele, za nim dwaj pozostali, wdzięczni, że toruje im drogę w coraz głębszym śniegu. Zbocze, które teraz trawersowali, było strome, a w dole przedstawiało widok przyprawiający o zawroty głowy. Forester przyłapał się na tym, że rozmyśla, co by się stało, gdyby któryś z nich spadł. Było bardzo prawdopodobne, że pociągnąłby za sobą dwóch pozostałych i toczyliby się wszyscy razem, gmatwanina ludzi i lin, aż do odległego o setki metrów skupiska ostrych skał na dole.

Z irytacją potrząsnął głową. Ale przecież tak się nie stanie - liny były właśnie po to, aby zapobiec upadkowi człowieka.

Gdzieś z przodu usłyszał gromowy pomruk i Rohde przystanął.

- Co to jest?! - wrzasnął Forester.

- Lawina - odparł Rohde. Nie powiedział nic więcej i ruszył ustalonym tempem. Mój Boże, pomyślał Forester, lawin nie wziąłem pod uwagę, to może być cholernie niebezpieczne. Potem roześmiał się w duchu. Nie był w większym niebezpieczeństwie niż pozostający przy moście O'Hara i reszta, a być może nawet w mniejszym. Jego umysł tak długo zabawiał się analizowaniem względności rzeczy, że niebawem przestał myśleć w ogóle. Stawiał stopę za stopą, z bezduszną precyzją- automat wlokący się przez biały, śnieżny bezmiar, jak mrówka brnąca po prześcieradle. Raptownie przywołany został do rzeczywistości, gdy potknął się o Peabody'ego, który rozciągnięty na śniegu dyszał ochryple, otwierając i zamykając usta jak złota rybka.

- Wstawaj, Peabody - wymamrotał. - Uprzedzałem, co się stanie, gdy będziesz nas opóźniał. Wstawaj, do cholery!

- Rohde... Rohde się zatrzymał - wycharczał Peabody.

Forester podniósł wzrok i został oślepiiony gigantycznym fajerwerkiem - przed jego oczyma zatańczyły plamy, które po chwili zgęstniały w zbliżający się doń niewyraźny cień.

- Przepraszam - powiedział Rohde z nieoczekiwanej bliskości. - Jestem głupcem. Zapomniałem o tym.

Forester potarł oczy. Ślepnę, pomyślał w przyplýwie przerażenia, tracę wzrok.

- Nie przejmuj się - pocieszał go Rohde. - Zamknij oczy. Pozwól im odpocząć.

Forester osunął się w śnieg i zamknął oczy. Miał wrażenie, że pod powiekami ma setki ziaren piasku, a na policzkach czuł chłodny dotyk łez.

- Co to jest? - zapytał.

- Ślepotą śnieżną. Nie przejmuj się, wszystko będzie w porządku.

Zaciskał powieki i stopniowo zaczął odczuwać zelżenie napięcia mięśni. Był wdzięczny za tę przerwę, czuł się zmęczony, zmęczony bardziej niż kiedykolwiek dotąd... Zastanawiał się, ile uszli.

- Jak daleko zaszliśmy? - zapytał.

- Niezbyt daleko - odparł Rohde.

- Która godzina?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Rohde powiedział:

- Dziewiąta.

Forester był zaszokowany. Dopiero dziewiąta. Miał wrażenie, że idająz cały dzień.

- Wetnę ci coś w oczy - rzekł Rohde. Forester poczuł zimne palce wcierające w jego powieki substancję zarazem miękką i ziarnistą.

- Miguel, co to jest?

- Popiół drzewny. Jest czarny, chyba przyćmi poblask. Słyszałem, że to stary sposób Eskimosów. Mam nadzieję, że poskutkuje.

Po chwili Forester odważył się otworzyć oczy. Z ogromną ulgą stwierdził, że widzi - wprawdzie nie tak dobrze, jak zazwyczaj, ale już nie był ślepy, jak podczas owych pierwszych szokujących chwil, kiedy myślał, że stracił wzrok. Skierował oczy ku miejscu, gdzie Rohde zajmował się Peabo-dym i pomyślał: tak, to jeszcze jedna rzecz, jaką muszą mieć alpiniści -ciemne okulary. Bolesnie zamrugał powiekami.

Rohde odwrócił się i jego wygląd rozbawił Forestera. Z szeroką, czarną smugą na oczach Rohde sprawiał wrażenie Indianina wstępującego na ścieżkę wojenną. Rohde uśmiechnął się.

- Ray, ty też tak zabawnie wyglądasz. - A potem dodał z powagą: - Owiń wokół głowy koc, jak kaptur, żeby chronił oczy przed lśnieniem z boków.

Forester zdjął pakunek i z zalem oderwał koc od dna walizki. Od tej chwili jego bagaż nie będzie tak wygodny. Koc wystarczył na kaptury dla wszystkich trzech.

- Musimy iść dalej - rzucił Rohde.

Forester spojrzął za siebie. Wciąż widział chaty i oceniał, że jakkolwiek przebyli znaczną odległość, zyskali najwyżej sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Potem poczuł w pasie szarpnięcie liny i w ślad za potykającym się Peabodym ruszył przed siebie.

Było południe, kiedy okrążywszy boczny masyw góry, ujrzeli drogę na przełęczy. Forester osunął się na kolana, łkając z wycieńczenia, Peabody zaś padł jak rażony piorunem. Tylko Rohde trzymał się na nogach i mrużąc obolałe oczy, spoglądał ku przełęczy.

- Jest tak, jak zapamiętałem - powiedział. - Tu odpoczniemy. Ignorując Peabody'ego, przykucnął przy Foresterze.

- Dobrze się czujesz?

- Trochę zmaltretowany - odrzekł Forester. - Ale odpoczynek powinien postawić mnie na nogi.

Rohde zdjął i rozwiązał swój tobolek.

- Teraz coś zjemy.

- Boże, nie mogę -jęknął Forester.

- To zdołasz przełknąć - odparł Rohde i wyjął puszkę owoców. - Słodyczne dają energię.

Zbocze góry smagał zimny wiatr i Forester ciaśniej owinął się kurtką. Obserwował Rohdego, który zaczął kopać w śniegu.

- Co robisz?

- Osłonę przed wiatrem.

Rohde wyjął prymus i ustawił go w chroniącym przed wiatrem zagłębieniu. Zapalił kuchenkę, a potem podał Foresterowi pustą puszkę po fasoli.

- Napełnij śniegiem i stop. Musimy wypić coś gorącego. Zajmę się Pea-bodym.

Przy niskim ciśnieniu atmosferycznym śnieg topił się długo, a woda była ledwie ciepła. Rohde wrzucił do niej kostkę bulionową i powiedział:

- Ty pierwszy.

Forester krztusząc się wypił, a potem ponownie napełnił puszkę śniegiem. Druga porcja przypadła Peabody'emu, który tymczasem doszedł do siebie. Na koniec Forester stopił śnieg dla Rohdego.

- Nie przyglądałem się przełęczy - powiedział. - Jak tam jest? Rohde podniósł wzrok znad otwieranej puszkę owoców.

- Kiepsko - odparł. - Ale tego się spodziewałem. - Przerwał. - Jest tam lodowiec z mnóstwem rozpadlin.

Forester w milczeniu wziął puszkę i zaczął jeść. Stwierdził, że owoce są do przyjęcia tak z punktu widzenia jego gustów, jak i żołądka. Ten pierwszy od

czasu katastrofy zjedzony z apetytem posiłek wlał weń nowe życie. Spojrzał za siebie - kopalnia zniknęła z pola widzenia, jednak w dali, wiele tysięcy metrów niżej, widział wąwóz, którym płynęła rzeka; samego mostu nie dostrzegł.

Podniósł się i podreptał do miejsca, z którego mógł dojrzeć przełęcz. Tuż obok rozpoczynał się lodowiec - zwałisko lodowych złomów i labirynt rozpadlin.

Kończył się może tysiące metrów niżej, gdzie lśniły wody błękitnego górskiego jeziora. Kiedy tak patrzył, nagle usłyszał donośny trzask, jak gdyby uderzenie pioruna, pomruk odległego grzmotu, zaś z błękitu jeziora wystrzelił biały pióropusz.

Zza pleców usłyszał słowa Rohdego:

- To jest laguna. Lodowce wycofują się z wolna, a między lodowcem a moreną zawsze jest jezioro. Jednak ono nas nie interesuje. Musimy iść w tamtym kierunku - wyciągnął rękę nad lodowcem i uniósł ją w górę.

Na przeciwległym zboczu przełęczy pojawił się nagle biały dym, a dobre dziesięć sekund później ich uszu dobiegł głuchy grzmot.

- W górach zawsze coś się dzieje - powiedział Rohde. - Lód oddziałuje na skałę i jest wiele lawin.

Forester podniósł wzrok.

- Jak wysoko musimy się jeszcze wspinać?

- Jakieś pięćset metrów. Ale najpierw musimy nieco się obniżyć, żeby przeciąć lodowiec.

- Czy nie możemy go obejść? - zapytał Forester. Rohde wskazał w dół na jezioro.

- Stracimy tysiąc metrów wysokości, a to oznacza jeszcze jedną noc w górach.

Dwie noce w takich warunkach nas wykończą.

Forester spoglądał na lodowiec z niesmakiem. Nie podobało mu się to, co widział, i po raz pierwszy w jego brzuchu zacisnął się zimny węzeł strachu. Do tej chwili była to najwyżej wyczerpująca robota, trud przedzierania się przez głęboki śnieg w złych i niezwykłych dla nich warunkach, lecz teraz musiał stawić czoło niebezpieczeństwu bardzo konkretnemu - niebezpieczeństwu zwałenia się lodowego bloku obruszonego na swej podstawie przez słońce czy pułapce zamaskowanej śniegiem rozpadliny. Na jego oczach nastąpiło poruszenie lodowca, nagła zmiana dekoracji, i usłyszał głuchy pomruk.

- Chodźmy już - powiedział Rohde.

Wrócili do swoich bagaży. Peabody siedział w śniegu, apatycznie gapiąc się na splecione na piersiach ręce.

- Rusz się, człowieku - rzucił Forester. - Tobół na plecy. - Ale Peabody nawet nie drgnął; Forester westchnął z ubolewaniem i kopnął go w bok, choć niezbyt mocno. Peabody zdawał się reagować tylko na bodźce fizyczne, na groźbę przemocy.

Powstał posłusznie, założył pakunek, a Rohde obwiązał go liną, upewniając się, czy węzły trzymają dobrze. Potem ruszyli w ustalonym porządku: jako pierwszy - najbardziej doświadczony Rohde, potem Peabody, na końcu Forester.

Schodzenie w dół lodowca - kwestia jakichś sześćdziesięciu metrów - było dla Forestera koszmarem, dla Rohdego - rzeczą z pozoru zupełnie banalną, natomiast oszołomiony Peabody zupełnie nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Szli po nagiej skale, oczyszczonej ze śniegu przez omiatający przełęcz silny wiatr.

Było to jednak podłoże zwietrzałe, a ponadto pokryte cienką warstwą lodu, co powodowało, że każdy krok groził upadkiem. Forester kłął, gdy jego nogi ślizgały się po lodzie; chyba powinniśmy mieć raki, pomyślał, to czyste szaleństwo.

Zejście z lodowca, którego ostatni kilkunastometrowy odcinek Rohde nazywał abseil, zajęło im godzinę. Było tam pionowe obludzone urwisko i Rohde pokazał im, co mają robić. Wbił w zwietrzałą skałę cztery z ich prowizorycznych haków i przywiązał do nich liny. Schodzili w kolejności odwrotnej - Forester pierwszy, Rohde zaś podawał linę. Pouczył Forestera, jak ma się obwiązać, aby niemal siedział, i jak kontrolować schodzenie, gdyby zaczął sunąć zbyt szybko.

- Próbuje zjeżdżać twarzą do urwiska - powiedział. - Wówczas będziesz mógł używać stóp, żeby się od niego odpychać. No i staraj się nie wpaść w korkociąg.

Forester był szczęśliwy, kiedy już dotarł na dół - nie pasowało to do jego koncepcji dobrej zabawy. Podjął postanowienie, że następne wakacje spędzi jak najdalej od gór, najchętniej w Kansas, w samej jego głębi.

Potem, mechanicznie wypełniając instrukcje Rohdego, zszedł Peabody. Nie znać było po nim strachu - jego twarz była równie martwa jak wnętrze, a cały lęk wyciekł z jego duszy już dawno, zresztą razem ze wszystkimi innymi uczuciami. Był automatem, robiącym dokładnie to, co mu kazano.

Rohde, nie asekurowany już przez nikogo, schodził na końcu. Z ostatnich trzech metrów zwalił się jak kłoda, gdy jeden po drugim wyleciały wszystkie haki; na jego rozciągnięte ciało spadły zwoje lin. Forester pomógł mu wstać.

- Dobrze się czujesz? Rohde zachwiał się.

- Dobrze - wysapał. - Haki... Poszukajcie haków.

Grzebiąc w śniegu, Forester natrafił na trzy, ale nie mógł znaleźć czwartego.

Rohde uśmiechnął się pośpiesznie.

- W sumie dobrze, że spadłem. W przeciwnym razie musielibyśmy zostawić haki w górze, a sądzę, że jeszcze się nam przydadzą. Ale musimy omijać skały.

Pokrywający je lód - to ponad nasze siły, skoro nie mamy raków.

Forester zgadzał się z nim, choć nie wyraził tego głośno. Sklarował linę i obwiązał się jednym z jej końców, podczas gdy Rohde zajmował się Peabo-dym. Potem popatrzył na lodowiec.

Był to pejzaż fantastyczny i księżycowy, równie jak ten ostatni martwy i nieludzki. Ciśnienie z głębi Ziemi sprasowało wielkie masy lodu, które wiatr i słońce porzeźbiły w groteskowe kształty, pokryte teraz grubą warstwą śniegu. Były tu wielkie urwiska z niebezpiecznymi, zagrożonymi upadkiem nawisami, a także rozpadliny, po części otwarte, po części zaś, o czym Forester wiedział, zdradziecko przykryte śniegiem. I na tym bezludziu, w tym lodowym labiryncie musieli znaleźć drogę.

- Jak daleko na drugą stronę? - zapytał Forester. Rohde zastanawiał się.

- Tysiąc dwieście metrów. - Krzepko chwycił czekan. - Ruszajmy. Czas ucieka.

Prowadził, badając teren styliskiem czekana. Forester zauważył, że skrócił dystans dzielący poszczególnych członków grupy, których dodatkowo powiązał podwójną liną; implikacje tego zabiegu nie wprawiły go w zachwyt. Szli teraz bardzo blisko siebie; Rohde ponaglał Peabody'ego, ilekroć ten zwalniał tempo, o czym informował go zwiększony nacisk na linę. Forester schylił się i chwycił nieco śniegu - był sypki i niespecjalnie nadawał się na kulę. Jednak od tej chwili, kiedy tylko zachodziła potrzeba, obrzucał Peabo-dy'ego śniegiem, mobilizując go w ten sposób do szybszego marszu.

Droga była kręta. Niekiedy Rohde wprowadzał ich w ślepe zaułki, gdzie drogę blokowały pionowe ściany skalne lub szerokie rozpadliny; wówczas musieli cofać się po własnych śladach i poszukiwać lepszego przejścia. Raz, gdy wydawało się, że wpadli w pułapkę lodowego labiryntu, Forester kompletnie stracił orientację w terenie. Z poczuciem bezradności zastanawiał się, czy zostaną skazani na wieczną tułaczkę w tym zimnym piekle.

Forester zerknął na Rohdego i uśmiechnął się nieznacznie. Rohde ujął czekan.

- Musimy ruszać. Musimy się stąd wydostać - powiedział.

Gdzieś w środku lodowca, po kilku bezowocnych próbach podążania w rozmaitych kierunkach, Rohde podprowadził ich do rozpadliny i oświadczył:

- Musimy ją sforsować. Innej drogi nie ma.

Brzegi rozpadliny spajał wąty śnieżny most. Forester podszedł do krawędzi i zajrzał w mroczną, zielonkawą otchłań.

- Śnieg wytrzyma nasz ciężar - powiedział Rohde - jeżeli będziemy pełznąć na

brzuchu. - Poklepał Foreстера po ramieniu. - Ty ruszysz pierwszy.

Niespodziewanie odezwał się Peabody.

- Nie zamierzam przez to przelazić. Jeszcze nie zwariowałem.

Forester chciał powiedzieć to samo, ale fakt, że słowa te wyszły od człowieka takiego jak Peabody, podniósł go nieco na duchu. Powiedział szorstko - a szorstkość tę kierował przeciwko samemu sobie za chwilę słabości:

- Zrobisz, co ci każe.

Rohde zmienił system zabezpieczenia tak, aby lina była dłuższa aniżeli mająca cztery i pół metra szerokości rozpadlina. Forester ruszył ostrożnie.

- Nie na łokciach i kolanach - powiedział Rohde. - Połóż się płasko i pełnij z szeroko rozrzuconymi nogami i ramionami.

Z drżeniem Forester legł przy rozpadlinie i poczołgał się w kierunku mostu, który miał zaledwie dwa metry szerokości. Pełznąć w sposób, jakiego nauczył się podczas szkolenia wojskowego, widział śnieg odpadający od krawędzi mostu i z cichym poszumem lecący w otchłań.

Błogosławił wlokącą się za nim linę, chociaż wiedział, że prawdopodobnie nie jest dostatecznie mocna, by wytrzymać nagłe szarpnięcie. A potem z najgłębszą ulgą dotarł na przeciwległy brzeg i z kropelkami potu napływającymi do oczu leżał na śniegu, ciężko dysząc. Po dłuższej chwili wstał i odwrócił się.

- Wszystko w porządku? - zapytał Rohde.

- W najlepszym - odparł. Otarł z czoła pot, zanim ów zdołał zamarznąć.

- Do wszystkich diabłów! - wrzasnął Peabody - nie dam się w to zrobić!

- Będziesz asekurowany z obydwu stron - powiedział Forester. - Nie możesz spaść, czyż nie tak, Miguelu?

- Właśnie tak - odrzekł Rohde.

Peabody miał wygląd człowieka zaszczutego.

- E, do diabła z nim - rzucił Forester. - Miguelu, chodź i zostaw tego durnego sukinsyna.

- Nie możecie zostawić mnie tutaj! - wrzasnął Peabody łamiącym się głosem.

- Czyżby? - zapytał Forester nieporuszony. - Powiedziałem ci, co nastąpi, jeśli zaczniesz się opóźniać.

- O Jezu! - jęknął bliski łez Peabody i zaczął powoli podchodzić do mostu.

- Kładź się! - rozkazał Rohde.

- Na brzuch! - dodał Forester.

Peabody położył się i zaczął przepawę. Trząsł się potężnie. Dwukrotnie zatrzymał się, usłyszawszy odgłos spadającego w przepaść śniegu z kruszącej się krawędzi mostu. W miarę zbliżania się do celu pełził coraz szybciej. Forester skupił całą uwagę na utrzymywaniu liny w napięciu, podobnie zresztą, jak czynił to podający ją Rohde.

Nieoczekiwanie Peabody stracił resztki opanowania i, podniósłszy się, na czworakach jał gramolić się ku końcowi mostu.

- Kładź się, cholerny głupcze! - wrzasnął Forester.

Nagle spowiła go chmura śniegu i padł jak długi, popchnięty przez rozpędzonego Peabody'ego. Rozległ się ryk, gdy most, przy wtórze serii słabnących ech, zapadł się w otchłań. Podniósł się, spojrział przez wirujący tuman sypkiego śniegu i zobaczył Rohdego, który stał bezradnie na drugim brzegu przepaści. Odwrócił się i chwycił Peabody'ego, który konwulsyjnie wczepiał się w śnieg, ogarnięty ekstatyczną rozkoszą, że znów ma pod sobą twardy grunt. Forester podniósł go na nogi i otwartą dłonią wymierzył mu mocną dublę w oba policzki.

- Ty samolubny skurwysynu! - ryknął. - Czy niczego nie potrafisz zrobić dobrze? Głowa Peabody'ego opadła na ramię, a w jego oczach zagościł wyraz obojętności.

Gdy Forester go puścił, osunął się na ziemię mamrocząc coś niezrozumiale i zwinął się w kłębek. Forester dokopał mu do pełnego rachunku i odwrócił się do

Rohdego.

- Do cholery, co teraz zrobimy?

Rohde nie wydawał się poruszony. Uniósł czekan jak tomahawk i rozkazał:

- Odsuń się.

Potem rzucił czekan, który utkwiał w śniegu przed Foresterem.

- Myślę, że zdołam przeskoczyć - powiedział. - Wbij czekan w śnieg najgłębiej jak możesz.

Forester pomacał linę owijającą go w pasie.

- Ale wiesz, ten towar nie jest za mocny. Nie wytrzyma większego ciężaru.

Rohde zmierzył wzrokiem szczelinę.

- Sądzę, że mam dość liny, aby ją skrócić potrójnie. A to powinno wytrzymać mój ciężar.

- Chodzi o twój kark - rzucił Forester i zaczął wbijać czekan w śnieg. Wiedział, że stawką jest życie ich wszystkich. Nie miał dostatecznego doświadczenia, aby resztę podróży odbyć samotnie; z Peabodym na karku jego szansę przedstawiały się jeszcze gorzej. Powątpiewał, czy zdołałby bezpiecznie wydostać się z lodowca.

Wbił czekan w śnieg i lód na trzy czwarte jego długości, po czym silnie szarpnął, by sprawdzić, czy dobrze go osadził. Następnie odwinął linę z łkającego Peabody'ego. Przerzucił ją Rohdemu. Ten obwiązał się nią w pasie, usiadł na skraju przepaści i popatrzył w rozwierającą się między kolanami otchłań - równie nieporuszony, jakby siedział w fotelu.

Forester przymocował potrójnie skreconą linę do czekana, owinał ją wokół pasa i butem wykopał w śniegu dołki na obcasy.

- Przyjąłem na siebie tyle impetu, ile mogłem! - krzyknął.

Rohde na próbę szarpnął naprężoną linę i -jak się zdawało - był usatysfakcjonowany.

- Włóż coś pomiędzy linę a krawędź, żeby zapobiec tarcu! - zawołał po chwili.

Forester zdjął swój kaptur, złożył go kilkakrotnie, a potem wcisnął między linę a lodową krawędź przepaści.

Rohde szarpnął ponownie i wzrokiem poszukał położonego cztery i pół metra niżej punktu, w którym prawdopodobnie zetknie się ze ścianą rozpadliny.

Potem rzucił się w przepaść.

Forester widział, jak znika, poczuł nagłe szarpnięcie, a wreszcie usłyszał uderzenie butów Rohdego o lodową ścianę. Z ulgą stwierdził, że nie czuje nagłego zelżenia napięcia liny i zrozumiał, że Rohdemu się udało.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim nad krawędzią ukazała się głowa Rohdego.

Forester pośpieszył mu z pomocą. To jest gość, pomyślał, to cholerny kawał przyzwoitego faceta. Rohde usiadł w pobliżu przepaści i otarł pot z czoła.

- Nie było to zbyt przyjemne - powiedział. Forester skinieniem głowy pokazał na Peabody'ego.

- Co z nim zrobimy? Jeszcze nas wykończy. - Wyjął pistolet z kieszeni, a oczy Rohdego rozszerzyły się. - Sądzę, że dla Peabody'ego to koniec drogi.

Forester mówił tak, jakby leżący w śniegu i mamroczący coś do siebie Peabody był nieobecny; zresztą wątpliwe, by Peabody cokolwiek słyszał. Rohde popatrzył Foresterowi w oczy.

- Czy mógłbyś zastrzelić bezbronnego człowieka, nawet jego?

- Bądź pewny, że mógłbym - warknął Forester. - Nie możemy myśleć tylko o życiu twoim i moim - są jeszcze tamci przy moście, którzy na nas liczą. Ten obłąkaniec załatwi nas wszystkich.

Uniósł pistolet i wymierzył w potylicę Peabody'ego. Jego palec zaczynał odczuwać opór spustu, kiedy Rohde chwycił go za nadgarstek.

- Nie, Ray, przecież nie jesteś mordercą.

Forester naprężył mięśnie ramienia i przez chwilę próbował wyszarpnąć dłoń z uścisku Rohdego, lecz potem rozluźnił się i powiedział:

- W porządku, Miguelu. Ale przekonasz się, że miałem rację. Jest samolubny, nigdy nic nie robi jak należy. Ale chyba jesteśmy na niego skazani.

IV

Pokonanie lodowca zajęło im trzy godziny. Forester był wyczerpany, ale Rohde nie pozwalał na odpoczynek.

- Musimy dojść najwyżej jak się da, póki jest jasno - powiedział. - Dzisiejsza noc znacznie nas osłabi. Nie jest dobrze spędzać noc pod gołym niebem bez namiotów albo odpowiedniej odzieży.

Forester zdobył się na uśmiech. Dla Rohdego wszystko było dobre lub niedobre, czarne albo białe, bez żadnych odcieni szarości. Kopniakiem postawił Peabody'ego na nogi i powiedział ze znużeniem:

- Okay. Prowadź, wodzu. Rohde spojrział na przełęcz.

- Przecinając lodowiec, straciliśmy na wysokości. Wciąż czeka nas jakieś pięćset lub sześćset metrów trudnej wspinaczki.

Forester podążył za spojrzeniem Rohdego. Po lewej stronie mieli lodowiec, sunący niedostrzegalnie w dół i ocierający się o ścianę skalną; powyżej - czystą połąć śniegu przerywała w połowie drogi ku przełęczy linia urwisk.

- Czy będziemy się na to wspinać? - zapytał. Rohde uważnie zbadał teren, a potem pokręcił głową.

- Chyba będziemy mogli obejść urwiska w tamtym miejscu, z prawej strony. W ten sposób znajdziemy się na grani. Tam spędzimy noc.

Wsunął dłoń do kieszeni i wy dostał skórzany woreczek z kosteczkami koki, które sporządził w osadzie.

- Nadstaw rękę - powiedział. - Teraz ci się przydadzą.

Wytrząsnął na dłoń Forestera tuzin zielonych kwadracików, a ten natychmiast włożył do ust jeden z nich i zaczął żuć. Jego ostry i lekko gorzkawy smak przyjemnie rozgrzewał usta.

- Nie za dużo na raz - ostrzegł Rohde. - Bo podrażnisz śluzówkę. Dawanie koki Peabody'emu nie miało sensu. Na powrót pograżył się

w letargu i, posłuszny szarpnięciom liny, podążył za Rohdem jak pies na smyczy. Kiedy Rohde rozpoczął długą wspinaczkę ku urwiskom, naśladował go

mechanicznie, wykonując właściwe ruchy, jakby powodowany czymś, co istniało poza nim. Obserwujący go z tyłu Forester miał nadzieję, że nie nastąpi kryzys -

dopóki wszystko idzie gładko, Peabody nie sprawi kłopotów; jednak w sytuacji awaryjnej z pewnością, jak prorokował to O'Hara, załamie się.

Niewiele pamiętał z tej długiej harówki. Być może przyczyniła się do tego koka, ponieważ stwierdził, że popadł w taki stan, w jakim -jak sądził -znajduje się Peabody. Miarowo żując kostkę piął się automatycznie, postępując szlakiem wydeptanym przez niestrudzonego Rohdego.

Z początku śnieg był głęboki i pokryty lodową powłoką, lecz potem, w miarę zbliżania się do prawego skraju linii urwisk, stromizna powiększyła się, a powłoka śniegowa stała się cieńsza; stwierdzili, że rozciąga się pod nią warstwa lodu. Wspinaczka bez raków była w tych warunkach trudna. I, jak wyznał Rohde nieco później, z pewnością zostałaaby uznana za niemożliwą przez każdego, kto miał pojęcie o górach. Dopiero po dwóch długich godzinach wspinaczki dotarli do grani urwisk, aby tu doznać ogromnego rozczarowania. Ponad urwiskami, odsądzona tuż obok nich, rozciągała się przeszło sześciometrowa ściana lodowa, zwieńczona nawisłym śniegowym okapem. Ściana ta nieprzerwaną linią ciągnęła się w poprzek przełęczy.

Forester, walcząc o oddech w rozrzedzonym powietrzu, patrzył na nią z uczuciem przegranej. To już koniec, pomyślał, jak się przez to przedostaniemy? Lecz Rohde nie stracił nadziei. Omiótł spojrzeniem przełęcz i wyciągnął rękę.

- Sądzę, że ściana lodowa jest niższa tam, w środku. Chodźcie, ale nie zbliżajcie się zanadto do skraju urwiska.

Ruszyli zatem półką pomiędzy lodową ścianą a krawędzią urwiska. Na początku półka była wąska, najwyżej kilkumetrowa, jednak dalej zrobiła się szersza i Rohde szedł pewniej i szybciej. Wyglądał jednak na wyraźnie zaniepokojonego.

- Nie możemy tu zostać - powiedział. - To bardzo niebezpieczne. Musimy sforsować ścianę przed zapadnięciem nocy.

- Po co ten pośpiech? - zapytał Forester. - Jeśli tu zostaniemy, ściana osłoni nas przed wiatrem, który wieje z zachodu i jest coraz silniejszy.

- Chodzi o to - odparł Rohde i ręką pokazał w górę. - Właśnie tego się obawiam, nawisu. Nie możemy pod nim zostać, bo może się oberwać, a wiatr z zachodu powiększy go na tyle, że się zarwie. No i będzie padać śnieg, spójrz w dół.

Forester spojrzał w zawrotną otchłań poniżej urwisk i dostrzegł gęstniejącą, szarą mgłę. Zadrżał i wycofał się w bezpieczne miejsce, a potem ruszył za powłóczącym nogami Peabodym. Nie minęło pięć minut, gdy poczuł, że jego stopy zaczynają ślizgać się po lodzie. Podjął gorączkową próbę zachowania równowagi - lecz bez efektu. Stwierdził, że leży na plecach i sunie ku grani urwiska. Spróbował hamować rękami - przez moment widział na lodzie smugę krwi, zanim z rozpaczliwym okrzykiem zsunął się z krawędzi.

Rohde, usłyszawszy okrzyk i poczuwszy na linie szarpnięcie Peabody'ego, automatycznie wbił z wielką siłą czekan w lód i przyjął impet. Odwróciwszy głowę, ujrzał tylko Peabody'ego, który gramoląc się po grani urwiska, rozpaczliwie ratował się przed ściągnięciem w dół. Wrzeszczał coś bez sensu. Po Foresterze nie było śladu.

Zawieszony na końcu liny Forester kołysał się nad dziewięćdziesięcio-metrową otchłanią. Świat wirował opętańczo przed jego oczyma: najpierw bezmiar nieba, potem niespodziewana panorama na poły przesłoniętych wieńcami z mgły dolin i gór, na koniec szara skała - i tak na okrągło. Czuł ból w piersiach i stwierdził, że lina werżnęła mu się pod pachy i uciska żebra. Z góry dobiegał go przeraźliwy skowyt Peabody'ego.

Rohde głęboko zaczerpnął tchu i naprężył mięśnie grzbietu. Miał nadzieję, że sparciła lina nie pęknie.

- Ciągnij linę, wyciągnij go! - wrzasnął do Peabody'ego.

Lecz zamiast tego dostrzegł błysk stali i ujrzał, że, Peabody rżnie scyzorykiem linę w miejscu, w którym styka się ona z krawędzią urwiska.

Rohde nie wahał się. Jego dłoń powędrowała do boku i namacała zabrany z dakoty mały toporek. Wyciągnął go zza pasa, podrzucił, aby chwycić za rękojeść, uniósł, przez sekundę mierzył odległość, potem cisnął w głowę Peabody'ego.

Toporek trafił Peabody'ego powyżej podstawy karku i rozszczępił mu czaszkę.

Przeraźliwy skowyt umilkł. Zawieszony na linie Forester uświadomił sobie, że zapadła niepokojąca cisza, i podniósł wzrok. Z grani zsunął się nóż, którego ostrze przed ostatecznym lotem w otchłań zdążyło drasnąć jego policzek - z góry na głowę Foreстера popłynął krwawy strumień.

Rozdział 6

O'Hara zgubił swoją piersiówkę.

Myślał, że może zostawił ją w kieszeni skórzanej kurtki, którą dał Fore-sterowi, ale potem przypomniał sobie, że najpierw przeszukał kieszenie. Usiłując nie zwracać na siebie uwagi, rozejrzał się po kryjówce, ale nie mógł znaleźć zguby. Uznał, że musi być w osadzie. Strata irracjonalnie go zaniepokoiła. Posiadanie pełnej flaszki dawało mu poczucie komfortu psychicznego; świadomość, że w każdej chwili może się napić, pozwalała mu w jakiś osobliwy sposób opierać się pokusie. Jednak teraz, gdzieś w głębi jego istoty obudziło się dręczące pragnienie wychylenia kielicha, poczucia błogosławionej ulgi, jaką niesie alkohol, i zapomnienia, jakim obdarza.

Był bardzo zdenerwowany.

Noc upłynęła spokojnie. Od nieudanej próby podpalenia mostu wczoraj wieczorem nie wydarzyło się nic. Teraz, o świcie, zastanawiał się, czy rzeczą bezpieczną będzie wyprawa po trebusz. Jego rezerwy ludzkie były bardzo skromne, a ściągnięcie katapulty z osady oznaczało pozostawienie mostu bez obrony. Fakt, na razie nieprzyjaciel siedział cicho; jednak nie dawało to gwarancji, że nadal pozostanie bezczynny. O'Hara nie miał pojęcia, ile czasu potrzebują na zdobycie i dostarczenie następnych belek.

Był to typowy dylemat stratega, który usiłuje odgadnąć, co po drugiej stronie wzgórza robi nieprzyjaciel, i przeprowadza bilans swoich sił i środków.

Usłyszał stukot kamieni i odwrócił głowę. Ujrzał zbliżającą się Bene-dette.

Odpowiedział na jej powitalny gest i zsunął się ze swojego punktu obserwacyjnego.

- Jenny zrobiła kawę - powiedziała. - Przejmę wartość. Działo się coś?

Pokręcił głową.

- Może i tak jest. Ale pański stan nie zezwala na udział w walce - powiedział bez ogródek. - Poza tym pozostając tutaj, odwraca pan uwagę O'Hary od jego zadań. Byłoby lepiej, gdyby trzymał się pan z daleka i siedział w osadzie, gdzie może pan robić rzeczy pożyteczne, jak na przykład nowe bełty.

Aguillar pochylił głowę.

- Czuję się słusznie przywołany do porządku. Señor O'Hara, proszę o wybaczenie, że sprawiam tyle kłopotów.

- Nie ma sprawy - powiedział O'Hara nieco skrepowany. Żał mu było Aguillara. Ten człowiek miał odwagę, lecz tu sama odwaga nie wystarczała - a może nie był to ten właściwy rodzaj odwagi. Śmiałość intelektualna to piękna rzecz, ale we właściwym miejscu i czasie.

Droga do osady trwała bez mała trzy godziny, a powodem wolnego tempa była słabość Aguillara. O'Haraprzez cały czas gryzł się myślą o tym, do czego mogło dojść przy moście. Wprawdzie nie słyszał ognia karabinowego, jednak skoro wiatr wiał od gór, mógł go nie usłyszeć. Potęgowało to jego napięcie.

Na spotkanie wyszedł im Willis.

- Czy Forester i Rohde, no i oczywiście nasz zacny druh Peabody wyruszyli zgodnie z planem? - zapytał O'Hara.

- Wyszli, kiedy jeszcze spałem - odparł Willis. Spojrzał ku góróm. -Powinni być teraz przy kopalni.

Armstrong okrążył trebusz, pomrukując z zadowoleniem.

- Powiedziałbym, że odwalileś kawał dobrej roboty, Willis. Willis zarumienił się odrobinę.

- Zrobiłem, co mogłem. W czasie, jaki mi dano, i z materiałów, jakimi dysponowałem.

- Nie rozumiem, j jakim cudem ta machina może działać - wtrącił O' Hara. Willis uśmiechnął się.

- Cóż, jest zdemontowana do transportu i leży jakby do góry nogami. Możemy potoczyć ją drogą na osi.

- Myślałem o wojnie rosyjsko-fińskiej - powiedział Armstrong. - Rzecz trochę spoza mojej dziedziny, wiem, ale Finowie byli w sytuacji niezmiernie podobnej do naszej. Mieli straszliwe braki w uzbrojeniu, co zmuszało ich do korzystania z własnej wynalazczości. Coś mi się zdaje, że to właśnie oni wynaleźli koktajl Mołotowa.

O'Hara natychmiast pomyślał o drugiej beczce nafty i poniewierających się po całej osadzie butelkach.

- Mój Boże, znów trafiłeś w sedno - powiedział. - Pozbierajcie wszystkie butelki, jakie zdołacie znaleźć.

Ruszył ku chacie, w której przechowywano naftę, i usłyszał z tyłu wołanie Willisa.

- Jest otwarta, byłem tam rano.

Pchnął drzwi i aż przystanął na widok skrzyni wódki. Powoli pochylił się i wyjął butelkę. Zważył ją w dłoni, potem podniósł pod światło; przejrzysty płyn mógł być wodą, ale wiedział, że tak nie jest. To była woda letejska, przynosząca błogosławione zapomnienie, woda, która rozwiązywała węzły jego duszy. Obliznął wargi.

Usłyszał, że ktoś zbliża się do chaty, więc szybko odstawił butelkę na półkę i ukrył ją za skrzynką. Kiedy Benedetta weszła do środka, pochyłony nad beczką z naftą odkręcał korek.

Przyszła obładowana pustymi butelkami.

- Willis mówił, że są ci potrzebne. Na co?

- Będziemy robić coś w rodzaju bomb. Potrzebuję trochę kawałków tkaniny na lonty i zatyczki. Rozejrzyj się za czymś.

Począł napełniać butelki, a gdy po chwili Benedetta wróciła z materiałem, pokazał jej, jak zatykać szyjki, pozostawiając łatwy do zapalenia lont.

- Gdzie reszta? - zapytał.

- Willis miał jakiś pomysł - odparła. - Armstrong i wujek pomagająmu. Napełnił następną butelkę.

- Czy masz coś przeciwko temu, żeby zostawić tu wujka samego?

- Nie mam innego wyjścia - odparła. Pochyliła głowę. - Zawsze był samotny.

Wiesz, nigdy się nie ożenił. A potem poznał odmienny rodzaj samotności - samotność, jaką daje władza.

- A ty byłaś samotna od...

- Od wymordowania mojej rodziny? - Podniosła twarz i w jej oczach pojawiło się coś, czego nie potrafił zgłębić. - Tak, byłem. Dołączyłam do wujka i byliśmy dwojgiem samotnych ludzi w obcych krajach. - Skrzywiła wargi. - Tim, sądzę, że ty także jesteś człowiekiem samotnym.

- Daję sobie radę - odrzekł krótko i wytarł dłonie w kawałek szmaty. Wstała.

- Co będziesz robił, kiedy stąd odejdziemy?

- A nie chciałaś powiedzieć: jeśli stąd odejdziemy? - Także wstał i spojrzał w jej uniesioną twarz. - Chyba ruszę dalej. W Kordylierze na nic już nie mogę liczyć. Filson nie wybaczy mi nigdy skasowania jednego z samolotów.

- Czy nie ma już niczego, dla czego chciałbyś zostać?

Miała rozchylone usta i powodowany impulsem pochylił głowę i pocałował ją. Przywarła doń. Po długiej chwili O'Hara westchnął. Ekspłodowało w nim nagle zdumienie.

- Tak, chyba mam po co zostać - powiedział z niedowierzaniem. Przez kilka minut stali przytuleni. Milczeli. Snucie wspólnych planów leży w naturze kochanków. Jednak co mogliby planować? Wreszcie Benedetta powiedziała:

- Musimy iść, Tim. Czeka nas praca.

Uwolnił ją z uścisku.

- Zobaczą, co robią pozostali. Lepiej wyrzucić gorzałkę ze skrzynki i włożyć do niej butelki z naftą. Będziemy mogli przymocować ją do katapulty.

Wyszedł z chaty i ruszył ku przeciwnemu końcowi osady, aby sprawdzić, co się dzieje. W połowie drogi przystanął pogrążony w głębokiej zadumie i cicho zaklął.

Wreszcie zrozumiał ów osobliwy wyraz oczu Benedetty - to było współczucie.

Głęboko zaczerpnął powietrza, a potem wyprostował ramiona i znów ruszył naprzód, ze złością kopiąc przed sobą kamień. Z lewej strony usłyszał głosy, więc podszedł do zbocza, gdzie dostrzegł Willisa, Armstronga i Aguillara skupionych wokół starego bębna kablowego.

- O co chodzi? - rzucił.

- Zabezpieczenie - odrzekł Armstrong pogodnie. - Na wypadek, gdyby nieprzyjaciel sforsował most.

Willis jeszcze raz łupnął trzymanym w dłoni kamieniem i O'Hara dostrzegł, że wbija klin unieruchamiający bęben.

- Wiesz, co to jest? - powiedział. - To jeden z tych drewnianych bębnow używanych do transportowania ciężkiego kabla. Wygląda jak wielki kołowrotek, nie?

Rzeczywiście wyglądał jak kołowrotek o średnicy dwu i pół metra.

- A więc? - zapytał O'Hara.

- Drewno jest, rzecz jasna, przegniłe. Musiał stać od lat na powietrzu - powiedział Willis. - Ale jest ciężki i będzie się toczył. Zejdź parę kroków w dół i powiedz, co widzisz.

O'Hara ruszył w dół wzgórza i doszedł do urwiska. Z tyłu dobiegły go słowa Willisa:

- Z drogi bęben jest niewidoczny. Zaczekamy, aż będzie nią przejeżdżał dzip albo ciężarówka, a wówczas wyrwiemy kliny i przy odrobinie szczęścia spowodujemy katastrofę i zablokujemy drogę.

O'Hara spojrzał na Aguillara, którego poszarzała twarz mówiła o wysiłku, na jaki się zdobył. Poczul narastający w sobie gniew i krótko skinął głową na Willisa i Armstronga. Kiedy odeszli na tyle, by Aguillar nie mógł ich słyszeć, tłumiąc wzburzenie powiedział:

- Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyście skupili się na jednej sprawie, zamiast robić dziesięć rozmaitych rzeczy na pół gwizdka.

Willis sprawiał wrażenie zaskoczonego, a na jego twarzy pojawił się rumieniec. - Ale... O'Hara przerwał mu w pół słowa.

- To cholernie dobry pomysł, ale nie zaszkoziłoby, gdybyś go skonsultował.

Wówczas ja mógłbym pomóc w ustawieniu bębna, a stary zająłby się napełnianiem butelek. Wiesz, że ma kłopoty z sercem, a jeśli padnie nam tu trupem, te świny na drugim brzegu dopną swego. - Klepnął Willisa w pierś. - A zamierzam do tego nie dopuścić, nawet gdybyśmy mieli przypłacić to życiem: ty, ja i inni członkowie naszej grupy. Willis wyglądał na zszokowanego.

- Mów w swoim imieniu, O'Hara. Ja walczę o swoje życie.

- Póki ja tu dowodzę, nie. Będziesz bez szemrania spełniać rozkazy i uzgadniać ze mną wszystko, co robisz.

Willis eksplodował.

- A kto cię mianował szefem?!

- Ja sam - odrzekł O'Hara krótko. Wbił wzrok w Willisa. - Chcesz to zakwestionować?

- Kreślisz czarny obraz, O'Hara - rzekł Armstrong.

- Ale czy nieprawdziwy?

- Niestety, obawiam się, że nie - powiedział Armstrong smętnie. O'Hara z

irytacją pokręcił głową.

To nie ma sensu. Lepiej podciągnijmy tę maszynę do mostu.

II

Transportowanie trebusza górską drogą okazało się nie tak znowu trudne, jak spodziewał się tego O'Hara. Willis dobrze się spisał demontując go i cała akcja zajęła tylko trzy godziny, przy czym największych kłopotów przysporzyło manewrowanie toporną maszyną na ostrych zakrętach. Na każdym z nich O'Hara spodziewał się ujrzeć nadbiegającą pannę Ponsky z wiadomością, że komuniści zaatakowali. Ale panował spokój. Nie usłyszał nawet odgłosu strzałów - zupełnie ustała trwająca cały poprzedni dzień chaotyczna strzelanina. Podejrzana ta cisza, pomyślał, może kończy się im amunicja.

Zepchnęli trebusz z drogi na miejsce wskazane przez Willisa i wówczas O'Hara powiedział beznamiętnie:

- Benedetto, zmień Jenny. Powiedz, żeby do mnie przyszła. Spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale odwrócił się, aby pomóc Willisowi i Armstrongowi przy rozkładaniu trebusza na części, zanim będzie można przywrócić mu właściwą postać. Zamierzali zmontować go na niewielkim wzgórku, by zyskać nieco wysokości, co dałoby balastowi na krótszym ramieniu dłuższą drogę upadku.

Zjawiła się panna Ponsky i oznajmiła, że nic się nie działo. Zadumał się na moment, a później zapytał:

- Czy słyszałaś jakieś ciężarówki?

- Nie, odkąd rankiem odjechali dżipem.

Potań podbródek.

- Może dołożyliśmy im mocniej, niż nam się zdawało. Jesteś pewna, że wciąż tam są?

- Och, tak - odparła pogodnie. - Kilka godzin temu i mnie przyszło coś takiego do głowy. - Zalała się rumieńcem. - Więc wystawiłam z kryjówki kapelusz na kiju... Widziałam to na jakimś starym filmie.

Uśmiechnął się.

- Trafili?

- Nie, ale niewiele brakowało.

- Doskonale się spisujesz, Jenny.

- Musicie być głodni. Zrobię coś do jedzenia. - Jej wargi drgnęły. - Wiesz, sądzę, że to bardzo zabawne.

Odwróciła się i odeszła pośpiesznie, pozostawiając go w oszołomieniu. Zabawne!

Montaż trebusza zajął dwie godziny, a kiedy został zakończony, Armstrong, usmolony, ale szczęśliwy, oznajmił z satysfakcją:

- No, nareszcie. Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę jedno z tych urządzeń w akcji. - Odwrócił się do O'Hary. - Kiedy szkicowałem Willisowi trebusz, zastał mnie przy tym Forester i zapytał, czy rysuję szale sprawiedliwości, a ja odparłem, że tak. Pewnie uznał mnie za wariata, ale okazał przenikliwość. -

Zamknął oczy i wyrecytował, jakby cytując notatkę encyklopedyczną: - Od średniowiecznego łaćńskiego trebuchetum, starofrancuskie trebuchet, dwie szale, waga złotnicza. - Otworzył oczy i dodał z naciskiem: - Dostrzegacie podobieństwo?

O'Hara je dostrzegał. Trebusz wyglądał jak zdeformowana i pozbawiona właściwych proporcji waga.

- Czy ten interes ma silnego kopa, jakiś odrzut? - zapytał.

- Nic odczuwalnego. Impet jest absorbowany przez podłoże. O'Hara popatrzył na obłądny system lin i kołowrotów.

- Pozostaje kwestia, czy bestia zaryczy.

W głosie Willisa pojawiły się nutki irytacji.

- Dajmy jej szansę. - Wskazał okrągły kamień wielkości mniej więcej ludzkiej głowy.

- W porządku - odrzekł O'Hara. - Walnijmy sobie. Co mamy robić?

- Najpierw ciągniemy tę linę.

Lina była połączona z dłuższym ramieniem kombinacją trzech bloczków. Kiedy O'Hara i Willis zaczęli ciągnąć, ramię się obniżyło, krótsze zaś, obciążone balastem, uniosło się do góry. Rolę balastu pełniło wielkie przerdzewiałe żelazne wiadro, które Willis napełnił kamieniami. Gdy dłuższe ramię dotknęło ziemi, Armstrong przełożył dźwignię i ramię zostało zablokowane drewnianą belką. Willis podniósł kamień i położył go na służącym jako łyżka deklinu.

- Jesteśmy gotowi - powiedział. - Z grubsza zorientowałem już kata-pultę na most. Potrzebujemy tam kogoś, kto poda miejsce trafienia.

- Ja pójdę - zadeklarował się O'Hara.

Podszedł do stanowiska, z którego Benedetta prowadziła obserwację i bacząc, by nie wychylić głowy, opadł na ziemię obok niej.

- Zaraz hukną - powiedział. Odwróciła głowę, aby spojrzeć na trebusz.

- Czy sądzisz, że zda to egzamin?

- Nie wiem. - Skrzywił się. - Wiem tylko, że to cholernie dziwny sposób prowadzenia wojny.

- Jesteśmy gotowi! - wrzasnął Armstrong.

O'Hara machnął ręką i Armstrong ostro szarpnął dźwignię. Balast opadł, a długie ramię niosące pocisk wystrzeliło w powietrze. Z potężnym łomotem żelazne wiadro rąbnęło o ziemię. Cała uwaga O'Hary skupiała się teraz na locie pocisku. Kamień poszybował łukiem nad jego głową, był w powietrzu długo i zaleciał bardzo wysoko; po osiągnięciu szczytowego punktu zaczął spadać, wyraźnie nabierając szybkości. Trafił w zbocze góry, daleko na drugim brzegu, za drogą i spalonymi pojazdami. Miejsce jego upadku oznaczył pióropusz kurzawy.

- Jezu - wyszeptał O'Hara - ależ ten interes ma zasięg. - Zsunął się ze stanowiska i pobiegł z powrotem. - Trzydzieści metrów za daleko i piętnaście w prawo. Ile ważył ten kamień?

- Jakieś piętnaście kielogramów - odrzekł Willis bez namysłu. - Potrzebny nam większy. - Wsparł się o trebusz. - Przesuńmy go trochę w lewo.

Zza rzeki O'Hara usłyszał wrzawę głosów i krótki grzechot salwy karabinowej. A może, pomyślał, powinno się mówić muszkietowej, żeby utrzymać się w stylistyce epoki? Roześmiał się i potężnie wałnął Armstronga w plecy.

- Znów ci się udało! - ryknął. - Roztrzaskamy ten most na drzazgi!

Jednak miało się to okazać trudniejsze, niż sądził. Oddanie sześciu następnych strzałów zajęło godzinę - i żaden z nich nie trafił w most. Dwa razy chybili o włos, a jeden z pocisków otarł się o lewą linę nośną, wprawiając w drżenie całą konstrukcję mostu. Jednak bezpośrednich trafień nie było.

Rzecz osobliwa, nie było również znaczącej reakcji ze strony nieprzyjaciela. Po każdej próbie następowało mnóstwo bieganiny i chaotycznych strzałów, ale nie doszło do żadnej spójnej akcji. Bo i co mogą zrobić, pomyślał O'Hara, wyrzuconego głazu nic nie zdoła zatrzymać.

- Dlaczego nie możemy właściwie ustawić odległości? Co, u diabła, dzieje się z tą machiną? - zapytał na koniec.

- Wiesz, że trebusz, ogólnie rzecz biorąc, nie jest bronią precyzyjną, ale w tym, co mówisz, jest sporo racji - odrzekł Armstrong ustępliwie. - Trochę za duży rozrzut, prawda?

Willis wyglądał na zaniepokojonego.

- Ramię ma za dużą sprężystość - powiedział. - Nie jest dostatecznie sztywne.

Poza tym nie dysponujemy standardowymi pociskami, te zaś różnią się wagą i stąd niedoloty i przeniesienia. Z kolei sprężystość odpowiada za wariacje boczne.

- Czy mógłbyś coś zrobić ze sprężystością ramienia? Willis pokręcił głową.

- Pomógłby stalowy dźwigar - powiedział z ironią.

- Ale musi być jakiś sposób ustalenia standardowego ciężaru pocisku. Willis sporządził prymitywną wagę, która - jak się wyraził - określi

ciężar jednego gładu wobec drugiego z dokładnością do ćwierć kilograma. I zaczęli od nowa. Cztery strzały później odnieśli największy sukces popołudnia.

Trebusz huknął znowu i z miejsca, gdzie spadło wiadro, uniosła się chmura kurzu.

Ramię wystrzeliło jak gracz ciskający piłkę podczas gry w krykieta i gład poszybował w niebo coraz wyżej i wyżej. Gdzieś nad głową O'Hary osiągnął apogeum i zaczął spadać - jak się zdawało - wprost na cel.

- To jest to - wyrzucił z siebie O'Hara. - To będzie dziesiątka.

Gład spadał coraz szybciej i szybciej. O'Hara wstrzymał oddech. Spadł idealnie pomiędzy linami nośnymi mostu i ku zaskoczeniu O'Hary przeleciał dokładnie przez sam środek wyrwy, by z fontanną białej wodnej mgły, która ochlapała od dołu belki mostu, pogrążyć się w spienionej rzece.

- Boże wszechmogący! - zawył. - Idealny strzał, ale w cholernie niewłaściwe miejsce.

Nagle wróciła nadzieja, że to, co mówił Willisowi w osadzie, okaże się nieprawdą; że nie był jeszcze trupem; że przeciwnik nie sforsuje mostu; że ich walka ma sens. Przyplýwowi nadziei towarzyszył tężejący skurcz w żołądku. Póki nie było jasnej perspektywy, jego nerwy okazywały się dostatecznie mocne, ale pojawiająca się teraz szansa ocalenia sprawiła, że życie wydało mu się znacznie cenniejsze, warte tego, by o nie walczyć. To potęgowało napięcie. Człowiek, który uważa się za martwego, nie zna lęku przed śmiercią, jednak wraz z nadzieją pojawia się strach.

Wrócił do maszyny.

- Jesteś cholernie dobrym kanonierem - powiedział do Willisa kpiąco-- rozgoryczonym tonem.

Willis zaperzył się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem: jesteś cholernie dobrym kanonierem. Ostatni strzał był idealny, tylko że trafiłeś w miejsce, gdzie akurat nie było mostu - kamień przeleciał przez wyrwę.

Willis uśmiechnął się mimowolnie. Miał minę człowieka zadowolonego z siebie.

III

Noc.

Księżyc skrył się w półprzezroczystym etui z rzadkiej mgły, lecz O'Ha-ra wędrujący między skałami, wciąż dobrze widział. Znalazł wygodne miejsce, usiadł i oparł się o pionową ścianę. Miał przed sobą skalną półkę, na której ostrożnie postawił butelkę. W jej krystalicznych głębinach odbijał się księżyc. Wyglądał jak uwięziona perła.

Patrzył na nią długo.

Był zmęczony. Napięcie kilku minionych dni legło na nim ciężko, a cały jego sen to kilka urwanych tu i tam godzin. Ale nocne warty pełniły teraz panna Ponsky i Benedetta, co czyniło jego brzemię lżejszym. Przy moście Willis i Armstrong naprawiali trebusz i O'Hara pomyślał, że powinien im pomóc. Do diabła z tym, uznał, że jemu też wolno mieć jakąś godzinę dla siebie.

Nieprzyjaciele - owi szczególnie nieprzyjaciele bez twarzy - ściągnęli następnego dzipa; teren znowu był dobrze oświetlony. Nie chcieli ryzykować utraty mostu

przy nagłej próbie podpalenia. Oprócz nieskutecznych salw karabinowych, od dwóch dni nie podjęli żadnego ruchu ofensywnego. Coś kombinują, pomyślał O'Hara, a kiedy przystąpią do dzieła, zostaniemy zaskoczeni. Z zadumą popatrzył na butelkę.

O świcie Forester i Rohde ruszą z kopalni na przełęcz. Zastanawiał się, czy zdołają przebyć. W osadzie był z Willisem zupełnie szczerzy - naprawdę nie wierzył, by mieli jakiegokolwiek szansę. Tam, w górze, będzie zimno; nie mają namiotu, a sądząc po wyglądzie nieba, nastąpi zmiana pogody. Jeśli nie sforsują przełęczy - a może nawet jeśli to zrobią - wróg zwycięży: bóg wojny stoi po jego stronie, ponieważ ma liczniejsze pułki.

Z głębokim westchnieniem odkorkował butelkę, kapitulując wobec przycajonych w swej duszy demonów.

IV

- Wiesz, bawi mnie to wszystko - powiedziała panna Ponsky. - Naprawdę bawi. Zaskoczona Benedetta podniosła wzrok.

- Bawi?

- Tak - odparła panna Ponsky beztrąsko. - Nigdy nie przypuszczałam, że przeżyję taką przygodę.

- Ale wiesz, że wszyscy możemy zginąć... - powiedziała Benedetta ostrożnie.

- Och, tak, dziecko, wiem. Ale teraz rozumiem, dlaczego mężczyźni prowadzą wojny. Robią to z tego samego powodu, który popycha ich do hazardu, lecz na wojnie grają o najwyższą ze wszystkich stawek - o własne życie. A to życiu przydaje smaku.

Ciaśniej owinęła się płaszczem i powiedziała z uśmiechem:

- Jestem nauczycielką od trzydziestu lat, a wiesz, co się mówi o belfer-kach, które są jednocześnie starymi pannami. Sądzi się o nich, że są pełne zahamowań, bezpłciowe i nieromantyczne. Ale ja nigdy taka nie byłam. Miałam w sobie zbyt wiele romantyzmu, z pewnością zbyt wiele, aby mogło mi to wyjść na dobre. Postrzegałam życie przez pryzmat starych legend i powieści historycznych, no a życie, rzecz jasna, wcale takie nie jest. Bo wiesz, był mężczyzna, kiedyś...

Benedetta milczała, nie chciała przerwać wątku tego osobliwego zwierzenia.

Było widać, jak panna Ponsky bierze się w garść.

- Tak to ze mną było. Bardzo romantyczna dziewczyna, wkraczająca w wiek średni bez wielkich postępów w karierze zawodowej. Zostałam wychowawczynią - dla niejednego dziecka rodzajem wiedzmy. Sądzę, że mój romantyzm ujawniał się odrobinę w tym, co robiłam w chwilach wolnych. W młodszym wieku byłam zupełnie dobrym szermierzem, a potem pojawiło się łucznictwo. Zawsze żałowałam, że nie jestem mężczyzną, który podróżuje i przeżywa przygody. Bo wiesz, mężczyźni mają o tyle więcej swobody. Już niemal straciłam wszelką nadzieję. - Zachichotała radośnie. - I oto jestem. Dobijająca do pięćdziesięciu pięciu lat niewiasta, wplątana w niebezpieczną przygodę. Oczywiście wiem, że mogę zginąć, ale gra jest warta świeczki.

Benedetta popatrzyła na nią ze smutkiem. To, co się właśnie działo, groziło unicestwieniem nadziei jej wuja na ocalenie ojczyzny, a panna Ponsky postrzegała to przez pryzmat swego marzycielskiego romantyzmu, czegoś przeniesionego żywcem od Roberta Louisa Stevensona; czegoś, co ubarwi jej monotony żywot. Wzdragała się przed zabiciem człowieka, jednak teraz, mając krew na rękach, nigdy, już nigdy nie ujrzy ludzkiego życia w tym samym świetle, co niegdyś. A kiedy - i jeśli - wróci w rodzinne strony, dobry, stary, bezpieczny South Bridge w Connecticut wyda się jej czymś trochę nierealnym; rzeczywistością będzie ta martwa kraina gór, śmierć nadchodząca mostem i wrażenie przyśpieszonego życia,

które pobudza krążenie krwi w jej wapniejących żyłach.

- Jednak nie powinnam się tak rozpętać - powiedziała z ożywieniem panna Ponsky.

- Muszę zejść do mostu, obiecałam to panu O'Harze. To taki przystojny młodzieniec, nieprawda? Ale czasem wydaje się bardzo smutny.

- Myślę, że jest nieszczęśliwy - wtrąciła nieśmiało Benedetta. Panna Ponsky przytaknęła ze zrozumieniem.

- Przeżył w życiu jakąś wielką tragedię - powiedziała, a Benedetta pojęła, że w legendzie, jaką przeżywa, powierzyła O'Harze rolę chmurnego bajronicznego bohatera. Ale to nie jest tak, krzyknęła w duszy, to mężczyzna z krwi i kości, niemądry mężczyzna, nie chce, by ktokolwiek mu pomógł, by podzielił jego kłopoty. Pomyślała o tym, co wydarzyło się w osadzie - o pocałunkach O'Hary i o tym, jak ją wzburzyły; a potem o jego nagłym, niepojętym chłódzie w stosunku do niej. Jeśli nie chce oddać nic z siebie, pomyślała, może nie nadaje się dla mnie - ale rozumiała, że tak naprawdę chciałaby się mylić.

Panna Ponsky wyszła z kryjówki.

- Robi się trochę mgliście. Musimy wykazywać większą czujność.

- Zejdę za dwie godziny - powiedziała Benedetta.

- Dobrze - odparła pogodnie panna Ponsky i podreptała w stronę mostu. Jeszcze przez chwilę Benedetta zajęta była naprawą swojego rozdartego płaszcza - nitkę wyciągnęła z lamówki, a igłę zawsze nosiła wetkniętą w podszewkę torebki. Drobną robótką domową skończona, pomyślała. Koszula Tima też jest podarta, może powinnam ją zaszyć?

Podczas kolacji zachowywał posępne milczenie, a zaraz potem poszedł gdzieś w prawo wzdłuż zbocza góry. Zorientowała się, że coś go gryzie. Taktownie nie narzucała się, zapamiętała jednak kierunek, w którym poszedł. Teraz wstała i wyszła z kryjówki.

Zaszła go nagle od tyłu, prowadzona postukiwaniem szkła o kamień. Z butelką w dłoni siedział zagapiony w księżyc i cicho nucił piosenkę, której nie znała.

Butelka była do połowy opróżniona.

Kiedy wyszła z cienia, obrócił się i wyciągnął flaszkę.

- Chlapij sobie. To dobre na zgryzoty. - Jego głos był rozmazany i jakby obcy.

- Nie, dziękuję, Tim. - Zeszła niżej i usiadła obok niego. - Masz rozdartą koszulę. Kiedy wrócisz do kryjówki, naprawię ci ją.

- Ach, ty mała kobietko. Domowe ciepło w jaskini. - Roześmiał się niewesoło.

Pokazała na butelkę.

- Czy sądzisz, że to ci służy w tej chwili?

- Służy w tej i w każdej innej chwili, ale w tej szczególnie. - Machnął butelką.

- Jedz, pij i wesel się, bo jutro czeka nas śmierć. - Wcisnął flaszkę w jej dłoń. - No, strzel sobie.

Ujęła podaną butelkę i szybkim ruchem rozbila ją o skałę. Uczynił gest, jakby pragnął ją ocalić.

- Dlaczego, u diabła, to zrobiłaś? - zapytał tonem człowieka pokrzywdzonego.

- Nie nazywasz się Peabody - odparła z przyganą.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Peabody i ja jesteśmy starymi druhami, braćmi we flaszy, obaj. - Pochylił się i zaczął szukać. - Może nie wszystko wyciekło, może coś da się ocalić? - Szarpnął się raptownie. - Niech to diabli, skaleczyłem cholerny palec - powiedział i roześmiał się histerycznie. - Popatrz, z paluszka leci mi krew.

Dostrzegła, że jego dłoń istotnie ocieka czarną w blasku księżyca krwią.

- Jesteś nieodpowiedzialny. Daj rękę.

Uniosła rąbek spódnicy i oderwała od niej pasek materiału. O'Hara wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- Klasyczna sytuacja. Heroina opatruje rannego bohatera i odstawia te wszystkie

inne numery wymyślone w Hollywood. Przypuszczam, że powinienem się odwrócić, jak przystało na dżentelmena, którym niby jestem, ale masz ładne nogi i lubię na nie patrzeć.

W milczeniu bandażowała jego palec. Spojrzał z góry na jej ciemną głowę i powiedział:

- Nieodpowiedzialny? Ano chyba jestem. No i co z tego? A niby za co mam być odpowiedzialny? Jeśli o mnie chodzi, cały świat mógłby zapaść się pod ziemię. — Zaintonował: Z prochu powstałem i w proch się obrócę, a wszystko w środku to jedna kupa gnoju.

- To niewesoła filozofia życia - powiedziała nie podnosząc głowy. Ujął ją dłonią pod brodę, uniósł głowę i popatrzył jej w oczy.

- Życie? A co ty wiesz o życiu? Oto walczysz w tym zakazanym kraju -i po co? Żeby kupie durnych Indian dać coś, co gdyby mieli jaja, zdobyliby dla siebie sami? Ale dalej jest wielki świat, który wiecznie się wtrąca i na dłuższą metę skończycie, płaszcząc się przed Rosją albo Ameryką, nie zdołacie uniknąć takiego losu. Jeśli sądzicie, że możecie być panami we własnym kraju, jesteście nawet głupszy, niż was o to podejrzewałem.

Wytrzymała jego spojrzenie, a potem głosem cichym i spokojnym powiedziała:

- Ale możemy spróbować.

- Nigdy się wam nie uda - odrzekł opuszczając rękę. - To jest świat żrących się psów, a wasze państwo to jeden z ochłapów, o który walczą wielkie kundły. To świat, w którym obowiązuje zasada: pozryj albo zostaniesz pozarty, zabij albo zginiesz.

- Nie wierzę w to - odpowiedziała. Parsknął urywanym śmiechem.

- Czyżby? To co tu robimy, do jasnej cholery? Dlaczego po prostu nie spakujemy manatków i nie wrócimy do domu? Udawajmy, że po drugiej stronie rzeki nie ma nikogo, kto chciałby nas na miejscu ukatrupić.

Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Objął ją i poczuła na kolanie jego dłoń, która pod spódnicą jęła sunąć po udzie. Wyrwała się i z całej siły uderzyła go w twarz otwartą dłonią. Patrzył na nią z wyrazem zaskoczenia w oczach i pocierał policzek.

- To ty jesteś jednym z tych słabeuszy, Timie O'Hara! - wykrzyknęła. -To ty jesteś jednym z tych, którzy giną i zostają pożarci. Brak ci odwagi i zawsze szukasz ucieczki w kieliszku, w ramionach kobiety, zresztą, co to ma za znaczenie, w czym. Jesteś żalonym, przetrąconym człowiekiem.

- Chryste, co ty o mnie wiesz? - powiedział dotknięty wzgardą w jej głosie, ale świadom, że owa wzgarda podoba mu się bardziej niż współczucie.

- Niewiele. Ale to, co wiem, nie bardzo mi się podoba. Jesteś gorszy od Peabody'ego. Tamten jest słabym człowiekiem, który nic na to nie może poradzić. Ty jesteś człowiekiem silnym, który nie chce być silny. Przez cały czas gapisz się we własny pępek, przeświadczony, że to środek wszechświata. I za grosz nie ma w tobie ludzkiego współczucia.

- Współczucia?! - wrzasnął. - Nie potrzebuję twojego współczucia. Nie mam czasu dla ludzi, którzy się nade mną litują. Nie potrzebuję tego.

- Każdy tego potrzebuje - odparła. - Boimy się wszyscy. Lęk czy strach to uczucia ludzkie i każdy, kto twierdzi, że się nie boi, jest łgarzem. - Zaczęła mówić ciszej. - Tim, przecież nie zawsze byłeś taki? Co spowodowało tę zmianę? Ukrył głowę w dłoniach. Czuł, jak coś w nim się przelamuje; z trzaskiem waliły się jego linie obronne, mury, za którymi ukrywał się od tak dawna. Uświadomił sobie prawdziwość tego, co powiedziała mu Benedetta - że jego strach nie jest żadnym odstępstwem od normy, lecz zwykłą przypadłościąkon-dycji ludzkiej i że przyznanie się do niego nie jest dowodem słabości.

- Dobry Boże, Benedetto, boję się - powiedział zdławionym głosem. -Boję się, że znowu wpadnę w ich ręce.

- Komunistów? Skinął głową.

- Co ci zrobili?

Zaczął opowiadać, a kiedy mówił, jej twarz zbielała jak płótno. Mówiło tygodniach, gdy skąpany we własnych odchodach leżał nagi w lodowatej celi; o bezsenności, do jakiej go zmuszano, o nie kończących się przesłuchaniach, o oślepiających lampach i elektrowstrząsach, wreszcie o poruczniku Fengu.

- Chcieli, żebym się przyznał do rozsiewania bakterii chorób zakaźnych - powiedział. Podniósł głowę i w blasku księżycy Benedetta ujrzała ślady łez na jego twarzy. - Chcieli, żebym się przyznał, ale nie przyznałem się; nie było to prawdą, więc nie przyznałem się. - Przełknął ślinę. - Ale mało brakowało.

W najgłębszym zakamarku duszy poczuła palącą wżgardę dla samej siebie - tego mężczyznę nazwała słabeuszem. Przytuliła jego głowę do piersi i poczuła wstrząsające nim drżenie.

- Już dobrze, Tim. Już wszystko dobrze.

Poczuł się lekki, oczyszczony i uwolniony od tego wszystkiego, co od tak dawna było w nim zamknięte. Jakimś osobliwym sposobem, pozbywszy się tej psychicznej ropy, którą obrzmiała jego dusza, poczuł się wzmocniony i pokrzepiony. Benedetta ze spokojem przyjęła impet tych gwałtownych wyznań, pocieszając go urywanymi czułymi słowami. Czuli się zarazem młodsza i starsza od niego, co wprawiało ją w zakłopotanie i było źródłem niepewności, jak ma się zachować. Na koniec gwałtowność potoku jego słów osłabła i wreszcie umilkł. Ciężko oparł się o skałę, jak gdyby był fizycznie wyczerpany. Trzymała obie jego dłonie.

- Przepraszam, Tim, za wszystko, co ode mnie usłyszałeś. Zmusił się do uśmiechu.

- Miałaś rację. Byłem skończonym sukkinsynem, prawda?

- Miałaś po temu powody.

- Muszę przeprosić pozostałych - powiedział. - Za mocno ich popędzałem.

- Tim, nie jesteśmy pionkami szachowymi - powiedziała ostrożnie - aby można nas było przesuwac, jak byśmy nie mieli uczuć. A wiesz, robiłaś właśnie coś takiego, rozstawiając po kątach mojego wujka, Willisa i Arm-stronga... także Jenny... jak gdyby byli tylko instrumentami służącymi rozwiązaniu problemu. Bo widzisz, ten problem nie jest tylko twój, jest wspólny. Willis pracował ciężiej niż ktokolwiek z nas. Nie powinieneś być zachowywać się wobec niego tak, jak zachowałeś się, kiedy nawalił trebusz.

O'Hara westchnął.

- Wiem - powiedział. - Ale to chyba była ostatnia kropla. Czułem się wtedy wkurzony na wszystko. Lecz go przeproszę.

- Postąpiłbyś lepiej, gdybyś mu pomógł. Skinął głową.

- Pójdę już. - Popatrzył na nią, zastanawiając się, czy zniechęcił ją do siebie już na zawsze. Wydawało mu się, że kobieta, która wie o nim tyle, żadnym cudem nie mogłaby go pokochać. Ale wtedy Benedetta uśmiechnęła się promiennie i pojął z ulgą, że wszystko będzie w porządku.

- Idź - powiedziała. - Odprowadzę cię do kryjówki. - Czuli, że w jej łonie nabrzmiewa niemal fizyczny ból, fala nieopanowanego, niepojętego szczęścia. I zrozumiała, że myliła się sądząc, iż Tim nie jest dla niej. To był mężczyzna, z którym mogła dzielić swe życie - i to całe życie.

Rozstał się z nią przy kryjówce. Zanim odszedł, pocałowała go. Widząc jego mroczny cień schodzący w dół zbocza, nagle coś sobie przypomniała i krzyknęła:

- A co z twoją rozdartą koszulą?!

- Jutro! - odkrzyknął niemal radośnie i ruszył ku migocącemu światłu, gdzie Willis prowadził swój wyścig z czasem.

Poranek wstawał we mgle, ale wschodzące słońce rychło ją rozproszyło. O świcie odbyli przy trebuszu naradę, co mają robić dalej.

- Jak sądzisz? - zapytał O'Hara Willis. - Ile to jeszcze potrwa? Armstrong zacisnął zęby na ustniku swojej fajki i z zainteresowaniem przyglądał się O'Harze. Coś godnego uwagi przydarzyło się temu młodzieńcowi - i to coś dobrego. Spojrzał ku miejscu, skąd Benedetta obserwowała most. Tego ranka jej rozpromienienie było nieprawdopodobne; bił od niej jakiś wewnętrzny blask, który zdawał się otaczać ją niemal dostrzegalną aureolą. Armstrong uśmiechnął się. Szczęście tych dwojga było aż nieprzyzwoite.

- Teraz, przy dobrej widoczności, pójdzie szybciej - odparł Willis. - Dajmy sobie jeszcze ze dwie godziny. - Jego twarz była ściągnięta i zmęczona:

- Zabierzmy się do tego - powiedział O'Hara.

Zamierzał kontynuować, ale nagle przerwał i przechylił głowę na bok. Po kilku sekundach Armstrong zorientował się, co słyszy O'Hara - upiorny poświst przybliżającego się szybko odrzutowca.

Lecąc na małej wysokości w górę rzeki, nagle znalazł się nad nimi. Rozległ się skowyt, ziemię musnął cień, kiedy samolot przemknął nad ich głowami, by zacząć strome wznoszenie i ostry zakręt.

-Znaleźli nas! Znaleźli nas! - wrzasnął Willis. Ogarnięty gorączkowym podnieceniem, zaczął podskakiwać i wymachiwać ramionami.

- To sabre! - krzyknął O'Hara. - Wraca.

Obserwowali samolot, który osiągnąwszy szczytowy punkt swojego łukowego wznoszenia się, wracał ku nim w płytkim locie nurkowym. Panna Ponsky krzyczała co tchu w piersiach, wymachując ramionami jak semafor.

- To mi się nie podoba... - powiedział nagle O'Hara. - Rozproście się, ukryjcie.

W Korei widział samoloty zachowujące się w podobny sposób i sam to robił. Rzecz miała wszelkie znamiona początku ataku na cele naziemne.

Rozproszyli się jak kurczęta w obliczu napaści sokoła. I znów nad ich głowami sabre przemknął z rykiem, lecz nie rozległ się grzechot karabinów, a tylko słabnący skowyt silnika gnającej w dół rzeki maszyny. Nadlatywał nad nich jeszcze dwukrotnie, a trasę jego przelotu znaczyło drzenie sztywnych źdźbeł trawy. A potem wystrzelił niemal pionowo w górę i zniknął za szczytami.

Wyszli z ukrycia i zbici w gromadkę spoglądali ku szczytom. Pierwszy odezwał się Willis.

- Niech cię cholera! - wrzasnął na O'Harę. - Dlaczego kazałeś nam się pochować?

Ten samolot na pewno nas szukał! dostrzegł sięgającą niemal ziemi stalową płytę poniżej skrzyni, która zakrywała zbiornik paliwa - nieprzyjaciel przedsięwziął środki ostrożności.

Ciężarówka zatrzymała się obok mostu. Bacząc, by mieć między sobą a rzeką samochód, wysypali się z niej ludzie. Druga ciężarówka zatrzymała się nieco dalej; nie miała pasażerów, oprócz dwóch ludzi w kabinie; O'Hara nie mógł dostrzec, jaki wiezie ładunek. W trzeciej ciężarówce również jechali ludzie, choć nie w takiej liczbie, jak w pierwszej; O'Harę przeszedł dreszcz na widok zdejmowanego ze skrzyni i pośpiesznie unoszonego w ukrycie lekkiego karabinu maszynowego.

Odwrócił się i powiedział do Benedetty:

- Podaj mi kuszę i ściągnij tu pozostałych.

Gdy jednak powtórnie spojrzął za rzekę, nie dostrzegł żadnego celu. Droga i zbocze góry sprawiały wrażenie wymarłych, a strzelanie do którejkolwiek z ciężarówek nie przyniosłoby żadnej korzyści.

Kiedy podeszli Armstrong i Willis, powiedział im, co się dzieje.

- Broń maszynowa, to brzmi groźnie - stwierdził Willis. - Wiem o tym, ale co mogą nią zdziałać takiego, czego nie osiągnęli karabinami? Chyba nie bardzo pogarsza nasze położenie?

- Będą jej używać jak polewaczki - odparł O'Hara. - Mogąc strzelać ogniem ciągłym, będą systematycznie macać tę stronę wąwozu. Od tej chwili używanie kuszy stanie się bardzo niebezpieczne.

- Mówiłeś, że druga ciężarówka jest pusta - zauważył Armstrong z zadumą.

- Powiedziałem tylko, że nie przywiozła ludzi. Musi w niej coś być, ale paka zakryta jest brezentem i nie mogłem nic zobaczyć. Prawdopodobnie mają tam rozkładaną haubicę górską albo moździerz, a jeśli mają coś w tym rodzaju, to klops.

Armstrong w rozrządzeniu wystukał o skałę fajkę, zapominając, że jest pusta.

- Rzeczą w tej chwili najważniejszą będą pertraktacje - powiedział nieoczekiwanie.

- Podczas swoich studiów nad obłężeniem nigdy nie natknąłem się na przypadek, by w którymś momencie do nich nie doszło.

- Rany boskie, gadaj do rzeczy - rzekł O'Hara. - Możesz pertraktować tylko wówczas, gdy masz coś do zaoferowania. Te chłopaki są górą i wiedzą o tym.

Dlaczego mieliby pertraktować? A, nawiasem mówiąc, dlaczego mielibyśmy to robić my? Wiemy, że obiecują nam gwiazdkę z nieba, ale wiemy również cholernie dobrze, że obietnic nie dotrzymają. Więc jaki w tym sens?

- Mamy coś do zaoferowania - powiedział Armstrong spokojnie. - Mamy Aguillara i on jest im potrzebny, więc go proponujemy. - Uniósł dłoń, by uciszyć protesty pozostałych. - Wiemy, co zaoferują w zamian: życie. I wiemy, co są warte ich obietnice, lecz to rzecz bez znaczenia. Och, nie damy im Aguillara, ale przy odrobinie szczęścia możemy przeciągnąć pertraktacje do kilku godzin. A kto wie, jakie znaczenie mogą mieć te godziny później.

O'Hara zastanowił się przez chwilę.

- Willis, co o tym sądzisz?

- Niczym nie ryzykujemy, a mamy szansę zyskać na czasie. Wszystko, co robiliśmy dotąd, było grą na zwłokę.

- Moglibyśmy doprowadzić trebusz do porządku - kalkulował O'Hara.

- Już to warte jest grzechu. Dobra, spróbujemy.

- Chwileczkę - powiedział Armstrong. - Czy w tej chwili po tamtej stronie coś się dzieje?

O'Hara spojrział na drugi brzeg wąwozu; panowała tam cisza i spokój. - Nic.

- Sądzę, że powinniśmy poczekać, aż coś zaczyna - doradzał Armstrong.

- Przypuszczam, że nowo przybyli i stara gwardia odbywają teraz naradę; może potrwać chwilę i nie ma sensu jej przerywać. Każda chwila zwłoki działa na naszą korzyść, więc poczekajmy.

Benedetta, stojąca dotąd w milczeniu na uboczu, powiedziała:

- Jenny jeszcze nie wróciła. O'Hara obrócił się na pięcie.

- Naprawdę?

- Może została trafiona. Ten karabin maszynowy... - głos Willisa zamarł w pół zdania.

- Pójdę zobaczyć - zaproponowała Benedetta.

- Nie - zaprotestował O'Hara ostro. - To ja pójdę. Może trzeba ją będzie nieść, a ty nie zdołasz tego zrobić. Lepiej zostań na straży, a pozostali zajmą się naprawą trebusza.

Ruszył z kopyta i pobiegł po równym terenie, omijając przyczółek mostowy, gdzie nie mógł liczyć na żadną osłonę, a potem, manewrując pomiędzy skałami po jego przeciwległej stronie, zaczął się posuwać w dół rzeki. Wiedział prawie na pewno, które miejsce wybrała panna Ponsky. Biegł i kłął pod nosem - jeśli zginęła, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Droga zajęła mu dwadzieścia minut - niezły czas, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu. Jednak kiedy przybył na wytypowane miejsce, nie znalazł tam panny Ponsky. Znalazł trzy wbite grotami w ziemię bełty i coś jeszcze - kałużę lepkiej krwi na skale.

Schylił się i dojrzał kolejny krwawy ślad, a potem jeszcze jeden. Szedł tym krwawym szlakiem blisko sto metrów i dopiero wówczas usłyszał słaby jęk i zobaczył pannę Ponsky, która leżąc w cieniu wielkiego głazu, przyciskała dłoń do lewego ramienia. Ukląkł przy niej i uniósł jej głowę.

- Jenny, gdzie cię trafili, w ramię? Otworzyła oczy i z wysiłkiem skinęła głową.

- Gdzie jeszcze?

Pokręciła przecząco głową i wyszeptała:

- Och, Tim, jakże mi przykro. Straciłam kuszę.

- Nie przejmuj się tym - powiedział i uważając, by nie narazić jej na wstrząs, rozerwał jej bluzę na ramieniu. Odetchnął z ulgą; kula przeszła tylko przez mięsień, nie łamiąc - na ile się mógł zorientować - kości, zatem rana nie była zbyt groźna. Jednak Jenny straciła dużo krwi i to osłabiło ją w stopniu nie mniejszym niż szok fizyczny.

- Ale nie miałam prawa jej stracić - powiedziała nieco głośniejszym głosem. - Powinnam była trzymać ją mocno. Spadła do rzeki, Tim. Tak mi przykro.

- Do cholery z kuszą. Ty jesteś ważniejsza.

Zatkał oba wyloty rany kawałkami materiału wyrwanego ze swojej koszuli i z grubsza obandażował.

- Czy jesteś w stanie iść?

Spróbowała, ale nie mogła, więc powiedział beztrąsko:

- Będę cię musiał nieść, po strażacku. Hop do góry!

Przerzucił ją przez ramię i powoli ruszył w kierunku mostu. Gdy dotarł do kryjówki, przekazał ją w ręce Benedetty - Jenny znów była nieprzytomna.

- Tym bardziej potrzebne są pertraktacje - powiedział posepnie do Arm-stronga. - Musimy postawić Jenny na nogi, żeby była w stanie uciekać. Działo się coś po tamtej stronie?

- Nic. Ale prawie skończyliśmy z trebuszem.

Niewiele później dwóch mężczyzn zaczęło ściągać brezent z drugiej ciężarówki i O'Hara powiedział:

- No, spróbujmy. - Nabrał w płuca powietrza i krzyknął po hiszpańsku: - Señores! Chciałbym pomówić z waszym dowódcą. Niech wyjdzie do przodu. Nie będziemy strzelać.

Obaj mężczyźni stanęli jak wryci i popatrzyli po sobie. Potem, wciąż niezdecydowani, popatrzyli na drugą stronę wąwozu.

Wydawało się, że podjęli postanowienie. Jeden z nich odbiegł i niebawem spomiędzy skał wyszedł wielki, brodaty mężczyzna, zszedł na dół i zbliżył się do przypór mostu.

- Czy mówi señor Aguillar?! - wrzasnął.

- Nie! - odkrzyknął O'Hara, przechodząc na angielski. - O'Hara.

- Ach, pilot. - Rosły mężczyzna odpowiedział po angielsku, w niemałym stopniu zaskakując O'Harę oczywistą znajomością ich tożsamości. - Czego pan sobie Ts/ciy, señor O'Hara?

Benedetta, która tymczasem wróciła, powiedziała szybko:

- Ten człowiek nie jest z Kordyliery. Ma kubański akcent. O'Hara puścił do niej oko.

- Señor Cubano, dlaczego do nas strzelacie? Rosły mężczyzna roześmiał się jowialnie.

- Czyżby nie spytał pan o to señora Aguillara? A może wciąż używa nazwiska Montes?

- Nie mam z Aguillarem nic wspólnego! - krzyknął O'Hara. - Nic mi do jego spraw. I mam po dziurki w nosie tego strzelania do mnie.

Kubańczyk odrzucił głowę i klepiąc się po udzie, ponownie się roześmiał.

- Zatem?

- Chcę się stąd wydostać.

- Co z Aguillarem?

- Bierzcie go sobie. Przecież po to tu jesteście, nieprawda? Kubańczyk zamilkł, jak gdyby zastanawiał się głęboko. O'Hara powiedział do Benedetty:

- Kiedy cię uszczypnę, wrzaśnij z całych sił. Popatrzyła na niego zdumiona, a potem skinęła głową.

- Niech pan przyprowadzi Aguillara do mostu, a będzie pan mógł odejść wolno, señor O'Hara.

- A co z dziewczyną? - zapytał O'Hara.

- Dziewczyne, oczywiście, także chcemy mieć.

O'Hara uszczypnął Benedettę w ramię, ona zaś wydała mrozący krew w żyłach okrzyk, artystycznie urwany, jakby przez dłoń zaciśniętą raptem na jej ustach. O'Hara uśmiechnął się do niej. Odczekał kilka chwil, zanim ponownie podniósł głos.

- Proszę o wybaczenie, señor Cubano, mieliśmy drobne kłopoty. - Pozwolił, by do jego głosu wśliznęła się ostrożność. - Nie jestem tu sam... są również inni.

- Wszyscy odejdziecie wolno - powiedział rosły mężczyzna wspaniałomyślnie. -

Osobiście dostarczę was do San Croce. Teraz doprowadźcie Aguillara do mostu. Kiedy tylko go przejmiecie, wszyscy będziecie mogli odejść.

- To niemożliwe - odparł O'Hara. - Aguillar jest w pierwszej osadzie. Poszedł tam, widząc, co się dzieje przy moście. Potrzeba czasu, by sprowadzić go na dół. Kubańczyk podejrzliwie podniósł twarz.

- Aguillar uciekł? - zapytał z niedowierzaniem.

O'Hara zaklął w duchu; nie przypuszczał, że wrogowie mają Aguillara w takim poważaniu. Zaimprovizował pośpiesznie:

- Został odesłany przez swojego przyjaciela Rohdego. Ale Rohde zginął od kuli z waszej broni maszynowej.

- Ach, to ten człowiek, który niedawno do nas strzelał. - Kubańczyk, najwyraźniej niezdecydowany, popatrzył na swą postukującą o ziemię stopę. Potem podniósł głowę. - Niech pan poczeka, señor O'Hara:

- Jak długo?

- Tylko kilka minut.

Ruszył drogą pod górę i zniknął pomiędzy skałami.

- Poszedł naradzić się ze swoim zastępcą - powiedział Armstrong. - Czy sądzisz, że to kupi?

- Może - odparł Willis. - To atrakcyjna propozycja. Dobrzeją sprzedałeś. Sądzi, że to Rohde skłaniał nas do oporu, a teraz, kiedy zginął, zaczynamy się łamać. To była bardzo dobra robota.

Po dziesięciu minutach Kubańczyk znowu podszedł do mostu, tym razem w towarzystwie niskiego, krzepkiego mężczyzny, przypominającego Indianina.

- Doskonale! - krzyknął. - Jak powiadają norleamericanos, umowa stoi. Ile czasu zajmie wam sprowadzenie Aguillara?

- To długa droga! - odkrzyknął O'Hara. - Trochę to potrwa. Powiedzmy, pięć godzin.

Dwaj mężczyźni po drugiej stronie naradzili się, a potem Kubańczyk wrzasnął:

- W porządku! Pięć godzin!

-1 mamy rozejm? - zapytał O'Hara. - Żadnej strzelaniny z obu stron?

- Żadnej strzelaniny - obiecał Kubańczyk. O'Hara westchnął.

- Udało się. Musimy skończyć trebusz. Mamy pięciogodzinne odroczenie. Benedetta, jak czuje się Jenny?
- Będzie z nią dobrze. Dałam jej gorącej zupy i owinęłam kocem. Musi mieć ciepło.
- Pięć godzin to nie za dużo - powiedział Armstrong. - Wiem, że zarobiliśmy je dzięki szczęściu, ale to jednak mało. Może zdołamy je nieco przeciągnąć.
- Możemy spróbować - rzekł O'Hara. - Ale tylko trochę. Nabiorą cholernych podejrzeń, jeśli po tym czasie nie zdołamy im pokazać Aguillara.
Armstrong wzruszył ramionami.
-1 cóż mogą zrobić takiego, czego nie próbowali robić w ciągu minionych trzech dni?

VI

Mijały godziny.

Trebusz został zreperowany i O'Hara robił plany w związku z nieuchronnym obłożeniem.

- Mamy jedną kuszę i pistolet z jedną kulą- powiedział - a to ogranicza nasze możliwości w walce na krótszy dystans. Benedetto, kiedy tylko Jenny będzie mogła chodzić, zaprowadzisz ją do osady. Nie zdoła poruszać się szybko, więc raczej wyruszycie zawnazasu, na wypadek gdyby tu miało rozpętać się piekło. Wciąż nie wiem, co mają w drugiej ciężarówce, ale z pewnością nie jest to nic dla nas przyjemnego.

Benedetta i panna Ponsky wyruszyły zatem, biorąc ze sobą ładunek koktajli Mołotowa. Armstrong i O'Hara obserwowali most, Willis zaś majstrował przy trebuszu, wykonując mnóstwo niepotrzebnych czynności. Na drugim brzegu rzeki ludzie powyłazili spomiędzy skał i zaroili się na zboczu góry, beztriosko paląc i gwarząc. O'Harze przypomniało to historie, jakie słyszał o pierwszym Bożym Narodzeniu podczas I wojny.

Uważnie policzył mężczyzn i wymienił spostrzeżenia z Armstrongiem.

- Naliczyłem trzydziestu trzech - powiedział.

- A ja trzydziestu pięciu - odrzekł Armstrong. - Ale nie sądzę, by to cokolwiek zmieniało. - Popatrzył w cybuch swojej fajki. - Chciałbym mieć trochę tytoniu - powiedział poirytowany.

- Przykro mi. Nie mam już papierosów.

- Jesteś współczesnym żołnierzem. Co byś zrobił na ich miejscu? To znaczy, jak byś przeprowadził następny etap operacji?

O'Hara zamyślił się.

- Trebuszem trochę zaszкодziliśmy mostowi, lecz nie zanadto. Kiedy tylko załatają główną wyrwę, mogą rzucić na drugą stronę ludzi, ale nie samochody. Ostrzeliwując ogniem ciągłym nasz brzeg, przypuściłbym atak, by uchwycić przyczółek. Odepchnąwszy nas od rzeki, doprowadzą resztę mostu do stanu, który pozwoli na przerzucenie kilku dżipów. Potem użyłbym dżipów w roli czołgów i popędził nimi do kopalni najszybciej, jak to możliwe - dotrą tam przed nami. A dokąd mamy się wycofać, jeśli opanują oba końce drogi? Niewiele możemy zrobić, aby temu zapobiec. I to jest najgorsze.

- Mhm - zamamrotał Armstrong posępnie. - Podobnie oceniam sytuację. - Przekreślił się na wznak. - Popatrz, chmurzy się.

O'Hara odwrócił się i spojrział do góry. Gęstniał szarobury obłok, który oblepił już wyższe szczyty, a teraz słał mgliste macki w kierunku kopalni.

- Znosi się na śnieg - powiedział. - Jeśli kiedykolwiek istniała realna szansa podjęcia skutecznych poszukiwań z powietrza, to teraz już jej nie ma. No i to musi złapać Raya w połowie drogi. - Zadrzał. - Wolałbym nie być w ich skórze.

Obserwowali chmurę przez pewien czas i nagle Armstrong powiedział:

- Jednak dla nas może to być korzystne. Chyba opada niżej. Nam przydałaby się dobra, gęsta mgła.

Kiedy do zakończenia rozejmu pozostała godzina, pierwsze szare macki mgły poczęły owijać się wokół mostu. O'Hara usiadł, usłyszawszy warkot samochodu. Była to duża limuzyna marki Mercedes. Gdy wóz zatrzymał się za ciężarówkami, wysiadł z niego mężczyzna w eleganckim, cywilnym ubraniu. O'Hara obserwował, jak podchodzi do mostu; zwrócił uwagę na jego krępą budowę i toporne rysy. Szturchnął Armstronga.

- Przybył komisarz - powiedział.

- Rosjanin?

- Stawiam dolary przeciwko orzechom.

Rosjanin -jeśli istotnie nim był - począł konferować z Kubańczykiem, a ich spór z pozoru zaogniał się, Kubańczyk bowiem gwałtownie wymachiwał ramionami, a Rosjanin, wsadziwszy dłonie głęboko w kieszenie marynarki, oponował mu niewzruszenie. Postawił na swoim, gdyż nagle Kubańczyk odwrócił się, rzucił serię krótkich rozkazów i w mgnieniu oka zбочe po drugiej stronie wąwozu zmieniło się w rozbiegane mrowisko. Obijający się dotąd ludzie znów zniknęli za skałami, jakby pochłonęła ich góra. W gorączkowym pośpiechu czterej mężczyźni zdążyli ściągnąć brezent z drugiej ciężarówki, a Kubańczyk wrzasnął do Rosjanina i machnął rękoma. Rosjanin, rzuciwszy jedno długie spojrzenie na drugi brzeg, odwrócił się nonszalancko i ruszył w stronę swego samochodu.

- Rany boskie, zamierzają zerwać rozejm - powiedział O'Hara przez zaciśnięte zęby. Uchwycił załadowaną kuszę, gdy nagle rozszczękał się karabin maszynowy, stebnując powietrze serią pocisków. - Wracaj do trebu-sza. - Uważnie wycelowwał w plecy Rosjanina, nacisnął spust i ku swej rozpaczy chybił. Skulił się, by naładować broń ponownie, i w tym momencie usłyszał łomot katapulty - Willis pociągnął dźwignię.

Kiedy ponownie podniósł głowę, przekonał się, że trebusz również chybił. A jednocześnie pobladł, widząc, co ściągnięto z ciężarówki: była to kratownica. Sześciu dźwigających ją ludzi dotarło już do mostu. Za nimi pędził co sił w nogach drugi oddział. Żadnym cudem jeden bełt z kuszy nie zdołałby ich powstrzymać; a nie było już czasu na załadowanie trebusza. Przejdą przez most w parę sekund, pomyślał. Wrzasnął do Willisa i Armstronga:

- Wycofać się! W górę drogi, do osady! - I z kuszą gotową do strzału pobiegł w kierunku przyczółka mostowego.

Pierwszy mężczyzna był już na drugim brzegu i gnał zygzakami z przygotowanym automatem. O'Hara przykucnął za skałą i czekał. Mgła gęstniała raptownie - trudno było ocenić odległość, więc z pociągnięciem za spust zwlekał aż do chwili, gdy mężczyzna był oddalony o nie więcej niż dwadzieścia metrów. Bełt aż po lotkę pograżył się w piersi biegnącego; ten krzyknął bełkotliwie i zwałił się na ziemię wyrzucając ręce w górę, a zaciskając dłoń w śmiertelnym skurczu, pociągnął za spust. O'Hara widział resztę oddziału biegnącą w tyle, ostatnią zaś rzeczą, jaką dostrzegł, zanim odwróciwszy się, zaczął uciekać, była rozciągnięta na ziemi postać - postać drgająca w rytm godzących w niebo pocisków z opróżnianego magazynka. Anemiczny chichot zamarł, kiedy poraziła go kolejna fala bólu. Zacisnął zęby i czekał, aż minie. Zabiwszy Peabody'ego, Rohde na dłuższy czas znieruchomiał; utrzymywał linę w napięciu w obawie, że ciało Peabody'ego zsunie się do grani, pociągając za sobą Forestera. Potem zaczął wbijać czekan w śnieg. Miał nadzieję zaczepić na nim linę; jednak pod cienką warstwą śniegu napotkał lód, a dysponując tylko jedną wolną ręką, nie zdołał wbić czekana głębiej.

Wówczas zmienił taktykę. Wyciągnął czekan i, przestraszony możliwością ześlizgnięcia się po gładkim lodzie, najpierw wyrąbał dwa solidne dołki, w których zaparł się nogami. By

stanać, zaczął podciągać się na linie; czuł, jak przesuwa się przy tym ciało Peabody'ego. Zaprzestał tego, nie wiedział bowiem, w jakim stopniu lina została nadwyrężona; obawiał się, że może pęknąć i Forester spadnie.

Ujął czekan i począł wyrąbywać w lodzie dużą kolistą bruzdę o średnicy pół metra. Zadanie okazało się wyjątkowo trudne, ponieważ zaimprovizowane przez Willisa ostrze czekana było osadzone pod dziwnym kątem w stosunku do rękojeści i w związku z tym kłopotliwe w użyciu. Po niemal godzinnej pracy pogłębił bruzdę na tyle, że mogła się w niej pomieścić lina, którą następnie ostrożnie rozwinął z pasa i zaczepił na stworzonym przez siebie lodowym grzybie.

To pozwoliło mu podejść do grani urwiska. Nie uczynił tego natychmiast, lecz stał przez chwilę, tupiąc nogami i rozprostowując mięśnie, aby pobudzić krążenie krwi; zbyt długo leżał w bardzo niewygodnej pozycji.

Kiedy spojrzął z krawędzi, dostrzegł, że Forester jest nieprzytomny i z pochyloną na ramię głową dynda na końcu liny.

W miejscu, w którym naciął ją Peabody, lina była bardzo wystrzępiona. Rohde odwinął z pasa krótki odcinek i ostrożnie przywiązał go powyżej i poniżej potencjalnego punktu pęknięcia. Uporawszy się z tym, począł wciągać bezwładne i ciężkie ciało Foreстера. Bez sensu było podejmowanie dzisiaj dalszego marszu. Stan Foreстера nie pozwalał mu praktycznie na żaden ruch; upadek brutalnie zacisnął linę na jego piersi i Rohde ostrożnymi dotknięciami stwierdził, że kilka żeber co najmniej pękło, a może nawet zostało złamanych. Owinął więc Foreстера w ciepłe ubrania, a sam przysiadł na półce, zastanawiając się, co robić dalej.

Było to złe miejsce na spędzenie nocy, nawet pogodnej - a na taką się nie zanosilo. Lękał się, że jeśli wichur osiągnie moc, jaką zwykle miewa podczas zamieci, to wówczas śnieżny nawis na lodowej ścianie runie; a jeśli to nastąpi, będzie po nich. Musieli mieć schronienie przed wiatrem i śniegiem. Ujął toporek, wytarł jego ostrze i zaczął wyrąbywać w lodowej ścianie płytką niszę.

II

Tuż po zapadnięciu zmroku wiatr wzmógł się, a Rohde pracował dalej. Gdy uderzyły weń pierwsze wściekle poddmuchy, przestał rąbać i popatrzył dokoła zmęczonym wzrokiem; harował trzy godziny, łupiąc twardy lód narzędziem tępym i zupełnie się do tego nie nadającym. Niewielkie wgłębienie, jakie wyrąbał, z ledwością mogło pomieścić ich obu, ale musiało wystarczyć.

Zaciągnął Foreстера do niszy i oparł o ścianę w głębi. Przyniósł trzy tobołki i ułożył je w wejściu na kształt niskiego i całkowicie niewystarczającego murku, który miał pełnić rolę zapory przed nawiewanym śniegiem. Poszperał w kieszeniach i zwrócił się do Foreстера:

- Masz - powiedział z naciskiem. - Żuj to.

Forester coś wymamrotał, a Rohde wymierzył mu policzek.

- Nie powinienes spać. Jeszcze nie... Musisz żuć kokę. - Przemocą otworzył usta Foreстера i wsunął w nie zielony kwadracik.

Rozwinięcie tobołu i złożenie prymusa zajęło mu pół godziny. Miał przemarzniete palce i odczuwał skutki choroby wysokościowej - utratę energii i psychiczne oszołomienie, które zwielokrotniało czas każdej czynności. Wreszcie uruchomił kuchenkę, która dawała niewiele ciepła i jeszcze mniej światła, ale jednak zdecydowanie poprawiła sytuację.

Z kilku klamer i kawałków koca wykonał prowizoryczną osłonę przed wiatrem. Na szczęście wichur wiał od przełęczy, ponad ścianą lodową; byli zatem w miejscu stosunkowo dobrze osłoniętym. Jednak jadowite zawirowania wdzierały się niekiedy do niszy, niosąc ze sobą rozszalałą chmurę płatków śniegowych i sprawiając, że

plomień prymusa rozbłyskał i huczał. Kierunek wiejącego wiatru wpędził Rohdego w przygnębienie. Jeśli chodzi o położenie kryjówki, było korzystne, ale jednocześnie nadbudowywał zaspę na szczycie ściany i wraz z jej rosnącym ciężarem zwiększało się prawdopodobieństwo zawału. No, a poza tym, kiedy rankiem wyruszą w drogę, będzie wiał im prosto w twarz i przeszkadzał we wspinaczce. Modlił się, aby do tego czasu wiatr zmienił kierunek.

Niebawem stopił trochę śniegu; wystarczyło na ciepły napój. Ale smak bulionu wywoływał u Foreстера odruch wymiotny. Rohde podgrzał nieco więcej wody - ta przynajmniej napełniła ich żołądki odrobiną ciepła.

Potem zabrał się za Foreстера. Zbadał jego ręce i nogi. Mimo wielu protestów zaczął je gwałtownie rozcierać. Po tym zabiegu Forester w pełni oprzytomniał i doszedł do siebie. Teraz z kolei on rozmasował dłońmi stopy Rohdego.

- Miguela, czy sądzisz, że nam się uda? - zapytał.

- Tak - odparł Rohde krótko. Ale zaczynał mieć wątpliwości. Przed ostatecznym atakiem na przełęcz Forester nie był w najlepszym stanie. Nie było to najodpowiedniejsze zajęcie dla człowieka z popękаныmi żebrami. - Nie możesz siedzieć nieruchomo - powiedział. - Bez przerwy poruszaj palcami rąk i nóg, trzyj twarz, nos i uszy. Nie powinieneś zasypiać.

- Lepiej pogadajmy - zasugerował Forester. - To nie pozwoli zasnąć nam obu. -

Wyciągnął szyję i wsłuchał się w zawroźnienie wiatru. - Jeśli ten hałas nie ustanie, będzie to raczej wrzeszczenie do siebie. O czym będziemy rozmawiać? Rohde mruknął i naciągnął kaptur na uszy.

- Od O'Hary słyssałem, że byłeś lotnikiem.

- To prawda - odrzekł Forester. - Latałem pod koniec wojny, przede wszystkim we Włoszech, na błyskawicach. Potem, kiedy zaczęła się Korea, wzięli mnie znowu, bo wiesz, byłem w rezerwie sił powietrznych. Przesiadłem się na odrzutowce i latałem na sabre'ach przez całą wojnę koreańską, a przynajmniej do chwili, kiedy przeniesiono mnie do Stanów jako instruktora. Chyba musiałem odbywać w Korei jakieś wspólne misje z O'Harą.

- Tak właśnie mówił. A po Korei? Forester wzruszył ramionami.

- Wciąż miałem lotniczego bzika. Spółka, dla której pracuję, specjalizuje się w obsłudze samolotów. - Uśmiechnął się. - Kiedy zdarzyła się ta cała afera, jechałem właśnie do Santillany, żeby sfinalizować umowę z waszym lotnictwem na dostawę sprzętu. Wiesz, wciąż macie sabre'y. Niekiedy udaje mi się na nich polatać, pod warunkiem że dowódca szwadronu jest przyzwoitym facetem. - Przerwał. - Jeśli Aguillar wykręci ten swój coup de etat, interes mogą diabli wziąć. Nie wiem, po jaką cholere zadają sobie ten cały trud.

Rohde uśmiechnął się.

- Dojście do władzy seńora Aguillara nie zaszkodzi twoim interesom. Będzie ci to pamiętał, a ty nie będziesz musiał dawać łapówek, które na pewno uwzględniłeś już w swoich kalkulacjach. - Z jego głosu przebijała gorycz.

- Do diabła - powiedział Forester. - Wiesz, jak to jest w tych stronach świata, a szczególnie pod rządami Lopeza. Nie zrozum mnie źle, jestem za Aguillarem. My, biznesmeni, wolimy uczciwe rządy, bo to znacznie ułatwia wszystkie sprawy. - Zabił ręce. - Dlaczego popierasz Aguillara?

- Kordylierą jest moją ojczyzną - odrzekł krótko, jak gdyby już to wyjaśniało wszystko. Foresterowi przyszło na myśl, że spotkanie w Kordylierze prawdziwego patrioty jest czymś odrobinę niezwykłym, niczym spotkanie hipopotama w Arktyce. Milczeli przez chwilę, a potem Forester zapytał:

- Która godzina?

Rohde dogrzebał się do zegarka.

- Nieco po dziewiątej. Forester zadygotał.

- Jeszcze dziewięć godzin do wschodu słońca.

Chłód wgryzał się głęboko w jego kości, a porywy wiatru chłoszczące płytką nieckę, przenikały całą jego odzież, nawet skórzaną kurtkę O'Hary. Zastanawiał się, czy rankiem będą jeszcze żyli. Z opowieści i z lektur znał zbyt wiele historii o ludziach, którzy nawet w jego rodzinnym kraju i bliżej cywilizacji umierali z zimna; nie miał złudzeń co do ich niepewnej sytuacji. Rohde poruszył się i zaczął opróżniać dwa tobołki. Starannie poukładał ich zawartość w miejscu, z którego nie mogły wysunąć się na zewnątrz, a potem podał pusty pakunek Foresterowi.

- Włóż do tego stopy - powiedział. - Da ci to pewną ochronę przed zimnem.

Forester wzięła pusty worek i szarpnięciem rozłamał pokrywającą go lodową powłokę. Włożył do środka stopy i zaciągnął sznurek na wysokości голени.

- Słyszałem, że kiedyś byłeś już w tych stronach? - zapytał.

- W lepszych warunkach - odparł Rohde. - Kiedy studiowałem, wiele lat temu. To była ekspedycja wysokogórska na ten szczyt, ten na prawo od nas.

- Uwieńczona sukcesem? Rohde pokręcił głową.

- Próbowali trzy razy, odważni byli ci Francuzi. Potem jeden z nich zginął i dali za wygraną.

- Dlaczego przyłączyłeś się do nich? - zapytał Forester z zaciekawieniem.

Rohde wzruszył ramionami.

- Potrzebowałem pieniędzy, studenci zawsze ich potrzebują, a tragarzom płacono dobrze. A poza tym jako studenta medycyny interesowała mnie soroche. Och, jaki sprzęt mieli ci faceci. Wyściełane futrem ocieplacze, grube skórzane buty, raki, puchowe kurtki, mocne nylonowe namioty i wielkie zwoje liny, a do tego świetne haki, które nie gięły się przy wbijaniu w skałę. - Był jak głodomór, pożądliwie wspominający bankiet, w którym uczestniczył.

-1 przechodziliście przełęcz?

- Od tamtej strony. Tak było łatwiej. Spojrzałem z góry na tę stronę i byłem rad, że nie musieliśmy się tędy wspinać. Na przełęczy założyliśmy obóz, trzeci obóz. Powoli zdobywaliśmy wysokość, zatrzymując się w każdym obozie przez kilka dni, aby uniknąć soroche.

- Nie wiem, dlaczego ludzie łążą po górach - powiedział Forester z nutą irytacji w głosie. - Bóg mi świadkiem, że robię to wbrew mojej woli. Nie pojmuję, jakim cudem można to robić dla przyjemności.

- Ci Francuzi byli geologami - rzekł Rohde. - Nie wspinali się dla samej wspinaczki. Zebrali w okolicznych górach mnóstwo próbek. Widziałem mapę, jaką wówczas sporządzili, później opublikowano ją w Paryżu. Przeczytałem, że znaleźli wiele bogatych złóż minerałów.

- No i jaki i tego pożytek? - dociekał Forester. - Przecież tu nikt nie może pracować.

- Teraz nie - zgodził się Rohde. - Ale kto wie, co będzie kiedyś. -Z jego głosu przebijała pogodna pewność siebie.

Rozmawiali długo. Każdy z nich próbował pogonić ospałe wskazówki zegara. Po jakimś czasie Rohde zaczął śpiewać - ludowe piosenki z Kordyliery, a potem zapomniane niemieckie, których nauczył go ojciec. Repertuar Forestera składał się z kilku amerykańskich kawałków, przy czym Forester starał się unikać współczesnego popu i raczej trzymał się piosenek swojej młodości. Był w połowie I 've Been Working on the Railroad, kiedy gdzieś z lewej strony rozległo się silne grzmotnięcie, które na moment zagłuszyło nawet wycie wichury.

- Co to było? - zapytał spłoszony.

- Załamuje się nawis śnieżny - odpowiedział Rohde. - Wiatr go nadbudował, a teraz jest tak wielki, że nie wytrzyma własnego ciężaru. - Uniósł wzrok ku sklepieniu niszy. - Módlmy się, aby nie zawalił się także tutaj. Zostalibyśmy

pogrzebani żywcem.

- Która godzina?

- Północ. Jak się czujesz?

Forester siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Cholernie przemarznięty.

- A jak tam żebra? -Nic nie czuję. Rohde był zatroskany.

- To niedobrze. Ruszaj się, przyjacielu, ruszaj. - Począł policzkować i masować Forestera, aż ten, wyjąc o zlitowanie, znów poczuł ból w piersi.

Nieco po drugiej nad ranem zawalił się śnieżny nawis nad niszą, lecz Rohde i Forester, zatopieni w na poły rzeczywistym świetle zimna i odrętwienia, ogarnięci byli niebezpiecznym letargiem. Rohde słyszał poprzedzające zawał poskrzypywanie i poruszył się anemicznie, ale potem opadł bez sił. Zawałowi towarzyszył huk przypominający wybuch bomby, a do niszy wdarła się chmura suchego, sypkiego śniegu, który dusił i ziębił.

Rohde toczył z nim bój, wykonując rękoma pływackie ruchy. Fala śniegu wnet zakryła jego nogi i podpełzła do piersi. Wrzasnął do Forestera:

- Oczyszczaj przestrzeń przed sobą!

Forester wydał z siebie jęk protestu i bezskutecznie machnął ramionami. Na szczęście śnieg przestał napływać, pozostawiając ich pogrążonych do wysokości barków. Po długim, słabnącym pomruku, który zdawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka, uświadomili sobie, że zapadła nienaturalna cisza. Odgłosy zamieci, które od tak dawna katowały ich uszy, że przestali zwracać na nie uwagę, umilkły całkowicie i w ich uszach dzwoniła teraz rozdzierająca cisza.

- Co się dzieje? - wymamrotał Forester. Coś wzięło jego ramiona i nie potrafił ich wyswobodzić. Ogarnięty paniką zaczął się chaotycznie szamotać, aż Rohde krzyknął:

- Spokojnie! - W zamkniętej przestrzeni jego głos był bardzo donośny. Przez chwilę leżeli nieruchomo, a potem Rohde poruszył się ostrożnie, usiłując wymacać czekan. Otulający go śnieg był puszysty i sypki i Rohde przekonał się, że może unieść ramiona w górę. Uwolniwszy je, zaczął zgarniać śnieg z twarzy i przylepiać go do ściany niszy. Nakazał Foresterowi robić to samo. Wkrótce oczyścili przestrzeń na tyle dużą, że mogli się w niej poruszać. Rohde wyciągnął z kieszeni zapalki i próbował je zapalić, ale wszystkie przemokły i wilgotne łebki kruszyły się przy pocieraniu o pudełko.

- Mam zapalniczkę - powiedział Forester z trudem.

Rohde usłyszał trzaśnięcie i ujrzał jaskrawy punkt oślepiającego światła. Odwrócił wzrok od płomienia i rozejrzał się dokoła. Płomyk palił się nieruchomo, bez żadnego migotania, i Rohde pojął, że zostali zasypani. Tam, gdzie powinno znajdować się wejście, wznosił się nieprzerwany mur zbitego śniegu.

- Musimy wydrążyć otwór - powiedział - albo się udusimy.

Zaczął szukać w śniegu toporka. Długo to trwało, a zanim go znalazł, jego palce napotkały kilka innych rzeczy z ich ubogiego wyposażenia. Odkładał je skrzętnie na bok - od tej chwili wszystko stało się ważne.

Wziął toporek i siedząc z nogami przykrytymi śniegiem, począł ciąć wznoszącą się przed nim ścianę. Chociaż zbita, nie była tak twarda jak lód, w którym wyrąbał niszę, czynił więc znaczne postępy. Nie wiedział jednak, przez jak grubą warstwę będzie musiał się przebić. Zawał mógł rozciągać się od lodowej ściany aż do samej grani urwiska - wówczas przebije się na zewnątrz tuż nad bezdenną otchłanią.

Odsunął tę myśl od siebie i rytmicznie pracował toporem, wycinając otwór zaledwie takiej wielkości, by mógł posuwać się dalej. Forester wygarniał z dziury wyrąbany śnieg i uklepywał go pod ścianą. Po jakimś czasie zauważył:

- Jeśli tak dalej pójdzie, nie zostanie nam wiele miejsca.

Rohde zachowywał milczenie. Wygasił płomień zapalniczki i kontynuował pracę w ciemnościach. Kierował się dotykiem. Wreszcie przeniknął w głąb ściany na tyle, na ile mógł sięgnąć uzbrojonym w toporek ramieniem. Wciąż nie przebił się na drugą stronę.

- Czekan - rzucił krótko.

Forester podał narzędzie. Rohde wsunął czekan w otwór i zaczął pchać ze wszystkich sił. Nie mógł już rąbać, więc tylko napierał siłą swych mięśni. Ku jego uldze nagle coś się poddało i do pieczary wdarł się pożądany strumień zimnego powietrza. Dopiero wówczas uświadomił sobie, jak wielka duchota panowała w niszy. Zwalił się bez sił na Forestera, dysząc z wysiłku i łapczywie wciągając powietrze. Forester zepchnął go z siebie.

- Obwał ma jakieś dwa metry grubości. Powinniśmy przebić się bez trudu - powiedział Rohde po chwili.

- No to lepiej bierzmy się do roboty - odparł Forester. Rohde przemyślał propozycję, ale jej nie przyjął.

- Może to najlepsze, co mogło nas spotkać. Jest tu teraz cieplej, bo śnieg osłania nas przed wiatrem. Musimy tylko nie dopuszczać do zasklepienia otworu. No i nie będzie już następnego obwału.

- Dobra - zgodził się Forester. - Ty tu rządzisz.

Ciepło było tu pojęciem umownym. Rohde zlany był potem, a teraz czuł, że pod jego ubraniem pot zamienia się w lód. Niezgrabnie zaczął się rozbierać i kazał Foresterowi wymasować całe swoje ciało. W trakcie tego zabiegu Forester wydał z siebie ciche parsknięcie i powiedział:

- Łaźnia turecka w temperaturach ujemnych. Muszę wprowadzić to w Nowym Jorku. Zarobimy furę pieniędzy.

Rohde ubrał się i zapytał:

- Jak się czujesz?

- Diabło przemarznięty - odparł Forester. - Ale poza tym w porządku.

- Ten szok dobrze nam zrobił - powiedział Rohde. - Szybko popadliśmy w odrętwienie. Nie możemy do tego dopuścić ponownie. Do świtu zostały nam jeszcze trzy godziny. Więc rozmawiajmy i śpiewajmy.

Zaczęli się drzeć, a dźwięk kołaczący się w mizernej przestrzeni lodowej niszy sprawiał, że brzmiali, wedle słów Forestera, jak para cholernych łaźniokowych Carusów.

III

Pół godziny przed świtem Rohde zaczął wyrąbywać przejście. I wreszcie wyszli w szary świat porywistego wiatru i niesionego zamiecią śniegu. Warunki panujące poza pieczarą zaszokowały Forestera. Chociaż był już dzień, widoczność ograniczona była do niespełna dziesięciu metrów, a wiatr zdawał się przewiewać ciało na wylot. Przyłożył usta do ucha Rohdego i krzyknął:

- Ciut wieje, co?!

Rohde popatrzył na niego. Skrzywił wargi w ponurym grymasie.

- Jak twoje zębra?

Pierś bolała Forestera przeraźliwie, ale uśmiech miał pogodny.

- W porządku. Da się wytrzymać. - Wiedział, że nie zdołają przeżyć kolejnej nocy w górach. Tego dnia musieli sforsować przełęcz. Albo zginą.

W pewnej chwili podniósł głowę i wiatr uderzył go wprost w usta, zapierając dech w piersi równie skutecznie, jak precyzyjny cios w splot słoneczny. Pośpiesznie opuścił głowę i ruszył dalej.

Zbocze nie było zbyt strome, znacznie łagodniejsze niż to poniżej urwisk, co oznaczało jednak, że aby zyskać na wysokości, musieli przebyć dłuższą drogę.

Próbował się w tym wszystkim połapać. Musieli zrobić trzysta metrów wysokości, a zbocze miało nachylenie, powiedzmy, trzydzieści stopni -ale zaraz potem jego oszołomiony umysł pogubił się w subtelnościach trygonometrii i Forester dał sobie spokój z obliczeniami.

Rohde brnął dalej, przecierając szlak w głębokim śniegu i nieustannie badając czekaniem teren przed sobą, wiatr zaś skowyczał i szarpał go swymi lodowatymi pazurami. Widoczność nie sięgała nawet dziesięciu metrów, lecz wierzył, że zbocze okaże się wystarczającym przewodnikiem. Nigdy nie przemierzał tej strony przełęczy, ale oglądał ją z góry i miał nadzieję, że jego pamięć jest precyzyjna i że to, co mówił Foresterowi, okaże się prawdziwe - a mianowicie, że nie czeka ich już poważna wspinaczka, lecz tylko zwykły marsz.

Gdyby był sam, mógłby poruszać się znacznie szybciej. Ale teraz musiał pomóc Foresterowi, więc zwolnił tempo. Poza wszystkim innym pozwalało mu to oszczędzać energię, która - choć był w formie lepszej niż Forester - nie była niewyczerpana. Ale w końcu nie zwałił się z urwiska. Tak samo jak Forester, szedł zgięty we dwoje, wiatr szarpał jego ubraniem, a śnieg pokrywał kaptur coraz grubszą warstwą lodu.

Po godzinie dotarli do niewielkiego progu, za którym zbocze było znacznie łagodniejsze, niemal płaskie. Zamięć szalała. W miarę marszu zalegająca tu warstwa śniegu stawała się coraz grubsza. Rohde uniósł głowę i przesłaniając oczy dłonią, spojrział ku górze. Nic nie dawało się dostrzec, poza szarym, wirującym światem, który osaczał ich ze wszystkich stron. Poczekał na Forestera i wrzasnął:

- Zostań tutaj, pójde trochę do przodu!

Forester skinął głową ze znużeniem, osunął się w śnieg i odwróciwszy plecami do wichury, zwinął się w kłębek. Rohde odwiązał linę z bioder, rzucił ją obok Forestera i ruszył przed siebie. Po przejściu kilku kroków odwrócił się i dostrzegł kontur skulonej postaci Forestera, a między sobą a nim -głębokie ślady w śniegu. Stwierdziwszy z satysfakcją, że zdoła po nich wrócić, pogrążył się w szalejącą zamięć.

Forester włożył do ust następny kawałek koki i zaczął go powoli żuć. Jego ręka była niezdarna, więc musiał zdjąć rękawice, by podnieść kwadracik z dłoni. Był odrętwiały, przemarznięty do kości i tylko w ustach czuł przyjemne ciepło, sztuczne ciepło koki. Stracił poczucie czasu; jego zegarek stanął dawno temu. Nie umiał określić, od jak dawna drepczą tak po zboczu góry. Chłód zdawał się mrozić nie tylko jego ciało, ale i umysł. Odnosił wrażenie, że szli już tak od kilku godzin, a może tylko kilku minut; nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że zanadto się tym nie przejmuj. Żył przekonanie, że skazany jest na wieczny marsz i wspinaczkę w tym zimnym i martwym świecie gór.

Ogarnięty apatią długo leżał w śniegu, a potem, kiedy koka zaczęła działać, ożywił się nieco i popatrzył w kierunku, w którym podążał Rohde. Wiatr ciał jego twarz, więc wzdrygnął się i w obronnym odruchu podniósł dłoń. Zauważył, że jego ręce stały się lusko watę i niebieskie jak skóra jaszczurki, a palce są pokaleczone w tysiącu miejsc przez gnane wiatrem drobiny lodu.

Po Rohdem nie było śladu. Forester znów się odwrócił, czując w żołądku lekki przypływ paniki. Co się stanie, jeżeli Rohde nie zdoła go odnaleźć? Ale jego umysł był zbyt odrętwiały, zbyt oszołomiony chłodem i koką, by skłonić ciało do jakiegokolwiek konstruktywnego wysiłku. Ponownie osunął się w śnieg.

Rohde przywołał go do życia gwałtownym szarpnięciem za ramię.

- Człowieku, rusz się. Nie powinienes tu siedzieć i zamarzać. Wymasuj sobie twarz i załóż rękawice.

Mechanicznie podniósł rękę i nieskutecznie począł wodzić po policzku. Nie czuł żadnego dotyku. Tak twarz, jak i dłoń zostały znieczulone przez zimno. Rohde

dwukrotnie wymierzył mu siarczysty policzek, co poirytowało Forestera.

- Już dobrze - wycharczał. - Nie musisz mnie bić.

Uderzeniami rąk o ciało przywrócił w nich krążenie, a potem zaczął masować twarz.

- Przeszedłem jakieś dwieście metrów! - krzyknął Rohde. - Śnieg tam do pasa i robi się coraz głębszy. Nie możemy iść w tym kierunku, musimy to okrążyć. Forester był zrozpaczony. Czy to się nigdy nie skończy? Chwiejnie podniósł się i zaczął czekać, aż Rohde opasze się liną. A potem podążył za nim szlakiem, odchodzącym od dotychczasowego pod kątem prostym. Teraz wiatr atakował ich z boku; przy gwałtowniejszych porywach groził zwaleniem z nóg i musieli dziwacznie się krzywić, by utrzymać niepewną równowagę.

Rohde wybrał drogę umożliwiającą ominięcie najgłębszych zasp, ale nie podobało mu się, że wiąże się to ze stratą wysokości. Co jakiś czas próbował skrócić w stronę przełęczy i za każdym razem musiał kapitulować. W końcu znalazł jednak drogę ku górze, gdzie zbocze było bardziej strome a pokrywa śnieżna cieńsza.

Znów szli pod wiatr i zyskali na wysokości.

Forester o tępiąco podążał za Rohdem. Mechanicznie stawiał nogę za nogą w tym niekończącym się, szarpanym marszu. Od czasu do czasu podnosił głowę i w śnieżnym półmroku widział przed sobą sylwetkę przyjaciela. Myślał wtedy tylko o jednym: by nie stracić Rohdego z oczu i nie naprężyć liny. Niekiedy potykał się, padał, czuł szarpnięcie; wtedy Rohde cierpliwie czekał, aż podniesie się i będą mogli ruszyć w górę - ciągle w górę.

Nagle Rohde zatrzymał się i Forester przykuśtykał do jego boku. Rohde wyciągnął przed siebie czekan i z nutą desperacji w głosie powiedział powoli:

- Skała. Znów natknęliśmy się na skały.

Uderzył czekanem w oblodzony występ i lód roztrzaskał się. Uderzył znowu w obnażoną skałę i na nieskalaną biel śniegu posypały się brudnoszare odłamki.

- Ta skała jest zerodowana - powiedział Rohde. - Bardzo krucha i oblodzona.

Forester zmusił swój rozleniwiony umysł do pracy.

- Twoim zdaniem, jak daleko to sięga?

- Kto wie? - odpowiedział pytaniem Rohde.

Odwrócił się i ukucnął tyłem do wiatru. Forester poszedł za jego przykładem.

- Nie możemy się na to wspinać. Było dostatecznie źle wczoraj, po tamtej stronie lodowca, kiedy nie wiał wiatr, a my byliśmy wypoczęci. Podjęcie takiej próby teraz byłoby szaleństwem.

Zabił rękę.

- Może to tylko pojedynczy występ - zasugerował Forester. - Przecież widoczność jest bardzo słaba.

Rohde chwycił czekan.

- Zostań tu. Sprawdzę.

Znów opuścił Forestera i zaczął się wspinać. Forester słyszał przebijające przez huk wiatru uderzenia czekana. W szarym zamęcie ginęły kolejne kawałki lodu i odpryski kamienia. Kierowany pociągnięciami Rohdego, wydawał linę.

Właśnie uniósł rękę, by owinąć twarz kapturem, kiedy Rohde odpadł. Forester usłyszał słaby okrzyk i dojrzał bezkształtną sylwetkę walącą się na niego ze zgiełkliwego piekła w górze. Chwycił linę, obrócił się i wbił nogi głęboko w śnieg, gotów przyjąć uderzenie. Rohde przetoczył się obok niego na łeb na szyję i zaczął ześlizgiwać się w dół zbocza. Nagle został gwałtownie zatrzymany.

Szarpnięcie liny omal nie zważyło Forestera z nóg.

Forester nie popuszczał, dopóki nie uzyskał pewności, że Rohde już dalej się nie zsunie. Dostrzegł, że się porusza, potem przekręca i siada, a wreszcie zaczyna masować nogę.

- Miguel, nic ci się nie stało?! - wrzasnął. Zaczął schodzić.

Rohde podniósł twarz i Forester ujrzał, że każdy włoszek jego kilkudniowego zarostu pokryty jest szronem.

- Noga - powiedział Rohde. - Zraniłem się w nogę.

Forester pochylił się nad nim, wyprostował mu nogę i obmacał ją. Nogawka była rozdarta. Wsunął dłoń pod materiał i poczuł lepką wilgotność krwi. - Nie jest złamana, ale nielicho ją pokiereszowałeś - stwierdził po chwili.

- Tam na górze jest strasznie - powiedział Rohde z twarzą skrzywioną grymasem bólu. - Nikt nie zdoła tego sforsować... nawet przy dobrej pogodzie.

- Jak daleko sięga skała?

- Nie widziałem końca, ale w ogóle widziałem niewiele. - Przerwał. - Musimy wrócić i spróbować z drugiej strony.

Forester był przerażony.

- Ale po drugiej stronie jest lodowiec. Przy takiej pogodzie nie zdołamy go przebyć.

- Może po tej stronie lodowca również jest przyzwoita droga - powiedział Rohde. Odwrócił głowę i spojrzał ku skałom, z których spadł. - Jedno jest pewne: ta jest nie do przejścia.

- Potrzebujemy czegoś do obwiązania tej nogawki - rzekł Forester. - Nie jestem w tych sprawach specjalistą, ale nie sądzę, by odmrożenie skaleczonego ciała mogło wyjść na dobre.

- Mój tobolek - powiedział Rohde. - Pomóż mi.

Forester pomógł mu zdjąć bagaż, wysypał jego zawartość na śnieg, a następnie porwał kawałek koca na pasy, którymi obwiązał mocno nogę Rohdego.

- Mamy coraz mniej sprzętu - powiedział niewesoło. - Mogę trochę tego towaru upchnąć po kieszeniach, ale nie będzie tego wiele.

- Weź prymus i naftę - rzekł Rohde. - Skoro musimy dojść do lodowca, może znajdziemy chroniący przed wiatrem nawis, gdzie da się zrobić jakieś ciepłe picie.

Forester wsunął do kieszeni butelkę nafty i garść kostek rosółowych, a potem przrzucił przez ramię uwiązaną na kawałku kabla kuchenkę. W tym czasie Rohde usiadł; skrzywił się z bólu. Zaczął przeczesywać śnieg rozczapierzonymi palcami.

- Czekan - powiedział gorączkowo. - Gdzie jest czekan?

- Nie widziałem go - odparł Rohde.

Obaj wbili wzrok w rozwirowaną w dole szarą ciemność. Rohde poczuł w żołądku nagłą pustkę. Czekan był bezcenny; bez niego nigdy nie zaszliby aż tak daleko. Wątpił, czy bez niego zdołają dotrzeć na przełęcz. Spojrzał niżej i ujrzał, że jego dłonie trzęsą się nieopanowanie. Wówczas zrozumiał, że dociera do kresu swych sił - tak fizycznych, jak i psychicznych.

Forester poczuł nowy przypływ ducha.

- No i co z tego? - powiedział. - Ta cholerna góra robiła wszystko, co mogła, żeby nas wykończyć. I jak dotąd - bez powodzenia. Przypuszczam, że jej się nie uda. Skoro doszliśmy aż tu, zdołamy przejść resztę drogi. Do przełęczy zostało niecałe dwieście metrów, dwieście parszywych metrów, czy słyszysz Miguela? Rohde uśmiechnął się ze znużeniem.

- Ale znów będziemy musieli tracić wysokość.

- No to co? To po prostu jeden ze sposobów nabierania prędkości. Tym razem ja poprowadzę. Do miejsca, gdzie skręcaliśmy, mogę iść po naszych śladach.

Ogarnięty takim niewytłumaczalnym i nieracjonalnym optymizmem Forester schodził na dół z kuśtykającym za plecami Rohdem. Stwierdził, że marsz po śladach jest zupełnie łatwy, szedł po nich nawet wówczas, gdy biegły krętą linią. Nie bardzo ufał swoim umiejętnościom tropiciela i wiedział, że raz zgubiwszy ślad, w tej zamieci już nigdy go nie odnajdzie. Jak się okazało, w miejscu, gdzie odbili w prawo, szlak był prawie niewidoczny, wiatr niemal całkowicie zasypał go

puszystym śniegiem.

Przystanął i poczekał na Rohdego.

- Jak tam noga?

Rohde uśmiechnął się, co wyglądało raczej jak grymas.

- Przestała boleć. Jest odrętwiała z zimna i bardzo sztywna.

- Więc ja będę przecierać szlak - powiedział Forester. - Ty lepiej przez jakiś czas odpuść to sobie. - Uśmiechnął się, czując sztywność swoich policzków. -

Możesz używać liny jak uzdy: jedno szarpnięcie - iść w lewo, dwa szarpnięcia - w prawo.

Rohde milcząco przytaknął i ruszyli dalej. Rychło Forester przekonał się, że marsz po dziewiczym śniegu jest znacznie trudniejszy, zwłaszcza że nie miał czekana, którym mógłby badać teren przed sobą. Wcale nie jest tu tak źle, pomyślał, nie ma żadnych rozpadlin, ale rzecz stanie się diabło ryzykowna, jeśli będziemy musieli przeciąć lodowiec. Mimo trudów wędrówki, psychicznie czuł się znacznie lepiej niż dotąd. Obowiązki przewodnika utrzymywały go w stanie czujności i mobilizowały do pracy jego rozsychający się umysł.

Odnosił wrażenie, że wiatr nie jest już tak silny i miał nadzieję, że niebawem ucichnie. Od czasu do czasu, zresztą zgodnie z instrukcją Rohdego, odbijał w lewo lub w prawo, jednak za każdym razem głębokie zasy zmuszały go do powrotu na dotychczasowy szlak. Wreszcie, nie znalazłszy dogodnej drogi na przełęcz, dotarli do labiryntu lodowych bloków.

Forester opadł na kolana w śnieg i poczuł na policzkach łzy zawodu.

- Co teraz? - zapytał. Ale bynajmniej nie oczekiwał satysfakcjonującej odpowiedzi.

Rohde zwałił się obok niego i na poły siedział, na poły leżał ze sterczącą w przodzie sztywną nogą.

- Wejdziemy nieco w głąb lodowca. Może znajdziemy jakąś kryjówkę. Wiatr nie będzie tam tak dokuczliwy. - Popatrzył na zegarek, a potem przystawił go do ucha. - Jest druga. Do zmroku zostały cztery godziny. Szkoda czasu, ale musimy zjeść coś gorącego, nawet gdyby miała to być tylko gorąca woda.

- Druga - powiedział Forester z goryczą. - Czuję się tak, jak gdybym łaził wokół tej góry od stu lat, zawierając osobistą znajomość z każdym cholernym płatkim śniegu.

Wchodzili w powikłany labirynt lodowca. Forester czuł śmiertelny lęk przed zamaskowanymi rozpadlinami. Dwukrotnie wpadł po pachy w głęboki śnieg, z którego Rohde wyciągał go nie bez kłopotów. Wreszcie znaleźli to, czego szukali - chroniący przed wiatrem niewielki załom w lodowej ścianie. Szczęśliwi, że nie smaga ich przenikliwy wicher, z ulgą osunęli się w śnieg.

Rohde zmontował prymus, rozpałił, a potem stopił nieco śniegu. Stwierdziwszy, że tak jak poprzednio aromatyczny mięsny smak bulionu przyprawia ich o mdłości, musieli zadowolić się gorącą wodą. Czując promieniujące z żołądka ciepło, Forester doświadczył osobliwego zadowolenia.

- Jak daleko stąd do przełęczy? - zapytał.

- Może trzysta metrów - odparł Rohde.

- Tak, podczas tego odwrotu straciliśmy ze dwieście metrów. - Forester ziewnął.

- Chryste, jak dobrze schować się przed tym wiatrem. Jest mi przynajmniej dwa razy cieplej, czyli mam mniej więcej temperaturę zamarzania. - Owinął się ciasniej kurtką i spojrzał na Rohdego spod półprzymkniętych powiek. Rohde, z oczyma przeszkłonymi zmęczeniem, gapił się apatycznie na płonący prymus.

I tak leżeli w swej lodowej kryjówce, gdy wokół hulał wiatr, a smużki gnanego nim śniegu spływały w małych zawirowaniach do tej oazy ciszy.

IV

Rohde śnił.

Śnił, że śpi. Śpi w olbrzymim puchowym łożu, w którym tonie przepojony bezgraniczną rozkoszą. Łoże otoczyło go swym miękkim komfortem, jednocześnie podtrzymując jego strudzone ciało i pozwalając mu zatopić się we śnie. Powoli opadał w ogromną przepaść, spływając coraz niżej i niżej, aż nagle ze zgrozą pojął, że to ulga umierania i że kiedy już dotrze do dna otchłani, będzie martwy.

Przerażony usiłował wstać, ale łoże nie chciało go puścić i trzymało swoimi chwytnymi mackami. Usłyszał ciche, obłędne świergotanie naśmiewających się zeń wysokich głosów. Odkrył, że w rękę trzyma długi, ostry nóż i wznosząc ramię raz za razem począł dźgać łoże, rwać poszwę, wyzwalając przy tym tumany piór, które wirowały w powietrzu przed jego oczyma.

Szarpnął się, wrzasnął i otworzył oczy. Jego krzyk był zaledwie żalonym charczeniem. Pojął, że pierzem były tańczące na wietrze płatki śniegu i że za nimi rozpościera się dzika pustynia lodowa. Był odrętwiały z zimna. Wiedział, że jeśli teraz zaśnie, nie obudzi się już nigdy.

W otoczeniu było coś dziwnego, coś, czego z początku nie potrafił zidentyfikować. Zmusił się do wysiłku myślowego i nagle pojął - wiatr ucichł. Wstał sztywno i spojrzał w niebo; mgła rozwiewała się gwałtownie i przez rozbiegające się smugi dostrzegł skrawek błękitnego nieba.

Obrócił się ku Foresterowi, który wyciągnięty, z policzkiem przytulonym do lodu leżał nieruchomo. Zastanawiał się, czy Forester jest martwy. Pochylił się nad nim, potrząsnął, a jego głowa opadła na pierś.

- Obudź się - powiedział Rohde, a słowa z najwyższym trudem przechodziły mu przez gardło. - Obudź się... no, dalej, obudź się. - Złapał go za ramię, mocno potrząsnął, a głowa Foreстера bezwładnie przetoczyła się na drugą stronę, jakby tkwiła na przetrąconym karku. Rohde ujął nadgarstek i zaczął szukać pulsu; pod zimną skórą wyczuł słabiutkie trzepotanie i zrozumiał, że Forester wciąż żyje, a zarazem - ledwo żyje.

Prymus był pusty. Ale w butelce pozostało jeszcze kilka kropli nafty. Przełał ją do kuchenki i zagrzał trochę wody, którą następnie zwilżył twarz Foreстера. Miał nadzieję, że ciepło przeniknie jakoś w głąb i rozmrozi mózg. Po chwili Forester poruszył się i wymamrotał coś niezrozumiałe.

Rohde wymierzył mu policzek.

- Obudź się! Nie możesz się teraz poddawać! - Postawił Foreстера na nogi, a ten natychmiast upadł. Podniósł go znowu i tym razem przytrzymał. - Musisz chodzić! Nie możesz spać! - Pogrzebał w kieszeni i znalazł ostatni kawałek koki, który wcisnął Foresterowi do ust. - Żuj! Żuj i ruszaj się!

Stopniowo Forester zaczął dochodzić do siebie - nie odzyskał jeszcze przytomności, ale mógł już poruszać nogami jak automat. Rohde prowadził go w kółko, usiłując pobudzić krążenie krwi. Cały czas przy tym mówił. Nie dlatego, by sądził, że Forester go zrozumie, lecz aby przerwać śmiertelną ciszę, która teraz, po ustaniu wiatru, trzymała górę w okowach.

- Dwie godziny do zmierzchu - powiedział. - Za dwie godziny zrobi się ciemno. Musimy dotrzeć na przełęcz wcześniej, na długo wcześniej. No, nie ruszaj się, zawiążę linę.

Forester stał posłusznie, chwiejąc się lekko na nogach, a Rohde obwiązywał go liną wokół bioder.

- Możesz iść? Możesz?

Forester skinął powoli głową, wciąż mając półprzymknięte oczy.

- Więc chodźmy.

Znów wyprowadził ich z lodowca na zbocze góry. Mgła rozwiała się już i dokładnie widział siodło przełęczy, która zdawała się być odległa zaledwie o krok - ale długi krok. Poniżej rozpościerało się nieprzerwane morze białych chmur, z których słońce późnego popołudnia krzesło oślepiający poblask. Sprawiały wrażenie tak materialnych, że można by po nich chodzić.

Popatrzył na rozciągające się przed nimi zaśnieżone stoki i nagle dostrzegł coś, co przegapili w mroku zamieci - wyraźną grań biegnącą do samej przełęczy.

Warstwa śniegu powinna być na niej cienka, co znacznie ułatwi utrudnieniem, ponieważ aby zrobić krok, musiał wyrzucić ją do przodu groteskowym łukiem.

Za to kiedy przejmowała ciężar, była cudownie niewzruszona. Zwisające bezwładnie ramiona Foreстера przy każdym ruchu klepały go po nogach, co było irytujące, ale tylko do chwili, gdy to czuł - potem przestał odczuwać cokolwiek.

Jego ciało było martwe. I tylko rozjarzona iskierka woli, płonąca gdzieś w głębi jego duszy, utrzymywała go przy życiu. Wpatrywał się w ten płomyk, jakby wzrokiem rozpalał go jaśniej, kiedy zaczynał słabnąć, i osłaniał przed wszystkim, co mogłoby go wygasić. Nie dostrzegał śniegu, nieba, turni i szczytów, otaczających go ze wszystkich stron - nie widział w ogóle nic oprócz ciemniejszej mgły haftowanej maleńkimi świetlnymi punkcikami, rozbłyskującymi w głębi jego oczu.

Jedna stopa do przodu - łatwo, bo to ta zdrowa. Druga stopa zatacza sztywny półłuk w poszukiwaniu punktu oparcia - tu sprawa była trudniejsza, ponieważ stopa była martwa i nie wyczuwał gruntu. Wolno, bardzo wolno przerzucić ciężar.

Doskonale... to było dobre. Teraz druga stopa... znów uważać.

Zaczął liczyć, ale kiedy doszedł do jedenastu, stracił rachubę. Zaczął znowu - tym razem doszedł do ośmiu. Potem dał już sobie spokój z liczeniem, tylko szedł przed siebie, rad, że stawia stopę za stopą.

Krok... stać... wyrzucić... stąpnąć... stać... krok... stać... wyrzucić...

stąpnąć... stać... krok... stać... wyrzucić... stąpnąć... stać... wyrzucić...

Jakaś jaskrawość przewierciła jego opuszczone powieki i uniósł je, by przekonać się, że patrzy wprost w słońce.

Przystanął, a potem z wysiłkiem zamknął oczy, ale uczynił to dopiero wówczas, kiedy na horyzoncie dostrzegł srebrzystą smugę i zrozumiał, że to morze.

Ponownie otworzył oczy i spojrzął w dół, na zieloną dolinę i skupisko białych domów - to było Altemiros, wciśnięte między górę a pomniejsze wzniesienia w dali.

Obliznął spierzchnięte wargi.

- Forester - wyszeptał. - Forester, jesteśmy na górze.

Ale dla Foreстера, który bezwładnie zwiisał z szerokiego ramienia Roh-dego, nie miało to żadnego znaczenia.

Rozdział 8

Aguillar beznamiętnie patrzył na swoje pokaleczone ręce. Nigdy nie będę mechanikiem, pomyślał, mogę kierować ludźmi, ale w żadnym razie maszynami. Odłożył ułomek brzeszczota i wytarł krew, a potem wysał ranę. Kiedy krew przestała płynąć, ponownie ujął brzeszczot i zaczął wypiłowywać nacięcie w kawałku stali zbrojeniowej.

Wykonał dziesięć bełtów, a przynajmniej ponacinał je i zaopatrzył w lotki. Jednak wyostrzenie ich przekraczało jego możliwości; nie był w stanie obracać starego kamienia szlifierskiego i jednocześnie ostrzyć bełtów - mając do dyspozycji drugą parę rąk, zrobiłby to w ciągu godziny. Dokonał również inwentaryzacji tego, co znajdowało się w osadzie. Sprawdził zapasy żywności i wody, no i w ogóle zachowywał się jak kwatermistrz armii. Wycofanie się do osady budziło w nim na przemian uczucia rozgoryczenia i zadowolenia. Zdawał sobie sprawę, że nie jest użyteczny w walce; był stary, słaby i miał kłopoty z sercem. Ale nie wyczerpywało to problemu. Wiedział, że jest człowiekiem idei, nie zaś czynu - i ów fakt, będący źródłem poczucia pewnej niższości, nieco go drażnił. Jego działanie polegało na podejmowaniu decyzji i administrowaniu. By znaleźć się w pozycji umożliwiającej mu zajmowanie się właśnie tym, snuł plany, spiskował i manipulował umysłami ludzi, lecz nigdy nie toczył walki fizycznej. Nie wierzył w sens takiej walki, a do tej chwili myślał o niej wyłącznie abstrakcyjnie i w kategoriach konfliktu na wielką skalę. Ten raptowny skok w rzeczywistość śmierci na polu bitwy wytrącił go z jego żywiołu. Taki był - urodzony polityk. I byli ci inni, którym jak zwykle przypadała w udziale walka, umieranie i cierpienie - a wśród nich nawet jego bratanica. Kiedy pomyślał o Benedecie, brzeszczot ześliznął się i znowu zranił mu dłoń. Wymamrotał krótkie przekleństwo, wysał krew, a potem spojrzął na bełt i uznał nacięcie za dostatecznie głębokie. Nie będzie już więcej bełtów.

Zęby brzeszczota były starte do cna i z trudem przecięłyby ser, a co dopiero mówić o stali.

Wpasował lotkę w nacięcie, przytwierdzając ją, jak go nauczył Willis, małym klinem, a potem dołożył nie zaostrzony bełt do pozostałych. Dziwne, pomyślał, że noc zapada tu tak raptownie. Wszedł z chaty, by ku swojemu zaskoczeniu stwierdzić, że otacza go gęstniejąca mgła. Spojrzął w kierunku gór, ukrytych teraz przed jego wzrokiem, i z głębokim smutkiem pomyślał o Rohdem. I o Foresterze. Tak, nie powinien zapominać o Foresterze, i o tym drugim norteamericano, Peabodym. Znad rzeki dobiegły go słabe odgłosy ognia z broni palnej i Aguillar nastawił ucha. Czy to aby nie karabin maszynowy? Usłyszał ten dźwięk pięć lat temu, kiedy popierany przez armię Lo-peza zacisnął łapę na gardle Kordyliery. Nie przypuszczał, by mógł się mylić. Wsłuchał się ponownie, lecz tym razem nie usłyszał nic - widocznie ów odgłos dotarł do jego uszu tylko za sprawą kaprysu górskich wiatrów. Łudził się nadzieją, że jednak nie był to karabin maszynowy.

Z westchnieniem wrócił do chaty i wybrał z półki puszkę zupy na spóźniony obiad. Kiedy pół godziny potem kończył posiłek, usłyszał nawołujący go głos Benedetty. Wszedł z chaty i stwierdził, że mgła znacznie zgęstniała. Krzyknął do Benedetty, informując ją, gdzie się znajduje. Niebawem we mgle zamajaczyła niewyraźna postać. Osobliwa postać - nieforemna i garbata. Przez chwilę Aguillar poczuł lęk.

Lecz zaraz dostrzegł, że to Benedetta, która kogoś podpiera. Podbiegł, aby jej pomóc. Oddychając z wysiłkiem, wysapała:

- To Jenny. Raniono ją.

- Raniono? Jak?

- Została postrzelona - odpowiedziała Benedetta krótko. Był wzburzony.

- Postrzelono tę amerykańską damę! To zbrodnia!

- Pomóż mi wprowadzić ją do środka.

Wprowadzili pannę Ponsky do chaty i położyli ją na pryczy. Była przytomna i uśmiechnęła się słabo, gdy Benedetta otulała ją kocem. A potem z ulgą zamknęła oczy. Benedetta popatrzyła na wuja.

- Zabiła człowieka i pomagała zabijać innych, dlaczego nie mieliby do niej strzelać? Chciałabym być do niej podobna.

W oczach Aguillara można było wyczytać cierpienie.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - powiedział powoli. - Czuję, że śnię.

Dlaczego ci ludzie mieliby strzelać do kobiety?

- Nie wiedzieli, że jest kobietą - odparła zniecierpliwiona. - Nie sądzę, aby miało to dla nich znaczenie. W każdym razie strzelała do nich, kiedy to się stało. Chciałabym zabić kilku z nich. - Spojrzała na Aguillara. - Och, wiem, zawsze agitowałeś za pokojem, ale jakże można zachowywać się pokojowo, kiedy ktoś napada cię z karabinem. Czy wówczas obnażysz pierś i powiesz: zabij mnie i weź wszystko, co mam?

Aguillar nie odpowiedział. Popatrzył na pannę Ponsky i zapytał:

- Czy jest ciężko ranna?

- Niezbyt groźnie - odparła Benedetta. - Ale straciła sporo krwi. - Przerwała. - Idąc do osady, słyszałam broń maszynową.

Przytaknął.

- Też mi się zdawało, że ją słyszałem... Ale nie byłem pewien. - Przewiercił ją spojrzeniem. - Czy sądzisz, że sforsują most?

- Może - odpowiedziała ze spokojem. - Musimy się przygotować. Czy zrobiłeś bełty? Tim ma kuszę i będzie ich potrzebował.

- Tim? Ach, O'Hara. - Lekko uniósł brwi, a potem dodał: - Trzeba je naostrzyć.

- Pomogę ci.

Kręciła korbą szlifierki, a Aguillar ostrzył stalowe pręty. W trakcie pracy powiedział:

- O'Hara to dziwny człowiek... skomplikowany. Nie sądzę, abym go w pełni rozumiał. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Z mojej strony to śmiałe wyznanie.

- A ja go rozumiem... Teraz - odparła. Mimo chłodu jej czoło pokrywały kropelki potu.

- Czyżby? Więc rozmawiałaś z nim?

Kiedy leciały fontanny iskier, a powietrze wypełniał ostry zapach przypalonego metalu, opowiedziała Aguillarowi o O'Harze.

- Więc to jest ten wróg - oświadczyła na koniec. - Ten sam, który znajduje się teraz na drugim brzegu rzeki.

- Tak wiele jest zła na świecie. Tak wiele zła jest w ludzkich sercach - powiedział Aguillar stłumionym głosem.

W milczeniu kończyli ostrzenie bełtów. Dopiero kiedy zaostrzyli ostatni, Benedetta powiedziała:

- Wyjdę na drogę. Czy będziesz uważać na Jenny?

Przytaknął bez słowa i dziewczyna ruszyła uliczką pomiędzy dwoma rzędami chat.

Mgła zgęstniała jeszcze bardziej, więc Benedetta niewiele przed sobą widziała.

Na jej płaszczu osiadały maleńkie krople wilgoci. Jeśli się oziębi, zacznie padać śnieg - pomyślała.

Na drodze było bardzo cicho i pusto. Nie słyszała żadnych dźwięków, prócz tych, jakie wydawały niekiedy spadające ze skał krople wody. Tuman mgły spowijał jajak bawełna; była to bardzo brudna bawełna, ale Benedetta latała samolotami dostatecznie często, by wiedzieć, że widziana z góry owa ławica chmur jest czysta i lśniąca.

Po jakimś czasie zeszła z drogi i poruszała się po skalistym zboczu, aż zamajaczył przed nią we mgle olbrzymi bęben kablowy. Zatrzymała się przy tym ogromnym kołowrocie, a potem weszła nad wykop i spojrzała w dół. We wszechobecnej szarej mgle nawierzchnia drogi była ledwie widoczna. Benedetta stała przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Bo z pewnością było coś, co zrobić powinna.

Ogień, pomyślała nagle, możemy walczyć z nimi za pomocą ognia. Bęben był już ustawiony tak, by zderzyć się z nadjeżdżającym drogą samochodem, a ogień zwiększy zamieszanie. Pośpiesznie wróciła do osady i zabrała przyniesione znad mostu butelki z naftą, a potem wpadła na chwilę do chaty, by sprawdzić, jak czuje się panna Ponsky. Kiedy weszła, Aguillar podniósł głowę.

- Jest zupa - powiedział. - Na to zimno dobrze ci zrobi, moja droga.

Benedetta z ulgą przysunęła dłonie do ciepła grzejnika naftowego, uświadamiając sobie, że zmarzła bardziej, niż jej się wydawało. Popatrzyła na pannę Ponsky.

- Jenny, jak się czujesz?

Panna Ponsky, siedząca teraz na pryczy, odparła rześko:

- Dziękuję, znacznie lepiej. Czyż to nie głupota z mojej strony, że dałam się postrzelić? Nie powinnam była wychylać się tak bardzo. A poza tym chybiłam. No i straciłam kuszę.

- Ja bym się tym nie przejmowała - powiedziała Benedetta z przelotnym uśmiechem.

- Czy ramię boli?

- Niezbyt. Będzie zupełnie dobrze, jeśli założę temblak. Zrobiłam go z pomocą señora Aguillara.

Benedetta pośpiesznie skończyła zupę i wspomniała o butelkach, które pozostawiła na zewnątrz.

- Muszę je zabrać na drogę - powiedziała.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował Aguillar.

- Na dworze jest zbyt zimno, tio. Zostań z Jenny.

Zaniosła butelki pod bęben, a potem nasłuchując usiadła na skraju wykopu. Wiatr tężał, mgła wirowała, to rzednąc, to gęstniejąc, w zależności od kapryśków wiatru. Niekiedy sięgała wzrokiem aż do zakrętu drogi, kiedy indziej nie widziała jej wcale, choć była tuż nad nią. Wszędzie panowała cisza.

Właśnie miała odejść, pewna, że już nic się nie stanie, gdy gdzieś z dołu dobiegło jej uszu słabe postukiwanie o skałę. Poczula niepokój i poderwała się gwałtownie. Tamci pojawią się w osadzie tylko wówczas, jeśli zostaną zmuszeni do ucieczki, a w takiej sytuacji nadchodzący mógł się równie dobrze okazać wrogiem, jak i przyjacielem. Odwróciwszy się, chwyciła jedną z butelek i zaczęła w kieszeni szukać zapalek.

Jakiś czas później usłyszała następne dźwięki. Tym razem był to tupot nóg biegnącego człowieka. Mgła na chwilę rozrzedziła się i Benedetta ujrzała, jak spoza zakrętu wylania się biegnąca ciężko niewyraźna postać. Kiedy znalazła się bliżej, Benedetta rozpoznała Willisa.

- Co się dzieje?! - zawołała.

Podniósł głowę, przestraszony dobiegającym gdzieś z góry głosem, i wpadł w lekką panikę, dopóki go nie rozpoznał. Zatrzymał się, dysząc ciężko, a potem zgiał się w napadzie kaszlu.

- Przedarli się - wysapał. - Przedarli. - Znów zaczął kaszleć. - Pozostali są tuż za mną. Słyszałem, jak biegają, o ile... - Popatrzył na Benedette, której sylwetka rysowała się niewyraźnie na krawędzi wysokiego wykopu. - Dojdę drogą - powiedział i szybkim krokiem począł się oddalać.

Zanim dołączył do niej, usłyszała, że drogą nadchodzi ktoś jeszcze, a wspomniawszy Willisowe „o ile”, chwyciła butelkę i położyła się na skraju wykopu.

Był to jednak nadchodzący pośpiesznie Armstrong.

- Tutaj! - zawołała. - Do bębna!

Rzucił krótkie spojrzenie w górę, lecz nie tracił czasu na pozdrowienia. Nie zwalniając kroku, pogrążył się we mgle.

Obydwaj mężczyźni byli wyczerpani po ośmiokilometrowej wędrówce pod górę, która zajęła im niewiele ponad półtorej godziny. Pozwoliła im trochę odsapnąć i złapać oddech.

- Co się stało? - zapytała.

- Nie wiem - odrzekł Willis. - Byliśmy przy trebuszu. Na rozkaz O'Hara-ry oddaliśmy strzał - trebusz był załadowany - a potem O'Hara wrzasnął, żeby zwiewać, więc ruszyliśmy biegiem. Był tam cholerny hałas, to znaczy duża strzelanina.

Spojrzała na Armstronga.

- To mniej więcej wszystko - powiedział. - Chyba O'Hara jednego załatwił.

Słyszałem wrzask, jakby trochę zduszony. Ale przedarli się przez most, zobaczyłem to przez ramię. No i widziałem O'Harę biegnącego ku skałom. Powinien tu być lada chwila.

Odetchnęła z ulgą.

- No i będzie mu deptać po piętach cała banda - dodał Willis. - Do cholery, co mamy robić? - W jego głosie przebrzmiewały nutki hysterii.

Armstrong był spokojniejszy.

- Nie sądzę. Rozmawiałem o tym z O'Harą i doszliśmy do wniosku, że będą szli na pewniaka: uzyskawszy taką możliwość, naprawią most, a potem pojedą dżipami do kopalni, zanim my zdążymy tam dotrzeć. - Popatrzył na bęben. - To wszystko, co mamy, aby ich zatrzymać.

Benedetta podniosła butelkę.

-1 kilka sztuk tego.

- Och, doskonale - powiedział Armstrong z aprobatą. - To powinno się przydać. - Zastanawiał się przez chwilę. - Twój wuj i panna Ponsky nie na wiele się przydadzą. Proponuję, żeby bezzwłocznie wyruszyli do kopalni. A jeśli usłyszana drodze coś lub kogoś, mają skryć się pomiędzy skałami, aż zyskają pewność, że niebezpieczeństwo minęło. Dzięki Bogu za tę mgłę.

Benedetta nawet nie drgnęła, więc Armstrong zapytał:

- Pójdiesz im o tym powiedzieć?

- Ja tu zostaję - odrzekła. - Chcę walczyć.

- Ja pójdę - zaofiarował się Willis. Wstał i zniknął we mgle. Armstrong wyczuł nutę desperacji w głosie Benedetty i łagodnie, jak ojciec, poklepał dziewczynę po ramieniu.

- Wszyscy musimy dać z siebie wszystko - powiedział. - Willis jest wystraszony tak samo jak ja i nie wątpię, że ty także. - Jego głos dźwięczał ponurym rozbawieniem. - O'Hara rozmawiał ze mną przy moście o sytuacji i odniosłem wrażenie, że o Willisie nie ma najlepszego zdania. Mówił, że nie nadaje się na przywódcę; w istocie użył sformułowania: „nie potrafiłby przeprowadzić przez ulicę drużyny zuchów”. Sądzę, że zbyt surowo ocenił biednego Willisa, ale, nawiasem mówiąc, z tonu jego głosu wywnioskowałem, że również mnie nie ceni zbyt wysoko. - Wybuchnęła śmiechem.

- Jestem pewna, że tak nie myślał. Ostatnio żył w napięciu.

- Och, miał rację - zaoponował Armstrong. - Nie jestem człowiekiem czynu, jestem człowiekiem idei. Tak jak Willis.

-1 mój wujek - dodała Benedetta. Raptownie usiadła. - Gdzie jest Tim? Powinien już tu być. - Wczepiła się w ramię Armstronga. - Gdzie on jest?

O'Hara leżał w szczelinie skalnej, obserwując parę masywnych butów, które stanęły najwyżej pół metra od jego głowy. Po ataku na most nastąpiło zamieszanie, nie zdołał wydostać się na drogę - na otwartej przestrzeni zostałyby skoszony salwą, zanim przebiegłby dziesięć metrów - więc odbił w skały, kicając jak królik w poszukiwaniu kryjówki.

To właśnie wówczas pośliznął się na wilgotnym kamieniu i runął na ziemię ze skreconą kostką. Leżał więc bez tchu, oczekując niosących mu śmierć tępych plaśnień kul. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Usłyszał mnóstwo wrzasków i pojął, że jego analiza zamierzeń nieprzyjaciela okazała się słuszna: wrogowie rozsypali się wzdłuż grani wąwozu i obstawiali podejście do mostu.

Oczywiście, pomogła mu mgła. Wciąż miał kuszę i był w zasięgu głosu zgiełkliwego tłumku otaczającego mężczyznę, któremu przestrzelił pierś.

Wartownik nic nie odrzekł, lecz odszedł posłusznie i O'Hara usłyszał, że się wspina. Santos pozostał jeszcze tylko chwilę, a potem oddalił się, hałaśliwie postukując swymi podbitymi stalą butami. Jeszcze raz O'Hara cicho wypuścił powietrze.

Przez moment zastanawiał się, co robić dalej. Jeśli Santos przesuwiał swoich ludzi w górę, jemu, co oczywiste, pozostawała droga w dół. Lecz nieprzyjaciel, przynajmniej takie odnosił wrażenie, podzielił się na dwie grupy i Rosjanin mógł paru ludzi zatrzymać na dole. Jednak będzie musiał zaryzykować.

Wyśliznął się ze szczeliny i uważając na uszkodzoną kostkę, zaczął pełznąć na brzuchu tym samym szlakiem, którym tu przybył. Z zadowoleniem stwierdził, że mgła gęstnieje; przez jej tumany słyszał wrzaski od strony mostu i stukanie stali w drewno. Posuwali się z wprawą, rychło ruch w okolicy mostu będzie duży, więc lepiej trzymać się od tego miejsca z daleka. Pragnął znaleźć oddalonego od pozostałych i uzbrojonego po zęby samotnego człowieka. Kusza była całkiem porządna, ale przydałoby mu się coś bardziej szybkostrzelnego.

Zmienił kierunek i przystając co kilka metrów, by nastawić ucha i wbić oczy w mgłę, szedł ku trebuszowi. Kiedy się do niego zbliżał, usłyszał śmiech i kilka wywrzeszczanych po hiszpańsku urągliwych komentarzy. Katapultę otaczał tłumek nieprzyjaciół, którzy najwyraźniej uznali ją za maszynę dość zabawną. Przystanął i wykorzystując zgiełk do zamaskowania wszelkich szcęknięć, jakie mógł sprowokować, niezgrabnie naciągnął kuszę. Potem podpełzł bliżej i skrył się za głazem.

Niebawem usłyszał ryk Santosa:

- Cała banda, ruszać w górę! Na Chrystusa, czemu marnujecie tu czas?! Juan, ty zostajesz. Reszta, ruszać się!

O'Hara rozpląszczył się za głazem, kiedy mężczyźni, wśród niechętnych pomruków, zaczęli się rozchodzić. Odczekał kilka minut, a potem zaczął się czołgać. Szukał pozostawionego tu wartownika. Reflektory oświetlały most, a ich blask przesycił mgłę upiorną poświatą. Kiedy na koniec podkradł się do wartownika, stwierdził, że ten znajduje się w najwłaściwszym miejscu i jego sylwetka obrysowana jest światłem.

Juan, wartownik, był bardzo młody, miał najwyżej dwadzieścia lat. O'Ha-ra zawahał się przez chwilę. Potem wziął się w karby - stawką było tu coś więcej aniżeli życie jednego zbłąkanego młokosa. Uniósł kuszę, starannie wymierzył i z palcem na spuście zawahał się powtórnie. Jednak tym razem powód był zupełnie odmienny - Juan bawił się w wojsko, maszerując to tu, to tam z bronią w gotowości i, jak podejrzewał O'Hara, także odbezpieczoną. Przypomniał sobie mężczyznę, którego zastrzelił przy moście, i martwą dłoń, opróżniającą cały magazynek - nie chciał żadnych hałasów.

Wreszcie Juan zmęczył się odgrywaniem roli wartownika i zaczął okazywać zainteresowanie trebuszem. Pochylił się, by obejrzeć mechanizm przytrzymujący długie ramię, a stwierdziwszy, że automat przeszkadza mu w oględzinach, opuścił go na pasie. Nawet nie wiedział, co go poraziło, gdy wystrzelony z odległości dziesięciu metrów bełt wbił się między jego łopatki, rzucił na długie ramię katapulty i przygwoździł do belki. Kiedy O'Hara do niego dobiegł, był już trupem.

Dziesięć minut później, ponownie skryty pośród skał, O'Hara przeglądał lupy. Miał pistolet półautomatyczny, trzy magazynki amunicji, naładowany pistolet i ciężki nóż o szerokim ostrzu. Uśmiechnął się z zadowoleniem - oto staje się niebezpieczny, bo zdobył kilka ostrych zębów.

III

Otuleni zimną mgłą Benedetta, Armstrong i Willis czekali przy bębnie. Willisa nosiło - sprawdzał klin blokujący bęben, oceniał, ile siły potrzeba, aby go wprawić w ruch. Benedetta i Armstrong zachowywali się zupełnie spokojnie; w skupieniu nasłuchiwali dźwięków, które mogło donieść tu z dołu.

Armstrong myślał, że powinni zachowywać ostrożność. Człowiekiem, który nadejdzie z dołu, mógł być O'Hara. Dlatego zanim kogokolwiek zaatakują, powinni zyskać absolutną pewność, a we mgle będzie to trudne. Dusza Benedetty była wyprana ze wszystkiego - z wyjątkiem głębokiego smutku. Cóż innego oprócz śmierci lub - co gorsza - pojmania mogło być przyczyną nieobecności O'Hary w osadzie? Spodziewała się, jakmógł zareagować na możliwość ponownego dostania się w ręce komunistów i wiedziała, że będzie się przed tym bronił ze wszystkich sił. Co z kolei zwiększało prawdopodobieństwo, że jest martwy; i na myśl o tym także w niej coś umierało.

Aguillara niełatwo było skłonić do odwrotu do kopalni. Mimo swego wieku i słabości chciał zostać i walczyć, ale Benedetta go przegłosowała. Zdumiał się, słysząc ostry, rozkazujący ton jej głosu:

- Tylko trój e z nas j est zdolnych do walki - powiedziała. -1 nie możemy sobie pozwolić na odesłanie kogoś z tej trójki do pomocy Jenny. A ktoś musi jej pomagać i tym kimś będziesz ty. Poza tym kopalnia położona jest wyżej. Pamiętaj, musisz podchodzić powoli, więc powinienes wyruszyć natychmiast.

Aguillar popatrzył na dwóch mężczyzn. Willis ponuro kopał butem w ziemię, Armstrong uśmiechnął się nieznacznie i Aguillar pojął, że radzi są, mogąc pod nieobecność O'Hary pozostawić wydawanie rozkazów Benedecie. Pomyślał, że przemieniła się w amazonkę, młodą, rozdrażnioną lwicę. Bez dalszych sporów ruszył z panną Ponsky drogą wiodącą do kopalni. Willis przestał kombinować z klinem.

- No i gdzie oni są? - zapytał podniesionym głosem. - Dlaczego nie przyjdą wreszcie, żeby z tym wszystkim skończyć?

Benedetta zerknęła na Armstronga, który przestrzegł:

- Ciszej! Nie tak głośno!

- Dobra - odparł Willis szeptem. - Ale co ich powstrzymuje przed zaatakowaniem nas?

- Już o tym dyskutowaliśmy - powiedziała Benedetta. Zwróciła się do Armstronga:

- Czy sądzisz, że zdołamy obronić osadę?

Pokręcił głową.

- Jest nie do obrony. Nie mamy szans. Jeżeli zdołamy zablokować drogę, naszym kolejnym krokiem będzie odwrót do kopalni.

- Więc osada musi zostać spalona - stwierdziła Benedetta stanowczo. -Nie powinniśmy pozwolić, by dostarczyła im wygod i schronienia. - Przeniosła wzrok

na Willisa. - Wracaj i porozlewaj naftę w chatach, we wszystkich. A kiedy usłyszysz stąd zgiełk i strzały, puść je z dymem.

- Co potem? - zapytał.

- Potem, najszybciej jak zdołasz, idź do kopalni. - Uśmiechnęła się lekko. - Na twoim miejscu nie wracałabym tędy. Idź na przełaj i zejdź na drogę dopiero gdzieś wyżej. My też ruszymy, kiedy to tylko będzie możliwe.

Willis wycofał się, a Benedetta powiedziała do Armstronga:

- Jest wystraszony. Próbuje to ukryć, ale nie bardzo mu wychodzi. Nie mogę mu ufać na tym stanowisku.

- Ja też się boję. A ty nie? - zapytał z zaciekawieniem.

- Bałam się - odparła. - Czułam strach, kiedy rozbił się samolot i jeszcze długo potem. Na myśl o walce i umieraniu moje nogi robiły się jak z waty. Potem odbyłam rozmowę z o'Harą, który nauczył mnie, jak nad tym zapanować. - Przerwała. - Wtedy gdy opowiedział mi o swoim strachu.

- Co za cholernie idiotyczna sytuacja - powiedział oszołomiony Armstrong. - Czekamy tu, aby zabijać ludzi, których nie znamy i którzy nie znająnas. Ale, oczywiście, tak to zawsze bywa na wojnie. - Skrzywił twarz w uśmiechu. - Lecz mimo wszystko to cholernie idiotyczne: profesor w średnim wieku i młoda kobieta przyczajeni jak zbóje na zboczach góry. Sądzę...

Położyła mu dłoń na ramieniu. -Pst!

- O co chodzi? - nastawił ucha.

- Chyba coś słyszałam.

Leżeli cicho. Wyteżali słuch, lecz nie pochwycili niczego prócz zawrota głowy wiatru na pokrytych mgłą zboczach góry. Potem Benedetta mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Armstronga, usłyszawszy w oddali charakterystyczny odgłos zmiany biegów.

- Tim miał rację - wyszeptała. - Wjeżdżają ciężarówką albo dżipem. Musimy się przygotować.

- Zwolnij bęben - powiedział Armstrong. - Stań tu na krawędzi i krzyknij, kiedy uznasz, że powinien się stoczyć.

Podniósł się i pobiegł w stronę bębna.

Benedetta podeszła do miejsca na krawędzi wykopu, gdzie ustawiła butelki z koktajlem Mołotowa. Zapaliła lonty trzech z nich, co trwało dość długo, szmaty bowiem zwilgotniały. Wokół każdego utworzyła się we mgle niewielka aureola. Choć nie sądziła, by płomienie mogły zostać dostrzeżone z drogi, odstawiła butelki dość daleko od krawędzi.

Pojazd, z silnikiem pokaszującym w rozrzedzonym powietrzu, z trudem piał się pod górę. Dwakroć przystanął i Benedetta usłyszała skowyt rozrusznika. Samochód nie miał przystosowanego do pracy na dużych wysokościach silnika z turbodoładowaniem, więc na stromiznie drogi nie mógł robić więcej niż dziesięć albo jedenaście kilometrów na godzinę. Jednak i tak poruszał się znacznie szybciej, aniżeli w podobnych warunkach mógł to czynić człowiek.

Leżąc na krawędzi wykopu, Benedetta spoglądała w dół na zakręt drogi. Mgła była zbyt gęsta, aby można było widzieć na tę odległość, ale dziewczyna żywiła nadzieję, że samochód wyposażony jest w reflektory na tyle silne, by zdradziły jego położenie. Warkot potężniał i słabł w miarę pokonywania przez pojazd ostrych zakrętów i Benedetta miała wrażenie, że słyszy dwojakiego typu odgłosy. Jeden czy dwa, pomyślała, ale to bez znaczenia.

Armstrong, przykucnięty obok bębna, ścisnął w dłoniach kawałek kabła przywiązanego do klina. Spoglądał w stronę wykopu, lecz widział tylko ślepa ścianę szarej mgły. Miał ściągniętą twarz.

W dole drogi Benedetta dostrzegła wątlą poświatę i zrozumiała, że samochód jest tuż za zakrętem. Upewniła się, czy nasyczone naftą knoty nie zgasły. A potem podniosła oczy i zobaczyła dwa przymglone reflektory pierwszego pojazdu, właśnie

biorącego zakręt. Postanowiła: krzyknie do Armstronga w chwili, gdy światła wozu zrównają się z upatrzoną skałą.

Wstrzymała oddech, kiedy silnik kaszlnął i ucichł, a dżip - mogła już bowiem zidentyfikować pojazd - raptownie stanął. Zajączkał rozrusznik i dżip ruszył ponownie. Z tyłu, spoza zakrętu, wyłoniły się dwa następne światła.

Potem reflektory dżipa zrównały się ze skałą i Benedetta zerwała się na nogi krzycząc:

- Teraz! Teraz! Teraz!

Odwróciła się i chwyciła dwie zapalone butelki z naftą. Bęben ruszył z grzotem, stoczył się ze zbocza jak rydwan Kriszny i zwałił się przez krawędź wykopu.

Usłyszała trzask, odgłos zgniatanego metalu i ludzki krzyk. Wtedy podbiegła do krawędzi i cisnęła butelką w rozszałały na dole chaos.

Ciężki bęben zwałił się z wysokości pięciu metrów na maskę dżipa, miażdżąc ją całkowicie i zabijając kierowcę. Butelka rozbiła się tuż obok siedzącego na przednim siedzeniu oszołomionego pasażera, którego natychmiast spowiły jęzory ognia. Zaczął je tłumić rękoma, usiłując jednocześnie wyswobodzić uwięzione nogi. Dwaj ludzie siedzący z tyłu wytoczyli się z wozu i pognali drogą w dół ku nadjeżdżającej ciężarówce.

Armstrong podbiegł do Benedetty w chwili, gdy rzucała drugą butelkę: dwie trzymane w dłoni przypalił od knota ostatniej z przygotowanych i popędził skrajem wykopu ku ciężarówce, która tymczasem zatrzymała się. Usłyszał zgiewki okrzyków. Kiedy stanął na krawędzi, patrząc na pełen mężczyzn pojazd, usłyszał odgłosy kilku posłanych na oślep i niegroźnych dla niego strażaków.

Wycelował i z całą mocą cisnął pierwszą butelką na dach kabiny. Płonąca nafta rozlała się i zaczęła skapywać przez otwartą szybę; usłyszał krzyk przerażonego kierowcy. Drugą butelkę rzucił na pakę i ujrzał szaleńczą prze-pychankę umykających ludzi. Żaden z nich nie miał ani czasu, ani sposobności, by do niego strzelać.

Wrócił biegiem do Benedetty, która ochryple dysząc, drżącymi dłońmi usiłowała zapalić knot następnej butelki. Wysilek i szok sprawiły, że zapomniał o strachu.

- Dość - wysapał Armstrong. - Zbierajmy się stąd. - Jego słowom towarzyszył odgłos wybuchu i jaskrawy rozbłysk nad dżipem. Armstrong skrzywił usta w uśmiechu. - To nie nafta, to była benzyna. Chodź.

Kiedy zaczęli biec, dostrzegli łunę nad osadą - a potem następną i jeszcze jedną. Willis wywiązywał się ze swych zadań podpalacza.

IV

Kostka O'Hary była bardzo obolała. Przed podjęciem wędrowki pod górę zmienił opatrunek, próbując usztywnić stopę, która wciąż nie mogła utrzymać całego jego ciężaru. Utrudniało to kluczenie pomiędzy skałami i sprawiało, że czynił więcej hałasu, niżby sobie tego życzył.

Szedł szlakiem zorganizowanej przez Santosa obławy, która potykając się i padając we mgle, hałasowała jeszcze bardziej niż on. O'Hara pomyślał, że nieprzyjaciel partaczy robotę. Miał jednak swoje własne kłopoty; trudno było mu nieść kuszę i automat, przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien porzucić kuszy, ale wnet się rozmyślił. Była to dobra, cicha broń, a wciąż dysponował dwoma beltami.

Doznał szoku, usłyszawszy ryk Santosa, rozkazującego swoim powrót na drogę. Przypadł do skały, na wypadek gdyby któryś z ludzi szedł wprost na niego. Jednak żaden się nie napatoczył i O'Hara uśmiechnął się na myśl o nucie rozdrażnienia w głosie Santosa. Najwyraźniej, koniec końców, Rosjanin postawił na swoim; zyskał co do tego pewność, usłyszawszy od strony mostu warkot zapuszczanych silników.

Właśnie to powinni byli zrobić na samym początku - przeszukiwanie zbocza we mgle nie miało żadnego sensu. Rosjanin był zdecydowanie lepszym taktykiem niż Santos; nie dał się nabrać na obietnicę przekazania Agu-illara, a teraz gotował się do ataku na kopalnię wszystkimi swoimi siłami.

Na myśl, co stanie się w osadzie, O'Hara skrzywił twarz.

Teraz, skoro zbocze góry przed nim było wolne od nieprzyjaciela, rozwijał lepsze tempo i z premedytacją trzymał się możliwie blisko drogi. Wkrótce znów usłyszał skowyt silników i pojął, że komunistyczny oddział zmechanizowany ruszył do ataku. Widział światła mijającego go dżipa i ciężarówki. Nasłuchiwał, co jedzie za nimi. Gdy upewnił się, że najwyraźniej było to już wszystko, śmiało wkroczył na drogę i jął kuśtykać po jej równej nawierzchni.

Uznał to za całkowicie bezpieczne; gdy usłyszy nadjeżdżający z tyłu wóz, będzie miał dość czasu, by się ukryć. Mimo to poruszał się skrajem drogi, trzymał broń w pogotowiu i uważnie omiatał wzrokiem rozpościerającą się przed nim szarość. Dotarcie w pobliże osady zajęło mu bardzo dużo czasu. Już znacznie wcześniej usłyszał kilka pojedynczych strzałów i coś, co brzmiało jak wybuch; miał również wrażenie, iż widzi gdzieś w górze łunę - nie miał jednak pewności, czy oczy nie płatają mu figla. Zdwoił czujność i niebawem usłyszał przed sobą łomot butów. Spocony z wysiłku wsunął się pomiędzy skały na poboczu.

Obok jego kryjówki przegalopował mężczyzna i O'Hara usłyszał jego świszczący oddech. Pozostał w ukryciu do chwili zapadnięcia całkowitej ciszy, a potem wrócił na drogę i podjął swe kuśtykanie pod górę. Pół godziny później, usłyszawszy za sobą warkot silnika, ukrył się znowu. Widział przejeżdżającego dżipa. Zdawało mu się, że dostrzega Rosjanina, jednak nie miał pewności; zanim zdążył pomyśleć o uniesieniu broni, pojazd zniknął.

Sklął siebie za tę straconą okazję. Wiedział, że nie ma sensu przypadkowe uśmiercanie szeregowych, których jest zbyt wielu; gdyby jednak zdołał załatwić figury, cały atak nieprzyjacielski załamał się. Od tej chwili Rosjanin i Kubańczyk będą głównymi obiektami jego zainteresowania i wszystko inne zostanie podporządkowane jednemu - wzięciu ich na celownik.

Rozumiał, że wyżej musiało się coś stać i spróbował przyśpieszyć kroku. Posłano po Rosjanina, co oznaczało, że nieprzyjaciel popadł w tarapaty.

Zastanawiał się, czy Benedetta jest bezpieczna i poczuł przypływ gniewu na tych bezlitosnych ludzi, którzy ścigają ich jak zwierzęta.

Wspiął się wyżej i stwierdził, że oczy go nie zwodziły - w przodzie zdecydowanie jaśniała łuna, chociaż deformowała ją i przytłumiała wszechobecna mgła. Ogień, jak się zdawało, miał dwa punkty koncentracji: jeden był niewielki i chyba położony na drodze, drugi zaś sprawiał wrażenie tak ogromnego, że O'Hara z początku nie wierzył własnym oczom. Potem uśmiechnął się - oczywiście, to była osada. Całe cholerne skupisko szło z dymem.

Pomyślał, że oba te punkty powinien obejść szerokim łukiem i wrócić na drogę dopiero za osadą. Ciekawość ciągnęła go jednak ku miejscu, gdzie płonął mniejszy ogień i gdzie, jak podejrzewał, udał się Rosjanin.

Mgła była zbyt gęsta, aby dojrzeć dokładnie, co się stało. Z okrzyków mógł wywnioskować, że droga została zablokowana. Do diabła, pomyślał, to właśnie ten wykop, gdzie Willis zamierzał stoczyć bęben kablowy. Chyba się udało. Jednak nie mogąc wyjaśnić przyczyn słabnącego już teraz pożaru, próbował podejść bliżej.

Nagle jego stopa skrzyknęła się gwałtownie i O'Hara upadł na łokieć. Wypuścił kuszę, która z przerażająco donośnym łoskotem uderzyła o skałę. Leżał przy samym skraju drogi, blisko dżipa Rosjanina. Syczał z bólu, usiłując stłumić w sobie nieuchronny, jak mu się zdawało, jęk i oczekiwał na okrzyk zaskoczenia towarzyszący swojej wpadce.

Lecz podczas prób oczyszczenia drogi żołnierze robili zbyt wiele hałasu, a dżip

został uruchomiony i podjechał trochę do przodu. Z wolna ból zaczął odpływać i O'Hara spróbował ostrożnie wstać, lecz ku swojemu przerażeniu stwierdził, że jego ramię uwięzło chyba w szczelinie skalnej. Lekko szarpnął, ale usłyszawszy, że trzymany w dłoni automat uderza przy tym o skały, znieruchomiał. Potem naparł na uwięzione ramię i nic nie poczuł.

W innych okolicznościach uznaliby to za zabawne. Był jak małpa, która wsadziła łapę w szyjkę butelki, aby pochwycić jabłko, lecz nie zdoła jej wyciągnąć, jeśli nie puści zdobyczy. On również nie mógł wyciągnąć ręki bez puszczenia broni, tego zaś, obawiając się hałasu, nie ośmieliliby się uczynić. Ostrożnie przemieszczał ciało, lecz zaniechał tego, słysząc w pobliżu głosy.

- Mówię wam, że mój sposób był najlepszy. - To mówił Kubańczyk. Drugi głos był bezbarwny i twardy, a ponadto posługiwał się źle akcentowanym hiszpańskim.

- I co zyskałeś? Dwie skręcone kostki i złamaną nogę. Traciłeś ludzi szybciej, niżby ich zdołał zabijać Aguillar. Pomyśl z przeszukiwaniem góry przy takiej pogodzie nie miał sensu. Spieprzyłeś to od samego początku.

- A czy twoja propozycja okazała się choć trochę lepsza? - zapytał Santos z rozdrażnieniem. - Tylko popatrz, co się stało: dżip i ciężarówka zniszczone, Cisnął zapalną w pobliże kałuży nafty, która zapłonęła natychmiast; płomień pobiegł szybko ku drewnianej ścianie. Willis pośpiesznie zapalił kłęb nasączonych naftą szmat i biegnąc wzdłuż linii chat, wrzucał je przez otwarte drzwi. Kiedy dotarł do ostatniej chaty w pierwszym szeregu, usłyszał od strony drogi odległy trzask i kilka wystrzałów. Lepiej się pośpieszyć, pomyślał, i zwiając żagle.

Gdy opuszczał osadę, pożar już na dobre ogarnął pierwszy szereg chat, a z okien strzelały wielkie języki ognia. Manewrując pomiędzy skałami powyżej osady, Willis dotarł do drogi i dopiero wówczas obejrzał się na eksplodujący wulkan pożogi. Doznał satysfakcji - zawsze lubił dobrze wykonaną robotę. Gęsta mgła pozwalała mu dostrzec tylko jaskrawożółtą i gniewnie czerwoną poświatę, jednak mógł się zorientować, że wszystkie chaty płoną należycie i że w morzu ognia nie ma znaczących luk. Dziś się tutaj nie prześpią, pomyślał i ruszył biegiem pod górę.

Biegł długo, przystając od czasu do czasu, żeby złapać oddech i nasłuchiwać.

Zraza dobiegały go słabe okrzyki, lecz teraz ciszę panującą na zboczu góry zakłócało tylko niesamowite zawrozczenie wiatru. Nie wiedział, czy Armstrong i Benedetta wyprzedzają go, czy też są za nim. Czujnie nastawiał ucha, by pochwycić jakikolwiek odgłos w dole drogi. Nie słyszał nic. Kiedy znalazł się wyżej, zaczął odczuwać pierwsze słabe oznaki choroby wysokościowej.

Dogonił pozostałych w pobliżu kopalni. Na dźwięk kroków Willisa Armstrong z niepokojem obrócił się na pięcie. Byli tam również Aguillar z panną Ponsky, których wędrówka trwała bardzo długo.

- Cholerne widowisko, nieprawda? - powiedział Armstrong z udawaną beztroską. Willis przystanął z pierśią unoszoną ciężkim oddechem.

- Zmarzną dziś w nocy... Może odłożą ostateczny atak do jutra? W gęstniejących ciemnościach Armstrong pokręcił głową.

- Wątpię. Są napaleni... i blisko zdobyczy. - Popatrzył na dyszącego jak pies Willisa. - Lepiej przestań pędzić i pomóż Jenny, jest w kiepskim stanie. My z Benedettą pobiegniemy do kopalni i zobaczymy, co można zdziałać.

Willis obejrzał się przez ramię.

- Czy sądzisz, że są daleko?

- A czy to ważne? - spytała Benedetta. - Będziemy walczyć tu albo w kopalni. - W roztargnieniu pocałowała Aguillara, powiedziała doń coś po hiszpańsku, a potem gestem przywołała Armstronga i we dwójkę odeszli w pośpiechu.

Wkrótce byli już w kopalni. Obejrząwszy trzy chaty, Armstrong powiedział

bezbarwnym głosem:

- Nie do obrony, tak samo jak osada. Ale zobaczymy, co się da zrobić. Wszedł do jednej z chat i w półmroku rozejrzał się bezradnie. Dotknął drewnianej ściany i pomyślał, że pociski przebiją ją jak papier -już lepiej byłoby rozbiec się po zboczu góry i zaryzykować śmierć z wychłodzenia. Wyrwany z zadumy okrzykiem Benedetty, wybiegł na zewnątrz.

Przy świetle zapalonej zapalki patrzyła na trzymaną w dłoni kartkę.

- To od Foreстера - powiedziała podniecona. - Przygotowali dla nas jeden z tuneli.

Armstrong szybko podniósł głowę.

- Gdzie? - Ujął kartkę, obejrzał nakreślony na niej szkic i powiódł spojrzeniem dokoła. - To tam - oświadczył wyciągając ramię.

Znalazł tunel i wzniesioną przez Foreстера i Rohdego kamienną ścianę.

- Nic nadzwyczajnego, ale musi wystarczyć - powiedział spoglądając w mrok. - Wróć po tamtych, a ja zobaczę, co jest w środku.

Zanim zebrali się wszyscy u wlotu korytarza, zbadał go nader starannie.

- Ślepy zaułek - oznajmił. - Właśnie tu stoczymy ostatni bój. - Wyciągnął pistolet zza pasa. - Wciąż mam broń Rohdego, z jedną kulą. Czy ktoś strzela lepiej ode mnie? - Podał pistolet Willisowi. - Może pan, generale Custer?

Willis spojrzął na pistolet.

- W życiu z niczego nie strzelałem. Armstrong westchnął.

- Ani ja. Ale wygląda na to, że wreszcie mam okazję. - Wsunął broń za pasek i rzekł do Benedetty: - Co tam masz?

- Miguel zostawił nam trochę żywności - odparła. - Wystarczy na zimny posiłek.

- Cóż, nie umrzemy z pustymi brzuchami - stwierdził Armstrong sardonicznie.

Willis zirytował się.

- Rany boskie, przestań gadać takie rzeczy.

- Przepraszam - powiedział Armstrong. - Jak tam panna Ponsky i señor Aguillar?

- Tak, jak się można było spodziewać - odrzekła Benedetta z goryczą-po mężczyźnie z chorym sercem i po starszej pani z dziurą w ramieniu, usiłujących oddychać powietrzem, którego nie ma. - Podniosła oczy na Arm-stronga. - Czy myślisz, że Tim ma jakąkolwiek szansę?

Odwróciła głowę.

- Nie - powiedział krótko. Poszedł ku wlotowi tunelu i legł za kamiennym szańcem, kładąc pistolet obok siebie. Jeśli okażą cierpliwość, mogą kogoś zabić, pomyślał, ale muszę poczekać, aż podejda blisko.

Zaczął padać śnieg.

VI

Przy wykopie panowała cisza, jakkolwiek z wyższego odcinka drogi -okolic płonącej osady - dobiegały O'Hare ludzkie głosy. Przez mgłę przebijała się teraz zaledwie słaba luna i osądził, że chaty musiały się już wypalać do fundamentów. Powoli rozprostował palce i pozwolił automatowi upaść. Zadudnił o kamienie.

O'Hara wyciągnął ramię i zaczął je masować.

Był przemoczony, zmarznięty i żałował, że nie ściągnął ze strażnika przy trebuszu kozucha z lamy - młodemu Juanowi na nic już się nie przyda. Zajęcie musiałyby być nie tylko obrzydliwe, lecz również długotrwałe, a nie chciał tracić czasu. Teraz ubolewał, że jednak nie podjął ryzyka.

Siedział i zastanawiał się, czy ktoś usłyszał szczęknięcie broni o kamień. Potem zabrał się do wydobywania automatu. Wyłowienie go ze szczeliny za pomocą kuszy zajęło mu dziesięć minut; potem ruszył, trzymając się z dala od drogi. Wymuszony postój przynajmniej pozwolił mu odpocząć.

W tym czasie podjechały trzy kolejne ciężarówki. Nie ruszyły wprost do kopalni - przynajmniej na razie. Nieprzyjaciel podjął daremną próbę ugaszenia pożaru, co zajęło sporo czasu. Wiedząc, że ciężarówki zaparkowane są powyżej osady, O'Hara okrążył je, aby podejść do nich od góry. Jego kostka prezentowała się źle, ciało było miękkie i obrzmiałe i O'Hara wiedział, że nie zajdzie daleko - z pewnością nie do kopalni. Chodziło mu po głowie zdobycie ciężarówki w taki sam sposób, jak zdobył broń - za cenę czyjegoś życia.

Kiedy wrócił na drogę, ze smutkiem stwierdził, że do ciężarówek zbliża się tłum ludzi, j jednak poweselał nieco, stwierdziwszy, że wykorzystane będą tylko dwie. Podjechał dżip i O'Hara usłyszał Rosjanina wydającego rozkazy w swej pedantycznej hiszpańszczyźnie; żałował, że odległość nie pozwala mu zrozumieć słów. Potem dżip ruszył w górę, a dwie zgrzytające biegami ciężarówki podążyły za nim. Trzecia została.

Nie wiedząc, czy strzeże jej wartownik, O'Hara podczołgał się bardzo cicho. Nie sądził, aby pozostawiono wartownika - mało prawdopodobne, że nieprzyjaciel, przeświadczony, iż wszyscy zostali zapędzeni do kopalni, przedsięwziął taki środek ostrożności. Doznał więc niemałego szoku, gdy dosłownie wpadł na wartownika, który opuścił stanowisko przy ciężarówce i folgował pęcherzowi pośród skał na poboczu.

Mężczyzna stęknął ze zdumienia, kiedy napatoczył się O'Hara.

- Cuidado! - powiedział, a potem podniósł wzrok.

Otworzył usta, by wrzasnąć, lecz O'Hara, upuściwszy automat i kuszę, zacisnął dłoń na jego twarzy. Mocowali się w milczeniu. O'Hara odgiął głowę przeciwnika szukając palcami wrażliwych oczu. Drugą ręką, owiniętą wokół jego piersi, przyciskał go do siebie.

Wartownik bił gorączkowo rękoma i O'Hara zrozumiał, że w jego stanie zapasy z tym człowiekiem nie dają mu większych szans. Przypomniawszy sobie o nożu za pasem i postanowił zaryzykować. Od szybkości akcji zależało, czy zabije przeciwnika, zanim ten zdoła krzyknąć. Puścił go raptownie, odepchnął i sięgnął po nóż. Wartownik zachwiał się, otworzył usta, lecz O'Hara postąpił do przodu i prostym dźgnięciem wbił nóż poniżej mostka, a potem pchnął go ku górze. Z ust mężczyzny wydarło się przypominające czkawkę kaszlnięcie, potem pochylił się i padł wprost w ramiona O'Hary. Kiedy osunął się na ziemię, westchnął głęboko i skonał. Ciężko dysząc, O'Hara wyszarpnął nóż; na jego rękę trysnęła fontanna gorącej krwi. Stał przez chwilę i nasłuchiwał, a potem podniósł swój automat. Doznał nagłego szoku, gdy jego palec otarł się o bezpiecznik - był odsłonięty. Raptowne szarpnięcie mogło spowodować wystrzał, który zaalarmowałby nieprzyjaciela.

Lecz była to już historia, którą nie zamierzał się przejmować. Żył z minuty na minutę, a minione możliwości i działania nic go nie obchodziły. Liczyło się tylko to, by jak najszybciej dotrzeć do kopalni, załatwić Rosjanina i Kubańczyka, odnaleźć Benedette.

Podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Była to wielka ciężarówka; kiedy wdrapał się do kabiny i usiadł na miejscu kierowcy, widział dopalające się zgliszczą osady. Jedyнным ruchem, jaki tam dostrzegł, były pełzające gdzieś tam płomienie i natychmiast roztapiające się we mgle spirale czarnego dymu. Odwrócił głowę i nacisnął rozrusznik.

Silnik zapalił. O'Hara wrzucił bieg i z uczuciem lekkiego oszołomienia wyjechał na drogę. W bardzo krótkim czasie zabił trzech ludzi - pierwszych, jakich zabił twarzą w twarz - i był gotowy zabijać tak długo, jak długo będzie to konieczne. Jego umysł wrócił do owego stanu napięcia, który pamiętał z Korei przed zestrzeleniem. Zmysły miał niezwykle wyostrome, a z mózgu zostało usunięte wszystko prócz szczegółów misji.

Po chwili włączył światła. Było to wielkie ryzyko, ale musiał je podjąć. Istniała możliwość, że na którymś z zakrętów zjedzie z drogi i zwali się w dół. Jednak byłoby jeszcze gorzej, gdyby jadący przed nim nieprzyjaciele dostrzegli światła i zastawili pułapkę.

Ciężarówka z trudem sunęła pod górę, a kierownica, przenosząc podskoki kół na nierównościach drogi, dygotała w dłoniach O'Hary. Ustalił bezpieczną szybkość, która w gruncie rzeczy oznaczała jazdę bardzo powolną. Lecz mimo to, minąwszy szczególnie ostry zakręt, dostrzegł przed sobą znikające właśnie czerwone światła pozycyjne.

Natychmiast zwolnił, zadowolając się utrzymywaniem bezpiecznego dystansu. Na drodze nie mógł zrobić nic - jego chwila nadejście dopiero po przybyciu do kopalni.

Wsparł dłoń na automacie, który leżał na siedzeniu pasażerskim i przysunął go bliżej. Jego obecność była bardzo pokrzepiająca.

Kiedy dotarł do zakrętu, który pamiętał jako ostatni przed równym terenem kopalni, zjechał na pobocze, zaciągnął hamulec, ale nie wyłączył silnika. Z bronią w dłoni wyskoczył z kabiny, krzywiąc twarz w grymasie bólu, gdy obciążył zwichniętą kostkę. Pokuśtykał drogą. W przodzie słyszał ryk zatrzymujących się jeden po drugim samochodów, a kiedy znalazł dogodny punkt obserwacyjny, dojrzał, że ciężarówki stoją przy chatkach - w świetle reflektorów poruszali się ludzie.

Dżip został uruchomiony i sunąc powoli, dźgał blaskiem reflektorów podnóże urwiska, w którym wydrążone były tunele. Najpierw oświetlił jeden czarny wlot, potem drugi, a wreszcie rozległ się dziki wrzask radości, gdy prześliznąwszy się po trzecim, światła wróciły doń niemal natychmiast, by z mroku niszy wyłowić kamienny szaniec i białą twarz człowieka, która skryła się pośpiesznie.

O'Hara nie tracił czasu na zastanawianie się, kto to był. Pokuśtykał z powrotem do ciężarówki i wrzucił bieg. Teraz jego kolej - teraz on wkraczał na pomroczniałą arenę.

Rozdział 9

Forester czuł ciepło i rozluźnienie, a dwa te stany były dlań tożsame. Osobliwe, że śnieg jest tak ciepły i miękki, pomyślał; otworzył oczy i ujrzał przed sobą białe lśnienie. Westchnął i z uczuciem rozczarowania ponownie zamknął oczy. To był śnieg. Sądził, że powinien uczynić wysiłek, aby się ruszyć i oddalić od tego rozkosznie ciepłego śniegu, bo umrze, ale uznał, iż rzecz nie jest warta trudu. Pozwolił tylko, by ciepło otuliło go wygodnie i na chwilę przed kolejną utratą przytomności pomyślał w roztargnieniu, gdzie podział się Rohde.

Kiedy znów otworzył oczy, białe lśnienie wciąż trwało, teraz jednak oprzytomniał na tyle, aby rozpoznać w nim słońce, jaskrawo odbijające się od wykrochmalonej białej powłoki koldry, którą był okryty. Zmrużył oczy i skupił wzrok, ból źrenic jednak sprawił, że zaraz zamknął oczy. Wiedział, że powinien coś zrobić, ale co - nie potrafił sobie przypomnieć i walcząc o zachowanie przytomności przez dość długi czas, aby to coś wypłynęło z niepamięci, zasnął znowu.

Śpiąc, mgliście uświadamiał sobie upływu czasu: wiedział, że musi z nim walczyć, że musi zatrzymać zegar, zastopować sunące wskazówki, bo ma do spełnienia niezwykle ważną misję. Przewracał się i jęczał, a pielęgniarka w białym fartuchu łagodnie ocierała mu gąbką pot z czoła.

Nie obudziła go jednak.

Wreszcie oprzytomniał zupełnie i wpatrzył się w sufit. Grube belki stropowe też były pomalowane na biało. Odwrócił głowę i stwierdził, że patrzy w czyjeś życzliwe oczy. Obliznął wyschnięte wargi i wyszeptał:

- Co się stało?

- No comprendo - odparła pielęgniarka. - Nie mówić... przyprowadzę doktora.

Powiódł za nią wzrokiem, kiedy wychodziła z pokoju. Rozpaczliwie pragnął, aby wróciła, aby powiedziała mu, gdzie jest, co się stało i gdzie znaleźć Rohdego. Myśl o Rohdem przywołała z pamięci wszystko: noc na górze i frustrujące próby znalezienia drogi na przełęcz. Przypomniawszy sobie, co się zdarzyło, choć ostatnie momenty rysowały się mgliście - i przypomniał sobie również, dlaczego spróbowali niemożliwego.

Chciał usiąść, zawiodły go jednak pozbawione siły mięśnie, więc tylko leżał i ciężko oddychał. Czuł się tak, jak gdyby jego ciało ważyło pół tony i było obite od stóp do głów gumową rurą. Wszystkie mięśnie były rozdygotane i obwisłe, nawet mięśnie karku, o czym się przekonał, próbując dźwignąć głowę. No i był bardzo, bardzo zmęczony.

Długo pozostawał w pokoju sam, aż wreszcie przyszła pielęgniarka z talerzem gorącej zupy. Nie pozwoliła mu mówić, on zaś był zbyt słaby, żeby usilnie próbować, więc ilekroć otwierał usta, pielęgniarka wsuwała w nie łyżkę zupy.

Bulion dodał mu sił i poczuł się lepiej; opróżniwszy talerz, zapytał:

- Gdzie jest ten drugi mężczyzna... el otro hombre?

- Z pańskim przyjacielem wszystko będzie dobrze - odparła po hiszpańsku i wymknęła się z pokoju, zanim zadał następne pytanie.

I znów przez długi czas nikt się nie zjawił. Nie miał zegarka, ale z położenia słońca wnioskował, że jest mniej więcej połowa dnia. Tylko jakiego dnia? Od jak dawna jest tutaj? Uniósł dłoń, żeby podrapać nieznośnie swędzącą pierś i przy okazji odkrył, dlaczego czuje się tak ociężały i skrzepowany: zdawało się, że spowijały go ze dwie mile bandaża.

Do pokoju wszedł mężczyzna i zamknął za sobą drzwi. Po angielsku, ale z akcentem amerykańskim, powiedział:

- Cóż, panie Forester, słyszę, że czuje się pan lepiej.

Miał na sobie szpitalny fartuch i mógł być lekarzem. Mimo podeszłego wieku był potężnie zbudowany, miał gęstą siwą czuprynę i dokoła oczu kurze łapki od częstego śmiechu.

Forester się rozluźnił.

- Dzięki Bogu... Amerykanin - powiedział. Jego głos był już dużo silniejszy.
- Jestem McGruder - doktor McGruder.
- Skąd zna pan moje nazwisko? - zapytał Forester.
- Dokumenty w pańskiej kieszeni - wyjaśnił McGruder. - Miał pan amerykański paszport.
- Proszę posłuchać - powiedział Forester z naciskiem. - Musi mnie pan stąd wypuścić. Mam sprawę do załatwienia. Muszę...
- Długo pan jeszcze stąd nie wyjdzie - odrzekł McGruder stanowczo. - Nawet nie zdoła pan wstać.
Forester bezwładnie rozciągnął się w łóżku.
- Gdzie jesteście?
- W Misji świętego Antoniego - odrzekł McGruder. - Jestem tu Wielkim Białym Wodzem. To znaczy prezbiteriańskim.
- Faj! - powiedział McGruder z niesmakiem. - Mówi pan jak stara baba, która dostrzega włamywacza pod każdym łóżkiem. Taki z pułkownika Rodrigueza komunista, jak i ze mnie.
Forester poczuł przyływ nadziei. Rodriguez był dowódcą Czternastego Szwadronu i przyjacielem Aguillara.
- Czy rozmawiał pan z Rodriguezem? - zapytał.
- Nie - odparł McGruder. - Z jakimś niższym oficerem. - Przerwał. - Niech pan posłucha, Forester, wojsko koniecznie chce pana dostać, a ja chcę usłyszeć dłaczego.
- Czy Czternasty Szwadron wciąż stacjonuje w bazie? - skontrował Forester.
- Nie wiem. Rodriguez mówił mi coś o przemieszczeniu... ale nie widziałem go prawie od miesiąca.
Więc mamy loterię, pomyślał Forester z niechęcią. Żołnierze byli przyjaciółmi albo wrogami, on zaś nie dysponował żadną natychmiastową metodą, aby to sprawdzić - no i McGruder był całkowicie gotów oddać go w ich ręce. Powiedział z namysłem:
- Sądzę, że nie wtyka pan nosa w nie swoje sprawy. Sądzę, że współpracuje pan z lokalnymi władzami i nie miesza się do polityki.
- W istocie, nie mieszam się - rzekł McGruder. - Nie chcę, żeby zamknięto tę misję. I bez tego mamy dość kłopotów.
- Uważa pan, że ma pan kłopoty z Lopezem, ale to nic w porównaniu z kłopotami, jakie pana czekają, kiedy do władzy dorwą się komuniści - warknął Forester. - Proszę mi powiedzieć, czy wasza religia nakazuje stać z założonymi rękami, gdy tacy sami ludzie jak wy - a wśród nich pańscy rodacy, choć nie powinno to mieć znaczenia - są mordowani dwadzieścia pięć kilometrów od was?
McGruder zbladł, a zmarszczki wokół ust pogłębiły się.
- Niemal wierzę, iż mówi pan prawdę - powiedział powoli.
- Mówię cholerną prawdę.
Ignorując wulgaryzm McGruder powiedział:
- Wymienił pan nazwisko: Sueguerra. Doskonale znam señora Sueguerrę. Grywamy w szachy, ilekroć odwiedzam wioskę. Jest uczciwym człowiekiem, więc to punkt na pańską korzyść. Jaka jest ta druga wiadomość do Santillany?
- Taka sama wiadomość dla innego człowieka - powiedział Forester cierpliwie. - Boba Addisona z Ambasady Stanów Zjednoczonych. Proszę przekazać im obu to, co panu opowiedziałem - i zasugerować Addisonowi, żeby jak najszybciej ruszył odwłok ze stołka.
McGruder zmarszczył brwi.
- Addison? Sądzę, że znam cały personel ambasady, ale nie przypominam sobie żadnego Addisona.

- Nie może go pan znać - powiedział Forester. - Jest funkcjonariuszem CIA, a my się nie reklamujemy.

Brwi McGrudera znowu podpełzły do góry.

-My?

Forester słabo się uśmiechnął.

- Ja też pracuję w CIA. Tylko że musi mi pan uwierzyć na słowo - nie noszę wytatuowanych na piersi akt personalnych.

II

Forester doznał szoku na wieść, że Rohde może stracić nogę.

- Odmrożenie poważnej rany otwartej nie rokuje pomyślnie - powiedział McGruder sucho. - Bardzo mi w związku z tym przykro, oczywiście spróbuję uratować nogę... szkoda, że spotyka to człowieka tak dzielnego jak Rohde.

McGruder, jak się zdawało, przyjął do wiadomości wersję Foreстера, jakkolwiek dopiero po długim przekonywaniu; powątpiewał też w rozwałę Departamentu Stanu.

- To durnie - oświadczył. - Nie chcemy w tych stronach ingerencji amerykańskiej, która w stu procentach obudziłaby nastroje antyamerykańskie. Dałaby komunistom doskonałe szansę.

- Rany boskie, ja nie ingeruję aktywnie - zaprotestował Forester. -

Wiedzieliśmy, że Aguillar zamierza uczynić swój ruch: moje zadanie polegało na tym, żeby życzliwie mieć go na oku, dopilnować, aby przedostał się bezpiecznie.

- Popatrzył w sufit i powiedział z goryczą: - Chyba schrzałem robotę, prawda?

- Moim zdaniem, zrobił pan wszystko, co w danych okolicznościach było możliwe - zauważył McGruder. Wstał z łóżka. - Sprawdzę, który szwadron stacjonuje na lotnisku i osobiście odwiedzę Sueguerę.

- Proszę nie zapomnieć o ambasadzie.

- Natychmiast tam zadzwonię.

To jednak okazało się trudne, bo linia była nieczynna. Coś podobnego zdarzało się przynajmniej raz w tygodniu, i to zawsze w momencie krytycznym. McGruder siedział jakiś czas przy biurku, piekąc się na milczący obojętnie telefon, wreszcie odłożył słuchawkę, wstał i zaczął zdejmować swój biały fartuch, lecz zawahał się, słysząc na dziedzińcu pisk hamulców. Wyjrząwszy z okna gabinetu, spostrzegł zatrzymujący się przed budynkiem wojskowy wóz sztabowy, za którym podążała ciężarówka i wojskowa karetka. Przy wtórze warkliwych rozkazów podoficera z ciężarówki wysypał się oddział umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy, a z wozu sztabowego wysiadł oficer.

McGruder zapiął spieszenie guziki fartucha, a kiedy do gabinetu wkroczył oficer, pracowicie pisał coś przy biurku. Podniósł głowę i powiedział:

- Dzień dobry, majorze. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Oficer przepisowo stuknął obcasami.

- Major Garcia, do usług.

Doktor opadł na oparcie krzesła i położył obie dłonie na blacie biurka.

- Jestem McGruder. Co mogę dla pana zrobić, majorze?

Garcia trzepnął rękawiczką o szew swych doskonale skrojonych bryczesów.

- Uznaliśmy - to znaczy Siły Powietrzne Kordyliery - że możemy okazać się pomocni - powiedział swobodnie. - O ile wiemy, ma pan tu dwóch poważnie poszkodowanych mężczyzn... mężczyzn, którzy przyszli z gór. Proponujemy usługi naszego personelu medycznego i szpitala w bazie. - Machnął dłonią. - Karetka czeka na dworze.

McGruder powędrował spojrzeniem ku oknu i dostrzegł przed nim zajmujących pozycje żołnierzy. Wyglądali na gotowych do akcji. Znowu przeniósł wzrok na Garcie.

-1 to z jaką eskortą!

Garcia uśmiechnął się.

- No es nada - powiedział. - Prowadziłem małe ćwiczenia, kiedy otrzymałem rozkaz, wolałem więc wziąć ludzi ze sobą, zamiast pozwolić im leniuchować.

McGruder nie wierzył ani jednemu jego słowu. Powiedział uprzejmie:

- Cóż, majorze, nie sędzę, byśmy musieli kłopotać siły zbrojne. Nie byłem wprawdzie w waszym szpitalu, lecz i mój obiekt wyposażony jest dostatecznie dobrze, by zapewnić tym ludziom właściwą opiekę. Moim zdaniem, nie powinno się ich przenosić.

Uśmiech Garcii zniknął.

- Jednak nalegam - rzekł lodowato major. Ruchliwe brwi McGrudera wystrzeliły w górę.

- Nalega pan, majorze Garcia? Nie sędzę, aby cokolwiek pana do tego upoważniało. Garcia popatrzył znacząco na wypełniający dziedziniec oddział żołnierzy.

- Czyżby? - zapytał jadowitym tonem.

- Tak właśnie myślę - odrzekł McGruder stanowczo. - Jako lekarz twierdę, że stan tych ludzi uniemożliwia transport. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę wywołać z karetki swojego lekarza i polecić mu dokonanie oględzin. Jestem pewien, że potwierdzi moją opinię.

Po raz pierwszy Garcia zdawał się tracić opanowanie.

- Lekarza? - powiedział niepewnie. - Ehm... nie mamy ze sobą lekarza.

- Nie macie lekarza? - zapytał zdumiony McGruder. Patrzył na Garcieę spod zmarszczonych teraz brwi.

- Jestem pewien, że opacznie pojął pan swe rozkazy, majorze Garcia. Nie sędzę, aby pański dowódca zaaprobował przewożenie tych ludzi bez fachowej opieki, ja zaś nie mam czasu, aby udać się z panem na lotnisko -jestem człowiekiem zapracowanym.

Garcia zawahał się, potem zapytał ponuro:

- Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

- Proszę bardzo - odrzekł McGruder. - Ale nie działa... jak zwykle.

Garcia uśmiechnął się kątem ust i powiedział coś do słuchawki. No i otrzymał odpowiedź, co nie tylko McGrudera zaskoczyło, lecz także pozwoliło mu poznać powagę sytuacji. Nie chodziło o zwykłą awarię systemu telefonicznego

- rzecz była zaplanowana; przypuszczał również, że linia jest na podsłuchu.

Przemówiwszy ponownie do słuchawki, Garcia stanął na baczność i McGruder uśmiechnął się smutno; z pewnością Garcia rozmawiał ze swoim dowódcą i z pewnością owym dowódcą nie był Rodriguez, który miał lekceważący stosunek do drylu. Garcia zwięźle zrelacjonował stanowisko McGrudera, a potem wysłuchał salwy słów. Odkładając słuchawkę miał na twarzy posępny uśmiech.

- Informuję pana z ubolewaniem, doktorze McGruder, że muszę zabrać tych ludzi. Kiedy podszedł do okna i przywoływał sierżanta, McGruder gniewnie się poderwał.

- A j a powtarzam, że ci ludzie są zbyt chorzy, aby można ich było transportować. Jeden z nich jest Amerykaninem, majorze Garcia. Czy usiłuje pan sprowokować incydent międzynarodowy?

- Wykonuję rozkazy - odrzekł Garcia sztywno. Wydał kilka poleceń stojącemu przy oknie sierżantowi i ponownie zwrócił się do McGrudera: -Mam obowiązek poinformować pana, że ci ludzie są oskarżeni o spiskowanie przeciwko bezpieczeństwu państwa. Mam rozkaz ich aresztować.

- Pan zwariował - powiedział McGruder. - Jeśli ich pan zabierze, dyplomaci obskoczą pana ze wszystkich stron. - Ruszył ku drzwiom.

Garcia zagroził mu drogę.

- Muszę pana prosić, aby odsunął się pan od drzwi, doktorze McGruder, albo będę zmuszony aresztować również pana. - Potem przez ramię McGrudera powiedział do

stojącego na zewnątrz sierżanta: - Wyprowadzić doktora na dziedziniec.

- Cóż, skoro takie j est pańskie stanowisko w tej kwestii, j estem bezsilny

- powiedział McGruder. - A ten pański dowódca -jakże się nazywa?

- Pułkownik Coello.

- Pułkownik Coello znajdzie się w kłopotliwym położeniu. - Odstąpił na bok, a potem w ślad za Garcia wyszedł na korytarz.

Garcia przystanął, ze zniecierpliwieniem uderzając dłonią o szew spodni.

- Gdzie są ci ludzie?

- Operowałem niedawno jednego z nich - dochodzi właśnie do siebie po narkozie.

Drugi jest w bardzo ciężkim stanie i domagam się, abym mógł podać mu teraz środek uśmierzający.

Garcia zawahał się, więc McGruder ciągnął:

- Sam pan wie, majorze, iż karetki wojskowe nigdy nie sływały z miękkich resorów; cóż mógłby pan mieć przeciwko znieczuleniu? - Klepnął Garcia w pierś.

- To trafi na czołówki wszystkich gazet w Stanach. Czy chce pan pogorszyć sytuację, stwarzając pozór nieludzkiego traktowania rannych?

- Więc dobrze - powiedział Garcia niechętnie.

- Przyniosę morfinę z zabiegowego - powiedział McGruder i zawrócił, pozostawiając Garcia w korytarzu.

Opróżniając talerz najlepszego jedzenia, jakiego skosztował w życiu, Forester słyszał podniesione głosy. Uświadomił sobie, że coś runie gra i że McGruder robi zeń bardziej chorego, aniżeli był w istocie. Chcąc przystosować się do tej gry, wepchnął tacę pod łóżko, a kiedy otworzyły się drzwi, z zamkniętymi oczyma leżał nieruchomo na wznak. Jęknął, gdy McGruder go dotknął.

McGruder powiedział:

- Panie Forester, major Garcia sądzi, że w szpitalu wojskowym może pan liczyć na lepszą opiekę, zostanie więc pan tam przewieziony. - Kiedy Forester otworzył oczy, McGruder wbił weń zasępienie spojrzenie. - Nie zgadzam się z tym posunięciem, przeprowadzanym pod presją, i zamierzam zwrócić się w tej kwestii do odpowiednich czynników. Choć jazda nie będzie długa - zaledwie na lotnisko - dam panu środek uśmierzający, aby zniósł pan transport możliwie bezboleśnie. Podwinął rękaw piżamy Foreстера, przetaił ramię wacikiem, a potem sięgnął po strzykawkę, którą napełnił z ampulki. Mówił przy tym obojętnie:

- Opatrunek wokół klatki piersiowej podtrzymuje pańskie żebra, jednak nie radziłbym się poruszać bez szczególnej potrzeby. - Na te ostatnie słowa położył subtelny nacisk i mrugnął do Foreстера.

Wbijając igłę w ramię Foreстера pochylił się i wyszeptał:

- To stymulant.

- Co tam znowu? - zapytał ostro Garcia.

- Jakie znowu co? - odpowiedział pytaniem McGruder, mierząc Garcia lodowatym i surowym spojrzeniem. - Zechce pan, z łaski swojej, nie przeszkadzać lekarzowi w wykonywaniu jego powinności. Pan Forester jest ciężko chorym człowiekiem i w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych obciążam pana i pułkownika Coello odpowiedzialnością za wszystko, co się z nim stanie. Gdzie są nosze?

- Una camilla - warknął Garcia do stojącego u drzwi sierżanta, który ryknął w głąb korytarza. Niebawem wniesiono nosze.

McGruder krzątał się wokół podczas przenoszenia Foreстера na nosze, a gdy ludzie Garcii skończyli, powiedział:

- Teraz możecie go zabierać.

Odstąpił, strącając przy tym na podłogę pojemnik w kształcie nerki, przeznaczony na instrumenty medyczne. Korzystając z faktu, że brzęk odwrócił uwagę wszystkich obecnych w pokoju, McGruder pospiesznie wsunął jakiś twardy przedmiot pod poduszkę Foreстера.

Potem korytarzem wyniesiono Foreстера na dziedziniec; zmrużył oczy, gdy poraziło go słońce. W karetce długo czekał, aż cokolwiek się stanie, więc udając sen zamknął oczy, bo pilnujący go żołnierz wpatrywał się weń z uporem. Powoli przesuwał pod kocem dłoń w stronę poduszki, dotknął kolby pistoletu.

Pocziwy stary McGruder, pomyślał; na komandosów zawsze można liczyć. Zaczepił palcem osłonę spustu, stopniowo przysunął broń do boku, a wreszcie zatknął ją na plecach za pasek pizamy, gdzie nie mogła zostać zauważona, gdyby przenoszono go na inne łóżko. Uśmiechnął się w myślach; w innych okolicznościach leżenie na twardym kawałku metalu uznałby za skrajnie niewygodne, teraz jednak dotknięcie pistoletu dawało mu wielkie poczucie bezpieczeństwa.

Pocieszające były również słowa McGrudera. Bandaże utrzymują go w kupie, a wstrzyknięty stymulant doda sił, aby mógł się ruszać. Nie, żeby go naprawdę potrzebował; po zjedzeniu posiłku siły raptownie mu wróciły, bez wątplenia jednak posunięcie doktora było słuszne.

Wsunięto do karetki Rohdego i Forester zerknął kątem oka na jego nosze. Był nieprzytomny, a w miejscu nóg pod kocem piętrzyła się spora wypukłość. Miał bladą, pokrytą kropelkami potu twarz i chrapliwie oddychał.

Do karetki wskoczyło jeszcze dwóch żołnierzy i po kilku minutach samochód ruszył. Z początku Forester leżał z zamkniętymi oczyma - chciał przekonać żołnierzy, iż „środek uśmierający” skutkuje - doszedłszy jednak do wniosku, że ci szeregowi prawdopodobnie nie mają pojęcia o zaordynowanej mu terapii, otworzył je ponownie i spojrzął w okno.

Ostry kąt widzenia uniemożliwiał mu prowadzenie przyzwoitej obserwacji, niebawem jednak karetka stanęła i Forester ujrzał kutą żelazną bramę, a za jej kratami dużą tablicę. Wymalowano na niej orła lecącego nad zaśnieżonymi górami, zaś wokół emblematu widniał w kartuszu nakreślony ozdobnymi literami napis: ESQUADRON OCTAVO.

Z bólem zamknął oczy. Wyciągnęli niewłaściwą słomkę; to był szwadron komunistyczny.

III

McGruder przyglądał się, jak karetka z wozem sztabowym z tyłu wyjeżdża z dziedzińca. Wówczas wrócił do gabinetu, zdjął fartuch i założył kurtkę. Z szuflady wyjął kluczyki od wozu i przeszedł do szpitalnego garażu, gdzie doznał szoku. Obok wielkich drzwi wspierał się o ścianę żołnierz w niechlujnym mundurze - nie było jednak nic niechlujnego w karabinie ze lśniąącym bagnietem, jaki trzymał w rękach. Podszedł do żołnierza i warknął władczo:

- Przepuść mnie.

Żołnierz popatrzył nań spod półprzymkniętych powiek, pokręcił głową i splunął na ziemię. McGruder wpadł we wściekłość i spróbował przepchnąć się siłą, ale stwierdził nagle, że czubek bagnetu kłuje go w gardło. Żołnierz powiedział:

- Pan pogada z sierżantem. Jak powie, że można wziąć samochód, to pan weźmie.

McGruder wycofał się, masując gardło. Zawrócił na pięcie i ruszył na poszukiwanie sierżanta, lecz się z nim nie dogadał. Z dała od swych oficerów, sierżant był sympatycznym człowiekiem, a jego szerokie indiańskie oblicze wyrażało ubolewanie.

- Po prostu wykonuję rozkazy, a są one takie, że nikt do odwołania nie ma prawa opuścić misji.

- Czyli do kiedy? - zapytał McGruder. Sierżant wzruszył ramionami.

- Kto wie? - odparł z fatalizmem człowieka, dla którego oficerowie stanowią odrębną kastę o niepojętych zwyczajach.

McGruder prychnął i wrócił do gabinetu, gdzie podniósł słuchawkę. Z pozoru linia

wciąż była martwa, gdy jednak warknęła: - Dajcie mi pułkownika Coello z lotniska wojskowego - nagle się ożywiła i uzyskała połączenie; nie z pułkownikiem wprawdzie, lecz którymś z jego podkomendnych.

Dopiero po piętnastu minutach - u których kresu McGruder sapał jak parowóz z powodu ledwie powstrzymywanej wściekłości - doczekał się rozmowy z Coello.

Powiedział zaczepnie:

- Tu McGruder. Co to za historia z tym zamykaniem Misji świętego Antoniego? Coello był grzeczny.

- Ależ misja nie jest zamknięta, doktorze; wejść może każdy.

- Aleja nie mogę wyjść - powiedział McGruder. - Mam dużo obowiązków.

- Więc niech je pan wypełnia - rzekł Coello. - Miejscem pańskiej pracy jest misja; proszę się trzymać swego zawodu... jak szewc. Niech się pan nie miesza w sprawy, które pana nie dotyczą.

- Nie wiem, co, do jasnej cholery chce pan przez to powiedzieć - warknęła McGruder z kwiecistością, jakiej nie stosował od czasów służby w mari-nes. - Muszę odebrać transport leków ze stacji kolejowej w Altemiros. Są mi niezbędne, a Siły Powietrzne Kordyliery uniemożliwiają mi to. Tak to wygląda z mojego punktu widzenia. Nie zbierze pan pochwał, kiedy wyjdzie to w świat, pułkowniku.

- Jakie dostał pan rozkazy co do misji? Sierżant odrzekł:

- Nie wypuszczać nikogo... i mieć na pana oko, doktorze McGruder. -Przerwał. - Przykro mi.

- Właśnie - rzeczywiście odniosłem wrażenie, że jestem obserwowany

- powiedział McGruder z gorzką ironią. - Teraz zamierzam przeprowadzić operację. Trzeba się przyjrzeć nerkom starego Pedra, bo inaczej umrze. Nie życzę sobie na sali operacyjnej żadnego z pańskich plujących na podłogę ludzi. I bez tego mamy aż nadto kłopotów z utrzymaniem aseptyki.

- Wszyscy wiedzą, że wy, norTEAMERICANOS, jesteście bardzo czysti - przyznał sierżant. Zmarszczył czoło. - Ta sala... ile ma drzwi?

- Jedne i żadnych okien - odparł McGruder. - Może pan obejrzeć, jeśli wola; tylko proszę nie pluć na podłogę.

Zaprowadził sierżanta na salę operacyjną i dowiódł, że istotnie prowadzą do niej tylko jedne drzwi.

- Doskonale - stwierdził sierżant. - Postawię na zewnątrz dwóch ludzi - to powinno wystarczyć.

McGruder wszedł do pokoju przedoperacyjnego, gdzie przygotował się do zabiegu, zakładając kitel i czapeczkę; maskę luźno zawiązał na szyi. Kiedy na wózku wwożono do sali operacyjnej pacjenta, McGruder stał przed drzwiami. Sierżant zapytał:

- Jak długo to potrwa? McGruder zamyślił się.

- Jakieś dwie godziny... może nieco dłużej. To poważna operacja, sierżancie...

Wszedł na salę i zamknął za sobą drzwi. Pięć minut później wypchnięto pusty wózek; zajrzawszy do sali, sierżant ujrzał, że doktor w masce pochyla się ze skalpelem w dłoni nad stołem operacyjnym. Drzwi zostały zamknięte, sierżant skinął głową wartownikom i powędrował na dziedziniec w poszukiwaniu słonecznego zakątka. Zupełnie zignorował pusty wózek, pchany korytarzem przez dwie szczebioczące pielęgniarki.

Dopiero w bezpiecznej suterenie McGruder odczepił się od spodu wózka, do którego był przymocowany, i rozprostował mięśnie. Jestem już za stary na takie akrobacje, pomyślał, i ruchem głowy odprawił pielęgniarki. Zachichotały i wyszły, on zaś pospiesznie zmienił ubiór.

Znał miejsce, gdzie fala pokrywających całe zbocze góry gruszkowa-tych kaktusów wlała się na teren misji. Od tygodni przymierzał się do zwalczania tej kłującej inwazji, teraz jednak był rad, że koniec końców, tego nie zrobił. Żaden

wartownik przy zdrowych zmysłach, bez względu na wydane rozkazy, nie będzie patrolować gęstwy kolczastych kaktusów i McGruder sądził, że ma szansę wydostać się właśnie tamtędy.

Miał rację. Dwadzieścia minut później był na przeciwległym zboczach niewysokiego wzniesienia: teren misji zniknął z pola widzenia, przed nim zaś rozciągały się budynki Altemiros. Kaktusy go nie oszczędziły - miał poszarpaną odzież i podrapaną skórę.

Ruszył biegiem.

IV

Forester wciąż leżał na noszach. Spodziewał się, że zostanie przeniesiony do sali szpitalnej i położony do łóżka, jednak wniesiono go na noszach do gabinetu i ułożono na dwóch krzesłach. Potem został sam, lecz słyszał zza drzwi kroki wartownika i wiedział, że jest pilnie strzeżony.

Był to wielki gabinet z widokiem na lotnisko; Forester przypuszczał, że należy do dowódcy bazy. Na ścianach wisiało wiele map i nieco zdjęć lotniczych, przedstawiających głównie obszary górskie. Patrząc na wystrój pomieszczenia bez ciekawości; służąc w lotnictwie amerykańskim, był w wielu takich gabinetach i wszystko tu było mu dobrze znane od grupowego zdjęcia szwadronu po zegar osadzony w wypukłej części starego drewnianego śmigła.

Zainteresował go natomiast widok na zewnątrz. Cała jedna ściana gabinetu była przeszklona i widział przez nią płytę przed wieżą kontrolną, a głębiej - kilka hangarów. Cmoknął, kiedy rozpoznał samoloty stojące na płycie - były to sabre'y. Pocziwy stary Wuj Sam, pomyślał z niesmakiem; zawsze gotów do rozdawania darmochoy - nawet militarnej darmochoy - swoim potencjalnym wrogom. Z ogromnym zaciekawieniem przyglądał się myśliwcom. Były to wczesne modele sabre, obecnie wycofane ze wszystkich większych armii, lecz zupełnie wystarczające do obrony kraju takiego jak Kordyliera, który nie ma liczących się pod względem potęgi militarnej przeciwników. Na ile mógł się zorientować, były to takie same maszyny, na jakich walczył w Korei. Mógłbym polecieć jednym z nich, pomyślał, gdybym tylko dostał się do kokpitu.

Cztery samoloty stały w równym szeregu; wiedział, że dokonywano ich przeglądu. Nagle usiadł - nie, to nie był przegląd techniczny - pod skrzydła podczepiano rakiety. A ci ludzie stojący na skrzydłach nie są mechanikami, lecz zbrojmistrzami ładującymi pociski działowe. Nie musiał nawet wypatrywać tych pocisków; tyle razy widział w Korei tę operację, że pojął z miejsca, iż maszyny przygotowywane są do natychmiastowej akcji.

Chryste! - pomyślał z goryczą. - To tak, jakby używać młota parowego do ugniecenia orzecha. O'Hara i inni nie mają najmniejszej szansy z tym towarzystwem. Potem uświadomił sobie coś jeszcze - musiało to oznaczać, że O'Hara wciąż się trzyma, że komuniści zza mostu są wciąż odpierani.

Obserwując przygotowania maszyn, czuł zarazem ulgę i przygnębienie. Opadł na wznak i poczuł pistolet wbijający się mu w kręgosłup. Uświadomił sobie, że czas przysposobić się do działania; nie spuszczać zatem z drzwi czujnego wzroku, wyciągnął i obejrzał broń. Był to ten sam pistolet, który przyniósł z gór - pistolet Grivasa. Zimno i wilgoć nie zrobiły mu najlepiej - smar wysechł, mechanizm działał ciężko - ale uznał, że nie zawiedzie. Kilkakrotnie odsunął zamek, chwytając wyskakujące z komory pociski, potem ponownie załadował magazynek i raz jeszcze odciągnął zamek, by wprowadzić nabój do komory i przygotować broń do natychmiastowego strzału.

Potem ukrył pistolet pod kocem obok siebie i wsparł dłoń na jego kolbie. Był gotów - w takim stopniu, w jakim to było możliwe.

Czekał długo i już zaczynał się denerwować. Czuł tiki nerwowe na całym ciele - drżące, napinające się i rozluźniające mięśnie - nigdy w życiu nie był tak ożywiony. To stymulant McGrudera, pomyślał; zastanawiał się, co to jest i jak zareaguje z koką, którą wcześniej przyjął.

Nie spuszczał oka z sabre'ów na płycie. Dopiero dużo później, po zakończeniu przez personel naziemny pracy, ktoś otworzył drzwi gabinetu i Forester spostrzegł, że przygląda mu się mężczyzna o pociągłej marsowej twarzy. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Colonel Coello, a sus ordines. — Stuknęła obcasami. Forester zamrugał oczami, udając senność.

- Pułkownik jaki? - wymamrotał. Pułkownik usiadł za biurkiem.

- Coello - powiedział uprzejmie. - Jestem dowódcą tego szwadronu myśliwców.

- To coś niesamowitego - powiedział Forester z oszołomieniem na twarzy. - W jednej chwili jestem w szpitalu, w drugiej - w tym gabinecie. Znajome otoczenie; obudziłem się i zainteresowałem tymi sabre'ami.

- Latał pan? - zapytał Coello grzecznie.

- Jasne - odparł Forester. - Byłem w Korei. Latałem właśnie na sabre'ach.

- Zatem możemy rozmawiać ze sobą jak koledzy - stwierdził Coello serdecznie. - Czy pamięta pan doktora McGrudera?

- Nie bardzo - odrzekł Forester. - Obudziłem się, a on mnie nafaszero-wał jakimś towarem, żebym znowu zasnął - no i obudziłem się tutaj. Nie powinienem przypadkiem być w szpitalu czy coś w tym rodzaju?

- Więc nie rozmawiał pan z McGruderem o niczym... absolutnie o niczym?

- Nie miałem okazji - powiedział Forester. Nie chciał w to wciągać McGrudera. - Pułkowniku, rad jestem, że pana widzę. Po drugiej stronie góry rozpętało się piekło. Szajka bandytów usiłuje wymordować grupę rozbitków z samolotu pasażerskiego. Szliśmy tu, by panu o tym powiedzieć.

- Szliście tu?

- Jasne. Pewien Latynos kazał nam tu przyjść... jakże się nazywał? -Forester zmarszczył czoło.

- Może Aguillar?

- Pierwszy raz słyszę to nazwisko - odparł Forester. - Nie, ten facet nazywał się Montes.

- I Montes kazał wam iść właśnie tu? - dopytywał się Coello z niedowierzaniem. - Musiał sądzić, że jest tu ten dureń Rodriguez. Spóźnił się pan o dwa dni, panie Forester - wybuchnął śmiechem.

Forester poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz, ale nadal udawał naiwnego. -I co tu takiego zabawnego? - zapytał. - Czemu, do cholery, śmieje się pan, zamiast zrobić coś w tej sprawie? Coello wytarł z oczu łzy wesołości.

- Niech się pan nie martwi, señor Forester, już o wszystkim wiemy. Czynimy przygotowania do... mhm... ekspedycji ratunkowej.

Jasne, że czynicie, pomyślał Forester z goryczą, spoglądając na gotowe do startu sabre'y. Powiedział:

- Niech to diabli! Omal nie zabiłem się bez sensu na tej górze. Ależ ze mnie cholerny dureń!

Coello otworzył leżącą na swym biurku teczkę.

- Nazywa się pan Raymond Forester; jest pan kierownikiem sprzedaży południowoamerykańskiego działu Fairfield Machine Tool Corporation i zmierzał pan do Santillany. - Uśmiechnął się, spoglądając na akta. -

Sprawdziliśmy, rzecz jasna; istnieje Raymond Forester, który pracuje dla tej firmy i jest szefem sprzedaży na Amerykę Południową. CIA bywa kompetentna w drobnych zagadnieniach, panie Forester.

- He? - powiedział Forester. - CIA? O czym, u diabła, pan mówi? Coello z

afektacją machnął dłonią.

- Szpiegostwo! Sabotaż! Przekupywanie funkcjonariuszy państwowych! Osłabianie woli ludu! Proszę wymienić cokolwiek brudnego, a wymieni pan CIA... i jednocześnie siebie, panie Forester.

- Jest pan świrem - powiedział Forester z niesmakiem.

- A pan intryganckim Amerykaninem! - odrzekł Coello gniewnie. - Plutokratycznym, kapitalistycznym lokajem. Można by panu wybaczyć, gdyby pozostawał pan tylko narzędziem; lecz wykonuje pan swą plugawą robotę, mając pełną świadomość jej zła. Przybył pan do Kordyliery, aby wzniecić rewolucję imperialistyczną, posługując się w swych machinacjach tym nikczemnym Aguillarem jako fasadą.

- Kim? - powiedział Forester. - Jednak pan ma świra.

- Niech się pan podda, Forester, i przestanie grać. Wiemy wszystko o Fairfield Machine Tool Corporation. To przykrywka, zbudowana przez kapitalistyczną Wall Street dla ukrycia waszych imperialistycznych amerykańskich służb specjalnych. Wiemy wszystko o panu i o Addisonie z Santillany. Został wyłączony z gry - tak samo jak pan, Forester. Forester uśmiechnął się przewrotnie.

- Akcent niby latynoamerykański, ale tekst moskiewski... a może tym razem wprost z Pekinu? - skinieniem głowy wskazał uzbrojone samoloty. - I kto w tych stronach naprawdę robi zamieszanie?

Coello uśmiechnął się.

- Służę obecnemu rządowi generała Lopeza. Zapewne będzie rad na wieść, że Aguillar niebawem zginie.

- Pójdę o zakład, że nic mu pan nie powie - rzekł Forester. - Wiem, jak działacie, chłopaki. Użyjecie Aguillara jako groźby, by przepędzić Lopeza, gdy tylko uznacie to za stosowne. - Bez powodzenia próbował podrapać swędzącą pierś.

- Dość szybko zwinęliście mnie i Rohdego - skąd wiedzieliście, że jesteśmy w szpitalu McGrudera?

- Jestem pewien, że udaje pan głupszego, niż jest w istocie - powiedział Coello.

- Mój drogi panie Forester, utrzymujemy łączność radiową z naszymi siłami po drugiej stronie góry. - W jego głosie zabrzmiała nagle gorycz. - Przy całej swej niekompetencji udało im się jednak nie zepsuć radiostacji. Widziano was przy moście. A czy sądzi pan, że pokonanie przełęczy można utrzymać w tajemnicy? Całe Altemiros wie o szalonym Amerykaninie, który dokonał niemożliwego. Ale nie wie dlaczego, pomyślał Forester wściekle, i nigdy się nie dowie, jeśli ten sukinsyn postawi na swoim. Coello podniósł fotografię.

- Podejrzewaliśmy, iż CIA może kogoś postawić przy Aguillarze. To, co z początku było tylko podejrzeniem, rychło stało się faktem. Tę fotografię zrobiono w Waszyngtonie sześć miesięcy temu.

Odwrócił ją i Forester zobaczył siebie, rozmawiającego na schodach budynku ze swym bezpośrednim przełożonym.

- Wywołane w Moskwie? - zapytał. Coello uśmiechnął się i zapytał jadownicie:

- Czy mógłby pan podać jakiegokolwiek sensowne powody, dla których nie powinien pan zostać rozstrzelany?

- Niezbyt wiele - odrzekł Forester nonszalancko. - Ale za to byłyby wystarczające. - Wsparł się na łokciu i czynił starania, by to, co mówi, brzmiało przekonująco: - Po drugiej stronie góry zabijacie Amerykanów, Coello. Rząd amerykański zażąda wyjaśnień, śledztwa.

- No i? Miała miejsce katastrofa lotnicza, nawet w Ameryce Północnej zdarza się wiele podobnych. W szczególności są one możliwe na liniach tak lichych jak Andes Airlift - ta, zbiegiem okoliczności, należy do jednego z pańskich rodaków.

Przestarzały samolot, pijany pilot - cóż bardziej oczywistego? Nie będzie zwłok, które można by odesłać do Stanów Zjednoczonych, zapewniam pana. Czyż to nie godne ubolewania?

- Nie zna pan życia - powiedział Forester. - Mój rząd będzie bardzo zainteresowany. Otóż proszę nie zrozumieć mnie opacznie: rządu nie interesują katastrofy lotnicze jako takie. Lecz tym samolotem leciałem ja i to obudzi cholerne podejrzenia. Nastąpi oficjalne śledztwo - LATA zostanie skłoniona przez Wuję Sama do jego podjęcia - i równoległe działania wyjaśniające rozpocznie wywiad. Za tydzień ten kraj zaroi się od agentów - nie zdoła pan powstrzymać wszystkich ani też zataić dowodów. Prawda musi wypłynąć i rząd Stanów z najwyższą rozkoszą rozpęta piekło. Nic mu nie sprawi większej przyjemności. - Zakaszła, odrobinę spocony - teraz to brzmiało naprawdę przekonująco. - Otóż da się tego uniknąć. - Usiadł na noszach. - Czy ma pan papierosa?

Oczy Coello zwięzły się, gdy wzięwszy z biurka paczkę papierosów, podchodził do Forestera. Podał mu otwarte pudełko i zapytał:

- Czy mam rozumieć, że usiłuje pan wytargować życie?

- Stuprocentowa racja - odrzekł Forester. Zabarwił głos lekką płaczliwością. - Nie pali mi się do noszenia drewnianej jesionki, a wiem, jak wy, chłopcy, traktujecie więźniów. Coello w zadumie pstryknął zapalniczką i podał Foresterowi ogień.

- Zatem? Forester odparł:

- Założmy, pułkowniku, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu jako jedyny uszedłem z katastrofy z życiem. Wówczas mógłbym powiedzieć, że sprawa jest czysta, że katastrofa była okay. Czemu nie mieliby mi uwierzyć? Jestem jednym z ich bystrzaków.

Coello przytaknęła:

- Istotnie, jest pan bystry - uśmiechnął się. - Jaką mamy gwarancję, że postąpi pan właśnie tak?

- Gwarancję? Wie pan cholernie dobrze, iż nie mogę jej dać. Ale powiem panu rzecz taką: nie jest pan tu szefem i wiele panu do tego brakuje. No, a ja jestem nafaszerowany informacją o CIA - regionami operacyjnymi, nazwiskami, twarzami, adresami, przykrywkami - czego dusza zapragnie. Będzie pan w kłopotach, jeśli pański szef dowie się kiedyś, że zmarnował pan taką szansę. Wystarczy więc, że przedłoży pan sprawę szefowi i niech to on powie „tak” albo „nie”. Jeśli coś nawali, to on zbierze ciężki od góry, a pan będzie kryty.

Coello pstryknął paznokciem w zęby.

- Sądzę, że gra pan na zwłokę, Forester. - Zamyślił się głęboko. - Może jednak uwierzę panu, jeśli uzyskam sensowną odpowiedź na następne pytanie. Jeśli tak się pan boi, to czemu zaryzykował pan życie, podejmując wyprawę przez przełęcz? Forester pomyślał o Peabodym i wybuchnął śmiechem:

- Wystarczy pokombinować. Strzelano do mnie przy tym cholernym moście. Czy próbował pan gadać rozsądnie z człowiekiem, który strzela, ledwie mrugnie pan okiem? Ale pan do mnie nie strzela, pułkowniku; mogę z panem rozmawiać. Tak czy owak, uznałem, że będę o bezpieczniejszy w górach niż przy moście - i okazało się, że mam rację, nieprawda? Jestem tu i wciąż żyję.

- Tak - powiedział Coello w zadumie. - Wciąż pan żyje. - Podeszedł do biurka. - Właściwie może pan już teraz zacząć wykazywać dobrą wolę. Wysłaliśmy samolot zwiadowczy, aby stwierdzić, co się dzieje, a pilot zrobił te zdjęcia. Co pan z nich rozumie?

Rzucił plik lśniących fotografii na brzeg noszy. Forester pochylił się i jęknął:

- Niechże pan się zlituje, pułkowniku, jestem cały porozbijany, nie sięgnę.

Coello pochylił się i linijką przesunął zdjęcia, a Forester rozłożył je w wachlarzyk. Były dobre; może troszkę rozmyte z powodu szybkości samolotu, lecz mimo to dostatecznie ostre, aby dało się dostrzec szczegóły. Zobaczył most i kilka uniesionych twarzy: białe bąbelki na szarym tle. I zobaczył tre-busz. Więc zdołali ściągnąć go z osady...

- Interesujące - powiedział. Coello pochylił się.

- Co to jest? - zapytał. - Nasi eksperci nic z tego nie rozumieją - wskazał palcem katapultę.

Forester uśmiechnął się.

- Nie jestem zdziwiony - odparł. - Mamy tam przypadek psychiczny, faceta o nazwisku Armstrong. Wrobił pozostałych w zmajstrowanie tego bajeru, który nazywa się trebusz i miota kamienie. Armstrong powiada, że użyto go po raz ostatni, kiedy Cortez oblegał Meksyk, i że nie działał wówczas należycie. Nie ma się czym przejmować.

- Czyżby? - powiedział Coello. - Omal nie rozwalili tym mostu.

Forester wydał w duszy okrzyk triumfu, ale nie powiedział nic. Swędziała go ręka, żeby wyciągnąć broń i władować pułkownikowi kulkę w najbardziej czułe miejsce, lecz nic by w ten sposób nie zyskał - najwyżej trochę ołowiu w mózg od wartownika i pewność, że nie działa już nic więcej.

Coello zebrał fotografie.

- Więc dobrze - powiedział. - Nie zastrzelimy pana... na razie. Być może zyskał pan godzinę życia... lub znacznie więcej. Skontaktuję się ze swym przełożonym i niechaj to on postanowi, co z panem począć.

Podszedł do drzwi, lecz obrócił się raz jeszcze.

- Nie radziłbym próbować żadnych głupot; zdaje pan sobie sprawę, że jest pilnie strzeżony.

- A co, u diabła, miałbym zrobić? - warknął Forester. - Jestem porzbijany i zabandażowany od stóp do głów; słaby jak kocię i nafaszerowany lekami. Zupełnie nieszkodliwy.

- Nie będę marnować twego czasu - powiedział McGruder wyjmując kopertę z kieszeni. - Przeczytaj, to potrwa krócej niż moje wyjaśnienia.

Czytając, z pobladłą twarzą osunął się na krzesło.

- Ależ to nieprawdopodobne - powiedział. - Czy jesteś tego zupełnie pewien?

- Zabrali z misji Foreстера i Rohdego - odparł. - Siłą.

- Tego Foreстера nie znam, ale Miguel Rohde powinien tu być dwa dni temu - rzekł Sueguerra. - Miał objąć dowodzenie w regionie górskim, kiedy...

- Kiedy zacznie się rewolucja? Sueguerra podniósł wzrok.

- Dobrze, nazwij to sobie rewolucją, jeśli chcesz. Jakże inaczej moglibyśmy pozbyć się Lopeza? - Skinął głową w stronę ulicy. - Mamy więc wyjaśnienie tego, co się tam dzieje. Zastanawiałem się, o co chodzi.

Ujął słuchawkę białego telefonu.

- Przyślijcie Juana.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał McGruder. Sueguerra dźgnął palcem telefon czarny.

- Ten jest bezużyteczny, przyjacielu, jak długo będą okupować pocztę. A nasza lokalna centrala obsługuje całą telekomunikację w regionie górskim. Wyślę przez góry mojego syna, Juana, ale to długa i trudna wyprawa. Wiesz, jakie są nasze drogi. To musi potrwać.

- Cztery godziny albo dłużej - zgodził się McGruder.

- Jednak go wyślę. Jednocześnie rozpoczniemy akcję bardziej bezpośrednią.

Sueguerra podszedł do okna i spojrzął przez ulicę na budynek poczty.

- Musimy zdobyć pocztę. McGruder poderwał głowę.

- Chcesz wojować ze Szwadronem Ósmym? Sueguerra obrócił się na pięcie.

- Musimy. W grę wchodzi tu coś więcej aniżeli telefony. - Podszedł do biurka i usiadł. - Doktorze McGruder, wiedzieliśmy zawsze, że jeśli wybuchnie rewolucja, a w bazie będzie stacjonować Szwadron Ósmy, to Szwadron Ósmy powinien zostać wyeliminowany. Problem jednak polegał na tym, jak to zrobić. - Uśmiechnął się lekko. - Rozwiązanie okazało się śmiesznie łatwe. Pułkownik Rodriguez zaminował wszystkie ważne instalacje lotniska. Miny można zdetonować elektrycznie - kable

prowadzą z bazy do Altemiros; zostały przeciągnięte pod pozorem kładzenia przewodów telefonicznych. Wystarczy jedno wciśnięcie bezwładnika i Szwadron Ósmy zostanie sparaliżowany.

Potem uderzył pięścią w biurko i powiedział wściekle:

- Dziś rano miało być założone rozgałęzienie w moim biurze, ale w tej sytuacji pozostaje nam tylko zdobycie poczty, bo tam właśnie jest końcówka kabla.

McGruder potrząsnął głową.

- Nie jestem elektrykiem, lecz zapewne można znaleźć ten kabel poza budynkiem poczty.

- Technicy Szwadronu Czternastego robili to w pośpiechu - odrzekł Sueguerra - i zostali wycofani, gdy nieoczekiwanie przybył Szwadron Ósmy. Zarówno w sieci cywilnej, jak i wojskowej - są całe setki przewodów i nikt nie wie, który jest właściwy. Znam jednak odpowiednie połączenie wewnątrz budynku poczty. Rodriguez mi je pokazał.

Usłyszeli przenikliwy świst odrzutowca, nadlatującego nad Altemiros od strony lotniska, i Sueguerra powiedział:

- Musimy działać szybko. Nie można pozwolić, aby Szwadron Ósmy znalazł się w powietrzu.

McGruder pobladł na widok skali jego przygotowań. W biurze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaroilo się od mężczyzn, a ze zwykłych skrzynek z herbatą i ze zwojów skór wyciągnięto niewiarygodną ilość broni - tak karabinów, jak pistoletów automatycznych. Zmarszczki na twarzy McGrudera pogłębiły się.

- Ale ja nie będę walczyć, wiesz - powiedział do Sueguerry. Sueguerra klepnął go w plecy.

- Nie jesteś nam potrzebny; jakie ma znaczenie jeden dodatkowy człowiek? No i absolutnie nie chcemy, aby wplątał się w to norteamericano. To rewolucja domowego chowu. Może jednak kiedy się skończy, będziesz musiał połatać tego i owego.

Na poczcie jednak nie było wielkiej bitwy. Atak został przeprowadzony tak nieoczekiwanie i taką przewagą liczebną, że jednostka ze Szwadronu Ósmego nie stawiała prawie żadnego oporu; jedyną ofiarą okazał się kapral, który dostał kulę w nogę, bo niedoświadczony i pełen entuzjazmu rewolucjonista pozostawił odbezpieczoną broń.

Sueguerra wkroczył do budynku poczty.

- Jaime! Jaime! Gdzież jest ten durny elektryk? Jaime!

- Tu jestem - powiedział Jaime i wyszedł z grupy, niosąc pod pachą spore pudło.

Sueguerra zabrał go do pomieszczenia centrali, a McGruder poszedł za nimi.

- To trzecie pole stykowe - piętnasty z prawej i dziewiętnasty od dołu - powiedział Sueguerra, zerknąwszy na świstek papieru.

Jaime liczył uważnie.

- To tu - powiedział. - Te dwa zaciski. - Wyciągnął śrubokręt. - To potrwa ze dwie minuty.

Kiedy pracował, nad miasteczkiem przeleciał z wizgiem samolot; potem następny i jeszcze jeden.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy - wyszeptał Sueguerra.

McGruder położył mu dłoń na ramieniu.

- A co z Foresterem i Rohdem? - spytał zaniepokojony. - Przewieziono ich na lotnisko.

- My nie niszczymy szpitali - odrzekł Sueguerra. - Zaminowane są tylko najważniejsze obiekty: skład paliwa i amunicji, hangary, pasy startowe, wieża kontrolna. Chcemy ich tylko unieruchomić - to przecież obywatele Kordyliery.

Jaime powiedział:

- Gotowe! - a Sueguerra chwycił rączkę bezwładnika.

To trzeba zrobić - rzekł i mocno ją wcisnął.

VI

Chyba Coello istotnie dowodził akcją, kiedy bowiem ponownie wkroczył do biura, miał na sobie pełny rynsztunek, włącznie ze spadochronem. A także kwaśną minę.

- Zyskał pan sobie nieco czasu, Forester - powiedział. - Decyzja w pańskiej sprawie musi poczekać. Muszę zająć się innymi sprawami, nieco pilniejszej natury. Chciałbym jednak coś panu pokazać - ot, taka demonstracja szkoleniowa. Strzelił z palców; weszli dwaj żołnierze i chwycili nosze.

- Jaka znowu demonstracja?

- Demonstracja niebezpieczeństw, wynikających z braku patriotyzmu - odrzekł Coello z uśmiechem. - Coś, o co któregoś dnia może pan zostać oskarżony przez swój rząd, panie Forester.

Gdy wynoszono go z budynku, Forester leżał bezwładnie i rozmyślał, co się, u diabła, dzieje. Żołnierze szli po płycie przed wieżą kontrolną, a kiedy mijali osamotniony samolot, Coello rzucił do mechanika:

- Diez momentos.

Mechanik zaszutował, a Forester pomyślał: Dziesięć minut? Cokolwiek to będzie, nie potrwa długo.

Usłyszawszy skowyt, odwrócił głowę i ujrzał, że - wciągając podwozie - od pasa odrywa się sabre. Potem wystartował następny, a wreszcie jeszcze jeden. Zniknęły za horyzontem i Forester zastanowił się, dokąd zmierzają - bo z pewnością w złym kierunku, jeśli miały zaatakować O'Hare.

Zbliżyli się do jednego z hangarów. Wielkie rozsuwane wrota były zamknięte, lecz Coello wszedł przez zwykłe drzwi z boku, a żołnierze z noszami podążyli za nim. W hangarze nie było żadnego samolotu, a metalowe ściany głucho odbijały dźwięk kroków. Niezgrabny w swym rynsztunku Coello wszedł do bocznego pokoju i gestem nakazał wniesienie tam noszy. Poleciał położyć je na dwóch krzesłach, a potem odesłał żołnierzy na zewnątrz.

Forester podniósł na niego wzrok.

- O co chodzi, do cholery? - zapytał.

- Zobacz pan - odparł Coello ze spokojem i włączył światło. Podszedł do okna, szarpnięciem za sznurek zaciągnął zasłony i mruknął: - Dobra. - Przemierzył pokój i drugim sznurkiem rozsunął zasłony z okna wychodzącego na hangar.

- Pokaz zacznie się za chwilę - powiedział i przechylił głowę w bok, jak gdyby czegoś nasłuchiwał.

Forester również słuchał i podniósł wzrok. Był to upiorny dźwięk nurkującego samolotu, narastający i potężniejący, aż zdawało się, że popękają odeń bębunki. Maszyna ze świstem przemknęła nad hangarem, a Forester ocenił z profesjonalnym zainteresowaniem, że od dachu dzieliła ją mała odległość.

- Zaczynamy - powiedział Coello, ukazując hangar.

Jak gdyby nurkujący samolot dał umówiony sygnał, do hangaru wmaszerował rząd żołnierzy i przy wtórze warknięć oficera ustawił się w szeregu. Każdy z ludzi miał na ramieniu karabin i Forester doświadczył niemiłego przecucia, co ma nastąpić.

Spojrzał zimno na Coello i zaczął mówić, ale jego słowa utonęły w zgiewku czynionym przez następny nurkujący samolot. Kiedy sabre odleciał, Forester odwrócił głowę i wściekły ujrzał, że do hangaru wciągany jest Rohde.

Nie mógł chodzić, więc z nogami sunącymi po betonowej podłodze był na poły niesiony, na poły ciągnięty przez dwóch trzymających go pod pachy żołnierzy.

Coello postukał ołówkiem w szybę i żołnierze zaprezentowali Rohdego. Był straszliwie pobity - nad pokancerowanymi policzkami oczy podchodziły czernią i

fioletem. Lecz te oczy były otwarte: Rohde popatrzył na Forestera matowym wzrokiem, otworzył usta i wyrzekł kilka słów, których Forester nie usłyszał. Rohdemu brakowało kilku zębów.

- Skatowałeś go, skurwysynu! - wybuchnął Forester. Coello roześmiał się.
- Ten człowiek jest obywatelem Kordyliery, zdrajcą swego narodu, i spiskował przeciwko legalnym władzom. Co się robi ze zdrajcami w Stanach Zjednoczonych, panie Forester?

- Ty pierdolony hipokryto! - powiedział Forester z przekonaniem. - A co ty robisz innego, prócz podgryzania rządu?

Coello skrzywił twarz w uśmiechu.

- Tu sytuacja jest odmienna; ja nie zostałem schwytany. Poza tym mam się za człowieka stojącego po właściwej stronie - a stroną właściwą jest zawsze ta silniejsza, nieprawda? Zmiażdżymy tych kwilących i skamlących liberałów w rodzaju Rohdego i Aguillara. - Obnażył zęby. - W istocie zmiażdżymy Rohdego zaraz... a Aguillara najwyżej za czterdzieści pięć minut. - Machnął do oficera dowodzącego w hangarze i Rohdego odciągnięto. Forester zaczął obrzucać Coello zniewagami, lecz jego słowa rozplynęły się w wibrującym powietrzu, gdyż nad hangarem zanurkował kolejny samolot. Patrząc na budzące litość Rohdego, zaczekał, aż zapadnie cisza, a potem spytał:

- Dlaczego pan to robi?

- Może, żeby dać nauczkę panu - powiedział Coello lekko. - Niechaj będzie to ostrzeżeniem - spotka pana to samo, jeśli nas pan oszuka.

- Ale nie jest pan zbyt pewien swojego szwadronu, prawda? - zapytał Forester. - Zamierza pan rozstrzelać Rohdego, a wojskowa próżność każe się panu delektować plutonem egzekucyjnym, lecz zarazem boi się pan egzekucji publicznej - bo ludzie z pańskiego szwadronu mogą tego nie znieść. Mam rację?

Coello z irytacją machnął ręką.

- Proszę te obszary duszy pozostawić waszym burżuazyjnym psychoanalitykom.

- I robi pan wiele zgiełku, aby zagłuszyć strzały - upierał się Forester, słysząc następny nurkujący samolot.

Coello powiedział coś niezrozumiałego w ryku nadlatującej maszyny, a Forester patrzył nań ze zgrozą. Nie wiedział, co robić. Mógł zastrzelić pułkownika, lecz nie pomogłoby to Rohdemu; w hangarze był tuzin uzbrojonych ludzi, niektórzy z nich zagłądali przez okno. Coello zaśmiał się bezgłośnie i wyciągnął rękę. Kiedy Forester usłyszał wreszcie, co mówi, zadrżał.

- Biedny dureń nie może stać, więc zostanie rozstrzelany na siedząco.

- Niech cię wszyscy diabli - zacharczał Forester. - Niech wszyscy diabli porwą do piekła twoją plugawą duszę.

Jeden z żołnierzy przyniósł zwykłe kuchenne krzesło; ustawiono je pod ścianą i usadzono na nim Rohdego z groteskowo wyciągniętą sztywną nogą. Na szyję zarzucono mu pętlę i przywiązano go do krzesła. Żołnierze odstępili, a oficer wydał rozkaz. Żołnierze jak jeden mąż przyłożyli broń do ramienia i wycelowali, oficer rzucił rękę do góry. Bezradny Forester, niezdolny oderwać oczu od tej sceny, patrzył z jakąś chorobliwą fascynacją. Mówił bez przerwy, obrzucając pułkownika Coello stekiem najbardziej ordynarnych przekleństw, jaki znają języki angielski i hiszpański.

Zaczął nurkować następny sabre; ręka oficera drgnęła, a kiedy zgiełk sięgnął szczytu - opadła. Wzdłuż szeregu żołnierzy przebiegł ogień. Rażony kulami Rohde szarpnął się konwulsyjnie w krzesło, a potem runął na bok, pociągając krzesło za sobą. Oficer wyciągnął pistolet i podszedł, aby obejrzeć zwłoki.

Coello pociągnął za sznurek i zasłony zeszyły się, zasłaniając okropny widok.

Forester warknął:

-Hijo de puta!

- Z wyzywania mnie nic dobrego panu nie przyjdzie - powiedział Coello. - Aczkolwiek jako człowiek honoru gardzę wyzwiskami, podejmę niezbędne środki. - Uśmiechnął się. - Teraz podam panu powód tej demonstracji.

Wnoskuję z pańskich raczej grubiańskich uwag, iż darzył pan sympatią nieszczęsnego Rohdego. Przeprowadzenie tego egzaminu zlecił mi mój przełożony i z żalem informuję, że pan oblał. Moim zdaniem, dowiódł pan, iż w swej wcześniejszej ofercie nie był pan rzetelny, obawiam się zatem, że musi pan podążyć w ślad za Rohdem. - Jego dłoń powędrowała do pistoletu przy pasie. - A za panem - Aguillar. Już niedługo przywieziemy go do rozsądku. Naprawdę, Forester, powinien pan być okazać dość rozwagi, aby...

Jego słowa utonęły w ryku następnego nurkującego myśliwca i to wówczas, z wielkim chłodem i precyzją, Forester dwakroć postrzelił go w brzuch. Nie wyciągał broni, lecz strzelał spod koca.

Coello wrzasnął z bólu i zaskoczenia, zaciskając ręce na brzuchu, jednak w ogólnym zgiełku nic nie było słyhać. Forester postrzelił go raz jeszcze, tym razem śmiertelnie - w serce, a Coello, rzucony impetem kuli na biurko, osunął się na podłogę, pociągając za sobą suszkę i kałamarz. Gapił się w sufit martwymi oczyma i miał taki wyraz twarzy, jak gdyby wsłuchiwał się w wizg odlatującego samolotu.

Forester zsunął się z noszy i z pistoletem w dłoni podszedł do drzwi. Cichutko zamknął je na klucz, a potem ostrożnie rozchylił zasłony i zajrzał do hangaru. Pluton egzekucyjny, z oficerem zamykającym kolumnę, już wychodził, a dwaj żołnierze okrywali ciało Rohdego kawałkiem brezentu.

Forester poczekał, aż wyjdą, podszedł do drzwi i wsłuchał się w szurające na zewnątrz kroki. Był to pilnujący go strażnik, czekający, aby odprowadzić go do gabinetu pułkownika lub w inne wskazane przez Coello miejsce. Należało coś z nim zrobić.

Niezgrabnie zgięty w spowijających go jak mumię bandażach, pochylił się i zaczął rozbierać zwłoki Coello. Żebra dokuczały mu tylko trochę, a całe ciało zdawało się wykazywać wolę działania. Teraz, skoro zaczął się ruszać, swędzenie ustało i Forester błogosławił McGrudera za ożywczy zastrzyk.

Był podobnego wzrostu co pułkownik Coello, tak więc kombinezon bojowy i buty pasowały względnie dobrze. Zapiął pasy spadochronu, a potem dźwignął Coello na nosze i ułożył, okrywając kocem tak, aby twarz pozostawała niewidoczna. Wówczas założył ciężki plastikowy hełm ze zwisającą maską tlenową i podniósł pistolet. Kiedy otwierał drzwi, miał -jak się zdawało - kłopoty z zapięciem maski, bo manipulował przy paskach, aparat i dłoń zakrywały mu twarz. Skinął obojętnie pistoletem trzymany w drugiej ręce i powiedział do wartowników:

- Vava usledpor alli - ukazując przeciwniegi koniec hangaru.

Był gotów strzelać, gdyby którykolwiek z żołnierzy okazał podejrzliwość, i jego palec nerwowo spoczywał na spuście. Oczy jednego z żołnierzy pobiegły na chwilę do pokoju, gdzie na noszach spoczywało przykryte ciało. Forester liczył na dyscyplinę wojskową i naturalny lęk tych ludzi przed ich oficerami. Byli właśnie świadkami jednej egzekucji i co ich obchodziło, że ten wściekły pies, Coello, urządził sobie długą, bardziej kameralną? Stańli na baczność, wydeklamowali:

- Si, mio Colonel - i sztywno pomaszzerowali w głąb hangaru. Forester patrzył, jak wychodzą przez tylne drzwi, zaryglował pokój, wsunął pistolet w górną boczną kieszeń kombinezonu i wyszedł z hangaru, zapinając po drodze maskę.

Słyszał w górze świst silników odrzutowych i podniósłszy głowę, ujrzał trzy sabre'y krążące w zwartej formacji. Na jego oczach odeszły prostym kursem, zmierzając w stronę gór. Wcale nie czekają na pułkownika, pomyślał, puszczając się niezgrabnym biegiem.

Czekający przy samolocie personel naziemny pogrążył się w gorączkowej

aktywności. Będąc już blisko, Forester wskazał niknące maszyny, wrzasnął:
- Rapidamente! Desepresa! - podbiegł do sabre'a z odwróconą twarzą i zaczął wspinąć się do kabiny, zdumiony, że podsadza go ktoś z personelu naziemnego. Usadowił się w fotelu i popatrzył na deskę rozdzielczą; była znajoma, lecz zarazem obca po latach niewidzenia. Ciężarówka rozruchu była już podłączona i twarze członków jej załogi patrzyły na niego z wyrazem oczekiwania. Do diabła, pomyślał, nie znam regulaminowych hiszpańskich rozkazów. Zamknął oczy, jego palce powędrowały do właściwych przełączników; wtedy machnął ręką. Okazało się to najwyraźniej wystarczające; silnik zaśpiewał swą hałaśliwą pieśń, a obsługa naziemna ruszyła biegiem, aby odłączyć kabel rozruchu. Ktoś klepnął go w hełm i zamknął osłonę. Kolejnym machnięciem Forester nakazał wyjąć klocki spod kół. Potem był już w ruchu, zawracał, aby podkole-wać po pasie startowym, a jednocześnie podłączał przewód tlenowy.

Przy końcu pasa włączył radio, mając nadzieję, że jest już nastrojone na wieżę kontrolną; nie, żeby miał ochotę wypełniać wydawane przez nią cholerne instrukcje, chciał po prostu wiedzieć, co się dzieje. W jego słuchawkach zaskrzeczał głos.

- Colonel Coello?

- Si - wymamrotał.

- Zezwalam na start.

Forester uśmiechnął się i pognał sabre'a pasem startowym. Ledwie koła oderwały się od ziemi, a rozpętało się piekło. Pas startowy jakby eksplodował na całej swojej długości i samolot zachybotał się w powietrzu. Forester rozpoczął strome wznoszenie, wszedł w skręt i ze zdumieniem popatrzył na lotnisko. Ziemia drżała od ciemnoczerwonych błysków i gwałtownych eksplozji; na jego oczach wieża kontrolna zadygotała i rozsypała się w stos odłamków, śląc ku niebu spiralną kolumnę dymu.

Rozdział 10

Armstrong usłyszał ciężarówkę, ze zgrzytem pnącą się drogą górską.

- Nadchodzą - powiedział i wyglądając zza kamiennego szanca, zacisnął palce na kolbie pistoletu.

Mgła zdawała się rzednieć i swobodnie sięgał spojrzeniem do chat oraz miejsca, gdzie droga wchodziła na równy teren.

Z głębi tunelu nadbiegła Benedetta i położyła się obok niego.

- Lepiej wracaj, nic tu nie działasz - powiedział i podniósł pistolet. -Jeden nabój. Oto cała walka, na jaką nas stać.

- Oni tego nie wiedzą - odparowała.

- Jak się czuje twój wujek? - zapytał.

- Lepiej, ale wysokość mu nie służy. - Zawahała się. - Martwię się o Jenny, ma gorączkę.

Nic nie powiedział; czymże jest gorączka albo choroba wysokościowa wobec możliwości, że za godzinę wszyscy będą martwi? Benedetta rzekła:

- W osadzie powstrzymaliśmy ich na jakieś trzy godziny.

W gruncie rzeczy nie miała do powiedzenia nic sensownego; po prostu wypowiedziała nieistotne słowa, aby zagłuszyć myśli - a wszystkie jej myśli dotyczyły O'Hary. Armstrong popatrzył na nią kątem oka.

- Wybacz mi mój pesymizm - powiedział - ale sądzę, że to już ostatni akt. Biorąc pod uwagę środki, jakimi dysponujemy, doskonale dawaliśmy sobie radę, lecz nie mogło to trwać wiecznie. Napoleon miał rację - Bóg stoi po stronie liczniejszych batalionów.

W jej głosie zabrzmiało okrucieństwo:

- Nadal możemy zabrać ze sobą kilku z nich. - Uchwyciła go za ramię. - Popatrz, nadjeżdżają.

Pierwszy pojazd wspinał się na grzbiet wzniesienia. Był niewielki i Armstrong osądził, że to dżip. Sunął przed siebie, macając reflektorami mgłę, za

221

nim zaś ukazała się najpierw jedna wielka ciężarówka, a potem druga. Usłyszał okrzyki rozkazów: ciężarówki zatrzymały się obok chat, wysypali się z nich ludzie, a do uszu Armstronga dotarł stuk butów o skały.

Dżip zataczał obszerny łuk i ciął mgłę reflektorami jak sierpem; Armstrong uzmysłowił sobie nagle, że przeszukuje podnóże urwiska, gdzie znajdowały się wloty tuneli. Nim zdążył zareagować, został oblatany światłem, a kiedy krył się za szansem, słyszał zwierzęcy, triumfalny ryk nieprzyjaciela.

- Cholera! - powiedział. - Był durniem.

- To bez znaczenia - stwierdziła Benedetta. - Szybko by nas odkryli. -Leżąc, wysunęła ostrożnie kamień z muru. - Chyba można tędy patrzeć -wyszeptała. - Nie trzeba wystawiać głowy.

Armstrong usłyszał za sobą kroki; nadchodził Willis.

- Niżej - powiedział cicho. - Połóż się na brzuchu. Willis podpełzł do jego boku.

- Co się dzieje?

- Wypatrzili nas - odrzekł Armstrong. - Rozwijają się w tyralierę, przygotowują do ataku. - Zaśmiał się niewesoło. - Gdyby wiedzieli, jakie mamy środki obrony, po prostu podeszliby spacerkiem.

- Nadjeżdża kolejna ciężarówka - powiedziała Benedetta z goryczą. -Pewnie z następnymi ludźmi; potrzebują całej armii, żeby nas zgnieść.

- Pozwól mi zerknąć - poprosił Armstrong. Benedetta ustąpiła mu miejsca przy szczelinie. - Nie ma światła... to dziwne; ho i jedzie szybko. Teraz zmienia kierunek, pędzi w stronę chat. Chyba wcale nie zwalnia.

Usłyszeli ryk silnika, a Armstrong wrzasnął:

- Przyspiesza! Zamierza ich staranować! - Jego głos przeszedł w skowyt. - Czy myślicie, że to może być O'Hara?!

O'Hara mocno trzymał podskakującą kierownicę i wciskał gaz do dechy. Z początku kierował się na dżipa, lecz wnet zobaczył coś znacznie ważniejszego: grupa ludzi ustawiała lekki karabin maszynowy. Przerzucił kierownicę i wóz zakreślił, przy czym dwa koła oderwały się od ziemi, by opaść ponownie z przeraźliwym trzaskiem. Ciężarówka zakołysała się niebezpiecznie, lecz utrzymał ją na nowym kursie; włączył światła i ujrzał obracające się ku niemu blade twarze i dłonie, osłaniające oczy przed nieznośnym blaskiem.

Ludzie rozbiegli się na boki, lecz dwóch zrobiło to za późno. O'Hary jednak nie obchodzili ludzie - interesował go karabin maszynowy; wóz przechylił się lekko, gdy dwa zewnętrzne koła ze zgrzytem wgniotły broń w skałę. Był już daleko, gdy z tyłu rozpoczął się opóźniony i chaotyczny ostrzał.

Rozejrzał się za dżipem, znów skreślił kierownicę i rozkołysana ciężarówka wystrzeliła jak pocisk. Kierowca dżipa dostrzegł nadjeżdżający wóz i spróbował salwować się ucieczką, ale O'Hara kierownicą skontrolował ten zabieg i, pojmannszy dżipa w światła reflektorów, szedł na zderzenie czołowe. Ujrzał Rosjanina unoszącego pistolet; błysnęło i przednia szyba ciężarówki pokryła się siatką pęknięć. O'Hara pochylił się mimowolnie. Kierowca dżipa rozpaczliwie manewrował kierownicą, lecz skreślił w niewłaściwym kierunku i gnał wprost na podnóże urwiska. Dżip znów zakreślił, błąd jego kierowcy dał jednak O'Harze możliwość staranowania go z boku. Rosjanin wyrzucił ramiona w górę i zniknął z pola widzenia, kiedy ze zgrzytem i łomotem lżejszy pojazd przewalił się na burtę; O'Hara wrzucił wsteczny bieg i ruszył do tyłu.

Zerknąwszy za siebie na ciężarówkę, spostrzegł, że biegnie ku niemu grupa mężczyzn, podniósł więc automat z podłogi kabiny i wsparł go na oknie. Nacisnął spust trzykrotnie, z lekka zmieniając pomiędzy salwami kierunek celowania, i atakujący rozsypali się, pojedynczo tocząc się po ziemi i szukając osłony.

Kiedy O'Hara wrzucił jedynkę, najpierw jedna, a potem druga kula przebiła korpus wozu. Nie zwracał jednak na to żadnej uwagi. Zderzak ciężarówki znów uderzył w przewróconego dżipa, a kiedy zaczepił o jego podwozie, O'Hara nie zahamował, lecz swym wozem, niczym buldożerem, sunął dalej i z głuchym zgrzytem miażdżył dżipa o skalny mur. Kiedy skończył, ze zgniecionego pojazdu nie dochodził żaden ludzki dźwięk.

Jednak ów akt gniewu i zemsty omal nie zakończył się dlań fatalnie. Zanim zdołał wycofać ciężarówkę i zawrócić, znalazł się pod ciężkim ogniem. Próbował jechać zygzakiem, ale ciężarówka nabierała szybkości powoli, ostrzał zaś prowadzili ludzie rozrzucony wokół niej półkolem. Potrzaskana szyba ostatecznie zmatowiała, i O'Hara nie widział dokąd zmierza.

Benedetta, Armstrong i Willis stali, krzycząc co siłą, lecz żadne kule nie leciały w ich stronę - nie stwarzali takiego zagrożenia jak O'Hara. Obserwowali zataczającą się ciężarówkę i widzieli skry, krzesane przez pociski z zainstalowanych przez Santosa płyt ochronnych. Willis wrzasnął:

- Ma kłopoty! - i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, przewalił się przez szaniec i popędził ku ciężarówce.

O'Hara prowadził jedną ręką i kolbą automatu usiłował, jak młotem, rozbić bezużyteczną przednią szybę. Willis skoczył na stopień, a ledwie uchwycił skraj drzwi, O'Hara został trafiony. Kula karabinowa przeleciała w poprzek kabiny, zmiażdżyła mu ramię i rzuciła o drzwi, omal nie strącając Willisa. Krzyknął donośnie i osunął się na fotel.

Willis uchwycił kierownicę jedną ręką i skreślił ją niezgrabnie. Wrzasnął:

- Nie zdejmuj nogi z gazu! - a O'Hara usłyszał go przez mgłę udręki i nacisnął pedał. Willis skierował ciężarówkę w stronę urwiska, usiłując jechać wprost na tunel. Ujrzał, że lusterko boczne rozpryskuje się na kawałki i pojął, że kula,

która w nie trafiła, przeszła pomiędzy nim a kabiną. Nie przejął się - liczyło się tylko to, aby doprowadzić wóz w bezpieczne miejsce.

Armstrong zobaczył, że ciężarówka zakręca i kieruje się ku niemu.

-Uciekaj! -krzyknął do Benedetty; chwycił ją za rękę i pobiegł w stronę tunelu.

Widząc rozwartą przed sobą paszczę tunelu, Willis przywarł do kabiny ciężarówki.

Maska uderzyła w szaniec, a rzucone impetem kamienie poleciały w głąb korytarza, rozpryskując się o jego ściany.

Wówczas Willis został trafiony. Kula weszła w kark, Willis puścił kierownicę i krawędź drzwi, a w chwilę później, zrzucony ze stopnia przez występ skalny, upadł tuż przy wejściu jak bezwładny tłumok. Ciężarówka z rykiem pograżyła się w tunelu, by na zakręcie grzmotnąć w ścianę.

Willis poruszył się nieznacznie i wyciągnąwszy przed siebie ramiona, bezradnie drapał palcami zimną skalę. Potem dwie kule poraziły go niemal jednocześnie.

Drgnął po raz ostatni i znieruchomiał.

II

Wydawało się, że panuje niesamowita cisza, kiedy Armstrong i Benedetta wyciągali O'Hare z kabiny ciężarówki. Strzelanina ucichła i oprócz poszumu systemu chłodniczego pod maską jedynym źródłem dźwięku były nogi Armstronga, potracające rozrzucone na podłodze kabiny przedmioty. Pracowali w ciemnościach, bo dobrze wymierzony strzał mógł się na tym prostym odcinku tunelu okazać niebezpieczny.

Na koniec dotaszczyli O'Hare do bezpiecznego miejsca za zakrętem, a Benedetta zapaliła knot ostatniej butelki z naftą. O'Hara był nieprzytomny i ciężko ranny; prawa ręka zwisała bezwładnie, a bark był koszmarnym chaosem poszarpanych mięśni i strzaskanych kości. Miał również strasznie pokiereszowaną twarz, bo zderzenie ze skalą rzuciło go na szybę; Benedetta patrzyła nań ze łzami w oczach, nie mając pojęcia, od czego zacząć.

Przykuśtykał Aguillar i łapiąc ze świstem oddech, zapytał z wysiłkiem:

- Rany boskie, co się stało?

- Nic tu po tobie, tio - odparła. - Połóż się.

Aguillar zaszokowany spoglądał na O'Hare - dotarło doń wreszcie, że wojna jest rzemiosłem krwawym. Potem zapytał:

- Gdzie jest señor Willis?

- Sądzę, że nie żyje - odpowiedział Armstrong. - Nie wrócił. Z poszarzałą twarzą Aguillar osunął się obok O'Hary.

- Niech mi wolno będzie pomóc - poprosił.

- Wracam na wartę - powiedział Armstrong. - Choć nie wiem, jaki to ma sens.

Zaraz zapadnie mrok. Chyba na to czekają.

Pograżył się w ciemnościach, Benedetta zaś zbadala roztrzaskane ramię O'Hary. Bezradnie popatrzyła na Aguillara.

- I co mogę zrobić? Tu jest potrzebny lekarz, szpital. Nie możemy mu pomóc.

- A jednak musimy - powiedział Aguillar. - Zanim odzyska przytomność. Przysuń światło.

Zaczął usuwać z krwawiącej rany odpryski kości, a zanim skończył, Benedetta obandażowała ramię i umieściła je na temblaku. O'Hara był zupełnie przytomny i tłumiał jęk. Popatrzył na Benedettę i zapytał:

-Gdzie jest Willis?

Powoli pokręciła głową O'Hara odwrócił twarz. Czuł, jak narasta w nim wściekłość na niesprawiedliwość losu; ledwie na powrót odnalazł życie, już musi się z nim rozstać - i to rozstać w taki sposób: zapędzony w zimny, wilgotny tunel, zdany na łaskę i niełaskę wilków w ludzkiej skórze. Gdzieś z bliska

posłyszał majaczenie kobiety.

- Kto to?

- Jenny - odparła Benedetta. - Jest w malignie.

Ułożyli O'Hare najwygodniej jak było można, i Benedetta wstała.

- Muszę pomóc Armstrongowi. - Aguillar podniósł wzrok i ujrzał, że jej twarz stężała gniewem i zmęczeniem, że skóra opina ciasno policzki, a pod oczyma rysują się ciemne półkola. Westchnął cicho i zdusił kopający knot.

Armstrong siedział w kucki obok ciężarówki.

- Czekałem na kogoś - powiedział.

- A kogóż to oczekiwałeś? - zapytała sarkastycznie. - Tylko my dwoje trzymamy się na nogach. - Potem dodała cicho: - Przepraszam.

- Nie ma sprawy - odrzekł Armstrong. - Jak Tim? W jej głosie zabrzmiała gorycz:

- Wyżyje... jeśli dadzą mu szansę.

Armstrong długo nic nie mówił, czekając, aż odpłynie z niej gniew i frustracja, a potem rzekł:

- Wszędzie spokój; nie wykonali żadnego ruchu i nic z tego nie rozumiem.

Chciałbym wyjść i rozejrzeć się, kiedy zapadną zupełne ciemności.

- Nie bądź durniem - powiedziała zaniepokój ona Benedetta. - Cóż może zdziałać człowiek bezbronny?

- Och, niczego nie będę próbować - odparł Armstrong. -1 nie będę tak zupełnie bezbronny. Tim miał ze sobą jeden z tych małych automatów i -jak sądzę - jest do niego kilka magazynków. W ciemnościach nie potrafiłem wykombinować, jak to działa; chyba wrócę i przyjrzę się przy świetle. Jest tu także kusza i parę bełtów - to ci zostawię.

Chwyliła go za ramię. -Nie idź jeszcze.

Ustał wobec poczucia osamotnienia, jakie usłyszał w jej głosie. Niebawem powiedział:

- Kto by pomyślał, że Willis porwie się na coś takiego? Był to postęp człowieka prawdziwie odważnego, a nigdy mu śmiałości nie przypisywałem.

- Kto wie, co drzemie w człowieku? - powiedziała Benedetta miękko, Armstrong zaś zrozumiał, że myśli o O'Harze.

Pozostał z nią jeszcze chwilę, próbując rozmową rozładować jej napięcie, potem wrócił w głąb tunelu i zapalił lampę. O'Hara popatrzył na niego oczami pełnymi cierpienia.

- Ciężarówka załatwiona odmownie? - zapytał.

- Nie wiem - odrzekł Armstrong. - Jeszcze się nie przyglądałem.

- Sądziłem, że może zdołamy nią umknąć - rzekł O'Hara.

- Rzucę okiem. Chyba nie bardzo ucierpiała od kuksańców - ci chłopcy nieźle ją opancerzyli przeciwko naszym bełtom. Ale nie sądzę, by posłużyły jej kule; tu osłony mogły okazać się niewystarczające.

Przysunął się do nich Aguillar.

- Może spróbowalibyśmy w ciemnościach... uciec?

- Dokąd? - zapytał rzeczowo Armstrong. - Obstawiają most, a poza tym uważam, że próba przejechania przez niego nocą byłaby czystym samobójstwem. No i tu nie brak im światła; będą dobrze pilnować wlotu tunelu. -Potarł czubek głowy. - Nie wiem, dlaczego nie chcą nas załatwić już teraz.

- Chyba zabiłem ich szefa - powiedział O'Hara. - Mam nadzieję. A nie sądzę, by Santos miał dość ikry, żeby atakować - boi się tego, na co może trafić.

- Kto to jest Santos? - zapytał Aguillar.

- Kubańczyk. - O'Hara słabo się uśmiechnął. - Tam, niżej, podszedłem do niego całkiem blisko.

- Narobiłeś im mnóstwo strat tą swoją szarżą w ciężarówce - zauważył Armstrong.

- Nic dziwnego, że się boją. Może dadzą za wygraną.

- Teraz już nie - odparł O'Hara z przekonaniem. - Są zbyt blisko sukcesu, żeby zrezygnować. Wystarczy, że rozbiją obóz i zagłodzą nas na śmierć.

Długo milczeli, zastanawiając się nad swym położeniem, a potem Armstrong stwierdził:

- Już raczej wolę chwalebny koniec. - Wyciągnął przed siebie automat. - Czy wiesz, jak to działa?

O'Hara zademonstrował mu funkcjonowanie prostego mechanizmu, a kiedy Armstrong wrócił na stanowisko, Aguillar powiedział:

- Przykro mi z powodu pańskiego ramienia, señor. O'Hara odsłonił zęby w nikłym uśmiechu.

- Zapewne jednak nie tak przykro, jak mnie - boli piekielnie. Ale, rozumie pan, to bez znaczenia; mało prawdopodobne, abym miał odczuwać ból specjalnie długo.

Aguillar wstrzymał oddech i jego astmatyczne poświstywanie na chwilę ucichło.

- Myśli pan, że to koniec? - Tak.

- Szkoda, señor. Bardzo by mi się pan przydał w nowej Kordylierze. Ktoś o mojej pozycji potrzebuje wartościowych ludzi, a trudniej o nich niż o igłę w stogu siana.

- Na co miałby się panu przydać zrujnowany pilot? Takich jak ja kupuje się na pęczki.

- Nie sądzę - odparł Aguillar z powagą. - W tej sytuacji okazał pan wiele inicjatywy, a to nieczęsta cecha. Jak pan wie, siły zbrojne Kordyliery toczy zaraza polityki i potrzebują ludzi, by je odpolitycznić - w szczególności szwadrony myśliwców. Jeśli zechce pan pozostać w Kordylierze, mogę - jak sądzę - zaproponować panu stanowisko w lotnictwie.

Na moment O'Hara zapomniał, że godziny, a może nawet minuty jego życia są policzone. Odpowiedział po prostu:

- To by mi się podobało.

- Jestem rad - stwierdził Aguillar. - Pańskie pierwsze zadanie będzie polegało na wzięciu w karby Szwadronu Ósmego. Nie powinien pan jednak sądzić, że wżenając się w rodzinę prezydenta ułatwi pan sobie karierę. - Zachichotał, czując, że O'Hara się obruszył... - Znam swoją bratanicę doskonale, Tim. Nigdy nie odczuwała w stosunku do mężczyzny tego, co czuje do pana. Mam nadzieję, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi.

- Będziemy - odrzekł O'Hara, a potem zamilkł, czując, jak wraca mu poczucie rzeczywistości - świadomość, że to całe gadanie o małżeństwie

i planach na przyszłość nie ma sensu. Po chwili powiedział tęsknie: - To mrzonki, señor Aguillar, rzeczywistość jest znacznie bardziej przerażająca.

Chciałbym jednak...

- Wciąż żyjemy - powiedział Aguillar. - A nic nie jest dla człowieka niemożliwe, dopóki w jego żyłach płynie krew.

Nie powiedział już nic więcej i O'Hara słyszał w ciemnościach tylko jego chrapliwy oddech.

III

Dołączywszy do Benedetty, Armstrong zerknął w stronę wlotu korytarza, oświetlonego - po zapadnięciu ciemności - jaskrawym blaskiem reflektorów. Wyteżył wzrok i powiedział:

- Mgła gęstnieje, nie sądzisz?

- Chyba tak - odparła Benedetta apatycznie.

- Czas na mały zwiad - powiedział.

- Nie idź - poprosiła błagalnie. - Zobaczą cię.

Dołączył do Benedetty.

- To by było na razie tyle - powiedział z satysfakcją. - Chyba trzyma się nieźle. Teraz ja przejmę wartość, a ty wracaj i zobacz, co u pozostałych.

Odwróciła się niezwłocznie i pojął, że bardzo pragnie pójść do O'Hary.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Lepiej, żebyś wiedziała co i jak, na wypadek, gdybyśmy nagle musieli ruszyć w drogę. - Uniósł automat. - Wiesz, jak się tego używa?

-Nie.

Armstrong zachichotał.

- Ja też nie mam pewności, czy wiem... to dla mnie za nowoczesne. Lecz O'Hara utrzymuje, że to jest dziecinnie proste; naciskasz spust i walisz. Powiada, żeby mierzyć lekko w dół i pamiętać o bezpieczniku. Otóż: prowadzić będę ja, a w kabinie będzie jeszcze twój wuj, siądzie na podłodze; O'Hara i Jenny pojedą z tyłu i będą leżeć płasko. Ty też pojedziesz na skrzyni - z tym automatem. Trochę niebezpieczna historia, bo będziesz się musiała podnieść, jeśli zechcesz strzelać.

Jej głos był nieporuszony.

- Będę strzelać.

- Dobra dziewczynka - powiedział, klepiąc ją po ramieniu. - Ucałuj ode mnie Tima, jeśli będziesz to robić od siebie.

Słuchał, jak odchodzi, a potem podpełzł do wzniesionego przez siebie murku i legł za nim z automatem pod ręką. Wsunął dłoń do kieszeni, szukając fajki, a znalazłszy ją, zaklął zduszonym głosem. Była złamana. Wsunął ustnik w zęby i począł go żuć, nie spuszczając oka z wylotu korytarza.

IV

Dzień - oślepiająca białosc u wrót tunelu - wstawał we mgle. Armstrong po raz setny zmienił położenie ciała, aby przynieść ulgę swym obolałym gnatom. Zerknął na O'Harę leżącego pod przeciwległą ścianą tunelu; jemu jest ciężej niż mnie, pomyślał.

Na wieść o murku ochronnym O'Hara uparł się, by przejść w jego pobliże.

- Z tym ramieniem nie było mowy o spaniu - powiedział. - No i mam pistolet z pełnym magazynkiem. Równie dobrze jak tu, mogę na stojąco czy leżąc czuwać tam. Przydam się choćby w ten sposób, że pozwolę pospać komuś innemu.

Mimo to jednak Armstrong nie zasnął. Wyczerpany jak nigdy w życiu, był jednak zbyt obolały, by spać. Teraz, w narastającym blasku poranka, uśmiechnął się wesoło do O'Hary i wystawił głowę zza niskiego szańczyka.

Nie było widać nic, prócz nieprzeniknionej zasłony z kłębiących się mgieł.

Zapytał cicho:

- Tim, dlaczego nie zaatakowali nas nocą?

- Wiedzą, że mam ten automat - odparł O'Hara. - Z taką świadomością i ja nie wbiegłbym w tunel, szczególnie nocą.

- Mhm - mruknął Armstrong bez przekonania. - Ale dlaczego nie próbowali zmieknąć nas ogniem karabinowym? Muszą wiedzieć, że jeśli kula wpadnie w tunel, będą rykoszety, nie trzeba nawet szczególnej celności.

O'Hara milczał, Armstrong zaś ciągnął z zadumą:

- Zastanawiam się, czy tam w ogóle ktoś jest.

- Nie bądź cholernym głupcem - powiedział O'Hara. - Nie możemy ryzykować, aby to sprawdzić - na razie. Poza tym znalazł się jednak ktoś, kto zupełnie niedawno wyłączył światła.

- Fakt - zgodził się Armstrong i słysząc ruch w tunelu, odwrócił głowę; z

zawiniątkiem w ręku podczołgała się do nich Benedetta.

- Ostatki jedzenia - powiedziała. - Niewiele tego, a wody nie mamy wcale.

- Kiepsko - stwierdził Armstrong smutno.

Kiedy dzielili się z O'Hara posiłkiem, usłyszeli na zewnątrz poruszenie i ludzkie głosy.

- Zmiana warty - powiedział O'Hara. - Słyszałem coś takiego cztery godziny temu, kiedy sobie przysnąłeś. Więc są tam nadal.

- Ja? Przysnąłem?! - spytał Armstrong z irytacją. - Całą noc nie zmrużyłem oka.

O'Hara uśmiechnął się.

- Zmrużyłeś, i to ładnych parę razy. - Spoważniał. - Możemy upuścić trochę wody z chłodnicy, ale radziłbym to zrobić tylko w ostateczności.

Benedetta spoglądała na O'Harę z troską w oczach. Miał niezdrowe wypieki i wyglądał na człowieka zbyt ożywionego jak na kogoś, kto omal nie został zastrzelony. Panna Ponsky zareagowała podobnie, a teraz, niezdolna jeść i półprzytomna, miotała się w gorączce, błagając o wodę. Powiedziała:

- Sądzę, że nie możemy czekać; Jenny potrzebuje wody.

- Wobec tego wydoimy chłodnicę - powiedział Armstrong. - Mam nadzieję, że ten dodatek przeciwko zamarzaniu nie jest trujący, chyba to zwykły alkohol, więc wszystko powinno być w porządku.

Wczołgał się pod ciężarówkę, odkręcił kurek spustowy i utoczył pół puszki rdzawożółtej wody, którą podał Benedecie.

- To musi wystarczyć - powiedział. - Nie powinniśmy upuszczać zbyt wiele, bo może będziemy musieli skorzystać z ciężarówki.

Dzień mijał i nie działo się nic. W miarę wznoszenia się słońca mgła rzedła, aż wreszcie mogli zobaczyć otoczenie. Nadzieje Armstronga rozsypały się w proch, kiedy ujrzał stojącą przy chatach grupę ludzi. Nawet ze swego niewygodnego punktu obserwacyjnego mogli dostrzec, że nieprzyjaciel jest w pełnej sile.

- Czy nas jednak widzą? - zastanawiał się O'Hara. - Chyba nie. Ten tunel musi się z zewnątrz wydawać tak ciemny jak Czarna Dziura w Kalkucie.

- Co, u diabła, robią? - zapytał Armstrong, wystawiając zza szanca czubek głowy.

O'Hara przypatrywał się długo, a potem stwierdził ze zdumieniem:

- Układają na ziemi kamienie, a poza tym nic.

Istotnie, jedynym zajęciem nieprzyjaciela było układanie długiego, odbiegającego od tunelu kamiennego wału. Po jakimś czasie strudzeni robotą komuniści stanęli w grupkach, paląc i gwarząc. Sprawiali wrażenie, jakby na coś czekali, na co jednak - i po co układali kamienie - ani O'Hara, ani Armstrong nie mieli najmniejszego pojęcia.

Około południa Armstrong, którego zaczęły już zawodzić nerwy, powiedział:

- Rany boskie, zrobmy coś... coś konstruktywnego.

- Co? - głos O'Hary był bezbarwny i znużony.

- Jeśli mamy przebijać się ciężarówką, spróbujmy zaraz. Sugeruję, aby już teraz ułożyć Jenny na skrzyni, a starego usadzić z przodu. Pomyśl, o ile wygodniej będzie mu na miękkim fotelu.

O'Hara skinął głową.

- Dobra. Zostaw mi automat. Może się przydać.

Armstrong, całkiem wyprostowany, zbliżył się do ciężarówki. Do diabła z pełzaniem na brzuchu jak wąż, pomyślał, chcę raz przejść się jak człowiek.

Nieprzyjaciele go nie dostrzegli albo zbagatelizowali. Nie padły żadne strzały.

Bez kłopotów umieścił pannę Ponsky na skrzyni ciężarówki, a potem zaprowadził Aguillara do kabiny. Aguillar był w kiepskim stanie, wyraźnie gorszym niż poprzednio. Mówił niedorzecznie, oddychał z trudem, był oszołomiony i chyba nie wiedział, gdzie się znajduje. Błada i zaniepokojona Benedetta pozostała przy nim.

Padłszy za kamiennym szańcem, Armstrong powiedział:

- Jeśli szybko się stąd nie zabierzemy, ta cholerna tłuszcza zwycięży.

- Dlaczego? - O'Hara ze zdumieniem poderwał głowę.

- Aguillar... chyba jest o krok od zawału; wykituje, jeśli nie zabierzemy go niżej, gdzie będzie mógł swobodnie oddychać.

O'Hara wyjrzał na zewnątrz i wyciągnął zdrowe ramię.

- W polu widzenia są dwa tuziny facetów, którzy rozwalą nas na kawałki, jeśli spróbujemy ucieczki teraz. Przypomnij sobie, co - mając przeciwko sobie mgłę - zrobili ze mną wczoraj; teraz nie ma mgły, a my jesteśmy bez szans. Musimy poczekać.

Czekali więc i czekał nieprzyjaciel. Mijał dzień, słońce poczynąło chylić się ku zachodowi. Była trzecia po południu, gdy O'Hara drgnął, a potem rozluźnił się i pokręcił głową.

- Myślałem... ale nie.

Położył się, lecz chwilę później znów poderwał głowę.

- Tak... słyszysz?

- Co mam słyszeć? - zapytał Armstrong.

- Samolot... albo samoloty - odparł O'Hara z podnieceniem. Armstrong nastawił ucha i pochwycił świdrujący, choć zarazem przytłumiony i zniekształcony skowyt przelatującego odrzutowca.

- Na Boga, masz rację - powiedział. Potem popatrzył na O'Harę z nagłą konsternacją. - Nasz czy ich?

Lecz O'Hara pojął już, że to zagłada. Wychyliwszy się, patrzył ze zgrozą we wlot tunelu. W obramowanym nim fragmencie nieba widział nurkujący wprost na nich samolot: na jego oczach w obłoczkach pary coś oderwało się od każdego ze skrzydeł.

- Rakiety! - wrzasnął. - Na rany Chrystusa, padnij!

V

Forester wznosił się na spotkanie z trzema sabre'ami. Na widok jego samolotu rozsypały się w luźną formację. Nadlatywał na nie od tyłu i zwiększając szybkość, chwycił na celownik pierwszą maszynę. Powiódł dłońmi po bezpiecznikach i wsparł kciuk na przycisku spustowym. Ten chłopyt nigdy się nie dowie, co go trafiło.

Cały czas słyszał w słuchawkach jazgot, gdy pilot prowadzący wywoływał pułkownika Coello. Wreszcie, doszedłszy do wniosku, że radio nie działa, powiedział:

- Skoro jest pan pozbawiony łączności, mio Colonel, ja poprowadzę atak.

Forester zrozumiał zatem, że instrukcje otrzymali jeszcze na ziemi. Przycisnął spust.

Znów poczuł znajome szarpnięcie w powietrzu, nieomal zatrzymanie -i ujrzał pociski smugowe lecące do celu. Poszycie prowadzącego sabre'a pokryły tańczące rozbłyski, a potem nagle cały samolot eksplodował w chmurę czarnego dymu z czerwonym sercem w środku.

Forester skręcił lekko, aby uniknąć zderzenia ze szczątkami, potem zawrócił i rozpoczął wznoszenie, słysząc w słuchawkach pełne zgrozy okrzyki pozostałych pilotów. Paplali przez kilka chwil. Wreszcie jeden z nich oświadczył:

- Cisza. Ja go wezmę.

Przeszedł go dreszcz; ci chłopcy są młodzi, mają szybki refleks i solidne szkolenie za sobą. On zaś, poza kilkoma godzinami szkolenia w roku, niezbędnymi dla utrzymania kategorii, nie latał od dziesięciu lat. Ciekawe, jak długo zdoła się bronić.

Znalazł nieprzyjaciół. Jeden wdzięcznym łukiem nurkował ku ziemi, drugi wznosił się obszernym kręgiem, aby sięść mu na ogonie. Na jego oczach odpalił bez celu dwie rakiety.

- Nie, ty sukinsynu - powiedział Forester. - Nie dostaniesz mnie tak łatwo. Wiedział, że przeciwnik pozbywa się rakiet, aby zredukować ciężar, zyskując w zamian na ciągu i szybkości. Przez chwilę kusilo go, aby uczynić to samo i podjąć walkę na pustym niebie, lecz wiedział, że nie może ryzykować. Poza tym miał dla rakiet lepsze zastosowanie.

Naparł zatem na kolumnę steru i wszedł w stromy lot nurkowy. Było to niebezpieczne - przeciwnik mógł nurkować szybciej, a Foresterowi wbito do głowy, aby nigdy, nigdy nie tracić wysokości podczas boju. Nie spuszczał oczu z lusterka i niebawem dostrzegł dochodzącą go szybko maszynę. Wyczekał do ostatniej chwili, to jest do momentu, kiedy miał być ostrzelany, i wówczas jeszcze mocniej naparł na drążek i wszedł w samobójcze nurkowanie pionowe. Zaskoczony szaleństwem tego manewru, wykonanego w dodatku tak blisko ziemi, przeciwnik przemknął nad Foresterem, który pewien, że chwilowo się go pozbył, skupił całą uwagę na tym, aby nie dopuścić do rozbicia swego samolotu o zbocze góry. Poczul drgania, gdy sabre zaczął zbliżać się do bariery dźwięku. Każda cząstka maszyny jęknęła, kiedy - mając nadzieję, że nie odpadną skrzydła - wyprowadził ją z lotu nurkowego.

Gdy wszedł wreszcie w lot poziomy, od ziemi dzieliło go zaledwie sześćdziesiąt metrów: śnieg i skała stapiały się w szarą, rozmytą smugę. Wzniósłszy się kilkadziesiąt metrów, zataczał szerokie kręgi, wypatrując wąwozu i mostu. Wąwóz dostrzegł natychmiast, bo trudno go było przegapić, most zaś minutę później. Wykonał nad nim nawrót i począł przepatrywać ziemię; nie ujrzał nikogo, więc zostawiwszy most za sobą, poleciał nad krętą drogą, którą z takim trudem tylekroć przemierzał pieszo.

Potem nagle zmienił kurs, pragnąc podejść do kopalni równoległe ze zboczem góry. Kiedy wykonywał ten manewr, ujrzał trzysta metrów nad sobą sabre'a, odpalającego dwie rakiety. To ten drugi, pomyślał, spóźniłem się.

Skręcił ponownie i z wyciem przemknął nad kopalnią i rozwijającym się w dole pasem startowym. Dostrzegł chaty, ciężarówki i wskazującą podnóże urwiska wielką kamienną strzałę. Zaś u samego jej ostrza, w miejscu, gdzie rakiety trafiły w cel, kipiącą, chmurę dymu i kurzawy.

- Jezu! - powiedział mimowolnie. - Mam nadzieję, że to przeżyli.

Wykonał nawrót. Ponownie nadlatując nad kopalnię, miał na karku przeciwnika. Odnalazł go sabre, którego niedawno zgubił. Prowadził już ogień, choć dystans był zbyt wielki. Forester wiedział, że oszukany pilot czeka na jego kolejną sztuczkę. Ten dowód braku doświadczenia obudził w nim nadzieję. Ponieważ jednak tamten sabre był szybszy, musiał pozbyć się rakiet.

Miał na oku dobry, niczego nie podejrzewający cel. By go wszakże trafić, musiał wejść w łagodne nurkowanie, wystawiając się w ten sposób na pociski prześladowcy. Zacisnął zęby i utrzymywał kierunek lotu, biorąc na celownik ciężarówkę, chaty i grupę ludzi. Jednym ruchem dłoni uzbroił rakiety i niemal w tej samej chwili strzelił.

Rakiety oderwały się od skrzydeł, by pomknąć ku ciężarówkom i spoglądającym w górę, wymachującym rękoma ludziom. W ostatniej chwili zorientowali się, że z nieba nadchodzi śmierć i poczęli się rozbiegać. Było jednak za późno.

Eksplodowało pomiędzy nimi osiem rakiet. Forester dostrzegł, jak trzytonowa ciężarówka unosi się ciężko w powietrze i wali na bok. Głośno się roześmiał; rakietą, zdolną zatrzymać czołg, z pewnością potrafi roztrzaskać ciężarówkę.

Z chwilą odpalenia rakiet pilotowanie sabre'a stało się znacznie łatwiejsze i Forester odczuł natychmiastowe zwiększenie szybkości. Pochylił dziób maszyny w

dół i nie patrząc na poczynione przez siebie spustoszenia, przemknął nad pasem na zerowej wysokości. Usiłował w ten sposób pozbyć się prześladowcy. Przy końcu pasa, za urwiskiem, opadł jeszcze niżej i nad wrakiem dakoty wszedł w rozpaczliwy, równoległy do zbocza góry skręt.

Zerknąwszy w lusterko, przekonał się, że przeciwnik uczynił to samo, znacznie jednak wyżej i o wiele obszerniejszym łukiem. Forester uśmiechnął się; sukinsyn nie odważył się zejść nad pas, więc nie mógł strzelać, a teraz w szerokim skręcie stracił dystans. Kolej na niego.

Wznosił się, lecąc zaledwie sześć metrów nad zboczem. Było to ryzykowne, bo występy skalne sterczały zeń jak czarne kły, gotowe przy najmniejszym błędzie rozszarpać brzuch sabre'a. W ciągu krótkich trzydziestu sekund, jakich potrzebował, by osiągnąć czyste niebo, jego czoło pokryły krople potu.

Potem miał górę za sobą, a przeciwnik, gotów do uderzenia, zaczął zniżać lot. Jednak Forester, który się tego spodziewał, rozpoczął strome wznoszenie, z szybką beczką u szczytu pętli, i poleciał w przeciwnym kierunku. Zerknął za siebie i skrzywił się z satysfakcją; sprawdził przeciwnika i przekonał się o jego słabości - ten młody człowiek bał się ryzyka. Wiedząc, że da mu radę, Forester ruszył do ataku.

Atak był krótki i brutalny. Zawrócił na spotkanie nadlatującej maszyny, zachowując się tak, jakby zamierzał ją staranować. Przy szybkości zbliżania się bliskiej dwu tysięcy czterystu kilometrów na godzinę tamten - zgodnie z kalkulacją Forestera - nie wytrzymał i odbił w bok. Zanim zdołał przyjść do siebie, Forester siadł mu na ogonie. Koniec był miłosiernie szybki - ostra salwa z działek przy minimalnej odległości i nieunikniona eksplozja w powietrzu. I znów Forester odchylił kurs, aby uniknąć szczątków. Kiedy rozpoczął wznoszenie, aby zorientować się w sytuacji, pomyślał, że doświadczenie bojowe nie jest sprawą błahą, a właściwa ocena przeciwnika - sprawą jeszcze ważniejszą.

VI

Armstrong ogłuchł; echa straszliwej eksplozji wciąż tłukły się po najgłębszych zakamarkach tunelu, ale on ich nie słyszał. Za sprawą zagęszczających powietrze kłębow kurzu widział też niewiele. Był kompletnie roztrzęsiony i bez sensu usiłował wbić palce w twarde skaliste dno tunelu.

Pierwszy doszedł do siebie O'Hara. Stwierdziwszy, że wciąż żyje i może się poruszać, podniósł głowę i spojrzął w stronę wylotu korytarza. Przez kurz przebijało wątłe światło. Chybiły, pomyślał z roztrągnięciem, rakiety chybiły... o włos. Potem potrząsnął głową, aby ją oczyścić, i podszedł do wciąż wczepionego w ziemię Armstronga. Szarpnął go za ramię.

- Do ciężarówki! - krzyknął. - Musimy zwiewać! Następnym razem nie chybią! Armstrong uniósł głowę i tępo popatrzył na O'Hare; O'Hara wskazał ciężarówkę i wykonał pantomimę prowadzenia wozu. Armstrong chwiejnie powstał i podążył za O'Harą, któremu w uszach wciąż dzwoniło od wybuchu.

O'Hara wrzasnął:

- Benedetta, do samochodu! - Pomógł jej wsiąść, podał automat, a wreszcie wdrapał się sam i położył obok panny Ponsky. Słyszał wycie przelatującego odrzutowca, a gdzieś dalej serię wybuchów. Miał nadzieję, że stan Armstronga nie wyklucza możliwości prowadzenia wozu.

Armstrong wdrapał się do kabiny i poczuł obecność Aguillara na sąsiednim fotelu.

- Na podłogę - powiedział i zepchnął go na dół. Potem całą uwagę skupił na czekającym go zadaniu. Wcisnął guzik rozrusznika - rozrusznik załkał i zajęczał. Armstrong dźgał palcem raz za razem, a kiedy zaczynał już tracić nadzieję, silnik zaskoczył z urywanym rykiem.

Wrzucił wsteczny bieg, wychylony z kabiny spojrzął w stronę wlotu i puścił sprzęgło. Ocierając się o ściany tunelu, ciężarówka potoczyła się w podskokach. Uchwycił kierownicę - o ile mógł stwierdzić, układ kierowniczy nie został uszkodzony - i usiłował utrzymać prosty kierunek jazdy. Pokonanie pięćdziesięciu metrów nie trwało długo. Zatrzymał wóz przed samym wlotem tunelu, gotując się do skoku przez otwarty teren. - Skrzywił się, bo nagły wstrząs uraził jego ramię. - Lepiej przygotujmy się do ewakuacji na pierwszy sygnał, że chce nas zaatakować. Możesz to uzgodnić z Armstrongiem? Benedetta wychyliła się i wyciągając szyję, ze wszystkich sił krzyknęła do Armstronga:

- Możemy zostać zaatakowani z powietrza! Jak cię zatrzymać?! Armstrong zwolnił, by wziąć paskudny zakręt.

- Wał, ile wlezie, w dach kabiny... zatrzymam się od razu. Przed osadą stanę tak czy owak, bo może tam czekać komitet powitalny.

Benedetta przekazała odpowiedź O'Harze, który skinął głową.

- Szkoda, że nie mogę tego używać - powiedział, wskazując automat. - Jeśli będziesz zmuszona strzelać, celuj nieco w dół; kopie jak cholera i jeśli nie będziesz uważać, podziurawisz całe niebo.

Przyjrzał się Benedecie. Wiatr rozwiewał jej czarne włosy i oblepiał ciało strzępami sukienki. Wpatrzona w samolot, ścisnęła pistolet automatyczny i O'Hara pomyślał w nagłym zdumieniu: dobry Boże, cholerna amazonka. .. wygląda jak partyzancki plakat werbunkowy. Potem przypomniał sobie złożoną przez Aguillara propozycję wstąpienia do lotnictwa i niespodziewanie spłynęło nań całkowicie irracjonalne przekonanie, że wyjdą z tego koszmaru bezpiecznie.

Benedetta wyrzuciła ramię i krzyknęła z rozpaczą:

- Jeszcze jeden samolot, jeszcze jeden!

O'Hara szarpnął głową: drugi sabre zataczał krąg znacznie wyżej niż pierwszy, ów zaś ruszył mu na spotkanie. Benedetta powiedziała z goryczą:

- Muszą zawsze polować stadnie... nawet wiedząc, że jesteśmy bezbronni.

Lecz O'Hara, oglądając manewry samolotów swym doświadczoneym okiem, nie był tego tak bardzo pewien.

- Zamierzają ze sobą walczyć - powiedział zdumiony. - Szukają pozycji. Na Boga, będą ze sobą walczyć. - Jego podniesionemu i pełnemu niedowierzania głosowi wtórował odległy terkot automatycznego działka.

Forester prawie dał się zaskoczyć na drzemce. Dostrzegł trzeciego z nieprzyjacielskich sabre'ów dopiero wówczas, gdy ten znalazł się w nieprzyjemnej bliskości. Zaczął wznosić się z desperacją, aby zdobyć przewagę wysokości.

Nieprzyjaciel jednak strzelił pierwszy i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w skrzydle samolotu Forestera pojawiła się wielka dziura o poszarpanych krawędziach. Zrobił unik w bok i złożył maszynę w stromy spiralny lot wznoszący. Na ziemi O'Hara wrzeszczał z emocji i tłukł zdrową ręką w dach kabiny.

- Forester i Rohde... przeszli przez góry... na pewno!

Ciężarówka, gwałtownie szarpiąc, stanęła. Armstrong jak spłoszony królik wyprysnął z kabiny i dał susa na pobocze. Z drugiej strony wygramolił się Aguillar i zaczął wolno odchodzić, ale powstrzymywały go podniecone okrzyki ze skrzyni ciężarówki. Odwrócił się, a potem podniósł wzrok na szepione w boju sabre'y.

Walka przesuwała się ku zachodowi i niebawem obie maszyny zniknęły za górą, pozostawiając za sobą na błękitnie niebios biały rysunek ze smug kondensacyjnych. Do ciężarówki podszedł Armstrong.

- Co się, u diabła, dzieje? - zapytał z irytacją. - Bałem się, jak nigdy życiu, kiedyście załomotali wabinę.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odrzekł O'Hara bezradnie. - Ale chyba któryś z

tych samolotów jest po naszej stronie: dwa właśnie ze sobą walczą. - Wyrzucił ramię: - Patrzcie, znów nadlatują.

Jeden z sabre'ów deptał po piętach drugiemu, kiedy - znacznie niżej tym razem - wyłoniły się zza góry. Skrzydła drugiego samolotu rozbłysły ognikami salwy z działek, a z pierwszego strzeliła nagle smuga tłustego dymu. Opadł w dół i oderwał się odeń czarny punkcik.

- Katapultował się - powiedział O'Hara. - Dostał.

Zwycięski samolot wyprysnął w górę, pokonany zaś spikował i roztrzaskał się o zbocze. Z miejsca katastrofy uniósł się gęsty, czarny dym i w tej samej chwili, na kształt olbrzymiego nasienia mniszka, popłynął po niebie otwarty nagle spadochron.

Armstrong odprowadzał wzrokiem zwycięzcę, który wchodził w obszerny skręt, najwyraźniej zamierzając powrócić.

- Wszystko doskonale - powiedział z niepokojem - ale kto wygrał: my czy oni?

- Wszyscy wysiadać - powiedział O'Hara stanowczo. - Armstrong, pomóż Benedecie zdjąć Jenny.

Nie zdążyli się jednak ewakuować, bo nagle znalazł się nad nimi sabre i wykonał powolną beczkę. O'Hara, podtrzymując zdrowym ramieniem głowę panny Ponsky, wydał głębokie westchnienie.

- Tym razem chyba zwyciężyli nasi - powiedział - choć chciałbym wiedzieć, kim, do diabła, są. - Patrzył, jak sabre nadlatuje ponownie, machając skrzydłami. - Oczywiście, nie może to być Forester, to niemożliwe. A szkoda. Tak chciał zostać asem i mieć tych pięć zestrzeleń.

Po kolejnym nawrocie samolot skierował się w dół drogi i niebawem znów usłyszeli kanonadę.

- Wszyscy do wozu! - rozkazał O'Hara. - Ostrzeliwuje osadę, nie będziemy mieć żadnych kłopotów. Armstrong, jedziesz i nie zatrzymujesz się pod żadnym pozorem, dopóki nie przebędziemy mostu. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Mamy teraz wsparcie z powietrza.

Minęli osadę. Przy drodze płonęła ciężarówka, nie było jednak śladu życia. Pół godziny później dotarli do mostu: Armstrong ostrożnie wyhamował koło przypór i rozejrzał się niespokojnie. Pokrzepiony dobiegającym z góry rykiem samolotu, wrzucił bieg i centymetr po centymetrze jął pokonywać wątłą konstrukcję.

Forester obserwował z góryjego manewry. Pomyślał, że tam, na dole, jest silny wiatr, bo most zdawał się kołysać i drżeć - lub może płatajamy figle jego zmęczone oczy. Rzucił zaniepokojone spojrzenie na wskaźniki paliwa i uznał, że czas lądować; miał nadzieję, że zdoła posadzić maszynę w jednym kawałku. Czuł się rozpaczliwie zmęczony i obolały na całym ciele.

Przeleciawszy nad mostem po raz ostatni, ruszył wzdłuż drogi i zaledwie po kilku kilometrach dostrzegł jadący w górę konwój. Niektóre pojazdy nosiły wyraźne oznakowanie Czerwonego Krzyża. A jednak, pomyślał, McGruder się wymknął, ktoś zatelefonował na tę stronę gór i narobił zamieszania. Bo przecież nie mogła to być kolejna banda komunistów - po diabła potrzebowaliby karettek?

Podniósł wzrok i jął się rozglądać za nadającym się do lądowania kawałkiem płaskiego terenu.

Aguillar dostrzegł, że twarz Armstronga pojaśniała, kiedy tylne koła ciężarówki stoczyły się z mostu. Tyłu wspaniałych ludzi, pomyślał, tylu wspaniałych ludzi zginęło - Coughlinowie, señor Willis... panna Ponsky tak strasznie raniona... i O'Hara. Ale O'Hara wyzdrowieje, już Benedetta tego dopilnuje. Uśmiechnął się na myśl o tych dwojgu, o wszystkich latach ich przyszłego szczęścia. No i pozostali - Miguel i ci dwaj Amerykanie, Forester i Peabody. Kordyliera wszystkich ich uhonoruje - tak, nawet Peabody'ego. Ale przede wszystkim Miguela.

O'Hara popatrzył na pannę Ponsky.

- Czy wyzdrowieje?
- Rana jest czysta, nie tak groźna jak twoja, Tim. Szpital przyda się wam obojgu. - Benedetta umilkła. - Co będziesz robić potem?
- Chyba pojedę do San Croce wręczyć Filsonowi rezygnację. I strzelić go w pysk, chociaż pewnie tego nie zrobię. Nie jest tego wart, więc po co zawracać sobie głowę.
- Więc wracasz do Anglii? - sprawiała wrażenie przygnębionej. O'Hara uśmiechnął się.
- Przyszły prezydent pewnego południowoamerykańskiego państwa zaproponował mi ciekawą robotę. Będę się jej trzymać, jeśli pensja okaże się przyzwoita. Stęknął, gdy Benedetta rzuciła się w jego jednoramienne objęcie.
- Uuu! Ostrożnie z tą ręką! I, na Boga, odłóż tę cholerną spluwę, bo spowodujesz wypadek.
Armstrong coś do siebie mruzczał i Aguillar odwrócił ku niemu twarz.
- Czy pan coś mówił, señor?
Armstrong przestał mruzczyć i wybuchnął śmiechem.
- Ach, to rzecz o pewnej średniowiecznej bitwie; sławnej z tego, że szansę zwycięstwa jednej ze stron były marne. Szekspir napisał o tym coś, czego zawsze próbowałem nauczyć się na pamięć, choć w gruncie rzeczy za nim nie przepadam: jest słaby w szczegółach, ale stan ducha oddaje świetnie. To mniej więcej coś takiego:
*Kto dziś przeżyje, a do domu wróci,
W górę podrośnie na dnia tego wzmianką,
Podniesie głowę na imię Kryspina.
Kto dziś przeżyje i dośpi starości,
Co rok sąsiadów swoich w wilią racząc,
Powie: „Świątego dzień jutro Kryspina”,
Zawinie rękaw, swe pokaże rany.
Z starością pamięć gaśnie, on jednakże
Choćby o wszystkim zapomniał, spamięta
Swoje rycerskie w potrzebie tej czyny”. **
Zamilkł, ale po kilku chwilach zachichotał z cicha.
- Myślę, że po powrocie do szkoły Jenny Ponsky będzie mogła wyklądać ten temat z wielką ekspresją. Czy sądzi pan, że zawinie również rękaw i pokaże swe rany?
Podskakując, ciężarówka toczyła się ku wolności.

* **William Szekspir: „Zwycięstwa Henryka V” (tłum. LeonUlrich).**